

Orson Scott Card

Teatr Cieni

Przełożył Piotr W. Cholewa

Wydanie oryginalne: 2002

Wydanie polskie: 2003



*Jamesowi i Renée Allen
zawsze splątany z nami
w wielkiej sieci życia*

1

Dorastanie

From: NoAddress@Untraceable.com#14h9cc0/SIGN ON NOW AND BE ANONYMOUS
To: Trireme%Salamis@Attica-vs-Sparta.hst
Subject: Decyzja ostateczna

Wiggin,

Obiekt nie będzie zabity. Obiekt będzie przetransportowany wg planu 2, trasa 1, wyj. wtorek 04.00, p. kontr. #3 @ 06.00, czyli o świcie. Nie bądź roztargniony i nie zapomnij o linii zmiany daty. Jest twój, jeśli go zechcesz.

Jeśli twoja inteligencja przewyższa ambicję, zabijesz go. Jeśli odwrotnie, spróbujesz go wykorzystać. Nie proszę cię o radę, ale widziałem go w akcji. Zabij go.

Fakt, bez przeciwnika, który budzi strach całego świata, nigdy nie przywrócisz potęgi, jaką kiedyś dysponował urząd Hegemona. To będzie koniec twojej kariery.

Oszczędź go, a będzie to koniec twojego życia. Kiedy zginiesz, zostawisz świat w jego mocy. Kto wtedy będzie potworem? A przynajmniej potworem #2? A ja ci zdradziłem, jak go przejąć. Czy jestem potworem #3? Czy tylko głupcem #1?

Twój wierny sługa w mi-parti

Groszek właściwie lubił być wysoki, nawet jeśli w końcu miało go to zabić.

Przy tempie, w jakim ostatnio rósł, spodziewał się tego raczej wcześniej niż później. Ile czasu mu zostało? Rok? Trzy? Pięć? Kończówki kości wciąż miał jak dziecko – rozszerzały się i wydłużały. Nawet głowa mu rosła – niczym noworodek miał miękki obszar chrząstki i świeżej kości na ciemieniu.

To oznaczało ciągle dopasowywanie się, gdyż z każdym tygodniem jego ręce coraz dalej sięgały, gdy nimi machał, stopy były większe i zaczepiały o stopnie i progi, nogi wydłużały się i szybciej pokonywały odległość, więc jego towarzysze musieli coraz szybciej chodzić. Kiedy szkolił swoich żołnierzy, elitarną grupę tworzącą całe siły zbrojne Hegemonii, mógł teraz biec przed nimi, gdyż miał dłuższy krok.

Dawno już zyskał szacunek swoich ludzi. Ale teraz, dzięki wzrostowi, rzeczywiście wyrastał ponad nich.

Stał teraz w wysokiej trawie na łące, gdzie dwa śmigłowce szturmowe czekały, aż jego ludzie wejdą na pokład. Dzisiejsza misja była niebezpieczna: wdrzeć się w chińską przestrzeń powietrzną i przechwycić nieduży konwój przewożący więźnia z Pekinu w głąb Chin. Wszystko zależało od tajności, zaskoczenia i niezwykle wręcz dokładnych informacji, jakie Hegemon, Peter Wiggin, otrzymywał od kilku miesięcy z Chin.

Groszek chciałby znać źródło tych informacji, ponieważ od tego źródła zależało życie jego i jego ludzi. Dotychczasowa precyzja mogła przecież okazać się pułapką. Chociaż „Hegemon” stał się właściwie pustym tytułem, gdyż większość ludności świata zamieszkiwała kraje nieuznające władzy tego urzędu, Peter Wiggin dobrze wykorzystywał żołnierzy Groszka. Ciągle drażnili nowe, ekspansjonistyczne Chiny, dokonując uderzeń tu czy tam, zawsze w chwili wyliczonej tak, by najmocniej zakłócić pewność siebie chińskich władz.

Zdarzało się, że nagle znikał kuter patrolowy, spadał śmigłowiec, załamywała się operacja szpiegowska, oślepiając chiński wywiad w jeszcze jednym kraju... Oficjalnie Chińczycy nie oskarżali nawet Hegemonii o uczestnictwo w tych incydentach, ale oznaczało to jedynie, że nie chcą przysparzać Hegemonowi popularności, nie chcą poprawiać jego reputacji i wzmacniać prestiżu wśród tych, którzy lękali się Chin po podboju Indii i Indochin. Ponieważ niemal na pewno wiedzieli, kto jest źródłem ich kłopotów.

Co więcej, nielicznej armii Groszka przypisywali zapewne spowodowanie problemów, których źródłem były zwykle przypadki. Choćby atak serca ministra spraw zagranicznych w Waszyngtonie, kilka minut przed spotkaniem z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Chyba faktycznie przypuszczali, że Peter Wiggin ma aż tak długie ręce albo że minister, zwykła partyjna marionetka, wart jest zamachu.

Co do zabójczej suszy, która już drugi rok trwała w Indiach, zmuszając Chińczyków albo do kupowania żywności na wolnym rynku, albo do wpuszczenia międzynarodowej pomocy z Europy i Ameryki na niedawno podbity i wciąż buntowniczy subkontynent – może i w tym

przypadku wyobrażali sobie, że Peter Wiggin jest w stanie kierować nawet deszczami monsunowymi.

Groszek nie żywił podobnych złudzeń. Peter Wiggin na całym świecie miał wszelkiego rodzaju kontakty – grupę informatorów, która stopniowo zmieniała się w porządną siatkę szpiegowską, ale zdaniem Groszka wciąż bawił się tylko, toczył grę. Oczywiście, sam uważał ją za rzeczywistą, ale nie miał pojęcia, co się dzieje w prawdziwym świecie. Nigdy nie widział, jak wskutek jego rozkazów giną ludzie.

Groszek widział to – i to nie była gra.

Usłyszał, jak zbliżają się jego żołnierze. Wiedział, nie patrząc, że są już blisko, gdyż nawet tutaj, na teoretycznie bezpiecznym terenie – w bazie wypadowej na górach Mindanao na Filipinach – poruszali się jak najciszej. Wiedział też, że usłyszał ich wcześniej, niż się spodziewali, gdyż zawsze miał nadzwyczajnie czułe zmysły. Nie fizyczne organy zmysłów – uszy były całkiem zwyczajne – ale mózg wychwytyjący nawet najdrobniejsze zmiany tła dźwiękowego. Dlatego uniósł rękę na powitanie żołnierzy, którzy dopiero wynurzali się z lasu za jego plecami.

Usłyszał zmianę w ich oddechach: westchnienia, niemal bezgłośnie śmieszki; zauważyli, że znowu ich przyłapał. Jakby w dorosłej wersji zabawy w „Mamo, a mogę...?”, zawsze zdawało się, że Groszek ma oczy dookoła głowy.

Suriyawong stanął przy nim, gdy oddział podzielił się na dwie kolumny, sunące do śmigłowców ciężko wyladowanych przed czekającą ich misją.

– Sir – odezwał się Suriyawong.

To sprawiło, że Groszek się odwrócił. Suriyawong nigdy nie zwracał się do niego tak oficjalnie.

Jego zastępca, Taj, zaledwie o kilka lat starszy od Groszka, był teraz o pół głowy niższy. Zasalutował i zrobił zwrot, patrząc w kierunku lasu, z którego dopiero co wyszedł.

Kiedy Groszek także się odwrócił, zobaczył Petera Wiggina, Hegemonia Ziemi, brata Endera Wiggina, który nie tak dawno ocalił planetę przed inwazją Formidów. Peter Wiggin, konspirator i gracz. Jaką grę teraz prowadził?

– Mam nadzieję, że nie zwariowałeś i nie chcesz z nami lecieć w tej misji – odezwał się.

– Cóż za miłe powitanie – odparł Peter. – To, co masz w kieszeni, to pistolet. Z czego wnoszę, że nie czujesz radości na mój widok.

Groszek najbardziej nie znosił Petera, kiedy ten usiłował żartować. Dlatego milczał. Czekał.

– Julianie Delphiki, nastąpiła zmiana planów – oznajmił Peter.

Zwrócił się do niego pełnym imieniem i nazwiskiem... jakby był ojcem Groszka. Co prawda Groszek nie wiedział, że w ogóle ma ojca, dopóki nie skończyła się wojna i nie powiedzieli mu, że Nikolai Delphiki jest nie tylko jego przyjacielem, ale i bratem. Poznał rodziców, dopiero gdy miał jedenaście lat. W dzieciństwie nikt w żartach nie nazywał go

Julianem Delphiki. Nikt go w ogóle nijak nie nazywał, dopóki na ulicach Rotterdamu nie nadano mu drwiącego przezwiska Groszek.

Peter jakoś nie dostrzegał absurdalności takiego traktowania. Walczyłem w wojnie z robalami, chciał mu powiedzieć Groszek. Walczyłem u boku twojego brata Endera, kiedy ty bawiłeś się w te swoje populistyczne gierki w sieci. A kiedy starałeś się dopasować do roli Hegemona, ja prowadziłem tych ludzi do bitew, które naprawdę zmieniały świat. I teraz mi mówisz, że nastąpiła zmiana planów?

– Odwołajmy akcję – zaproponował. – Zmiany planów w ostatniej chwili prowadzą do niepotrzebnych strat w walce.

– Ta nie doprowadzi – zapewnił go Peter. – Ponieważ zmienia się tylko tyle, że nie lecis.

– A ty zajmiesz moje miejsce?

Groszek nie musiał nawet okazywać lekceważenia tonem głosu czy wyrazem twarzy. Peter był dostatecznie inteligentny, by wiedzieć, że sam pomysł może być tylko żartem. Przecież nie miał żadnego przeszkolenia, potrafił jedynie pisać rozprawy, rozmawiać z dostojnikami i bawić się geopolityką.

– Suriyawong będzie dowodził w tej misji – wyjaśnił.

Suriyawong odebrał od niego zapieczętowaną kopertę i zerknął na Groszka, czekając na potwierdzenie.

Peter z pewnością zauważył, że młody Taj nie zamierza wypełniać jego poleceń bez pozwolenia Groszka. A że był w zasadzie człowiekiem, nie mógł się powstrzymać przed złośliwością.

– Chyba że nie uważasz, by Suriyawong był gotów przejąć dowodzenie.

Groszek spojrzał na przyjaciela, który uśmiechnął się tylko.

– Wasza Ekscelencjo, żołnierze słuchają pańskich rozkazów – oświadczył. – Suriyawong zawsze prowadzi oddział w bitwie, więc nie będzie to istotna zmiana.

Co nie było do końca prawdą – Groszek i Suriyawong często musieli już w czasie akcji zmieniać plany. Zdarzało się, że Groszek osobiście dowodził całością lub częścią operacji, zależnie od tego, który z nich dwóch musiał sobie radzić z nieprzewidzianą sytuacją. Choć czekająca ich misja miała być trudna, to przecież niezbyt skomplikowana. Konwój albo będzie w miejscu, gdzie być powinien, albo nie. Jeśli będzie, misja prawdopodobnie zakończy się sukcesem. Jeśli nie albo jeśli okaże się, że to pułapka, misja zostanie przerwana i wrócą do domu. Suriyawong i inni oficerowie rutynowo poradzą sobie z niewielkimi odchyleniami od planu.

Oczywiście, zmiana mogła nastąpić dlatego, że Peter Wiggin wiedział, iż misja nie może się udać, i nie chciał tracić Groszka. Albo że zdradził ich dla jakichś swoich tajemniczych powodów.

– Proszę tego nie otwierać – powiedział – dopóki nie będziecie w powietrzu.

Suriyawong zasalutował.

– Pora ruszać – stwierdził.

– Ta misja – dodał Peter – znacząco przybliży nas do celu, jakim jest złamanie karku chińskiemu ekspansjonizmowi.

Groszek nawet nie westchnął, ale ta skłonność Petera do wygłaszania twierdzeń o tym, co dopiero może nastąpić, trochę już go nużyła.

– Z Bogiem – rzucił Suriyawongowi na pożegnanie.

Czasami, kiedy to mówił, przypominał sobie siostrę Carlottę. Zastanawiał się, czy naprawdę jest teraz z Bogiem i czy słyszy te słowa – najbliższe modlitwy, jakie kiedykolwiek wymówił jej podopieczny.

Suriyawong podbiegł do maszyny. W przeciwieństwie do swoich ludzi nie niósł żadnego sprzętu poza małym chlebakiem i bronią boczną. Nie potrzebował lepszego uzbrojenia, ponieważ w czasie akcji miał zostać w śmigłowcu. Zdarzały się sytuacje, kiedy dowódca powinien prowadzić swoich ludzi do boju, ale nie w takiej misji. Tutaj kluczowa była łączność; musiał więc podejmować błyskawiczne decyzje i przekazywać je natychmiast podkomendnym. Dlatego miał tkwić nad e-mapami monitorującymi pozycję każdego z żołnierzy i porozumiewać się z nimi szyfrowanym łączem satelitarnym.

Nie będzie bezpieczny w swoim śmigłowcu. Wręcz przeciwnie. Jeśli Chińczycy wiedzą o akcji albo jeśli zdążą zareagować, Suriyawong będzie siedział w jednym z dwóch największych i najłatwiejszych do trafienia celów.

To moje miejsce, myślał Groszek, patrząc, jak Suriyawong wspina się na pokład maszyny. Któryś z żołnierzy podał mu rękę.

Wrota się zatrzasnęły. Oba śmigłowce wzniosły się nad ziemię wśród chmury pyłu i liści, zerwanej podmuchem, który gwałcił do ziemi trawę pod wirnikiem.

Dopiero wtedy z lasu wynurzyła się jeszcze jedna postać. Młoda kobieta. Petra.

Groszek zobaczył ją i natychmiast wybuchł gniewem.

– Co ty sobie myślisz?! – wrzasnął na Petera, przekrzykując cichnący szum odlatujących śmigłowców. – Gdzie jej ochrona? Nie wiesz, że jest zagrożona, kiedy tylko opuszcza granice osiedla?

– Prawdę mówiąc – odparł spokojnie Peter, gdyż maszyny wzniosły się na taką wysokość, że mógł mówić normalnym głosem – prawdopodobnie nigdy w życiu nie była bardziej bezpieczna.

– Jeśli w to wierzysz, jesteś idiotą.

– Naprawdę w to wierzę i wcale nie jestem idiotą. – Peter uśmiechnął się. – Jak zwykle mnie nie doceniasz.

– A ty jak zawsze się przeceniasz.

– Cześć, Groszek.

Groszek zwrócił się do Petry.

– Cześć, Petra.

Widział się z nią trzy dni temu, zanim wyruszyli na tę akcję. Pomagała mu ją zaplanować, znała ją od podszewki, jak on.

– Co ten czubek robi z naszą operacją? – zapytał.

Petra wzruszyła ramionami.

– Jeszcze się nie domyśliłeś?

Groszek się zastanowił. Jak zwykle jego podświadomość przetwarzała informacje w tle, głęboko poniżej tego, z czego zdawał sobie sprawę. Pozornie myślał tylko o Peterze, Petrze i misji, która właśnie się rozpoczęła. Ale gdzieś w głębi umysł zauważył anomalie i był gotów, by je wyliczyć.

Peter odwołał Groszka i przekazał Suriyawongowi rozkazy w zalakowanej kopercie. Najwyraźniej więc nastąpiły w planach jakieś zmiany, o których Groszek nie powinien się dowiedzieć. Peter wyciągnął też Petrę z ukrycia, a jednak twierdził, że nigdy nie była bezpieczniejsza. A to znaczy, że z jakiegoś powodu nie wierzył, by Achilles zdołał ją tu osiągnąć.

Achilles był jedynym człowiekiem na Ziemi, którego osobista siatka informatorów dorównywała Peterowej w swych możliwościach przekraczania granic. Skoro Peter był pewien, że Achilles nie zdoła osiągnąć Petry, to musiał wiedzieć, że nie ma swobody działania.

Achilles jest więźniem, i to już od pewnego czasu.

A to znaczy, że Chińczycy, kiedy wykorzystali go do przygotowania podboju Indii, Birmy, Tajlandii, Wietnamu, Laosu i Kambodży oraz do zawarcia przymierza z Układem Warszawskim, wreszcie zauważyli, że jest psychopata. I zamknęli go.

Achilles jest więźniem w Chinach. Rozkazy w kopercie Suriyawonga na pewno zdradzały tożsamość więźnia, którego mieli wyrwać z chińskiej niewoli. Tej informacji Peter nie mógł przekazać przed odlotem, ponieważ Groszek nie dopuściłby do rozpoczęcia operacji mającej uwolnić Achillesa. Groszek spojrzał niechętnie na Petera.

– Jesteś tak głupi jak ci niemieccy politycy, którzy spiskowali, by wynieść Hitlera do władzy. Wierzyli, że potrafią go wykorzystać.

– Wiedziałem, że się zdenerwujesz – odparł chłodno Peter.

– Chyba że te nowe rozkazy, jakie przekazałeś Suriyawongowi, nakazują jednak zabić więźnia.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że kiedy o niego chodzi, jesteś nazbyt przewidywalny? Wystarczy wspomnieć jego imię, żebyś wybuchnął. To twoja pięta Achillesa. Wybacz ten żarcik.

Groszek nie zwracał na niego uwagi. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Petry.

– Jeżeli wiedziałas, co robi, dlaczego przyjechałaś tu razem z nim?

– Bo nie byłabym już bezpieczna w Brazylii – odparła. – Dlatego wolę raczej być przy tobie.

– Oboje razem dajemy Achillesowi dwukrotnie większą motywację.

– Ale ty jesteś tym, który potrafi przetrwać, choćby Achilles rzucił przeciw niemu wszystkie siły. Dlatego wolę być tutaj.

Groszek pokręcił głową.

– Ludzie blisko mnie giną.

– Wręcz przeciwnie. Ludzie giną wtedy, kiedy nie są przy tobie.

Fakt, to była prawda, ale nieistotna. W ogólnym rozrachunku Buch i siostra Carlotta zginęły z powodu Groszka. Kochały go i były wobec niego lojalne, a więc popełniły błąd.

– Nie zostawię cię – ostrzegła Petra.

– Nigdy?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Peter.

– Wszystko to jest bardzo wzruszające, ale musimy się zastanowić, jak postępować z Achillesem, kiedy już go tu ściągniemy.

Petra spojrzała na niego, jakby był irytującym dzieciakiem.

– Naprawdę jesteś głupi – stwierdziła.

– Przecież wiem, że jest niebezpieczny – uspokoił ją Peter. – Dlatego musimy postępować bardzo ostrożnie.

– Posłuchaj go tylko – rzuciła Petra. – Powiedział „my”.

– Nie ma żadnego „my” – rzekł Groszek. – Powodzenia.

Nie puszczając dłoni Petry, poszedł w stronę lasu. Petra zdążyła jeszcze pomachać wesoło Peterowi, a potem, podskakując, ruszyła za Groszkiem.

– Wycofujecie się?! – krzyknął za nimi Peter. – Tak po prostu? Kiedy w końcu mamy szansę pokierować sytuacją tak, jak chcemy?!

Nie zatrzymali się, by z nim dyskutować.

Później, w prywatnym samolocie, który Groszek wyczerterował, by dostać się z Mindanao do Celebes, Petra drwiąco powtórzyła pożegnalne słowa Hegemona.

– „Kiedy w końcu mamy szansę pokierować sytuacją tak, jak chcemy?”.

Groszek roześmiał się głośno.

– Kiedy niby było tak, jak chcemy? – mówiła dalej, już poważnie. – Zawsze chodziło o większe wpływy Petera, o jego większą władzę i prestiż. Tak jak my chcemy, akurat.

– Ale nie chcę, żeby zginął – wtrącił Groszek.

– Kto? Achilles?

– Nie. Co do niego to chcę, żeby zginął. Ale Petera trzeba zachować przy życiu. Tylko on może zapewnić równowagę.

– Ale teraz stracił tę równowagę. Jak długo potrwa, nim Achilles zorganizuje zamach na niego?

– Bardziej mnie martwi, jak długo potrwa, nim Achilles spenetruje i przejmie siatkę jego kontaktów.

– A może przypisujemy mu nadprzyrodzone moce? – zastanowiła się Petra. – Przecież nie jest bogiem. Ani nawet bohaterem. To tylko chory dzieciak.

– Nie – zaprotestował Groszek. – Ja jestem chorym dzieciakiem. On to diabeł.

– Co z tego? Może diabeł jest chorym dzieciakiem.

– Chcesz powiedzieć, że nadal powinniśmy pomagać Peterowi?

– Chcę powiedzieć, że jeśli Peter przeżyje spotkanie z Achillesem, może bardziej będzie skłonny nas słuchać.

– Marne szanse. Bo jeśli przeżyje, uzna to za dowód, że jest sprytniejszy od nas, i tym mniej będzie skłonny nas słuchać.

– Racja. Nie wygląda na to, żeby chciał się czegoś nauczyć.

– Pierwsze, co powinniśmy zrobić – stwierdził po chwili Groszek – to się rozdzielić.

– Nie.

– Już to robiłem, Petro. Ukrywałem się.

– A kiedy jesteśmy razem, zbyt łatwo nas rozpoznać... bla, bla, bla.

– Z mówienia „bla, bla, bla” nie wynika jeszcze, że to nieprawda.

– Ale mnie to nie przeszkadza – oświadczyła Petra. – To element, który jakoś pomijasz w swoich planach.

– Za to mnie przeszkadza. To element, który ty pomijasz w swoich planach.

– Może ujmę to tak: jeśli się rozdzielimy, Achilles znajdzie mnie i zabije jako pierwszą, dojdzie ci do rachunku następna kobieta, którą kochasz, a która zginęła, ponieważ nie zdołałeś jej ochronić.

– Nieczysto walczysz.

– Walczę jak dziewczyna.

– Jeśli ze mną zostaniesz, prawdopodobnie w rezultacie zginiemy oboje.

– Nie, nie zginiemy.

– Nie jestem nieśmiertelny – przypomniał Groszek.

– Ale masz więcej sprytu od Achillesa. I szczęścia. I jesteś wyższy. I miłszy.

– Nowa, udoskonalona istota ludzka.

Przyjrzała mu się w zadumie.

– A wiesz, skoro już jesteś taki wysoki, moglibyśmy w drodze udawać małżeństwo.

Groszek westchnął ciężko.

– Nie ożenię się z tobą.

– Tylko dla kamuflażu.

Zaczęło się od żartobliwych uwag, ale teraz nie skrywała nawet swego pragnienia, by go poślubić.

– Nie zamierzam mieć dzieci – ostrzegł. – Mój gatunek kończy się na mnie.

– Ty egoisto! A gdyby pierwszy homo sapiens też tak uważał? Wciąż bylibyśmy neandertalczykami, a robale od razu rozwalilyby nas na strzępki i byłoby po wszystkim.

– Nie pochodzimy od neandertalczyków – przypomniał.
– To miło, że przynajmniej ten drobny fakt zdołaliśmy sobie wyjaśnić – mruknęła Petra.
– A ja wcale nie ewoluowałem. Zostałem wyprodukowany. Zaprojektowany genetycznie.
– Ale wciąż na boski obraz i podobieństwo.
– Siostra Carlotta mogła mówić takie rzeczy, ale u ciebie to wcale nie jest zabawne.
– Właśnie że jest.
– Ale nie dla mnie.
– Wiesz, chyba wcale nie chcę rodzić twoich dzieci. – Westchnęła ciężko. – Gdyby miały odziedziczyć po tobie poczucie humoru...
– Co za ulga.

Ale wcale nie czuł ulgi. Ponieważ Petra pociągała go i wiedziała o tym. Nawet więcej: naprawdę troszczył się o nią i lubił przebywać w jej towarzystwie. Była jego przyjaciółką. Gdyby nie to, że miał wkrótce umrzeć, gdyby chciał założyć rodzinę, gdyby w ogóle interesowało go małżeństwo, Petra byłaby jedyną ludzką istotą, którą brałby pod uwagę. Niestety, na tym właśnie polegał problem: ona była ludzką istotą, on nie.

Po chwili milczenia oparła mu głowę na ramieniu i ścisnęła za rękę.

– Dziękuję – szepnęła.
– Nie mam pojęcia za co.
– Za to, że pozwoliłeś mi ocalić ci życie.
– A kiedy to się zdarzyło? – zdziwił się Groszek.
– Dopóki musisz mnie chronić, nie umrzesz – wyjaśniła Petra.
– Dlatego jesteś ze mną, zwiększając ryzyko rozpoznania i ułatwiając Achillesowi pozbycie się dwójki najgorszych wrogów za pomocą jednej dobrze umieszczonej bomby? Żeby ocalić mi życie?

– Zgadza się, geniuszu.
– Przecież nawet cię nie lubię.

W tej chwili był tak zirytowany, że stwierdzenie to stało się niemal prawdziwe.

– Dopóki mnie kochasz, wcale mi to nie przeszkadza.

Podjeżdżał, że jej kłamstwo także było niemal prawdziwe.

Nóż Suriyawonga

From: Salaam%Spaceboy@Inshallah.com
To: Watcher%OnDuty@International.net
Subject: Twoje pytanie

Drogi panie Wiggin/Locke

Filozoficznie rzecz ujmując, wszyscy goście w domu muzułmanina traktowani są jak błogosławieni przybysze, zesłani przez Boga i znajdujący się pod Jego opieką. Praktycznie jednak, dla dwojga wyjątkowo utalentowanych, sławnych i nieprzewidywalnych osób, znienawidzonych przez potężną nieislamską figurę i wspomaganych przez inną, jest to bardzo niebezpieczna część świata. Zwłaszcza gdyby te osoby chciały pozostać jednocześnie w ukryciu i wolne. Nie wierzę, by wykazały się brakiem rozsądku i szukały schronienia w kraju islamskim.

Z przykrością jednak muszę poinformować, że pańskie i moje interesy w tym względzie się nie pokrywają. Mimo więc naszej okazjonalnej współpracy w przeszłości, z pewnością nie zdradzę panu, jeśli ich spotkam lub otrzymam od nich jakieś wieści.

Liczne są pańskie osiągnięcia, a ja pomagałem panu w przeszłości i będę pomagał również w przyszłości. Ale kiedy Ender prowadził nas do walki z Formidami, ci przyjaciele stali u mego boku. Gdzie był pan?

Łączę wyrazy szacunku

Alai

Suriyawong otworzył kopertę z rozkazami i nie był zaskoczony. Dowodził już operacjami za chińską granicą, ale zawsze celem był sabotaż, zbieranie danych albo „przymusowa redukcja wyższej kadry oficerskiej”, jak Peter ironicznie określał zabójstwa. Fakt, że tym razem chodziło o schwytanie kogoś, nie zabicie, sugerował, że osoba ta nie jest Chińczykiem. Suriyawong miał słabą nadzieję, że może to być jakiś przywódca podbitego kraju: pozbawiony stanowiska premier Indii czy uwięziony premier Tajlandii, ojczyzny Suriyawonga.

Przez krótki czas miał nawet nadzieję, że będzie to ktoś z jego rodziny.

Ale zgodnie z rozsądkiem okazało się, że Peter podejmuje ryzyko nie dla kogoś o znaczeniu jedynie politycznym czy symbolicznym, lecz dla wroga, który doprowadził świat do tej niezwykle i rozpaczliwej sytuacji.

Achilles. Niegdyś kaleka, wielokrotny morderca, pełnowymiarowy psychopata i podżegacz *extraordinaire* – miał talent odkrywania, czego pragną przywódcy państw, i obiecywania im sposobu spełnienia marzeń. Jak dotąd udało mu się przekonać do realizacji swych planów jedną z frakcji w rosyjskim rządzie, szefów rządów Pakistanu i Indii oraz rządzących w innych krajach. Kiedy Rosja uznała go za kłopotliwego sprzymierzeńca, uciekł do Indii, gdzie czekali już na niego przyjaciele. Kiedy Indie i Pakistan równocześnie robiły właśnie to, co dla nich przewidział, zdradził jednych i drugich, wykorzystując swoje kontakty w Chinach.

Kolejne posunięcie, oczywiście, polegałoby na zdradzie przyjaciół w Chinach i ucieczce stamtąd na pozycję dającą jeszcze większą władzę. Ale rządząca chińska koteria składała się z ludzi równie cynicznych jak Achilles. Rozpoznali wzorzec jego zachowania, więc wkrótce po tym, jak uczynił Chiny praktycznie jedynym światowym supermocarstwem, został aresztowany.

Jeśli Chińczycy okazali się tak rozsądni, to czemu nie Peter? Czy nie on sam mówił: „Czas, gdy Achilles jest najbardziej dla ciebie użyteczny i lojalny, to czas, kiedy prawie na pewno już cię zdradził”? Dlaczego zatem wierzy, że zdoła wykorzystać tego potwora w ciele chłopca?

A może Achilles potrafił jakoś przekonać Petera – mimo wszystkich dowodów, że nie dotrzymuje żadnych obietnic – że tym razem pozostanie lojalny wobec sprzymierzeńca?

Powinienem go zabić, myślał Suriyawong. Zabiję go. I zamelduję Peterowi, że Achilles zginął podczas zamieszania w starciu. Wtedy świat stanie się bezpieczniejszym miejscem.

Zabijał już przecież groźnych wrogów. A z tego, co powiedzieli mu Groszek i Petra, wynikało, że Achilles jest z definicji groźnym wrogiem, zwłaszcza dla tych, którzy kiedykolwiek okazali mu życzliwość.

„Jeśli zobaczysz go kiedyś słabego, bezradnego lub przegranego – mówił Groszek – nie znieś, byś pozostał przy życiu. Nie wydaje mi się, żeby to było cokolwiek osobistego. Nie musi zabijać cię własnymi rękami, nie musi patrzeć, jak umierasz, ani nic w tym stylu. Chce tylko wiedzieć, że nie żyjesz już w tym samym świecie co on”.

„Dlatego najbardziej niebezpieczny postępek – dodawała Petra – to uratować go.. Bo sam fakt, że ktoś widział go w sytuacji, kiedy potrzebował ratunku, stanowi w jego opinii wyrok śmierci”.

Czy nie wyjaśnili tego Peterowi?

Oczywiście, że tak. Dlatego posyłając Suriyawonga na ratunek Achillesowi, Peter wiedział, że praktycznie podpisuje na niego wyrok.

Z pewnością Peter wyobrażał sobie, że zdoła kontrolować poczynania Achillesa, a zatem Suriyawongowi nic nie zagrazi. Ale Achilles zamordował lekarkę, która nastawiała mu kulawą nogę, i dziewczynkę, która nie zabiła go, gdy był w jej mocy. Zabił zakonnicę, która znalazła go na ulicach Rotterdamu, dzięki której zyskał wykształcenie i szansę w Szkole Bojowej.

Wdzięczność Achillesa była jak śmiertelna choroba. A Peter nie miał takiej władzy, by zagwarantować Suriyawongowi odporność. Achilles nie pozostawiał dobrego uczynku bez kary, choćby musiał długo czekać i choćby nie wiadomo jak krętą ścieżką dążył do zemsty.

Powinienem go zabić, myślał Suriyawong. Inaczej on mnie zabije.

On nie jest żołnierzem, jest więźniem. Zabicie go będzie morderstwem, nawet w czasie wojny.

Ale jeśli ja go nie zabiję, on zabije mnie z całą pewnością. Czy człowiek nie ma prawa się bronić?

Poza tym to przecież on opracował plan, który doprowadził do zniewolenia mojego ludu przez Chińczyków. Zniszczył naród, który nigdy nie został pokonany, ani przez Birnę, ani przez europejskich kolonialistów, ani nawet przez Japonię w czasie drugiej wojny światowej czy komunistów u szczytu potęgi. Za samą Tajlandię zasługuje na śmierć, nie wspominając nawet o wszystkich morderstwach i zradach.

Ale jeśli żołnierz nie wykonuje poleceń, zabijając tylko wtedy, gdy rozkazą mu zabić, to ile jest wart dla swego dowódcy? Jakiej sprawie służy? Nawet nie własnemu przetrwaniu, gdyż w takiej armii żaden oficer nie mógłby liczyć na swoich ludzi, żołnierz na swych towarzyszy.

Może będę miał szczęście i transporter wyleci w powietrze z nim w środku...

Z takimi myślami zmagał się Suriyawong, kiedy sunęli poniżej pułapu skuteczności radarów, muskając szczyty fal Morza Chińskiego.

Przemknęli nad brzegiem tak szybko, że ledwie zarejestrowali ten fakt, gdy komputer pokładowy zmusił śmigłowce bojowe do gwałtownego odskoku w prawo, w lewo, potem szarpnął w górę i powoli opuścił w dół – omijał przeszkody terenowe, starając się cały czas

pozostawać poniżej pułapu radarów. Śmigłowce były dokładnie zamaskowane, a systemy dezinfo przekonywały satelity obserwacyjne, że na pewno nie są tym, czym były w rzeczywistości.

Wkrótce dotarli do pewnej drogi i skręcili na północ, później na zachód, przemykając nad tym, co źródła informacji Petera określiły jako punkt kontrolny numer trzy. Ludzie z punktu kontrolnego oczywiście nadadzą przez radio ostrzeżenie dla konwoju wiozącego Achillesa, ale zanim dokończą pierwsze zdanie...

Pilot Suriyawonga zauważył konwój.

- Wozy pancerne i transportery z przodu i z tyłu – oznajmił.
- Wyeliminować pojazdy wsparcia.
- A jeśli więzień jest w którymś z nich?
- Wtedy nastąpi tragiczny przypadek śmierci od przypadkowego pocisku.

Żołnierze zrozumieli, a przynajmniej wydawało im się, że rozumieją: Suriyawong prowadził standardową akcję uwolnienia więźnia, ale jeśli więzień przy tym zginie, nie będzie się zbytnio przejmował.

Ściśle mówiąc, nie była to prawda, przynajmniej nie w tej chwili. Suriyawong wierzył po prostu, że chińscy żołnierze postępują ściśle według regulaminu. Cały konwój był jedynie demonstracją siły mającą powstrzymać lokalne grupy buntowników czy wojskowych maruderów. Nie wyobrażali sobie nawet możliwości – czy choćby motywu – ataku sił zewnętrznych. A już z pewnością nie małego komanda Hegemona.

Ledwie kilku Chińczyków zdążyło wyskoczyć z wozów, nim trafiły je pociski. Ludzie Suriyawonga strzelali już, wyskakując z lądujących maszyn. Wiedział, że za chwilę zlikwidują wszelki opór.

Ale karetka więzienna wioząca Achillesa pozostała nieuszkodzona. Nikt z niej nie wysiadł, nawet kierowca.

Naruszając procedurę, Suriyawong wyskoczył ze śmigłowca dowodzenia i podszedł do karetki. Stał blisko, gdy żołnierz, mający wysadzić drzwi, umocował i zdetonował ładunek. Huknęło głośno, ale prawie nie było podmuchu, gdyż cała energia uderzyła w blachę, wrywając zamek i rygiel.

Drzwi odchyliły się na kilka centymetrów.

Suriyawong gestem powstrzymał żołnierzy przed dalszą akcją. Uchylił drzwi tylko tyle, by na podłogę furgonetki rzucić swój wojskowy nóż. Potem zamknął drzwi i cofnął się, machając na swoich ludzi, by uczynili to samo.

Furgonetka zakołysała się lekko od jakichś gwałtownych ruchów wewnątrz. Wystrzeliły dwa karabiny. Drzwi odskoczyły nagle i ktoś wypadł na drogę.

Bądź Achillesem, myślał Suriyawong, przyglądając się chińskiemu oficerowi, który usiłował oburącz zebrać własne wnętrzności. Suriyawong pomyślał przez moment, że

człowiek ów powinien właściwie najpierw przepłukać jelita, zanim wciśnie je z powrotem do brzucha.

W drzwiach furgonetki stanął wysoki młody człowiek w więziennym drelichu. W ręku trzymał zakrwawiony nóż.

Nie wyglądasz na groźnego, Achillesie, myślał Suriyawong. Ale też nie musisz, skoro właśnie zabiłeś dwóch strażników nożem, którego nie spodziewałeś się przecież zobaczyć pod nogami.

– Wewnątrz wszyscy martwi? – zapytał.

Żołnierz odpowiedziałby „tak” lub „nie” i podał liczbę żywych i martwych. Achilles jednak tylko przez kilka dni był żołnierzem w Szkole Bojowej. Nie miał odruchów wpojonych przez wojskową dyscyplinę.

– Prawie – odparł. – Czyj to był durny pomysł, żeby rzucić mi nóż, zamiast otworzyć te piekielne drzwi i rozwalić obu strażników?

– Sprawdźcie, czy ktoś nie przeżył – polecił żołnierzom Suriyawong.

Po chwili zameldowali, że cała chińska ochrona konwoju zginęła. Było to kluczowe, jeśli Hegemon chciał zachować pozory, że to nie jego siły wykonały ten rajd.

– Ewakuacja za dwadzieścia! – zawołał Suriyawong.

Jego ludzie natychmiast rozbiegli się do maszyn.

Suriyawong zwrócił się do Achillesa.

– Mój zwierzchnik z szacunkiem proponuje, żeby pozwolił pan wywieźć się z Chin.

– A jeśli odmówię?

– Jeśli ma pan swoje kontakty w tym kraju, wtedy pożegnaj pana, przekazując pozdrowienia od mojego zwierzchnika.

Rozkazy Petera mówiły coś całkiem innego, ale Suriyawong wiedział, co robi.

– Doskonale – stwierdził Achilles. – W takim razie możecie lecieć. Zostawcie mnie tutaj.

Suriyawong odwrócił się natychmiast i ruszył do śmigłowca.

– Czekać! – zawołał Achilles.

– Dziesięć sekund – rzucił przez ramię Suriyawong.

Wskoczył na pokład i obejrzał się. Oczywiście, Achilles był tuż za nim. Wyciągnął rękę, by pomóc mu wsiąść.

– Cieszę się, że leci pan z nami.

Achilles znalazł wolny fotel i przypiął się pasami.

– Zakładam, że twoim zwierzchnikiem jest Groszek, a ty jesteś Suriyawong – powiedział.

Śmigłowiec poderwał się i inną trasą ruszył w kierunku wybrzeża.

– Moim zwierzchnikiem jest Hegemon – odparł Suriyawong. – A pan jest jego gościem.

Achilles uśmiechnął się obojętnie. Przyjrzał się żołnierzom, którzy przed chwilą go ratowali.

– A jeśli wieźliby mnie w którymś z innych pojazdów? – zapytał. – Gdybym to ja dowodził konwojem, więzień na pewno nie znalazłby się w najbardziej oczywistym miejscu.

– Ale to nie pan dowodził konwojem – zauważył Suriyawong.

Uśmiech Achillesa stał się odrobinę szerszy.

– A o co chodziło w tej historii z rzucaniem mi noża? Skąd wiedzieliście, że będę miał wolne ręce, żeby po niego sięgnąć?

– Założyłem, że zaaranżował pan sytuację w taki sposób, żeby mieć wolne ręce.

– Dlaczego? Przecież nie wiedziałem, że przylecicie.

– Za pozwoleniem, sir, ale cokolwiek by przyleciało lub nie, miałby pan wolne ręce.

– Takie dostaliście rozkazy od Petera Wiggina?

– Nie, sir. Taką podjąłem decyzję w warunkach bojowych. – Suriyawonga irytowało, że musi zwracać się do Achillesa „sir”, ale taką rolę musiał chwilowo odgrywać.

– Jaki to ratunek, jeśli rzucasz więźniowi nóż, a potem stoisz z boku i czekasz, co się stanie?

– Zbyt wiele było niewiadomych w sytuacji, gdybyśmy otworzyli drzwi furgonetki. Zbyt duże ryzyko, że zginąłby pan w wymianie ognia.

Achilles milczał, wpatrzony w przeciwną burtę śmigłowca.

– Poza tym – dodał Suriyawong – to nie była operacja ratunkowa.

– A co? Ćwiczenia strzeleckie? Chińskie rzutki?

– Oferta transportu zaproszonego gościa Hegemona. I pożyczenie noża.

Achilles podniósł zakrwawione ostrze, trzymając je za czubek.

– Twój? – zapytał.

– Chyba że sam pan zechce go oczyścić.

Achilles oddał mu nóż. Suriyawong wyjął zestaw czyszczący, przetaił klingę i zaczął ją polerować.

– Chciałeś, żebym zginął – oświadczył cichym głosem Achilles.

– Spodziewałem się, że sam pan rozwiąże swoje problemy, nie narażając na śmierć żadnego z moich ludzi. A że istotnie tak się stało, uważam, że moja decyzja okazała się może nie najlepsza z możliwych, ale przynajmniej uzasadniona.

– Nigdy nie sądziłem, że odbiją mnie Tajowie. Zabijają, owszem, ale nie uratują.

– Sam pan się uratował – przypomniał zimno Suriyawong. – Nikt pana nie odbijał. Otworzyliśmy tylko drzwi, a ja pożyczyłem panu nóż. Uznałem, że zapewne nie ma pan własnego, a ta pożyczka może przyspieszyć pańskie zwycięstwo. Dzięki temu nie opóźni pan naszego startu.

– Dziwny z ciebie chłopak...

– Nie badano mojej normalności przed powierzeniem mi tej misji. Ale nie wątpię, że nie zdałbym takiego testu.

Achilles parsknął śmiechem. Suriyawong pozwolił sobie na lekki uśmieszek.

Starał się nie zgadywać, jakie myśli skrywają się za nieprzeniknionymi twarzami żołnierzy. Ich rodziny także ucierpiały w czasie chińskiego podboju Tajlandii. Oni także mieli powody, by nienawidzić Achillesa, i z pewnością złościli się, widząc, jak Suriyawong mu schlebia.

W dobrej sprawie, żołnierze – ratuję wam życie jak najlepiej potrafię. Nie mogę pozwolić, żeby on myślał o nas jak swoich wybawcach. Powinien wierzyć, że żaden z nas nie widział go ani nawet nie pomyślał o nim jako kimś bezradnym.

– I co? – odezwał się Achilles. – Nie masz żadnych pytań?

– Owszem. Czy jadł już pan śniadanie i czy może jest pan głodny?

– Nigdy nie jadam śniadań.

– Zabijanie ludzi budzi u mnie głód – wyjaśnił Suriyawong. – Pomyślałem, że i pan chętnie coś przekąsi.

Teraz pochwycił zdziwione spojrzenia żołnierzy. Poruszali tylko oczami, ale wiedział, że reagują na jego słowa. Zabijanie budzi u niego głód? Bzdura. Teraz muszą już rozumieć, że kłamie, rozmawiając z Achillesem. To ważne, by o tym wiedzieli, choć ich nie uprzedzał. Inaczej mógłby stracić ich zaufanie. Mogliby uwierzyć, że naprawdę przeszedł na służbę tego potwora.

Achilles zjadł coś jednak. A potem zasnął.

Suriyawong nie do końca wierzył w ten sen. Achilles z pewnością opanował sztukę udawania śpiącego, by podsłuchiwać cudze rozmowy. Dlatego Suriyawong mówił tylko tyle, ile było konieczne, by zebrać raporty żołnierzy i ustalić, ilu ludzi zabili w konwoju.

Dopiero kiedy na lotnisku w Guam Achilles wysiadł z maszyny, żeby się wysuszyć, Suriyawong zaryzykował wysłanie krótkiej wiadomości do Ribeirão Preto. Była tam osoba, która musiała się dowiedzieć, że Achilles przybywa i zostanie z Hegemonem: Virlomi, indyjska absolwentka Szkoły Bojowej, która uciekła z Hajdarabadu i została boginią strzegącą mostu w zachodnich Indiach, dopóki Suriyawong jej nie uratował. Jeśli będzie w Ribeirão Preto, kiedy tam dotrą, jej życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Wszystko to martwiło Suriyawonga, ponieważ oznaczało, że przez bardzo długi czas nie zobaczy Virlomi. A niedawno uznał, że ją kocha i chciałby poślubić, kiedy oboje dorosną.

3

Mamusie i tatusiowie

klucz szyfrujący *****

klucz deszyfrujący *****

To: Graff%pilgrimage@colmin.gov

From: Locke%erasmus@polnet.gov

Subject: Nieoficjalna prośba

Doceniam pańskie ostrzeżenia, ale zapewniam, że potrafię ocenić zagrożenie wynikające z obecności X w RP. Więcej: w tej sprawie przydałaby mi się pańska pomoc, jeśli zechce jej pan udzielić. Ponieważ JD i PA się ukrywają, a S jest stracony, gdyż uratował X, osobom im bliskim grozi niebezpieczeństwo albo bezpośrednio, albo że zostaną przez X użyte jako zakładnicy. Należy zatem usunąć je poza zasięg X, a pan ma wyjątkowe możliwości, by tego dokonać. Rodzice JD przyzwyczajeni są do ukrywania i kilka razy ledwie przeżyli; rodzice PA mają już za sobą jedno porwanie, więc także pewnie będą skłonni do współpracy.

Trudności wystąpią w przypadku moich rodziców. Nie ma żadnej szansy, by zgodzili się na to zapobiegawcze ukrycie, jeśli ja je proponuję. Jeśli oferta wyjdzie od pana, możliwe, że ją przyjmą. Nie chcę, by moi rodzice byli tutaj, gdzie narażeni są na niebezpieczeństwo, gdzie można ich wykorzystać dla wywierania nacisku albo do odwracania mojej uwagi od tego, co muszę osiągnąć.

Czy mógłby pan osobiście zjawić się w RP i zabrać ich, zanim wrócę z X? Miałby pan około 30 godzin, by uzyskać ich zgodę. Przepraszam za kłopot, ale zyska pan moją

wdzięczność i wsparcie – jedno i drugie, mam nadzieję, będzie kiedyś warte więcej niż w obecnych okolicznościach.

PW

Theresa Wiggin wiedziała, że zjawi się Graff, ponieważ Elena Delphiki zatelefonowała do niej, gdy tylko opuścił jej dom. Ale w najmniejszym stopniu nie zmieniła planów. Nie dlatego, że miała nadzieję go oszukać, ale dlatego, że trzeba było zebrać papaje z drzew w ogrodzie, zanim pospadają. Nie miała zamiaru pozwalać, żeby Graff przeszkodził jej w czymś, co było naprawdę ważne.

Kiedy usłyszała, jak Graff uprzejmie klaszcze w dłonie przed frontowymi drzwiami, była właśnie na drabinie; ścinała papaje i układała je w torbie. Aparecida, pokojówka, wcześniej dostała instrukcje, więc już po chwili Theresa usłyszała kroki Graffa na kafelkach tarasu.

– Pani Wiggin... – odezwał się.

– Zabrał pan już dwójkę moich dzieci – odparła Theresa, nie patrząc na niego. – Przypuszczam, że teraz chce pan mojego pierworodnego.

– Nie. Tym razem przychodzę po panią i pani męża.

– Chce pan nas zabrać do Endera i Valentine? – Chociaż świadomie udawała tępą, jednak ta myśl przez chwilę bardzo ją pociągała. Ender i Valentine zostawili cały ten chaos za sobą.

– Obawiam się, że jeszcze przez kilka lat nie będę mógł poświęcić statku, by złożyć wizytę w ich kolonii.

– W takim razie obawiam się, że nie ma pan do zaoferowania nic, na czym by nam zależało.

– To z całą pewnością prawda – zgodził się Graff. – Chodzi o coś, czego potrzebuje Peter. O wolną rękę.

– Nie wtrącamy się do jego pracy.

– Sprowadza tutaj bardzo niebezpieczną osobę. Ale o tym chyba już pani wie.

– Plotki szybko się tu rozchodzą, ponieważ rodzice geniuszów nie mają do roboty nic innego, niż paplać między sobą o wyczynach swoich wybitnych synów i córek – oświadczyła zgryźliwie Theresa. – No i czasem trafiają się fascynujący goście z przestrzeni. Tacy jak pan.

– No, no, ależ jesteśmy dziś złośliwi...

– Jestem pewna, że rodziny Groszka i Petry zgodziły się wyjechać z Ribeirão Preto, żeby dzieci nie musiały się martwić Achillesem, który bierze ich rodziców na zakładników. Kiedyś pewnie Nikolai Delphiki i Stefan Arkanian dojdą do siebie po tym, jak byli tylko pionkami w życiu swoich potomków. Ale sytuacja Jana Pawła i moja wcale nie jest identyczna. To nasz syn jest tym idiotą, który postanowił sprowadzić tu Achillesa.

– Tak, to musi być bolesne dla rodziców, gdy jedno z dzieci intelektualnie tak bardzo nie dorównuje pozostałym. – Graff westchnął ze współczuciem.

Theresa spojrzała na niego, dostrzegła błysk w oku i roześmiała się mimo woli.

– No dobrze, nie jest głupi, ale tak zrozumiął, że nawet sobie nie wyobraża klęski któregośkolwiek ze swoich planów. Ale skutek jest taki sam. A ja nie mam ochoty dowiadywać się o jego śmierci z jakiegoś okropnego, zdawkowego e-maila. Albo, co jeszcze gorsze, z wiadomości, gdzie reporter będzie opowiadał, jak to „brat wielkiego Endera Wiggina nie zdołał zrealizować swych zamiarów i tchnąć nowego życia w urząd Hegemona”. A potem jeszcze miałabym patrzeć, jak nekrologi Petera ilustrowane są kolejnymi zdjęciami Endera po jego zwycięstwie nad Formidami...

– Ma pani bardzo wyraźną wizję przyszłych wydarzeń – zauważył Graff.

– Nie, tylko tych nie do zniesienia. Zostaję tutaj, panie ministrze kolonizacji. Musi pan gdzie indziej szukać sobie całkiem nieodpowiednich rekrutów w średnim wieku.

– Prawdę mówiąc, wcale nie są państwo całkiem nieodpowiedni. Wciąż może pani mieć dzieci.

– Dzieci dały mi tyle radości. Naprawdę cudowna jest myśl, że mogę urodzić następne.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, jak wiele poświęciła pani dla dzieci i jak bardzo je pani kocha. Przychodząc tutaj, wiedziałem, że nie zechce pani odlecieć.

– Dlatego pana żołnierze czekają już, żeby zabrać mnie siłą? Czy mój mąż jest już aresztowany?

– Nie, nie – zapewnił Graff. – Uważam, że ma pani rację.

– Och...

– Ale Peter prosił, bym państwa chronił, więc musiałem złożyć tę propozycję. Nie, prywatnie uważam, że słusznie pani robi, zostając.

– A to niby czemu? – zdziwiła się Theresa.

– Peter ma wielu sprzymierzeńców, ale nie ma przyjaciół.

– Nawet w panu?

– Obawiam się, że zbyt dokładnie go obserwowałem w dzieciństwie, by obecną charyzmę brać za dobrą monetę.

– Ale ma ją, trudno zaprzeczyć. Charyzmę. A przynajmniej urok.

– Co najmniej tyle, ile Ender, kiedy już zdecyduje się z niej korzystać.

Słyszając, jak Graff mówi o Enderze – o tym młodym człowieku, którym się stał, zanim w statku kolonizacyjnym wypędzono go z Układu Słonecznego, gdy ocalił już ludzkość – Theresa poczuła znajomą, ale przez to wcale nie mniej bolesną tęsknotę. Graff znał Endera w wieku lat siedmiu, i dziesięciu, i dwunastu. To lata, kiedy dla niej jedynym kontaktem z najmłodszym, najdelikatniejszym z dzieci było kilka fotografii, błędne wspomnienia, uczucie pustki w ramionach i pamięć ostatniego dotyku jego małych rączek, kiedy objął ją za szyję.

– Nawet kiedy sprowadził go pan na Ziemię – rzekła – nie pozwolił nam się pan z nim spotkać. Zabrał pan do niego Val, ale nie jego ojca ani mnie.

– Przykro mi. Nie miałem pojęcia, że po wojnie nie wróci już do domu. Spotkanie z wami przypominałoby mu, że jest na świecie ktoś, kto powinien go chronić i troszczyć się o niego.

– A to niedobrze?

– Potrzebowaliśmy Endera twardego, a on wcale nie chciał być taki. Musieliśmy zachować tę twardość. Spotkanie z Valentine było wystarczająco ryzykowne.

– I jest pan całkiem pewien, że miał pan rację?

– Wcale nie. Ale Ender wygrał wojnę, a my nie możemy już się cofnąć i spróbować czegoś innego. Nie dowiemy się, czy inne podejście przyniosłoby takie same efekty.

– A ja nie mogę się cofnąć i spróbować znaleźć jakiegoś sposobu przetrwania tego wszystkiego... tak żebym nie czuła złości i żalu, ile razy pana zobaczę albo choćby o panu pomyślę.

Graff milczał przez długi czas.

– Jeśli czeka pan na przeprosiny... – zaczęła Theresa.

– Nie – przerwał jej. – To ja próbowałem wymyślić jakieś, które nie brzmiałyby żałośnie nieadekwatnie. Ani razu nie wystrzeliłem w tej wojnie, a jednak moja działalność spowodowała ofiary. I jeśli to panią pocieszy, kiedy tylko pomyślę o pani i pani mężu, także przepełnia mnie żal.

– To nie dosyć.

– Nie. Z pewnością. Ale obawiam się, że najgłębszy mój żal należy się rodzicom Bonzo Madrida, którzy oddali syna w moje ręce, a ja odesłałem im go w trumnie.

Theresa miała ochotę cisnąć w niego papają, a potem rozsmarować mu owoc na twarzy.

– Przypomina mi pan, że jestem matką zabójcy.

– Bonzo był zabójcą, droga pani. Ender tylko się bronił. Nie zrozumiała mnie pani. To ja dopuściłem, by Bonzo znalazł się sam na sam z Enderem. To ja, nie Ender, odpowiadał za jego śmierć. Dlatego większe wyrzuty sumienia odczuwam, myśląc o rodzinie Madridów, niż o pani. Popełniłem bardzo wiele błędów. I nigdy nie będę wiedział, które z nich były konieczne, nieszkodliwe, a może nawet dobroczynne.

– Skąd pan wie, że nie popełnia pan błędu w tej chwili, pozwalając zostać mnie i Janowi Pawłowi?

– Jak już mówiłem, Peter potrzebuje przyjaciół.

– Ale czy świat potrzebuje Petera? – spytała Theresa.

– Nie zawsze trafia nam się przywódca, o jakim marzymy. Czasami musimy wybierać spośród tych, których mamy.

– A jak dokonuje się ten wybór? Przy urnie wyborczej czy na polu bitwy?

– Może poprzez zatrutą figę albo zaminowany samochód – stwierdził spokojnie Graff.

Theresa natychmiast odgadła, o co mu chodzi.

– Może pan być pewny, że będziemy pilnie uważać na jego pożywienie i środki transportu.

– Niby jak? – zdziwił się Graff. – Chce pani nosić jedzenie przy sobie i codziennie sama je kupować w innym sklepie? Chce pani, żeby mąż zamieszkał w jego samochodzie i nigdy nie zasypiał?

– Wcześniej przestaliśmy pracować. Trzeba czymś wypełnić te godziny bezczynności.

Graff roześmiał się.

– Powodzenia. Jestem pewien, że zrobi pani wszystko, co konieczne. Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać.

– Musimy to powtórzyć, może za jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat – rzuciła Theresa.

– Zaznaczę sobie w kalendarzu.

Zasalutował – bardziej ceremonialnie, niż Theresa by oczekiwała – po czym wrócił do budynku, a stamtąd zapewne przez frontowy ogródek na ulicę.

Theresa wściekała się jeszcze przez chwilę na to, co Graff, Międzynarodowa Flota, los i Bóg zrobili jej i jej rodzinie. Potem wspomniała Endera i Valentine, i uroniła kilka łez na papaje. A w końcu pomyślała o sobie i Janie Pawle, czekających, pilnujących, starających się chronić Petera. Graff miał rację. Nie zdołają pilnować go w sposób doskonały.

Muszą sypiać. W końcu na pewno coś przeoczą. Achilles znajdzie okazję – wiele okazji – i uderzy, kiedy będą najbardziej zadowoleni z siebie i spokojni. Peter zginie, a świat znajdzie się na łasce Achillesa, bo kto jeszcze byłby tak sprytny i bezwzględny, by z nim walczyć? Groszek? Petra? Suriyawong? Nikolai? Któreś z innych dzieci ze Szkoły Bojowej, rozrzuconych po całym świecie? Jeśli któreś z nich miało ambicję powstrzymania Achillesa, z pewnością byłoby o nim głośno.

Niosła już ciężką torbę z papajami do domu – wsunęła się bokiem przez drzwi, żeby nie zaczepić nią i nie poobijać owoców – kiedy wreszcie zrozumiała, po co naprawdę przyszedł Graff.

Peter potrzebuje przyjaciół, powiedział. Starcie między Peterem i Achillesem może się rozstrzygnąć poprzez truciznę lub sabotaż, powiedział. Ale ona i Jan Paweł nie zdołają pilnować Petera tak dobrze, by uchronić go przed zamachem, powiedział. Zatem w jaki sposób ona i Jan Paweł mogą być tymi przyjaciółmi, których potrzebuje Peter?

Konflikt między Peterem i Achillesem może się tak samo dobrze zakończyć śmiercią Achillesa, jak Petera.

W pamięci natychmiast przemknęły legendy o wielkich historycznych trucicielach – wielkich choćby z pogłosek, jeśli nawet bez dowodu. Lukrecja Borgia. Kleopatra. Ta, jak jej było, która truła wszystkich w otoczeniu cesarza Klaudiusza, a w końcu dobrała się i do niego...

W dawnych czasach nie było testów chemicznych stwierdzających, czy użyto trucizny. Truciele sami zbierali zioła, nie pozostawiając śladów zakupów, bez współników, którzy

mogli wyznać prawdę albo nawet oskarżyć. Jeśli cokolwiek przydarzy się Achillesowi, zanim Peter zdecyduje, że ten młodociany potwór musi stąd zniknąć, zacznie się śledztwo... A kiedy trop, co nieuniknione, doprowadzi do rodziców, jak Peter zareaguje? Czy dla przykładu pozwoli im stanąć przed sądem? Czy postara się ich przed tym uchronić, ukrywając wyniki śledztwa i pozwalając, żeby plotki na temat przedwczesnej śmierci Achillesa uderzyły w urząd Hegemona? To jasne, że każdy przeciwnik Petera potraktuje Achillesa jak męczennika, oczernionego chłopca, który był największą nadzieją ludzkości, zamordowanego w dzieciństwie przez tego fałszywego, złowrogiego Petera Wiggina, tę czarownicę jego matkę albo węża ojca.

Nie wystarczy zabić Achillesa. Trzeba uczynić to w taki sposób, by w dłuższym okresie nie zaszkodzić Peterowi.

Chociaż lepiej, żeby Peter musiał znosić te plotki i mity o śmierci Achillesa, niż żeby sam został zabity.

Theresa nie ośmieli się czekać zbyt długo.

Zadanie, jakie przydzielił mi Graff, myślała, to zostać skrytobójcą i w ten sposób ochronić mojego syna.

A naprawdę przerażające jest to, że nie zastanawiam się, czy to zrobić, ale jak to zrobić. I kiedy.

4

Chopin

klucz szyfrujący *****

klucz deszyfrujący *****

To: Pythian%legume@nowyouseeitnowyou.com

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov

Subject: Jakie to milusie

Zapewne możesz sobie pozwolić na te młodzieńcze dowcipy i używanie pseudonimów tak oczywistych jak pythian%legume, i wiem, że to jednorazowa tożsamość, ale naprawdę, wygląda to na lekkomyślność i bardzo mnie niepokoi. Nie stać nas na utratę ciebie i twojej towarzyszki podróży tylko dlatego, że musiałeś sobie zażartować.

Ale dość już wyobrażania sobie, że potrafię wpłynąć na twoje decyzje. Pierwsze kilka tygodni od przybycia Belga do RP upłynęło bez żadnych niezwykłych zdarzeń. Rodzice twoi i twojej towarzyszki przechodzą szkolenie i kwarantannę przed odlotem jednym ze statków kolonizacyjnych. Nie zabiorę ich z planety bez twojej zgody, chyba że zdarzy się coś nieprzewidzianego. Jednak gdy zatrzymam ich poza datę startu grupy treningowej, staną się kimś nietypowym i obiektem plotek. Ryzykowny jest zbyt długi ich pobyt na Ziemi. Tyle że kiedy już raz wyślemy ich w kosmos, bardzo trudno będzie zorganizować im powrót. Nie chcę cię naciskać, ale chodzi tu o przyszłość waszych rodzin, a do tej pory nawet nie skontaktowałeś się z nimi bezpośrednio.

Co do Belga, PW przydzielił mu stanowisko: asystent Hegemona. Ma własny papier firmowy i adres w sieci – ktoś w rodzaju ministra bez teki, bez urzędników i bez pieniędzy. A jednak przez cały dzień jest bardzo zajęty. Ciekawe, co robi.

Powinienem zaznaczyć, że Belg nie ma formalnych podwładnych. Nieformalnie, wydaje się, że Suri jest na każde jego zawołanie. Słyszałem od kilku obserwatorów, że zaszła w nim szokująca przemiana. Nigdy nie okazywał tak przesadnego szacunku ani tobie, ani PW. Często jadają razem. Owszem, Belg nigdy jeszcze nie odwiedził koszar ani poligonu, nie towarzyszył waszej małej armii ani w misji, ani na manewrach, ale podejrzenie, że uzyskał pewien wpływ, czy nawet kontrolę nad siłami wojskowymi Hegemonii, wydaje się trudne do obalenia. Masz jakiś kontakt z Surim? Kiedy próbowałem pogadać z nim na ten temat, zwyczajnie nie odpowiadał.

Co do ciebie, mój genialny młody przyjacielu, pamiętasz, mam nadzieję, że wszystkie fałszywe tożsamości siostry Carlotty pochodziły z Watykanu, a wykorzystanie ich przez ciebie grzmi jak trąby niebieskie w watykańskich murach. Prosił, by cię zapewnić, że Achilles nie ma żadnych zwolenników w ich szeregach – i nie miał, nawet zanim jeszcze zamordował siostrę Carlottę. Ale jeśli oni tak łatwo potrafią cię wytropić, może się to udać również komuś innemu. Jak to mówią, mądrej głowie dość dwie słowie. A ja tu rozpędziłem się i napisałem pięć akapitów.

Graff

Petra i Groszek podróżowali razem ponad miesiąc, zanim nastąpił kryzys. Z początku Petra bez oporów pozwalała Groszkowi podejmować decyzje. W końcu nigdy jeszcze się nie ukrywała, nie używała fałszywych dokumentów. A on, zdawało się, miał wszystkie niezbędne papiery; niektóre przywiózł z Filipin, inne czekały w rozmaitych kryjówkach rozrzuconych po całym świecie.

Kłopot polegał na tym, że jej papiery przygotowane były dla sześćdziesięcioletniej kobiety, mówiącej językami, jakich Petra nigdy nie poznała.

– To absurd – oświadczyła Groszkowi, kiedy wręczał jej czwarte już takie dokumenty. – Przecież nikt w to nie uwierzy.

– A jednak wierzą – zauważył.

– I chciałabym wiedzieć dlaczego. Mam wrażenie, że nie tylko na papierach to polega. Wydaje mi się, że ktoś nam pomaga za każdym razem, kiedy mijamy kontrolę.

– Czasami tak, czasami nie.

– Ale za każdym razem korzystasz z jakichś swoich kontaktów i przekonujesz strażnika, by zignorował fakt, że przecież nie wyglądam tak staro, żeby być tą osobą.

– Czasem, kiedy jesteś bardzo niewyspana...

– Jesteś już za duży, żeby w ten sposób żartować. Lepiej daj sobie spokój.

– Petro, zgadzam się – rzekł w końcu Groszek. – Wszystkie dokumenty były przygotowane dla siostry Carlotty, a ty nie wyglądasz jak ona. Rzeczywiście, zostawiamy za sobą ślad przysług zażądanych i przysług wyświadczonych. Dlatego musimy się rozdzielić.

– Są dwa powody, dla których pozostaniemy razem – odparła Petra.

– Znaczący, oprócz tego, że wspólna podróż była twoim pomysłem? Do którego przekonałaś mnie szantażem, bo oboje wiemy, że beze mnie zginiesz? Co zresztą, jak zauważam, nie powstrzymuje cię od krytykowania metod, jakimi utrzymuję cię przy życiu.

– Drugi powód – mówiła Petra, ignorując jego oczywistą próbę doprowadzenia do kłótni – to że póki uciekasz, nic nie możesz robić. A takie nieróbstwo doprowadza cię do szału.

– Robię bardzo dużo rzeczy.

– Poza pilnowaniem, żeby głupi strażnik przepuścił nas mimo fałszywych papierów?

– Do tej pory rozpocząłem dwie wojny, zażegnałem trzy epidemie i napisałem poemat epicki. Gdybyś nie była taka egocentryczna, na pewno byś zauważyła.

– Jesteś bardzo wszechstronny, Julianie.

– Zachowanie życia to nie jest nic.

– Ale to nie jest to, co chciałbyś w życiu osiągnąć.

– Zachować życie to wszystko, co chciałbym w życiu osiągnąć, drogie dziecko.

– Ale w końcu ci się nie uda.

– Jak większości z nas. Właściwie to jak wszystkim, chyba że siostra Carlotta i chrześcijanie jednak mają rację.

– Chciałbyś czegoś dokonać, zanim umrzesz.

Groszek westchnął.

– Ty tego chcesz i wydaje ci się, że wszyscy tak mają.

– Ludzka potrzeba pozostawienia śladu po sobie jest uniwersalna.

– Ja nie jestem człowiekiem.

– Racja. Jesteś nadczłowiekiem – stwierdziła z niesmakiem. – Nie da się z tobą rozmawiać, Groszek.

– A mimo to stale próbujesz.

Petra doskonale wiedziała, że Groszek odczuwa to samo co ona: że to nie dosyć wciąż się ukrywać, przemieszczać się z miejsca na miejsce, tu wsiąść do autobusu, tam do pociągu, odlecieć samolotem do jakiegoś miasta na końcu świata... A wszystko po to, żeby za kilka dni zacząć od początku.

Robili to z jednej ważnej przyczyny: dzięki temu mogli zachować niezależność i pracować przeciwko Achillesowi. Tyle że Groszek nie chciał się przyznać do takiej motywacji, a więc nie robili nic.

Groszek był potwornie irytujący, już od tamtego dnia, gdy Petra pierwszy raz spotkała go w Szkole Bojowej. Był wtedy absolutnie najmniejszym i najsłabszym cherlakiem, a tak zarozumiałym, że nawet kiedy mówił „dzień dobry”, zdawało się, że zadziera nosa. I nawet po latach wspólnych ćwiczeń, kiedy już mogli naprawdę ocenić jego możliwości w Szkole Dowodzenia, Petra wciąż była jedyną osobą z jeeshu Endera, która naprawdę lubiła Groszka.

Naprawdę lubiła – i to nie w tym pełnym wyższości stylu, w jakim starsze dzieciaki biorą maluchów pod swoje skrzydła. Zresztą nigdy nie miała złudzeń, że Groszek potrzebuje opieki. Pojawił się w Szkole Bojowej jako ktoś, kto przetrwa w każdych warunkach; po kilku dniach – może nawet godzinach – wiedział o jej funkcjonowaniu więcej niż ktokolwiek inny. To samo działo się w Szkole Taktyki i Szkole Dowodzenia. I w tych kilka kluczowych tygodni, zanim Ender dołączył do nich na Erosie, gdy Groszek dowodził jeeshem na ćwiczeniach.

Inni wtedy mieli mu za złe, że choć najmłodszy, został wybrany na dowódcę w miejsce Endera. Obawiali się, że będzie nimi dowodził już zawsze. Z taką ulgą przyjęli w końcu przyłot Endera, że nawet nie starali się tego ukrywać. Na pewno zabolalo to Groszka, ale Petra chyba jako jedyna w ogóle pomyślała o jego uczuciach. I co mu z tego przyszło? Zresztą najmniej chyba o uczucia Groszka dbał sam Groszek.

Ale cenił jej przyjaźń, choć okazywał to rzadko. Kiedy podczas bitwy Petra uległa zmęczeniu, to on ją zastępował, i tylko on dawał do zrozumienia, że wierzy w nią tak samo jak wcześniej. Nawet Ender zaczął jej powierzać mniej ważne zadania. A Groszek pozostał przyjacielem, choć wykonywał rozkazy i obserwował ją w kolejnych starciach, gotów ją zastąpić, gdyby znowu zawiodła.

To na Groszka liczyła, kiedy Rosjanie ją porwali; wiedziała, że potrafi odczytać wiadomość zaszyfrowaną w grafice dołączanej do e-maili. I kiedy znalazła się we władzy Achillesa, Groszek był jej jedyną nadzieją ratunku. I wyrwał ją z rąk bestii.

Może teraz udawać, nawet przed sobą, że obchodzi go tylko przetrwanie, ale w rzeczywistości jest najbardziej lojalnym z przyjaciół. Nie postępuje egoistycznie i gotów jest narazić własne życie dla sprawy, w którą wierzy. Tyle że nie dostrzega u siebie tych cech. Ponieważ uznał sam siebie za kogoś niegodnego miłości, dużo czasu potrzebował, by zrozumieć, że ktoś go kocha. Wreszcie odkrył to u siostry Carlotty, na długo przed jej śmiercią. Nie zdradzał jednak, że zauważa, jakie uczucia żywi dla niego Petra. Teraz, kiedy był wyższy od niej, traktował ją trochę jak irytującą młodszą siostrę.

A to naprawdę wkurzało.

Mimo to postanowiła go nie opuszczać – i wcale nie dlatego, że od niego zależało jej przetrwanie. Bała się, że gdy tylko zostanie sam, spróbuje zrobić coś szalonego, że poświęci

własne życie, by zabić Achillesa. A skutki tego byłyby nie do zniesienia, przynajmniej dla Petry.

Już dawno bowiem uznała, iż Groszek myli się, wierząc, że nie powinien mieć dzieci, że zmiany genetyczne, które uczyniły go geniuszem, powinny przepaść w chwili, gdy niekontrolowany wzrost go zabije. Wręcz przeciwnie: Petra zamierzała urodzić jego dzieci.

Od wielu dni patrzyła, jak doprowadza się do obłądu bezustannymi zajęciami, które do niczego nie prowadziły, a sprawiały tylko, że był zdenerwowany i denerwujący. Nie zawsze potrafiła nad sobą zapanować i czasem rzucała jakąś zgryźliwą uwagę. Naprawdę się lubili i jak dotąd te obustronne zaczepki utrzymywały się na takim poziomie, by oboje mogli udawać, że to „tylko żarty”. Ale coś musi się zmienić, i to szybko, albo rzeczywiście wybuchnie kłótnia, po której nie będą już mogli zostać razem. I co wtedy z planami Petry, żeby rodzić dzieci Groszka?

Coś wreszcie skłoniło Groszka do zmian – poruszenie tematu Endera Wiggina.

– Po co właściwie ocalił ludzkość? – rzuciła zirytowana pewnego dnia na lotnisku w Darwinie.

– Żeby nie grać już więcej w głupią grę.

– Ale nie po to, żeby Achilles mógł rządzić.

– Pewnego dnia Achilles umrze. Kaligula umarł.

– Z pomocą swoich przyjaciół – przypomniała Petra.

– A kiedy umrze, może jego miejsce zajmie ktoś lepszy. Po Stalinie był Chruszczow, po Kaliguli Marek Aureliusz.

– Nie od razu. A pod rządami Stalina zmarło trzydzieści milionów ludzi.

– To znaczy, że trzydzieści milionów wyrwało się spod jego władzy – stwierdził Groszek.

Czasami potrafił rzucić coś tak potwornego... Ale znała go dobrze i wiedziała, że mówi takie rzeczy tylko wtedy, kiedy jest w depresji. W takich chwilach głośno myślał nad tym, jak to nie należy do rodzaju ludzkiego i jego śmierć nikogo nie będzie obchodzić. Ale to nie były jego prawdziwe uczucia.

– Nie jesteś aż tak zimny – stwierdziła.

Zwykle spierał się, kiedy pocieszała go zapewnieniami o jego człowieczeństwie. Chciała wierzyć, że coś udało jej się osiągnąć, obawiała się jednak, że nie odpowiedział, bo przestało go obchodzić, co ona myśli.

– Jeśli zatrzymam się w jednym miejscu – rzekł – moje szanse przeżycia są żadne.

Wciąż ją złościło, że mówi „moje szanse” zamiast „nasze”.

– Nienawidzisz Achillesa i nie chcesz, żeby zapanował nad światem. Jeśli w ogóle chcesz mieć szansę powstrzymania go, musisz zatrzymać się gdzieś i wziąć do pracy.

– No dobrze. Skoro jesteś taka sprytna, to powiedz, gdzie będę bezpieczny.

– W Watykanie.

– Jaką powierzchnię ma to szczególne państwo? Jak chętni będą kardynałowie, by słuchać opinii ministranta?

– No dobrze. W takim razie gdzieś w granicach Ligi Islamskiej.

– Jesteśmy niewiernymi – przypomniał jej Groszek.

– A oni są ludźmi, którzy nie chcą ulec dominacji Chińczyków, Hegemonia ani nikogo innego.

– Chodzi mi o to, że nie zechcą nas przyjąć.

– A mnie o to, że chcą czy nie, jesteśmy wrogami ich wroga.

– Jesteśmy parą dzieciaków, bez armii, bez informacji na sprzedaż i bez żadnych wpływów.

To było tak absurdalne, że Petra nie trudziła się nawet z odpowiedzią. Poza tym i tak wygrała – wreszcie zaczął myśleć, gdzie – a nie czy – zamieszkać w jednym miejscu i wziąć się do roboty.

Znaleźli się w Polsce, a przejechawszy pociągiem z Katowic do Warszawy, spacerowali teraz po Łazienkach, jednym z największych parków Europy, w którym wiekowe alejki wiły się między ogromnymi drzewami i młodymi drzewkami, posadzonymi już, by kiedyś zastąpić stare.

– Bywałeś tu z siostrą Carlottą? – spytała Petra.

– Tylko raz. Ender jest częściowo polskiego pochodzenia. Wiedziałaś o tym?

– Pewnie ze strony matki. Wiggin to nie jest polskie nazwisko.

– Jest, kiedy się je zmieni z Wieczorka – wyjaśnił Groszek. – Nie wydaje ci się, że pan Wiggin wygląda na Polaka? Pasowałby tutaj. Chociaż narodowość nie ma już większego znaczenia.

Petra roześmiała się.

– Narodowość? To coś, dla czego ludzie od stuleci giną i zabijają?

– Nie, chodzi mi raczej o pochodzenie. Tak wielu ludzi pochodzi trochę stąd, trochę stamtąd. Formalnie jestem Grekiem, ale matka była dyplomatką Ibo, więc... Kiedy jestem w Afryce, wyglądam raczej na Greka, ale w Grecji raczej na Afrykanina. I tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

– Jesteś przypadkiem szczególnym – zauważyła Petra. – Nigdy nie miałeś ojczyzny.

– Ani dzieciństwa – dodał Groszek.

– Żadne z nas w Szkole Bojowej nie miało zbyt wielkich doświadczeń z jednym i drugim.

– Może właśnie dlatego tyle dzieciaków po Szkole tak rozpaczliwie próbuje wykazać swoją lojalność wobec kraju narodzin.

To miało sens.

– Ponieważ nie mamy wielu korzeni, z całej siły trzymamy się tych nielicznych. – Pomyślała o Vladzie, tak fanatycznie rosyjskim, i o Kant Zupie, Han Tzu, tak fanatycznie

chińskim, że obaj z własnej woli pomagali Achillesowi, gdy zdawało się, że pracuje w interesie ich kraju.

– I nikt nam do końca nie ufa – dokończył Groszek. – Bo wiedzą, że nasza narodowość to kosmos. Najbardziej jesteście lojalni wobec towarzyszy broni.

– Albo wobec siebie – uzupełniła Petra, myśląc o Achillesie.

– Nigdy nie udawałem, że jest inaczej – odparł Groszek. Najwidoczniej uznał, że jego miała na myśli.

– Taki jesteś dumny z tego swojego egocentryzmu. A to nawet nie jest prawda.

Roześmiał się tylko i poszedł dalej.

Rodziny, biznesmeni, starszaki i zakochane pary, wszyscy spacerowali po parku w to niezwykle ciepłe jesienne popołudnie. Pod pomnikiem pianista grał utwory Chopina, jak zawsze, w każdy weekend od stuleci. Idąc, Petra zuchwale wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Groszka, jakby i oni byli zakochanymi, a przynajmniej przyjaciółmi, którzy lubią być tak blisko siebie, by się dotykać. Ku jej zdziwieniu, nie cofnął dłoni. Ścisnął nawet mocno, ale jeśli myślała, że jest zdolny do romantycznych uniesień, natychmiast rozwiął jej nadzieję.

– Ścigamy się dookoła stawu! – zawołał.

Tak zrobili, ale co to był za wyścig, jeśli zawodnicy cały czas trzymali się za ręce, a zwycięzca ze śmiechem przeciągnął pokonanego przez linię mety?

Nie, Groszek zachowywał się dziecinnie, bo nie miał pojęcia, jak reagować po męsku. Dlatego Petra musiała mu pomóc to odkryć. Chwyciła go za drugą rękę i pociągnęła do siebie, by ją objął. Potem stanęła na palcach i pocałowała go – głównie w brodę, bo cofnął się trochę, ale jednak był to pocałunek. Po chwili konsternacji objął ją mocniej, przyciągnął bliżej i odnalazł wargami jej usta, po kilku tylko drobnych kolizjach nosów.

Żadne z nich nie miało doświadczenia, więc Petrze trudno było ocenić, czy ten pocałunek udał się jakoś wyjątkowo. Tylko raz całowała się wcześniej – z Achillesem, ale wtedy miała lufę pistoletu przyciśniętą do brzucha. Jedyne, co mogła stwierdzić z całą pewnością, to że dowolny pocałunek Groszka jest lepszy od dowolnego pocałunku Achillesa.

– Czyli mnie kochasz – powiedziała cicho, kiedy wreszcie odsunęli się od siebie.

– Jestem wrzącą masą hormonów i jestem za młody, żeby to zrozumieć – odparł Groszek.

– A ty jesteś osobnikiem żeńskim z blisko spokrewnionego gatunku. Według najlepszych specjalistów od ssaków naczelnych, właściwie nie mam wyboru.

– To miło – stwierdziła, zarzucając mu rękę na szyję.

– Wcale nie miło. Nie mam powodów, żeby kogokolwiek całować.

– Sama prosiłam.

– Nie będę miał dzieci.

– To świetny plan – zapewniła. – Ja będę je miała dla ciebie.

– Wiesz, o co mi chodziło – burknął.

– Tego się nie załatwia całowaniem, więc na razie jesteś bezpieczny.

Zamruczał z irytacją, odsunął się od niej, odszedł kilka kroków, potem wrócił i pocałował ją znowu.

– Chciałem to zrobić praktycznie przez cały czas, odkąd podróżujemy razem.

– Domyśliłam się. Po tym, że nigdy nie dawałeś nawet znaku, że wiesz o moim istnieniu. No, może czasem, jako powodu irytacji.

– Zawsze miałem z tym kłopoty. Łatwo się irytuję.

Objął ją. Obok przechodziło starsze małżeństwo. Mężczyzna spojrzał na nich z dezaprobatą, jakby sądził, że niemądrzy młodzi ludzie powinni znaleźć jakieś bardziej odosobnione miejsce na swoje uściski i pocałunki. Ale kobieta, z siwymi włosami ściągniętymi mocno opaską, mrugnęła do Groszka porozumiewawczo, jakby chciała powiedzieć: Brawo, chłopcze, młode dziewczęta należy całować mocno i często.

Był tak pewien, że to właśnie miała na myśli, że powtórzył te słowa Petrze.

– Czyli właściwie spełniasz obowiązki publiczne – uznała.

– Ku rozbawieniu publiczności.

Za nimi rozległ się trzeci głos.

– Mogę zapewnić, że publiczność jest należycie rozbawiona.

Petra i Groszek odwrócili się równocześnie.

Był to młody człowiek, wyraźnie nie-Polak. Sądząc po wyglądzie, mógł pochodzić z Birmy, może z Tajlandii – z pewnością z okolic Morza Południowochińskiego. Musiał być młodszy niż Petra, nawet biorąc pod uwagę fakt, że ludzie z Azji Południowo-Wschodniej zawsze wyglądali młodo na swoje lata. Mimo to nosił garnitur i krawat, jak staroświecki biznesmen.

Było w nim coś takiego – coś w postawie, w tej swobodzie, z jaką zakładał, że ma prawo stać tak blisko nich, i drwiąco komentować coś tak osobistego jak publiczny pocałunek – co zdradziło Petrze, że musi być ze Szkoły Bojowej.

Groszek wiedział o nim więcej.

– Ambul – powiedział.

Ambul zasalutował, na wpół niedbale, na wpół z przesadną służbistością, w typowym stylu bachora ze Szkoły.

– Sir – rzucił krótko.

– Kiedyś dałem ci zadanie – rzekł Groszek. – Żebyś wziął pewnego startera i pomógł mu nauczyć się używać skafandra.

– Co wykonałem perfekcyjnie. Strasznie był zabawny za pierwszym razem, kiedy go zamroziłem w sali treningowej. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

– Trudno uwierzyć, że do tej pory cię nie zabił.

– Uratowała mnie moja nieprzydatność dla tajskiego rządu – wyjaśnił Ambul.

– Obawiam się, że to mój błąd.

– Chyba ocaliła mi życie.

– Cześć, jestem Petra – wtrąciła trochę rozzłoszczona Petra.

Ambul zaśmiał się i podał jej rękę.

– Przepraszam. Wiem, kim jesteś, i założyłem, że Groszek mówił ci o mnie.

– Nie sądziłem, że się zjawisz – wyjaśnił Groszek.

– Nie odpowiadam na e-maile. Najwyżej tak, że zjawiam się i sprawdzam, czy wiadomość naprawdę pochodziła od tej osoby, od której powinna.

– Aha... – Petra zaczęła kojarzyć. – Musisz być tym żołnierzem z armii Groszka, który miał oprowadzić Achillesa po szkole.

– Tylko nie wpadł na to, żeby wypchnąć go ze służby bez skafandra – dodał Groszek. – Co uważam za karygodny brak inicjatywy z jego strony.

– Groszek zawiadomił mnie, kiedy tylko odkrył, że Achilles jest na wolności. Stwierdził, że nie ma możliwości, bym nie znalazł się na achillesowej liście celów. Ocalił mi życie.

– Czyli Achilles próbował? – spytał Groszek.

Zeszli ze ścieżki. Stali teraz na rozległym trawniku rozciągającym się od miejsca, gdzie stał fortepian. Docierał tutaj tylko najcichszy dźwięk muzyki Chopina.

– Powiedzmy tylko, że musiałem często podróżować – rzekł krótko Ambul.

– To dlatego nie było cię w Tajlandii w czasie chińskiej inwazji? – domyśliła się Petra.

– Nie, wyjechałem z kraju prawie natychmiast, kiedy wróciłem do domu. Widzisz, nie byłem taki, jak większość absolwentów Szkoły Bojowej. Należałem do najgorszej armii w historii sali treningowej.

– Mojej armii – wyjaśnił Groszek.

– Daj spokój – zaprotestowała Petra. – Mielście raptem... ile? Pięć walk?

– I nie wygramy ani jednej. Poświęciłem się szkoleniu moich ludzi, eksperymentom z nowymi technikami bojowymi i... no tak, i zachowaniu życia po przybyciu Achillesa do szkoły.

– Potem zamknęli Szkołę Bojową, Groszek awansował do jeeshu Endera, a jego żołnierze wrócili na Ziemię jako jedyni w historii z doskonale czystym kontem. Wszyscy Tajowie ze Szkoły Bojowej trafili na ważne stanowiska w sztabie. To dziwne, ale dla mnie nie mogli znaleźć nic lepszego, niż posłać mnie do szkoły publicznej.

– Przecież to głupie – obruszyła się Petra. – Co oni sobie myśleli?

– Dzięki temu zachowałem miły spokój i prywatność. Moja rodzina mogła swobodnie wyjeżdżać z kraju i zabierać mnie ze sobą. Życie ma sporo zalet, kiedy nie uważają cię za bogactwo narodowe.

– Ale nie było cię w Tajlandii, kiedy upadła?

– Studiowałem w Londynie. I całkiem wygodnie mogłem przeskoczyć nad Morzem Północnym i skręcić do Warszawy na dyskretne spotkanie.

– Przepraszam – wtrącił Groszek. – Proponowałem, że zapłacę za twoją podróż.

– List mógł nie pochodzić od ciebie – przypomniał Ambul. – A ktokolwiek go wysłał, gdybym pozwolił mu płacić za bilety, wiedziałby, którymi samolotami lecę.

– Wydaje się nie gorszym od nas paranoikiem... – uznała Petra.

– Mamy tego samego wroga. A więc, Groszek... sir... posłałeś po mnie i jestem. Potrzebujecie świadka na ślub? Czy kogoś dorosłego, żeby podpisał wam zgodę?

– Potrzebuję bezpiecznej bazy operacyjnej, niezależnej od żadnego państwa, bloku czy traktatu – odpowiedział Groszek.

– Sugeruję, żebyś poszukał sobie jakiejś wygodnej asteroidy. Świat jest ostatnio dość dokładnie podzielony.

– Potrzebuję ludzi, którym mogę zaufać całkowicie – mówił dalej Groszek. – Ponieważ w każdej chwili może się okazać, że walczymy przeciwko Hegemonii.

Ambul spojrzał na niego zdziwiony.

– Myślałem, że jesteś dowódcą małej armii Petera Wiggina.

– Byłem. Teraz nie dowodzę nawet kartami w pinochle.

– Ale ma znakomitego szefa sztabu – wtrąciła Petra. – Mnie.

– Aha – mruknął Ambul. – Teraz rozumiem, czemu mnie wezwałeś. Wy, dwoje oficerów, potrzebujecie kogoś, kto by wam salutował.

Groszek westchnął.

– Mianowałbym cię królem Kaledonii, gdybym tylko mógł. Ale jedyne stanowisko, które w tej chwili mogę zaproponować, to przyjaciel. W dodatku przyjaźń ze mną jest ostatnio niebezpieczna.

– Czyli pogłoski są prawdziwe – stwierdził Ambul. Petra uznała właśnie, że już najwyższy czas, by zebrał razem informacje, jakie uzyskał w tej rozmowie. – Achilles jest z Hegemonem.

– Peter wyrwał go z Chin, gdzie jechał już do obozu dla więźniów.

– Trzeba Chińczykom przyznać, że nie są durniami. Wiedzieli, kiedy się go pozbyć.

– Właściwie nie – powiedziała Petra. – Posłali go tylko na wewnętrzną emigrację, w dodatku słabo chronionym konwojem. Praktycznie rzecz biorąc, prosili się, żeby ktoś go uwolnił.

– A ty nie chciałeś? – domyślił się Ambul. – I dlatego cię wyrzucili?

– Nie – odparł Groszek. – Wiggin zdjął mnie z tej misji w ostatniej chwili. Dał Suriyawongowi zapieczętowane rozkazy i nie powiedział, co w nich było, dopóki nie wystartowali. Wtedy zrezygnowałem ze służby i zacząłem się ukrywać.

– I zabrałeś ze sobą tę panienkę do towarzystwa?

– Tak naprawdę to Peter mnie wysłał, żebym miała go pod ścisłą obserwacją – oznajmiła Petra.

– No to jesteś chyba wyjątkowo odpowiednią osobą do tej funkcji – uznał Ambul.

– Nie jest taka znowu doskonała – powiedział Groszek. – Kilka razy prawie ją zauważyłem.

– Czyli... – Ambul wrócił do głównej kwestii. – Suri poleciał i wyciągnął Achillesa z Chin.

– Ze wszystkich misji, które mógł wykonać bezbłędnie – westchnął Groszek – musiał sobie wybrać akurat tę...

– Ja, z drugiej strony – odpowiedział Ambul – nigdy nie lubiłem wykonywać rozkazów, które uważałem za głupie.

– Dlatego właśnie chciałbym, żebyś wziął udział w mojej całkowicie beznadziejnej operacji. Jeśli zginiesz, będę wiedział, że z własnej winy, a nie dlatego, że wykonywałeś moje polecenia.

– Będę potrzebował forsy. Moja rodzina nie jest bogata. A formalnie rzecz biorąc, ciągle jestem dzieckiem. Przy okazji, jakim cudem jesteś o tyle wyższy ode mnie?

– Sterydy.

– A ja co noc rozciągam go na ławie w izbie tortur – dodała Petra.

– Dla jego dobra, nie wątpię – zaśmiał się Ambul.

– Mama mówiła mi zawsze, że Groszek to taki chłopak, który musi jeszcze dorosnąć.

Groszek żartobliwie zatkał jej usta dłonią.

– Nie zwracaj na tę dziewczynę uwagi, jest ogłupiała z miłości.

– Powiniście się pobrać – stwierdził Ambul.

– Jak skończę trzydziestkę.

Co, jak wiedziała Petra, znaczyło „nigdy”.

Znajdowali się już na otwartym terenie dłużej niż kiedykolwiek, odkąd zaczęli się ukrywać. Kiedy Groszek zaczął tłumaczyć Ambulowi, czego od niego oczekuje, ruszyli wolno w kierunku najbliższej bramy parku.

Zadanie było proste: polecieć do Damaszku, dotrzeć do sztabu Ligi Islamskiej, spotkać się z Alai, jednym z najbliższych przyjaciół Endera i członkiem jego jeeshu.

– Aha – mruknął Ambul. – Myślałem, że chcesz mi zlecić coś możliwego do wykonania.

– Nie mogę przepchnąć do niego żadnego e-maila – wyjaśnił Groszek.

– Ponieważ, o ile mi wiadomo, odkąd Rosjanie go wypuścili, jest całkiem bezkontaktowy. Wtedy, kiedy Achilles wszystkich porwał.

Groszek zdziwił się wyraźnie.

– A wiesz o tym, ponieważ...

– Kiedy z rodzicami zaczęliśmy się ukrywać, sprawdzałem wszystkie kanały, na jakie mogłem wejść, i starałem się zdobyć informacje, co się dzieje. W sieci jestem niezły, nie chwaląc się. W zawieraniu znajomości i podtrzymywaniu znajomości. Byłbym dobrym dowódcą, gdyby nie wykasowali spode mnie Szkoły Bojowej.

– Czyli znasz już Alai? – upewniła się Petra. – Toguro.

– Ale, jak mówiłem, on jest całkiem bezkontaktowy.

– Ambul, potrzebna mi jego pomoc. Potrzebna mi ochrona Ligi Islamskiej. To jedno z niewielu miejsc na Ziemi, które nie ulega ani naciskom Chin, ani namowom Hegemonii.

– E – mruknął drwiąco Ambul. – A osiągną to, nie wpuszczając do kręgu żadnych niemuzułmanów.

– Nie chcę się dostać do ich kręgu. Nie chcę poznawać ich sekretów.

– Owszem, chcesz. Bo jeśli nie, jeśli nie zdobędziesz ich pełnego zaufania, niczego nie dokonasz zza ich granic. Niemuzułmanie mają oficjalnie pełną wolność, ale praktycznie niczego nie mogą robić, oprócz zakupów i zabawy w turystów.

– Więc się nawrócę – rzekł Groszek.

– Nawet nie próbuj na ten temat żartować – ostrzegł Ambul. – Bardzo poważnie traktują religię. Opowiadanie o nawróceniu jako dowcip...

– Ambul, my to wszystko wiemy – zapewniła go Petra. – Ja również jestem przyjaciółką Alai, ale zauważyłeś chyba, że Groszek mnie nie posyła.

Ambul roześmiał się.

– Nie sugerujesz chyba, że muzułmanie straciliby szacunek dla Alai, gdyby pozwolił, by kobieta miała na niego wpływ? Pełna równość płci to jeden z sześciu punktów, które zakończyły Trzecią Wielką Dżihad.

– Masz na myśli piątą wojnę światową? – spytał Groszek.

– Wojnę o powszechną wolność – odparła Petra. – Tak ją nazywali w armeńskich szkołach.

– To dlatego, że Armenia jest uprzedzona wobec islamu.

– Jesteśmy jedynym narodem bigotów, jaki pozostał jeszcze na świecie – westchnęła smętnie Petra.

– Posłuchaj mnie, Ambul – rzekł Groszek. – Jeśli nie można się dostać do Alai, poszukam czegoś innego.

– Nie powiedziałem, że to niemożliwe.

– Owszem, dokładnie to powiedziałeś – przypomniała mu Petra.

– Ale jestem ze Szkoły Bojowej. Mieliśmy lekcje z dokonywania rzeczy niemożliwych. Zaliczyłem na pięć.

Groszek uśmiechnął się.

– Fakt. Ale nie skończyłeś Szkoły Bojowej, prawda? Więc jakie masz szanse?

– Kto mógł przewidzieć, że przydział do twojej armii w Szkole zrujnuje mi życie?

– Przestań narzekać – rzuciła Petra. – Gdybyś był w czołówce absolwentów, siedziałbyś teraz w chińskim obozie reedukacyjnym.

– Widzisz? – Ambul wyszczerzył zęby. – Zostałem pozbawiony wszelkich możliwości kształtowania charakteru.

Groszek wręczył mu karteczkę.

– Idź tam, a dostaniesz wszystkie potrzebne dokumenty.
– Razem z holograficznym ID? – powątpiewał Ambul.
– Dostroi się do ciebie przy pierwszym użyciu. Instrukcje są dołączone. Korzystałem już z takich.

– Kto robi takie cuda? Hegemonia?
– Watykan. To pozostałość z czasów, kiedy podróżowałem z jednym z ich agentów.
– Dobrze – zgodził się Ambul.
– Dzięki temu możesz dotrzeć do Damaszku, ale nie odnajdziesz Alai. Do tego będzie ci potrzebna własna tożsamość.

– Nie, potrzebny będzie anioł idący przede mną i list uwierzytelniający samego Mahometa.

– Watykan ma jedno i drugie – zapewniła Petra. – Ale dają je tylko najlepszym.
Ambul parsknął śmiechem, Groszek także. Jednak atmosfera była napięta.
– Proszę cię o wiele – rzekł Groszek.
– A ja nie jestem ci wiele winien – odparł Ambul.
– Nic mi nie jesteś winien. A gdyby nawet, nie żądałbym spłaty. Wiesz, czemu zwróciłem się do ciebie, a ja wiem, czemu się zgodziłeś.

Petra również wiedziała. Groszek poprosił Ambula, bo wiedział, że potrafi wykonać zadanie – jeśli ktokolwiek potrafi. Ambul zgodził się, bo wiedział, że jeśli w ogóle istnieje nadzieja powstrzymania Achilleśa przed zjednoczeniem świata pod swymi rządami, zależy ona od Groszka.

– Tak się cieszę, że odwiedziliśmy ten park – zwróciła się do Groszka. – To takie romantyczne.

– Groszek wie, jak zabawić dziewczynę. – Ambul rozłożył ręce. – Przyjrzyj mi się dobrze. To właśnie ja.

I zniknął.

Petra znowu wzięła Groszka za rękę.

– Zadowolona? – spytał.

– Mniej więcej. Przynajmniej coś zrobiłeś.

– Cały czas coś robiłem.

– Wiem.

– Tak naprawdę to właśnie ty najczęściej wchodzisz do sieci, żeby robić zakupy.

Petra parsknęła.

– Jesteśmy w tym wspaniałym parku. Tutaj wciąż przechowują pamięć o wielkim człowieku. Człowieku, który ofiarował światu niezapomnianą muzykę. A jaki będzie twój memoriał?

– Może dwa posągi... Przed i po. Mały Groszek, który walczył w jeeshu Endera. I duży Julian, który obalił Achilleśa.

- To mi się podoba – oświadczyła Petra. – Ale mam lepszy pomysł.
- Nazwać moim imieniem skolonizowaną planetę?
- A co powiesz na to, żeby całą planetę zaludnić twoimi potomkami?

Groszek skrzywił się i pokręcił głową.

– Po co? Żeby toczyć z nimi wojnę? Rasa bardzo inteligentnych osobników, którzy rozmnażają się jak szaleni, ponieważ każdy z nich ma umrzeć, zanim skończy dwadzieścia lat. I każdy przeklina imię swego przodka, ponieważ nie zakończył tej parodii własną śmiercią.

– To nie jest żadna parodia – zaprotestowała. – Zresztą dlaczego uważasz, że twój... twoja odmienność będzie się dziedziczyć?

– Masz rację – zgodził się Groszek. – Jeśli ożenię się z długowieczną, głupią i niską dziewczyną, jak ty, moje potomstwo powinno te cechy uśrednić i będzie banda przeciętniaków pod względem umysłowym, którzy dożywają siedemdziesiątki i mają średnio po metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Chcesz wiedzieć, co robiłam? – spytała Petra.

– Nie zakupy?

– Rozmawiałam z siostrą Carlottą.

Zesztywniał nagle i odwrócił wzrok.

– Chodziłam po ścieżkach jej życia – wyjaśniła Petra. – Rozmawiałam z ludźmi, których znała. Patrzałam na to, co oglądała. Uczylałam się tego, co wiedziała.

– Nie chcę o tym słyszeć – oświadczył Groszek.

– Dlaczego? Kochała cię. Kiedy już cię znalazła, żyła tylko dla ciebie.

– To wiem. I dla mnie zginęła. Ponieważ byłem głupi i nieostrożny. Nawet nie potrzebowałem, żeby przyjeżdżała. Przez krótki czas zdawało mi się, że potrzebuję, a zanim odkryłem, że wcale nie, ona była już w samolocie, już leciała na spotkanie z tym pociskiem, który ją zabił.

– Jest takie miejsce, gdzie chciałabym z tobą pojechać. Póki czekamy, aż Ambul dokona swojego cudu.

– Posłuchaj mnie – rzekł Groszek. – Siostra Carlotta mówiła mi już, jak skontaktować się z naukowcami, którzy mnie badali. Od czasu do czasu piszę do nich, a oni odpowiadają. Mówią, ile jeszcze zostało mi czasu według aktualnych ocen, i jakie to wspaniałe, cały ten postęp, jakiego dokonują w zrozumieniu rozwoju człowieka i różne takie kuso, wszystko dzięki mojemu ciału i tym maleńkim kulturom, jakie badają, utrzymując przy życiu moje tkanki. Kiedy się zastanowić, Petro, to jestem nieśmiertelny. Te tkanki będą żyły w laboratoriach na całym świecie jeszcze tysiące lat po mojej śmierci. To jeden z przywilejów kompletnego dziwoląga.

– Nie o nich mi chodzi – stwierdziła Petra.

– To o kogo? Dokąd chcesz pojechać?

– Do Antona. Tego, który odkrył klucz, klucz Antona. Tę zmianę genetyczną, która cię stworzyła.

– On jeszcze żyje?

– Nie tylko żyje, ale jest wolny. Wojna się skończyła. Co prawda Anton nie może prowadzić normalnych badań, bloki psychologiczne są właściwie nieusuwalne. I tak trudno mu było mówić, a przynajmniej pisać o tym, co się wydarzyło z tobą.

– Więc po co go męczyć?

– A masz coś lepszego do roboty?

– Zawsze mam do roboty coś lepszego niż podróż do Rumunii.

– Ale on tam nie mieszka. Jest w Katalonii.

– Chyba żartujesz.

– W rodzinnych stronach siostry Carlotty. W miasteczku Mataró.

– Dlaczego tam trafił? – zdumiał się Groszek.

– Idealny klimat. Noce na rambla. Tapas z przyjaciółmi. Niewielkie fale pluszczące o brzeg morza. Gorące afrykańskie wiatry. Grzywacze na morzu zimą. Wspomnienie Kolumba przybywającego z wizytą do króla Aragonii.

– To było w Barcelonie.

– Mówił, że się tam wybiera. Chce zobaczyć ogród zaprojektowany przez Gaudiego. I inne rzeczy, na które miło patrzeć. Myślę, że podróżuje z miejsca na miejsce. I wydaje mi się, że bardzo jest ciebie ciekaw.

– Achilles także.

– Myślę, że choć nie pracuje już w naukowej awangardzie, wciąż wie o pewnych sprawach, o których nigdy nie mógł mówić.

– I nadal nie może.

– Mówienie go rani. Ale to nie znaczy, że nie może powiedzieć, raz, osobie, która najbardziej potrzebuje tych informacji.

– To znaczy komu?

– Mnie – stwierdziła Petra.

Groszek się zaśmiał.

– A nie mnie?

– Ty nie musisz wiedzieć. I tak postanowiłeś umrzeć. Ale ja muszę, bo chcę, żeby twoje dzieci przeżyły.

– Petro, nie mam zamiaru mieć żadnych dzieci – rzekł z powagą Groszek. – Nigdy.

– Tak się składa – odparła – że mężczyzna nigdy nie chce.

Wątpiła, czy zdoła kiedyś nakłonić Groszka do zmiany zdania. Ale przy odrobinie szczęścia niekontrolowane żądze dorastającego osobnika płci męskiej doprowadzą do tego, czego nie dało się osiągnąć rozsądną argumentacją. Nieważne, co o sobie myślał – był

człowiekiem; nieważne, do jakiego należał gatunku – stanowczo był ssakiem. Umysł może mówić „nie”, ale ciało będzie o wiele głośniej krzyczało „tak”.

Z drugiej strony, jeśli w ogóle istniał osobnik płci męskiej gatunku ludzkiego, który potrafiłby się oprzeć popędowi seksualnemu, to właśnie Groszek. Między innymi dlatego go pokochała – bo był najsilniejszym ze znanych jej ludzi. Może z wyjątkiem Endera Wiggina, ale Ender Wiggin odleciał na zawsze.

Znów pocałowała Groszka i tym razem oboje spisali się lepiej.

Kamienie na drodze

From: PW

To: TW

Subject: Co ty wyrabiasz?

O co chodzi z tą zabawą w sprzątaczkę? Nie pozwolę, żebyś podjęła pracę w Hegemonii, a już na pewno nie na takim stanowisku. Chcesz mnie zawstydzić, pokazując, że (a) zatrudniam własną matkę i (b) każę własnej matce przyjąć posadę pracownicy fizycznej? Zrezygnowałaś już z możliwości, jaką wam proponowałem.

From: TW

To: PW

Subject: Żmija

Zawsze jesteś taki troskliwy i dbasz, żebym miała wiele ciekawych zajęć. Wycieczki do kolonizowanych planet. Oglądanie ścian mojego miło klimatyzowanego mieszkania. Pamiętasz, że twoje narodziny nie nastąpiły partenogenetycznie. Jesteś jedyną osobą na świecie bożym, która uważa, że jestem za głupia, by być czymś więcej niż brzemieniem na twoich barkach. Ale nie myśl, że cię krytykuję. Jestem wzorem idealnej, opiekuńczej matki. Wiem, jak dobrze to wygląda w widach.

Kiedy Virlomi odebrała wiadomość od Suriyawonga, natychmiast zrozumiała, jakie niebezpieczeństwo jej grozi. Ale była właściwie zadowolona, że zjawił się powód do opuszczenia osady Hegemonii.

Od jakiegoś czasu myślała już o wyjeździe, a przyczyną tego był sam Suriyawong. Jego zadurzenie stawało się zjawiskiem nazbyt smutnym, by zostawać tu dłużej.

Lubiła go, oczywiście, i była mu wdzięczna. To przecież on bez żadnych tłumaczeń zrozumiał, jak rozegrać scenę na moście tak, żeby mogła uciec z Indii pod karabinami żołnierzy, którzy z pewnością zestrzeliliby dwa tajlandzkie śmigłowce. Był inteligentny, zabawny, dobry, podziwiała, jak wspólnie z Groszkim dowodzą swymi absolutnie lojalnymi żołnierzami, przeprowadzając jedną akcję po drugiej, z niewielką liczbą rannych i jak dotąd bez żadnych zabitych.

Suriyawong miał wszystko, co powinna dać swoim uczniom Szkoła Bojowa. Był śmiały, pomysłowy, szybki, odważny, sprytny, twardy, a jednak współczujący. Patrzył też na świat podobnie jak ona – w porównaniu z ludźmi Zachodu, których głównie słuchał Hegemon.

Ale w jakiś sposób zdołał się w niej zakochać. Za bardzo go lubiła, by go zawstydząć, odrzucając jego awanse, których nigdy nie czynił. Ale nie mogła go pokochać. Był dla niej za młody, za... jaki? Zbyt oddany swoim zadaniom. Zbyt chętny, by kogoś zadowolić. Zbyt...

Denerwujący.

Właśnie. Jego oddanie ją irytowało. Jego bezustanna uwaga. Obserwowanie każdego jej poruszenia. Podziw dla jej najbardziej trywialnych sukcesów.

Nie, musiała być sprawiedliwa. Irytowali ją wszyscy, i nie dlatego że robili coś nie tak, jak trzeba, ale dlatego że ona sama znalazła się nie na swoim miejscu. Nie była żołnierzem. Strategiem, owszem, może nawet przywódcą, ale nie w bitwie. W Ribeirão Preto nie znalazłby się nikt, kto by chciał za nią podążyć – zresztą nie istniał cel, do którego chciałaby kogokolwiek poprowadzić.

Jak mogłaby pokochać Suriyawonga? Jemu odpowiadało życie, jakie tu prowadził, a ona czuła się fatalnie. Cokolwiek uczyniłoby ją bardziej szczęśliwą, jemu odebrałoby to zadowolenie. Czy taki związek miałby jakąś przyszłość?

Kochał ją, więc pomyślał o niej w drodze z Chin, z Achillesem na pokładzie. Ostrzegł ją, żeby zniknęła, zanim powróci. To szlachetny gest z jego strony, więc znowu była mu bardzo wdzięczna. Wdzięczna za to, że prawdopodobnie ocalił jej życie.

I wdzięczna, że nie będzie już musiała go oglądać.

Zniknęła, zanim przybył Graff, żeby wyciągnąć ludzi z Ribeirão Preto. Nie otrzymała oferty, by skorzystać z ochrony Ministerstwa Kolonizacji. Ale gdyby nawet, nie skorzystałaby.

Prawdę mówiąc, istniało tylko jedno miejsce, do którego wyjazd mogłaby rozważyć. Od miesięcy za nim tęskniła. Hegemonia walczyła z Chinami od zewnątrz, ale tutaj nie było dla

niej nic do roboty. Dlatego postanowiła wrócić do Indii i zrobić co tylko możliwe na terenie swej okupowanej ojczyzny.

Dotarła tam stosunkowo prostą drogą. Z Brazylii do Indonezji, gdzie skontaktowała się z indyjskimi uchodźcami, zdobyła lankijskie dokumenty i nową tożsamość. Potem na Sri Lankę, gdzie przekonała szypa rybackiego kutra, by wysadził ją na południowo-wschodnim wybrzeżu Indii. Chińczycy nie mieli tak licznej floty, by patrolować morskie granice, więc brzeg przepuszczał jak sito w obu kierunkach.

Virlomi była z pochodzenia Drawidyjką, a zatem skórę miała ciemniejszą niż Ariowie na północy. Tutaj, na wiejskich terenach, wtopiła się w otoczenie. Nosiła ubranie proste i ubogie, takie jak wszyscy. Dbała jednak, żeby zawsze było czyste, by nikt nie wziął jej za włóczęgę lub żebraczkę. W rzeczywistości jednak była żebraczką, gdyż nie miała zbyt wielkich funduszy; zresztą i tak by jej to nie pomogło. W wielkich indyjskich miastach działały miliony punktów połączenia z siecią, tysiące budek, skąd można było sięgnąć do rachunku bankowego. Ale tutaj, na wsiach – inaczej mówiąc: w Indiach – takie rzeczy spotykało się rzadko. Korzystając z nich, uboga dziewczyna, taka jak Virlomi, zwracałaby na siebie uwagę i pewnie wkrótce zaczęliby jej szukać chińscy żołnierze wyposażeni w listę pytań.

Dlatego w każdej wiosce szła do studni albo na targ, nawiązywała rozmowę z kobietami, w krótkim czasie zaprzyjaźniała się z którąś i była zapraszana do domu. W miastach musiałaby uważać na zdrajców i donosicieli, ale prostym ludziom ufała bez zastrzeżeń. Nie znali żadnych strategicznych tajemnic, więc wśród nich Chińczycy nawet nie próbowali przekupstwa.

Jednak ci prości ludzie wcale nie żywili do najeźdźców takiej nienawiści, jakiej Virlomi się spodziewała. Tutaj, na południu kraju, władza okupacyjna rządziła lekką ręką. Nie tak jak w Tybecie, gdzie Chińczycy starali się wykorzenić poczucie narodowej tożsamości, a zatem prześladowania sięgały wszystkich warstw społecznych. Indie okazały się jednak zbyt wielkim kąskiem do przełknięcia; Chińczycy – jak Brytyjczycy przed nimi – odkryli, że łatwiej jest rządzić poprzez zdominowaną kastę biurokratów, a prostych ludzi zostawić w spokoju.

W ciągu kilku dni Virlomi uświadomiła sobie, że tę właśnie sytuację musi zmienić.

W Tajlandii, w Birmie, w Wietnamie Chińczycy bezlitośnie rozprawiali się z ruchem oporu, a jednak wojna partyzancka trwała nieprzerwanie. Ale Indie drzemały, jakby ludziom nie zależało, kto nimi rządzi. W rzeczywistości Chińczycy postępowali tu jeszcze okrutniej niż gdzie indziej, jednak wszystkie ich ofiary pochodziły z miast. Wiejskie tereny cierpiały tylko z powodu skorumpowanych urzędników, niesprzyjającej pogody, niepewnych rynków i ciężkiej pracy za niewielką zapłatę.

Oczywiście, działali partyzanci i powstańcy, a ludzie ich nie zdradzali. Ale też nie przyłączali się do nich ani z własnej chęci nie dzielili się skromnymi zapasami żywności.

Powstańcy byli więc słabi i nieskuteczni. Ci, którzy uciekali się do rabunku, szybko odkrywali, że narażają się na wrogość chłopów, którzy od razu wydają ich Chińczykom.

Nie było żadnej solidarności. Jak zawsze w historii, zdobywcy rządili Indiami, ponieważ większość Hindusów nie wiedziała, co to znaczy żyć „w Indiach”. Uważali, że żyją w tej czy tamtej wiosce, i nie przejmowali się wielkimi sprawami, od których wrzały miasta.

Nie mam armii, myślała Virlomi. Ale nie miałam i wtedy, kiedy uciekałam z Hajdarabadu, by ukryć się przed Achillesem, i kiedy wędrowałam na wschód. Nie miałam żadnego planu; chciałam tylko przekazać przyjacielom Petry wiadomość, gdzie ją trzymają. I kiedy dotarłam do miejsca, gdzie istniała taka możliwość, zauważyłam ją, wykorzystałam i zwyciężyłam. Taki sam plan mam teraz: obserwować, dostrzegać i działać.

Wędrowała przez długie dni i tygodnie. Widziała wszystko i coraz bardziej kochała tych prostych ludzi ze wszystkich wiosek, gdzie się zatrzymywała – ponieważ byli dobrzy dla obcej i dzielili się tym prawie niczym, co posiadali. Jak mogę planować, by wojnę sprowadzić do ich poziomu, by zniszczyć im życie? Czy nie wystarczy, że są zadowoleni? Skoro Chińczycy zostawiają ich w spokoju, czy i ja nie powinnam?

Nie – ponieważ wiedziała, że Chińczycy nie zostawiają ich w spokoju na zawsze. Państwo Środka nie wierzyło w tolerancję. Cokolwiek zdobywało, czyniło chińskim lub niszczyło. W tej chwili żołnierze mieli za dużo zajęć, by nękać prostych ludzi. Ale kiedy Chiny zwyciężą już wszędzie, skierują swą uwagę ku Indiom. Wtedy mocno przydepną karki prostego ludu. Wybuchnie bunt po buncie, powstanie za powstaniem, ale żadne się nie uda. Pokojowy opór Gandhiego był skuteczny jedynie przeciwko najeźdźcy uznającemu wolność prasy. Indie będą zrywać się do walki we krwi i terrorze, a Chińczycy krwią i terrorem będą gasić te wybuchy jeden po drugim.

Mieszkańców Indii trzeba przebudzić teraz, póki wciąż jeszcze mają sprzymierzeńców poza granicami, a Chińczycy sięgają za daleko i niewiele sił mogą zatrzymać na terenach okupowanych.

Sprowadzę wojnę na ich głowy, by ich ocalić jako naród, jako lud, jako kulturę. Sprowadzę wojnę, póki wciąż istnieje szansa wygranej, by oszczędzić im wojny, w której jedynym możliwym wynikiem będzie rozpacz.

Uznała, że nie warto zastanawiać się nad moralną stroną tego, co zamierza zrobić, skoro na razie nie ma pojęcia, jak tego dokonać.

Pomysł podsunęło jej dziecko.

Zobaczyła tego chłopca z gromadką innych dzieciaków bawiących się o zmierzchu w wyschlým korycie strumienia. W porze monsunów płynął wtedy burzliwy potok; teraz przypominało raczej kamienistą ścieżkę w rowie.

Chłopiec miał osiem lub dziewięć lat – choć mógł być starszy, ale drobny z niedożywienia – i nie przypominał innych dzieci. Nie uczestniczył w ich biegach i krzykach, przepychankach i wyścigach, rzucaniu do siebie nawzajem wszystkim, co wpadło w ręce.

Virloomi sądziła początkowo, że jest kaleką, ale nie – chwiejnie stawiał kroki, gdyż chodził między kamieniami na dnie i musiał uważać, by się nie potknąć.

Od czasu do czasu schylał się i coś podnosił. Chwilę później odkładał to na ziemię.

Podeszła bliżej i zobaczyła, że podnosi kamień, a kiedy go odkłada, to wciąż tylko kamień, jeden wśród wielu kamieni.

Jaki był sens tej pracy, która tak go pochłaniała, a która nie przynosiła wyników?

Stała nad korytem, spory kawałek za chłopcem. Oddalał się w zapadającym mroku. Obserwowała jego plecy – zginające się i prostujące, zginające i prostujące.

Odgrywa tu moje życie, pomyślała. Wykonuje swoje zadanie w skupieniu, całkowicie mu się poświęca, nie zwracając uwagi na zabawy towarzyszy. A jednak jego działania nie powodują żadnych zmian w świecie.

Ale kiedy po chwili zajrzała w głąb koryta, przekonała się, że bez trudu odnajduje jego szlak – nie dlatego że zostały ślady stóp, lecz podnoszone kamienie były jaśniejsze od innych. Układał je na wierzchu, znacząc falistą jasną linię na wyschniętym dnie.

Nie zmieniło to jej opinii o tym zajęciu – nadal uważała je za bezsensowne. Jeśli już, to właśnie zyskała dowód. Co można osiągnąć taką linią? Fakt, że pozostał widzialny skutek jego pracy, czynił ją tym bardziej godną politowania. Przecież kiedy nadejdą deszcze, woda zmyje wszystko, przetoczy kamienie... Jaka to różnica, że przez jakiś czas można było zobaczyć kropkowaną linię jaśniejszych kamieni w wyschniętym korycie?

I nagle jej punkt widzenia się zmienił. Chłopiec nie kreślił linii. Chłopiec budował mur.

Nie, to absurd. Mur, w którym kamienie leżały o metr od siebie? Mur nieprzekraczający w żadnym miejscu wysokości jednego kamienia?

Mur zbudowany z indyjskich kamieni. Podniesionych i odłożonych prawie w tym samym miejscu. Ale strumień się zmienił, ponieważ wzniesiono w nim mur.

Czy taki był początek Chińskiego Muru? Dziecko zaznaczające granice swojego świata?

Wróciła do wioski i bez trudu trafiła do domu, gdzie wcześniej ją nakarmili i gdzie miała spędzić noc. Z nikim nie rozmawiała o dziecku ani o kamieniach; sama zresztą wkrótce zaczęła myśleć o innych sprawach i nie przyszło jej do głowy, by pytać o tego dziwnego chłopca. Nie śniła też tej nocy o kamieniach.

Ale rankiem, kiedy wstała razem z gospodynią i żeby ją wyręczyć, zabrała dwa dzbany na wodę do publicznej studni, zauważyła kamienie odrzucone na pobocze drogi i przypomniała sobie wszystko.

Odstawiła dzbany, wzięła kilka kamieni i ułożyła je na środku drogi. Wróciła po następne, wyznaczając zygzakowatą linię w poprzek traktu.

Kiedy skończyła, leżało tam zaledwie kilkadziesiąt kamieni. Żadna bariera – a jednak mur. Tak oczywisty jak pomnik.

Chwyciła dzbany i ruszyła po wodę.

Czekając na swoją kolej, rozmawiała z innymi kobietami i kilkoma mężczyznami, którzy przyszliznęli po dzienną porcję wody.

– Dołożyłam się do waszego muru – oświadczyła po chwili.

– Jakiego muru? – zdziwili się.

– Na drodze.

– Kto by budował mur na drodze? – zapytali.

– Taki jak w innych osadach. Nie prawdziwy mur. Tylko rząd kamieni. Nie widzieliście?

– Widziałem ciebie, jak układasz na drodze kamienie – stwierdził któryś z mężczyzn. – Wiesz, ile pracy trzeba, żeby ją oczyścić?

– Oczywiście. Gdyby poza tym nie była oczyszczona, nikt by nie zauważył, którą drogą biegnie mur.

Mówiła, jakby to było oczywiste, jakby przecież już mu tłumaczyła.

– Mury nie dopuszczają czegoś do środka – powiedziała jedna z kobiet. – Albo nie pozwalają wyjść. Drogi są po to, żeby się poruszać. Jeśli zbudujesz mur w poprzek, to już nie jest droga.

– Tak. Widzę, że przynajmniej ty rozumiałaś – pochwaliła ją Virłomi, choć doskonale wiedziała, że kobieta niczego nie rozumie.

Sama zresztą rozumiała bardzo słabo, ale wiedziała, że wydaje jej się to słuszne, a na jakimś poziomie głębszym niż zwykły rozsądek jest absolutnie rozsądne.

– Tak? – zdziwiła się kobieta.

Virłomi spojrzała na pozostałych.

– Tak mi tłumaczyli w innych wioskach, gdzie zbudowali mur. To Wielki Mur Indii. Za późno, żeby nie wpuścić tu barbarzyńskich najeźdźców. Ale w każdej osadzie rzucają kamienie, po jednym czy dwa naraz, żeby wznieść mur, który mówi: Nie chcemy was tutaj, to nasza ziemia, jesteśmy wolni. Ponieważ wciąż możemy budować nasz mur.

– Przecież... to tylko parę kamieni! – wykrzyknął mężczyzna, który widział, jak nosi kamienie. – Kopnąłem niektóre na bok, ale nawet gdybym nie kopnął, taki mur nie zatrzymałby nawet żuka. A co dopiero chińskich ciężarówek!

– Nie chodzi o mur – odparła Virłomi. – Nie chodzi o kamienie. Chodzi o tych, którzy je kładą, którzy mur budują. I dlaczego. To przekaz. To... to nowy sztandar Indii.

Dostrzegała zrozumienie w oczach niektórych.

– Kto może zbudować taki mur? – spytała kobieta.

– Czy wszyscy się do niego nie dokładacie? Powstaje po jednym czy dwa kamienie naraz. Kiedy przechodzicie obok, przynosicie kamień i rzucać go. – Zaczęła napełniać dzbany wodą. – Zanim chwycę te dzbany, żeby wrócić, wezmę do rąk po jednym niedużym kamieniu. Kiedy będę przechodziła przez mur, rzucę je. Tak jak widziałam, że to robią w innych wioskach.

– Których innych wioskach? – chciał wiedzieć mężczyzna.

– Nie pamiętam nazw. Wiem tylko, że wznoszą tam Mury Indii. Ale widzę, że nikt z was o tym nie słyszał, więc może nie był to jednak mur, tylko jakieś dziecko się bawiło.

– Nie – zapewniła ją kobieta. – Widziałam już wcześniej, jak ludzie dodawali kamienie.

Z przekonaniem kiwnęła głową. Virłomi – chociaż zaczęła budować mur tego ranka i nikt oprócz niej nie dołożył do niego ani jednego kamyka – wiedziała, co kobieta chce osiągnąć tym kłamstwem. Chciała stać się częścią czegoś wielkiego, chciała pomóc we wznoszeniu nowego sztandaru Indii.

– Czy kobiety też mogą to robić? – spytała inna z powątpiewaniem.

– Oczywiście – uspokoiła ją Virłomi. – Mężczyźni walczą. Kobiety wznoszą mury.

Podniosła dwa kamienie i ścisnęła je między dłońmi a uchwytami dzbanów. Po odgłosach kroków poznała, że wielu z nich, może nawet wszyscy, idzie za nią – ale nie oglądała się. Kiedy dotarła do tego, co pozostało z jej muru, nie próbowała ułożyć na miejscu kamieni, które kopnął na bok tamten mężczyzna. Upuściła tylko dwa przyniesione w środek najszerszej wyrwy w szeregu. Potem ruszyła dalej, wciąż się nie oglądając.

Usłyszała jednak stuk kilku kamieni spadających na zapyłony trakt.

Dwa razy w ciągu dnia znalazła okazję, by pójść po wodę. Za każdym razem spotykała przy studni inne kobiety i powtarzała całe przedstawienie.

Kiedy nazajutrz opuszczała wieś, przekonała się, że mur to już nie parę kamieni ułożonych w łamaną linię. Przecinał drogę nieprzerwany, z boku na bok, miejscami wysoki już na dwie dłonie. Ludzie starali się przestępować nad nim, nie obchodzić bokiem i nie kopać. A większość, przechodząc, dorzucała jeden czy dwa kamienie.

Virłomi szła od wioski do wioski, wszędzie mówiąc, że opowiada o zwyczaju, jaki zaobserwowała gdzie indziej. Czasami rozgniewani mężczyźni zmiatali kamienie, zbyt dumni ze swej dobrze utrzymanej drogi, by pochwycić oferowaną im wizję. Tam Virłomi nie stawiała muru, ale dwie spore kupki kamieni po obu stronach. W krótkim czasie kobiety z wioski zaczynały do nich dorzucać, aż wyrastały dwa solidne stosy. Zwężyły drogę, a były zbyt wielkie, by dało się je zmieścić czy kopnąć na bok. W końcu i one stanęły się murem.

Po trzech tygodniach po raz pierwszy trafiła do wioski, która miała już mur. Niczego nie musiała tłumaczyć – już wiedzieli. Wieści rozprzestrzeniały się bez jej udziału. Dorzuciła dwa kamienie i szybko ruszyła dalej.

Wszystko to, pamiętała, działo się wciąż jedynie w niewielkim skrawku południowych Indii – ale sięgało coraz dalej. Idea żyła już własnym życiem. Wkrótce zauważą coś Chińczycy. Wkrótce zaczną burzyć te mury, posyłać buldożery do oczyszczania dróg albo zmuszać ludzi, żeby sami je oczyścili.

A kiedy mury padną, kiedy ludzie będą musieli sami je rozbierać, zacznie się prawdziwa walka. Od tej chwili bowiem Chińczycy będą sięgać do każdej wioski, niszczyć coś, co mieszkańcy chcieliby zachować. Coś, co dla nich znaczyło: Indie. Taki był tajemny sens muru – od chwili kiedy ułożyła pierwsze kamienie, rozpoczynając budowę pierwszego.

Mur istniał właśnie po to, by Chińczycy mogli go zburzyć. A nazwała go „sztandarem Indii” właśnie dlatego, by ludzie – kiedy zobaczą zniszczony mur – zrozumieli, odczuli zniszczenie Indii. Ich narodu. Narodu budowniczych.

I gdy tylko Chińczycy się odwrócą, przechodzący Hindusi znowu będą upuszczać kamienie na drogę, a mur wyrośnie ponownie.

Co mogą zrobić najeźdźcy? Aresztują wszystkich, którzy noszą kamienie? Ogłoszą, że kamienie są nielegalne? Przecież kamienie to nie bunt. Kamienie nie zagrażają żołnierzom. Nie są sabotażem. Nie są bojkotem. Mury łatwo ominąć albo zepchnąć z drogi. Niczym Chińczykom nie szkodzą.

A jednak sprowokują ich i lud Indii poczuje na karku but najeźdźcy.

Mury były jak ukąszenia komarów: powodowały swędzenie, ale nie zadawały ran. Nie ból, ledwie podrażnienie. Ale zakażały nowe Cesarstwo Chin. Virłomi miała nadzieję, że choroba okaże się śmiertelna.

Szła coraz dalej w upalnej porze suszy, skręcając tam i z powrotem, unikając wielkich miast i głównych szlaków, coraz dalej na północ. Nikt nigdzie nie rozpoznał w niej pomysłodawczyni murów. Nie słyszała nawet plotek o swoim istnieniu. Wszystkie opowieści mówiły o budowaniu murów jako zjawisku, które rozpoczęło się gdzie indziej.

Różnymi nazwami określano te mury. Sztandar Indii. Indyjski Mur. Mur Kobiet. Nawet takimi, które Virłomi nie przyszłyby do głowy... Mur Pokoju. Tadź Mahal. Dzieci Indii. Indyjski Plon.

Wszystkie te nazwy brzmiały jej w uszach jak poezja. Wszystkie znaczyły: wolność.

Gościnność

From: Flandres%A-Heg@idl.gov
To: mpp%administrator@prison.hs.ro
Subject: Fundusze na więźniów MLO

Gabinet Hegemona docenia fakt, że nadal utrzymujecie więźniów skazanych za przestępstwa przeciwko Międzynarodowej Lidze Obrony, mimo wstrzymania funduszy z naszej strony. Jako że zasadą MLO było rozmieszczanie więźniów według wielkości i środków krajów strażniczych, jak również pochodzenia skazanych, może pan być pewien, że do Rumunii nie trafiło ich więcej, niżby należało. Gdy tylko fundusze staną się osiągalne, wszelkie koszty związane z utrzymaniem więźnia będą zwrócone pro rata.

Jednakże, skoro ówczesne zagrożenie międzynarodowe jest już sprawą minioną, sądy każdego kraju strażniczego, lub też odpowiednie władze więzienne, mogą zdecydować, czy przepis/y prawa międzynarodowego, jakie naruszył konkretny więzień, wciąż pozostają w mocy i czy zgodne są z prawem lokalnym. Skazanych nie należy więzić za przestępstwa, które nie są już przestępstwami, nawet jeśli wyrok nie dobiegł jeszcze końca.

Kategorie przepisów, które mogły stracić ważność, to między innymi te ograniczenia swobody badań naukowych, których cele były raczej polityczne niż obronne. W szczególności restrykcje modyfikacji genetycznych ludzkiego embrionu miały w założeniu utrzymać jedność Ligi wobec opozycji islamu, katolicyzmu oraz krajów „chroniących życie” oraz jako quid pro quo dla przyjęcia ograniczeń wielkości

rodzin. Więźniowie skazani za naruszenie tych praw powinni być uwolnieni bez wznowienia postępowania. Jednakże nie należy im się rekompensata za czas spędzony w więzieniu, gdyż zostali zgodnie z prawem uznani za winnych i wyrok nie uległ kasacji.

Jeśli macie jakieś pytania, odpowiem na nie z przyjemnością.

Łączę wyrazy szacunku

Achilles de Flandres, asystent Hegemona

Kiedy Suriyawong wrócił po misji z Chin, Peter dokładnie wiedział, co zamierza zrobić z Achillesem. Zamierzał badać go tak długo, póki będzie nieszkodliwy, a potem przekazać – powiedzmy – Pakistanowi, żeby postawili go przed sądem.

Bardzo starannie się przygotował do przybycia Achillesa. Każdy terminal komputerowy w Hegemonii miał już zainstalowanego pasterza, który rejestrował wszystkie uderzenia klawiszy i zapisywał wszystkie oglądane strony tekstowe czy grafikę. Dane kasowano zwykle szybko, ale to, co robi Achilles, będzie zachowane i skontrolowane, co pozwoli wyśledzić jego kontakty i zidentyfikować siatki.

Tymczasem Peter zleci mu rozmaite zadania, by się przekonać, co z nimi robi. Nie istniała możliwość, by Achilles choćby przez chwilę działał w interesie Hegemonii, ale może się okazać użyteczny, jeśli Peter będzie go trzymał na odpowiednio krótkiej smyczy. Sztuka polega na tym, by wykorzystać go jak najlepiej i dowiedzieć się jak najwięcej. A potem zneutralizować go, zanim zrealizuje zdradę, którą bez żadnej wątpliwości przygotowuje.

Peter rozważał przez chwilę, czy nie zamknąć Achillesa w celi na jakiś czas, nim pozwoli mu brać udział w działaniach Hegemonii. Ale taki manewr byłby skuteczny tylko wobec osoby podatnej na ludzkie emocje, takie jak strach czy wdzięczność. Przy Achillesie nie warto było nawet próbować.

Dając Achillesowi tyle czasu, by zdążył się odświeżyć po locie przez Pacyfik i nad Andami, Peter zaprosił go na obiad.

Achilles zjawiał się, oczywiście. Zaskoczył Petera, gdyż zdawało się, że sytuacja nie go nie obchodzi. Podziękował za uratowanie i za posiłek praktycznie tym samym tonem – szczerze, ale bez przesadnej wdzięczności. Rozmawiał swobodnie, uprzejmie, czasem wtrącając zabawne uwagi, ale nie żarty. Nie poruszał tematów politycznych, niedawnych wojen, dlaczego został w Chinach aresztowany. Ani razu nie spytał nawet, dlaczego Peter go ratował i jakie plany ma co do niego.

Nie spytał Petera, czy stanie przed sądem, oskarżony o zbrodnie wojenne.

A jednak zdawało się, że żadnego tematu nie unika. Zdawało się, że wystarczy tylko zapytać, jak to było, tak zdradzić Indie i podbić Tajlandię, wskutek czego cała południowa Azja wpadła mu w ręce niczym dojrzały owoc papai – a Achilles opowie kilka anegdotek na ten temat, po czym spokojnie zacznie omawiać porwanie dzieci z grupy Endera.

Ale Peter nie poruszał tych spraw, więc Achilles skromnie powstrzymał się od rozmowy o swoich osiągnięciach.

– Zastanawiałem się – rzekł Peter – czy chciałbyś zrobić sobie wakacje od pracy na rzecz pokoju na świecie. Czy może wolałbyś pomóc nam w tym czy owym.

Achilles nie mrugnął nawet okiem na gorzką ironię, jakby brał te słowa za dobrą monetę.

– Nie wiem, czybym się przydał – odparł. – Ostatnio byłem kimś w rodzaju orientalisty. Chociaż przyznaję, sytuacja, w jakiej znaleźli mnie twoi żołnierze, dowodzi, że chyba nie najlepszym.

– Bzdura. Każdy popełnia błędy od czasu do czasu. Podejrzewam, że twoim błędem były zbyt liczne sukcesy. Buddyzm, taoizm czy konfucjanizm naucza, że błędem jest robić coś w sposób doskonały? Ponieważ budzi to urazę i zawiść, a zatem wcale nie jest doskonałe.

– Nie, chyba mówili to Grecy – stwierdził Achilles. – Perfekcja budzi zazdrość bogów.

– Albo komuniści – dodał Peter. – Trzeba ścinać każde źdźbło trawy, które wyrasta wyżej niż pozostałe.

– Jeśli sądzisz, że mogę się na coś przydać, chętnie zrobię wszystko, co leży w granicach moich możliwości.

– Dzięki, że nie powiedziałeś „w granicach moich skromnych możliwości”. Obaj wiemy, że jesteś mistrzem wielkiej gry, a ja na przykład nigdy nie próbowałbym zmierzyć się z tobą twarzą w twarz.

– Jestem pewien, że wygralbyś bez trudu.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał Peter, rozczarowany tym, co po raz pierwszy zabrzmiało jak pochlebstwo.

– Ponieważ trudno jest wygrywać, kiedy przeciwnik trzyma wszystkie karty.

Zatem nie pochlebstwo, ale realistyczna ocena sytuacji.

Albo... może jednak pochlebstwo, ponieważ oczywiście Peter wcale nie trzymał wszystkich kart. Achilles z pewnością zachował sporo atutów i poszuka okazji, by z nich skorzystać.

Peter odkrył, że Achilles potrafi być miłym rozmówcą. Był nieco małomówny. Poruszał się dość wolno, co mogło być przyzwyczajeniem jeszcze sprzed operacji nogi. Nie starał się zdominować konwersacji, choć nie milczał krępująco. Był właściwie nijaki. Czarująco nijaki – czy coś takiego w ogóle jest możliwe?

Peter jadł z nim obiad trzy razy w tygodniu i przy każdym spotkaniu zlecał nowe zadanie. Dał mu papier listowy i adres w sieci, które namaszczały go jako „asystenta Hegemona”. Oczywiście znaczyło to jedynie tyle, że w świecie, gdzie władza Hegemona opierała się na

tych marniejących resztkach jedności, wymuszonej na ludzkości podczas wojny z Formidami, Achilles zyskał cień cienia władzy.

– Nasz autorytet – zauważył Peter przy drugim obiedzie – ciąży bardzo delikatnie na uprężu rządów tego świata.

– Konie wydają się tak zadowolone, jakby wcale nie były kierowane – odparł Achilles, bez uśmiechu podejmując żart.

– Kierujemy tak umiejętnie, że nigdy nie musimy używać ostróg.

– I bardzo dobrze, bo ostatnio nie ma ich tu w nadmiarze.

Ale fakt, że w kwestii realnej władzy Hegemonia była właściwie niemal pustą skorupą, nie oznaczał, że nie było nic do roboty. Wręcz przeciwnie. Kiedy nie ma się władzy – Peter wiedział o tym doskonale – nie można wpływać na ludzi, wzbudzając strach, ale można przekonywaniem, że ma się do zaoferowania pewne korzyści. Z dziesięcioleci, kiedy ludzkością władał triumwirat Hegemona, Polemarchy i Strategosa, pozostały jeszcze liczne instytucje i tradycje.

Nowo sformowane rządy w wielu krajach powstały na dość wątpliwych podstawach prawnych; wizyta Petera często bardzo im pomagała stworzyć iluzję legalności. Pewne kraje winne były Hegemonii pieniądze, a nie nie było możliwości odebrania długu, Hegemon mógł zyskać wdzięczność, demonstracyjnie rezygnując z nagromadzonego oprocentowania, oficjalnie w rewanżu za szlachetne czyny danego rządu. Dlatego kiedy Słowenia, Chorwacja i Bośnia wysłały flotę z pomocą dla Włoch po trzęsieniu ziemi i powodzi w Wenecji, te trzy kraje otrzymały w zamian umorzenie części długów. „Wasza wielkoduszna pomoc prowadzi do zjednoczenia świata, a to wszystko, co Hegemonia ma nadzieję osiągnąć”. Głowom państw dawało to szansę na pozytywne komentarze i czas dla siebie w widach.

Wiedzieli też, że dopóki nic ich to nie kosztuje, warto utrzymywać Hegemonię w grze, ponieważ oni i Liga Islamska były jedynymi grupami otwarcie sprzeciwiającymi się chińskiej ekspansji. A jeśli Chiny skierują swoją uwagę poza granice opanowanego już imperium? A jeśli świat za Chińskim Murem nagle będzie musiał się zjednoczyć, aby przetrwać? Czy nie lepiej mieć na tę okazję sprawnego Hegemona, gotowego do objęcia przywództwa? A Hegemon, choć młody, jest przecież bratem wielkiego Endera Wiggina, prawda?

Nie należało też zapominać o mniej ważnych zadaniach. Archiwa Hegemonii musiały uzyskać fundusze z miejscowych źródeł. Centrale policyjne Hegemonii na całym świecie dysponowały danymi, które winny pozostać pod jej kontrolą, chociaż instytucje były utrzymywane przez władze lokalne. W ramach działań wojennych popełniono wiele zbrodni, a wciąż jeszcze żyło wielu ludzi, którym zależało, by archiwa te pozostały niedostępne. Były też inne, potężne osoby, które chciały mieć pewność, że archiwa nie zostaną zniszczone. Peter dbał o to, by żadne kłopotliwe materiały nie ujrzały światła dziennego. Nie wahał się jednak dać do zrozumienia niechętnemu do współpracy rządowi, że nawet jeśli przejmie wszystkie

archiwa na swoim terenie, to są jeszcze inne, dysponujące duplikatami wszelkich danych, a znajdujące się pod kontrolą ich rywali.

To jak chodzenie po linie... Każde negocjacje, każdą wymianę, przysługę mu wyświadczoną i przysługę oddaną Peter rozważał z równą starannością. Ważne było, by zawsze otrzymywał więcej, niż daje, tworząc iluzję, że ma większe wpływy i władzę niż w rzeczywistości.

Bo im bardziej wierzyli w jego wpływy i władzę, tym więcej ich realnie posiadał. Rzeczywistość dalece nie dorównywała iluzji, ale tym ważniejsze było, by podtrzymywać iluzję w sposób możliwie doskonały.

Przy tym mógł mu pomóc Achilles.

A ponieważ z pewnością użyje wszelkich możliwości dla własnej korzyści, warto było pozwalać mu na szeroki zakres działań. To skłoni go do odkrycia planów w taki sposób, że muszą to wykryć systemy skanujące.

„Nie złapiesz ryby, jeśli w jednej ręce trzymasz haczyk, a w drugiej przynętę. Trzeba połączyć je razem i zaczepić na długiej żyłce”. Ojciec Petera powtarzał to często, co sugerowało, że biedaczysko uważał to zdanie raczej za odkrywcze niż oczywiste. Ale było oczywiste, ponieważ było prawdziwe. Aby zmusić Achillesa do wyjawienia tajemnic, Peter musiał mu pozwolić na nieskrępowane kontakty ze światem zewnętrznym.

Nie mógł przy tym za bardzo mu tego ułatwiać, gdyż wtedy Achilles zorientowałby się, o co chodzi. Dlatego Peter z udawanym zakłopotaniem poinformował go o surowych restrykcjach nałożonych na połączenia gościa z siecią.

– Rozumiesz chyba, że masz zbyt bogatą historię, żebym tak po prostu dał ci carte blanche – tłumaczył. – Z czasem, oczywiście, ograniczenia mogą być cofnięte, ale na razie wolno ci pisać tylko listy bezpośrednio dotyczące wykonywanych zadań, a wszystkie twoje prośby o wysłanie e-maila muszą uzyskać zgodę mojego biura.

Achilles uśmiechnął się tylko.

– Jestem przekonany, że poczucie większego bezpieczeństwa z nawiązką wynagrodzi opóźnienia w realizacji zleceń.

– Mam nadzieję, że wszyscy będziemy bezpieczni – odparł Peter.

Wtedy chyba najwyraźniej obaj przyznali, że łączą ich relacje dozorca i więźnia, czy może raczej monarchy i potrójnie zdradzieckiego dworzanina.

Ale ku rozczarowaniu Petera, jego systemy szpiegujące wykazywały... zero. Jeśli Achilles wysyłał zaszyfrowane wiadomości do dawnych sprzymierzeńców, Peter nie potrafił tego wykryć. Osiedle Hegemonii znajdowało się w radiowym błęku, to znaczy, że żadne transmisje elektroniczne nie mogły tu docierać ani stąd wychodzić inaczej niż przez instrumenty kontrolowane i monitorowane przez Petera.

Czy to możliwe, że Achilles nawet nie próbuje nawiązać kontaktu z siatką współpracowników, których wykorzystywał w okresie swej zdumiewającej – a przy odrobinie szczęścia permanentnie przerwanej – kariery?

Może kolejnymi zdradami sam spalił te kontakty? Jego ludzie w Rosji musieli zrezygnować. Kontakty w Indiach i Tajlandii stały się bezużyteczne. Ale na pewno miał działającą siatkę w Europie i obu Amerykach.

A może znalazł jakiegoś sprzymierzeńca na terenie Hegemonii? Kogoś, kto wysyła dla niego wiadomości, dostarcza informacji, wykonuje zlecenia?

W tym momencie Peter musiał sobie przypomnieć wyczyn własnej matki, kiedy tylko Achilles się tu zjawiał. Wszystko zaczęło się podczas pierwszego spotkania z Achillesem – wtedy główny dozorca wszystkich budynków osiedla zameldował, że pani Wiggin najpierw próbowała zwyczajnie wziąć klucz do pokoju przybysza, a kiedy została przyłapana, poprosiła, a potem go zażądała. Tłumaczyła się, że musi sprawdzić, czy *empregadas* lepiej się postarały przy sprzątaniu pokoju tak ważnego gościa niż u niej w domu.

Kiedy Peter zapytał ją e-mailem o przyczyny takiego zachowania, zrobiła się nerwowa. Od dawna była sfrustrowana tym, że nie ma nic istotnego do roboty. Na próżno jej przypominał, że może kontynuować swoje badania i pisać o nich, a z kolegami może się porozumiewać pocztą elektroniczną – jak wielu naukowców z jej dziedziny czyniło z wyboru. Upierała się, że chce być włączona do spraw Hegemonii. „Tak jak wszyscy”, powtarzała. Peter uznał, że ta „gospodarska” wizyta wynikała z tego rodzaju myślenia.

Teraz jednak można to było tłumaczyć inaczej. Czy matka próbowała zostawić Achillesowi wiadomość? A może chodziło o coś bardziej materialnego, na przykład usunięcie z pokoju pluskiew? Nie, to absurd – co mama wie o podsłuchu elektronicznym?

Peter oglądał zarejestrowaną na widzie próbę kradzieży klucza, a potem konfrontację z *empregada*, która matkę przyłapała, jeszcze później zaś z gospodynią. Mama była dumna, rozkazująca, niecierpliwa.

Nigdy jeszcze nie widział jej takiej.

Kiedy oglądał tę scenę po raz drugi, zdał sobie sprawę, że matka od początku jest spięta. Nie czuła się pewnie w swej roli. A przyłapana nie reagowała szczerze. Zdawało się, że nagle jest kimś innym, karykaturą matki władcy – próżną i dumną ze swego bliskiego związku z Hegemonem.

Udawała.

Udawała całkiem dobrze – dozorca i *empregada* uwierzyli w to przedstawienie. Peter także, za pierwszym razem.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mama umie tak dobrze grać.

Wręcz doskonale; rozpoznał tę grę wyłącznie dlatego, iż nigdy nawet najdrobniejszym gestem nie zdradziła, że jego władza robi na niej wrażenie, że cieszy ją z jakiegokolwiek

powodów. Zawsze raczej denerwowało ją wszystko to, co musieli z ojcem robić ze względu na zajmowane przez syna stanowisko.

A jeśli Theresa Wiggin z tego widu była prawdziwą Theresą Wiggin, a ta, którą widywał w domu przez tyle lat, to tylko maska, rola – całkiem dosłownie – życia?

Czy to możliwe, że mamę łączyło coś z Achillesem? Że jakoś ją skłonił do współpracy? To mogło się zdarzyć przed rokiem albo jeszcze dawniej. Z pewnością nie wchodziło w grę przekupstwo. Może jednak została zmuszona – na przykład groźbą Achillesa: „Mogę zabić twojego syna, kiedy tylko zechcę, więc lepiej zgódź się na współpracę”?

Ale to przecież bezsensowne. Teraz, kiedy Achilles znalazł się we władzy Petera, czemu miałyby się nadal obawiać takich grózb? Musiało chodzić o coś innego.

Albo nic innego. To nie do pomyślenia, żeby mama go zdradziła. Z dowolnego powodu. Powiedziałyby mu. Pod tym względem była jak dziecko; okazywała każdą emocję – podniecenie, niepokój, gniew, rozczarowanie, zdziwienie. I mówiła to, co przyszło jej na myśl. Nie potrafiłaby dochować takiego sekretu. Peter i Valentine często się śmiali z tego, jak wszystko zdradza – nigdy nie byli zaskoczeni prezentami urodzinowymi czy świątecznymi, ponieważ mama nie umiała zachować nic w tajemnicy. Stale rzucała jakieś podpowiedzi.

Chyba że to również było przedstawienie.

Nie, nie, to już obłąd, to by znaczyło, że mama przez całe życie oszukiwała. A właściwie dlaczego miałyby to robić?

To nie miało sensu, a przecież jakiś sens musiał w tym znaleźć. Dlatego zaprosił ojca do gabinetu.

– Usiądź, tato, na rany boskie. Stoisz tam jak jakiś młody pracownik, który spodziewa się zwolnienia.

– A przynajmniej urlopu – odparł ojciec z wymuszonym uśmiechem. – Twój budżet topnieje z miesiąca na miesiąc.

– Sądziłem, że rozwiążemy ten problem, drukując własne pieniądze.

– Niezły pomysł. Międzynarodowa waluta, w każdym kraju jednakowo bezwartościowa, przez co staje się miarą dla wszystkich innych. Dolar wart jest sto miliardów hegów... To dobra nazwa, nie sądzisz? Hegi... Jen wart jest dwadzieścia bilionów i tak dalej.

– To przy założeniu, że jednak utrzymujemy jej wartość powyżej zera. Wszystkie komputery by padły, gdyby stała się naprawdę bezwartościowa.

– Ale tkwi tutaj pewne zagrożenie. Co będzie, jeśli nasza waluta przypadkiem stanie się coś warta? Może to wywołać depresję, ponieważ inne waluty spadną względem hega.

Peter roześmiał się.

– Obaj mamy dużo pracy – przypomniał ojciec. – W jakiej sprawie chciałeś się ze mną zobaczyć?

Peter pokazał mu wid.

Przez cały czas projekcji ojciec tylko kręcił głową.

– Och, Thereso, Thereso... – wymamrotał pod koniec.

– Co ona próbuje zrobić? – zapytał Peter.

– No cóż, najwyraźniej znalazła metodę zabicia Achillesa, ale metoda wymaga dostania się do jego pokoju. Teraz musi poszukać innej metody.

Peter zdumiał się.

– Zabić Achillesa? Nie mówisz poważnie.

– Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód takiego jej zachowania. Nie myślisz chyba, że naprawdę ją obchodzi, czy jego pokój jest posprzątany? Raczej zaniósłaby tam kosz karaluchów i zakażonych wszy.

– Nienawidzi go? Nigdy o tym nie wspominała.

– Tobie nie – zauważył ojciec.

– Czyli mówiła ci, że chce go zabić?

– Oczywiście że nie. Gdyby mówiła, nic bym ci nie powiedział. Nie zdradziłbym jej zaufania. Ale że nie uznała za stosowne poinformować mnie, co się dzieje, mogę spokojnie wyjawić ci swoje domysły. A jak się domyślam, Theresa uznała, że Achilles stanowi zagrożenie dla ciebie, nie wspominając już o całym ludzkim rodzaju. Więc postanowiła go zabić. To całkiem rozsądne, kiedy już zrozumiesz, w jaki sposób myśli twoja matka.

– Mama nie zabiłaby nawet pająka.

– Ależ zabija je bez większych problemów, kiedy ciebie i mnie nie ma w pobliżu. Nie przypuszczasz chyba, że stoi na środku pokoju i piszczy wniebogłosy, dopóki któryś z nas nie wróci, prawda?

– Chcesz mi wmówić, że mama zdolna jest do morderstwa?

– Zabójstwa uprzedzającego – poprawił go ojciec. – I nie, nie uważam, by była do niego zdolna. Ale uważam, że wydaje się jej, że jest zdolna. – Zastanowił się. – I wiesz, może mieć rację. Podobno w każdym gatunku samice są o wiele groźniejsze od samców.

– Przecież to nie ma sensu – stwierdził Peter.

– W takim razie chyba zmarnowałeś czas swój i mój, sprowadzając mnie tutaj. Pewnie zresztą i tak się mylę. Na pewno istnieje inne, rozsądne wytłumaczenie. Na przykład... naprawdę martwi się, jak służące wypełniają swoje obowiązki. Albo ma nadzieję na romans z psychopatycznym mordercą, który próbuje zapanować nad światem.

– Dzięki, tato – rzekł Peter. – Bardzo mi pomogłeś. Teraz już wiem, że wychowała mnie kobieta obłąkana, a ja nic nie zauważyłem.

– Peter, mój chłopcze, nie znasz żadnego z nas.

– Niby co chcesz przez to powiedzieć?

– Obserwujesz i badasz wszystkich innych, ale twoja matka i ja jesteśmy dla ciebie jak powietrze: oddychasz nami, nie zwracając uwagi, że jesteśmy. Ale to nic złego, tacy powinni być rodzice w życiu swoich dzieci. Miłość bezwarunkowa, tak? Nie wydaje ci się, że to jest właśnie różnica między tobą i Achillesem? Że ty miałeś kochających rodziców, a on nie?

– Kochaliście Endera i Valentine – stwierdził Peter. Wymknęło mu się to zdanie, zanim uświadomił sobie, co mówi.

– A ciebie nie? – upewnił się ojciec. – Aha. No to się pomyliłem. W takim razie nie ma żadnej różnicy w wychowaniu twoim i Achillesa. Właściwie szkoda. Miłego dnia, synu.

Peter próbował go jeszcze zawołać, ale ojciec udał, że nie słyszy. Odszedł, pogwizdując „Marsylianke” – też sobie wybrał melodię...

No dobrze; jego podejrzenia co do mamy są oczywiście nonsensowne, choć ojciec powiedział to w dość pokręconym stylu. Ależ mu się trafiła błyskotliwa rodzina – każdy ze wszystkiego robił zagadkę albo dramat. Albo komedię. Przecież ją właśnie odegrał przed chwilą z ojcem. Farsę. Spektakl absurdu.

Jeśli Achilles ma tu współpracownika, zapewne nie jest to żadne z rodziców Petera. W takim razie kto? Czy powinien wyciągnąć jakieś wnioski z tego, jak rozmawiał z Achillesem Suriyawong? Oglądał widowe nagrania ich rzadkich wspólnych posiłków; nie poruszali żadnych ważnych tematów, rozmawiali tylko o tym, nad czym obecnie pracowali. Jeśli był w tym jakiś szyfr, to bardzo subtelny. Przecież nie zostali nawet przyjaciółmi, ich rozmowy zawsze były sztywne i oficjalne. Jeśli już coś w nich Petera niepokoiło, to sposób, w jaki Suriyawong zawsze formułował swoje wypowiedzi, by brzmiały służalczo.

Nie zachowywał się tak wobec Groszka ani wobec Petera.

Tę sprawę należy przemyśleć: co naprawdę zaszło pomiędzy Achillesem i Surim podczas akcji ratunkowej, a potem lotu do Brazylii?

Co za głupoty, uznał Peter. Jeśli Achilles ma tu sprzymierzeńca, z pewnością komunikują się za pośrednictwem skrzynek kontaktowych, zaszyfrowanych wiadomości w e-mailach... stosują zwykłe metody szpiegowskie.

Sprzymierzeniec na pewno nie podejmowałby głupich prób wdarcia się do pokoju Achillesa. Na pewno Achilles nie narażałby życia, tolerując tak tępych sojuszników. A Suriyawong... Jak Achilles w ogóle może liczyć, że go przekona? Przecież nie ma już wpływów w cesarstwie Chin, więc raczej nie może wykorzystać krewnych Suriego jako zakładników.

Nie. Peter musi nadal obserwować, nadal utrzymywać elektroniczny nadzór – dopóki nie dowie się, co planuje Achilles w celu udaremnienia działań Petera albo zajęcia jego stanowiska.

Było absolutnie niemożliwe, by Achilles zwyczajnie zrezygnował, a teraz starał się znaleźć dla siebie jakieś miejsce w tej jasnej przyszłości świata zjednoczonego pod władzą Petera Wiggina.

Ale miło by było, gdyby jednak zrezygnował.

Może nadszedł czas, by zaprzestać już prób nauczania się czegoś od Achillesa i zacząć przygotowywać możliwości jego usunięcia.

Rodzaj ludzki

From: unready%cincinnatus@anon.set
To: Demosthenes%Tecumseh@freeamerica.org
Subject: Jeśli ci pomogę

A więc, panie Cudowne Dziecko Hegemonie, kiedy nie jesteś już Demostenesem z freeamerica.org, czy jest jakiś powód, żeby opowiadanie ci, co takiego widzę z nieba, nie było zdradą?

From: Demosthenes%Tecumseh@freeamerica.org
To: unready%cincinnatus@anon.set
Subject: Dlatego

Dlatego, że tylko Hegemonia realnie robi coś w sprawie Chin i aktywnie stara się wyciągnąć Rosję i Układ Warszawski z łóżka Pekinu.

From: unready%cincinnatus@anon.set
To: Demosthenes%Tecumseh@freeamerica.org
Subject: Bzdury

Widzieliśmy, jak twoja mała armia wyciąga kogoś z konwoju więziennego na drodze w Chinach. Jeśli to był ten, o kim myślimy, nie ma szans, żebyś jeszcze kiedyś

dowiedział się czegoś ode mnie. Moje info nie jest przeznaczone dla psychopatycznych megalomanów. Oprócz ciebie, naturalnie.

From: Demosthenes%Tecumseh@freeamerica.org

To: unready%cincinnatus@anon.set

Subject: Słuszna uwaga

Słuszna uwaga. Ryzykowne. Lepiej tak: jeśli jest coś, co powinienem wiedzieć, ponieważ ja mogę działać, a ty nie, zrzuć to do mojego byłego gł-dow na serwer, który podam ci z IComeAnon. Będzie wiedział, co z tym zrobić. Nie pracuje już dla mnie z tego samego powodu, dla którego ty nie chcesz pomóc. Ale nadal jest po naszej stronie – i, FYI, ja też jestem nadal po naszej stronie.

Profesor Anton nie miał laboratorium ani biblioteki. W jego domu nie było ani jednego egzemplarza profesjonalnego czasopisma – nic, co by sugerowało, że był kiedyś uczonym. Groszka to nie zaskoczyło. W czasach kiedy MLO ściagała wszystkich badających możliwości wprowadzania zmian w ludzkim genomie, Antona uważano za jednego z najniebezpieczniejszych ludzi. Skazano go na blokadę, co znaczyło, że przez wiele lat nosił w mózgu urządzenie wywołujące atak paniki, gdy tylko spróbował się skoncentrować na swojej dziedzinie badań. Raz znalazł w sobie dość siły, by zasugerować siostrze Carlotcie więcej niż powinien na temat stanu Groszka. Ale poza tym został wyłączony u szczytu kariery.

Teraz blokadę zniesiono, ale było już za późno. Mózg za dobrze się nauczył omijać specjalistyczne rozważania. Nie było już powrotu.

– Żaden problem – oświadczył Anton w rozmowie. – Nauka posuwa się dalej beze mnie. Na przykład mam w płucach nową bakterię, która po trochu likwiduje mojego raka. Nie mogę już palić, bo wtedy nowotwór rośnie szybciej, niż bakteria może go pochłaniać. Ale czuję się coraz lepiej, a nie musieli mi w tym celu wycinać płuca. Przespacerujmy się... Teraz naprawdę lubię spacerować.

Podążyli za nim przez ogród do frontowej bramy. W Brazylii ogrody zakładano przed domami, tak że przechodnie mogli zaglądać przez ogrodzenie, a zieleń i kwiaty ozdabiały ulice. W Katalonii, tak jak we Włoszech, ogrody kryły się na centralnym dziedzińcu, a ulica nie zyskiwała niczego prócz otynkowanych murów i ciężkich drewnianych drzwi. Groszek nie zdawał sobie sprawy, że zaczął myśleć o Ribeirão Preto jak o domu; teraz tęsknił za tym miasteczkiem, idąc uroczą, ale pozbawioną życia uliczką.

Wkrótce dotarli do *rambla*, szerokiej centralnej ulicy, która we wszystkich nadbrzeżnych miasteczkach prowadziła z boku do morza. Zbliżało się południe i *rambla* pełna była

zapracowanych ludzi. Anton wskazywał sklepy i budynki, opowiadając o ich właścicielach albo o tych, którzy mieszkali tu i pracowali.

– Widzę, że włączył się pan w życie miasta – zauważyła Petra.

– Powierzchnownie – odparł Anton. – Jako stary Rosjanin, od lat przebywający na wygnaniu w Rumunii, jestem tu ciekawostką. Rozmawiają ze mną, ale nie o sprawach, które ciążą im na duszy.

– To dlaczego nie wróci pan do Rosji? – zapytał Groszek.

– Och, Rosja... Tyle spraw w Rosji... Samo wspomnienie o nich budzi pamięć wspaniałych dni mojej kariery, kiedy brykałem w jądrze ludzkiej komórki niczym owieczka. Ale rozumiecie, takie myśli budzą u mnie lekką panikę. Zatem... nie chcę wracać tam, gdzie coś mi przypomina dawne czasy.

– Przecież teraz pan o tym myśli – zauważył Groszek.

– Nie, wypowiadam tylko słowa na ten temat. A poza tym, gdybym nie zamierzał o tym myśleć, nie zgodziłbym się na spotkanie z wami.

– Mimo to woli pan na mnie nie patrzeć.

– No cóż... – westchnął Anton. – Jeśli widzę cię tylko kątem oka, jeśli nie myślę o myśleniu o tobie... Jesteś jedynym owocem, jaki wydało drzewo moich teorii.

– Było nas kilkunastu, może więcej. Ale zostali wymordowani.

– Ty przeżyłeś. Inni nie. Jak sądzisz, dlaczego?

– Schowałem się w rezerwarze w toalecie.

– Tak, tak – rzucił Anton. – Wspominała o tym siostra Carlotta, niech Bóg ma w opiece jej duszę. Ale dlaczego ty i nikt inny wymknąłeś się z łóżeczka do łazienki i ukryłeś w tak niebezpiecznym i trudno dostępnym miejscu? Nie miałeś jeszcze roku. Nad wiek rozwinięty, rozpaczliwie pragnący przeżyć, a przecież genetycznie identyczny ze swoimi siostrami i braćmi, *da*?

– Sklonowany – odparł Groszek. – Czyli... Tak.

– Nie wszystko tkwi w genetyce. Nie wszystko tkwi w czymkolwiek. Tyle jeszcze zostało do sprawdzenia... A ty jesteś jedynym nauczycielem.

– Niewiele wiem na ten temat. Jestem żołnierzem.

– Twoje ciało nas nauczy. Każda jego komórka.

– Przykro mi – odparł Groszek – ale nadal ich używam.

– Tak jak ja nadal używam swojego mózgu – stwierdził Anton. – Chociaż nie chce mnie zabrać tam, dokąd najbardziej chciałbym dotrzeć.

Groszek spojrzał na Petrę.

– Po to mnie tu sprowadziłaś? – zapytał. – Żeby profesor Anton mógł się przekonać, jaki duży urosłem?

– Nie – odparła krótko Petra.

– Sprowadziła cię – wtrącił Anton – żebym mógł cię przekonać, że jesteś człowiekiem.

Groszek westchnął. Miał ochotę teraz odejść, wziąć taksówkę na lotnisko, przelecieć do innego kraju i być sam. Z dała od Petry i jej wymagań.

– Profesorze Anton – powiedział. – Zdaję sobie sprawę, że manipulacje genetyczne, które stworzyły moje zalety i moje wady, mieszczą się w granicach wariacji zwykłych dla ludzkiego gatunku. Wiem, że nie ma powodów, by przypuszczać, że jeśli połączę się z kobietą, nie zdoła przyjść na świat zdolne do życia potomstwo. Oraz że moje geny muszą być dominujące. Mogę spłodzić dzieci z moimi cechami, mogę spłodzić dzieci bez nich. Dajmy temu spokój. Czy możemy zwyczajnie przespacerować się nad morze?

– Ignorancja nie jest tragedią. Jest tylko jej możliwością. Ale wiedzieć i odrzucać tę wiedzę to już głupota.

Groszek zerknął na Petrę. Unikała jego wzroku. Tak, musiała wiedzieć, jaki jest zdenerwowany, a jednak nie chciała mu pomóc w wyjściu z tej sytuacji.

Muszę ją kochać, pomyślał. Inaczej nie chciałbym z nią mieć nic wspólnego; ciągle jej się wydaje, że lepiej ode mnie wie, co jest dla mnie dobre. Mam to w aktach: jestem najmądrzejszym facetem na świecie. Więc dlaczego tylu ludzi próbuje udzielać mi rad?

– Będziesz żył krótko – odparł Anton. – A pod koniec będziesz cierpiał, fizycznie i emocjonalnie. Wyróśniesz za duży dla tego świata, za duży dla swojego serca. Ale zawsze umysłowo byłeś zbyt wielki jak na zwyczajne życie, *da*? Zawsze stałeś osobno. Ktoś obcy. Człowiek z nazwy, ale tak naprawdę nienależący do gatunku, wykluczony ze wszystkich klubów.

Do tej chwili słowa Antona tylko Groszka irytowały, przepływały obok niczym spadające liście. Teraz uderzyły mocno, budząc przypływ bólu i żalu, niemal odbierając oddech. Nie zdołał ukryć wahania, zmiany rytmu kroków, które zdradziły, że te słowa nagle zaczęły do niego docierać. Jaką granicę przekroczył Anton? Bo przekroczył na pewno.

– Jesteś samotny – mówił dalej. – A ludzie nie zostali stworzeni do życia w samotności. Mamy to w genach. Jesteśmy istotami towarzyskimi. Nawet osobnik najbardziej introwertyczny na świecie wciąż jest głodny związków z innymi. Nie jesteś wyjątkiem, Groszku.

Miał łzy w oczach, ale Groszek udawał, że ich nie dostrzega. Nie znosił emocji. Opanowywały go. Osłabiały.

– Powiem ci, co wiem – rzekł Anton. – Nie jako naukowiec... Ta droga może nie jest całkiem przede mną zamknięta, lecz rozmyta, pełna korzeni, i nie chcę nią podążać. Ale może życie jako mężczyzna... Te drzwi wciąż stoją przede mną otworem.

– Słucham – rzucił Groszek.

– Zawsze byłem tak samotny jak ty. Nigdy aż tak inteligentny, ale przecież nie dureń. Poświęciłem się pracy umysłowej, i pozwoliłem, żeby stała się moim życiem. Byłem z tego zadowolony; po części dlatego, że odnosiłem sukcesy, co sprawiało mi wiele satysfakcji, a po części dlatego, że nie miałem skłonności, by patrzeć na kobiety z pożądaniem. – Anton

uśmiechnął się blado. – W tamtych czasach, w latach mojej młodości, rządy większości krajów wspierały tych z nas, u których instynkt rozmnażania został spięty na krótko; zachęcały, by realizować takie żądze, a nie wiązać się z partnerką i mieć dzieci. Był to element próby skierowania całej ludzkiej aktywności ku walce z obcym najeźdźcą. A zatem można niemal uznać, że z patriotycznego obowiązku nawiązywałem przelotne romanse, które nic nie znaczyły i nie prowadziły donikąd. A dokąd mogłyby prowadzić?

To więcej, niż chciałbym o tobie wiedzieć, myślał Groszek. To nie ma żadnego związku ze mną.

– Mówię ci to – ciągnął Anton – żebyś zrozumiał, że i ja wiem co nieco o samotności. Ponieważ potem nagle odebrano mi moją pracę. Usunięto mi ją nie tylko z codziennych zajęć, ale i z umysłu. Nie mogłem nawet o niej myśleć. I wtedy szybko odkryłem, że moje przyjaźnie nie są... no, trwale. Wszystkie wiązały się z pracą, a kiedy ją straciłem, odeszli przyjaciele. Nie byli okrutni, kontaktowali się, wykonywali miłe gesty... ale zwyczajnie nie mieliśmy o czym mówić; nasze umysły i serca nie stykały się w żadnym punkcie. Odkryłem, że nie znałem nikogo ani mnie nikt nie znał.

I znowu Groszek poczuł w sercu ukłucie bólu. Tym razem był przygotowany, więc odetchnął tylko głębiej i uspokoił się szybko.

– Złościłem się, naturalnie. Kto by się nie złościł? I wiesz, o czym wtedy myślałem?

Groszek nie chciał powiedzieć głośno tego, co natychmiast przyszło mu do głowy: o śmierci.

– Nie o samobójstwie, skąd. Za silna była we mnie chęć życia. Nie czułem depresji. Byłem wściekły. Właściwie nie tak: byłem w depresji, ale wiedziałem, że zabijając się, pomogę tylko swoim wrogom, czyli rządowi, osiągnąć cel bez brudzenia sobie rąk. Nie, wcale nie chciałem umrzeć. Chciałem, pragnąłem z całego serca... zacząć żyć.

– Dlaczego mam wrażenie, że pora na piosenkę? – wtrącił Groszek. Ta sarkastyczna uwaga wymknęła mu się mimowolnie.

Ku jego zaskoczeniu Anton parsknął śmiechem.

– Tak, to przecież straszny banal i powinno się go podkreślić piosenką o miłości, prawda? Sentymentalnym tekstem, jak to nie żyłem naprawdę, dopóki nie spotkałem ukochanej, a teraz nad morza czystym błękitem nieba jaśniejje czasza, gwiazdy błyszczą przed świtem, przetrwa miłość nasza.

Petra wybuchnęła śmiechem.

– Minął się pan z powołaniem – stwierdziła. – Rosyjski Cole Porter.

– Ale wcale nie żartowałem – zapewnił Anton. – Kiedy mężczyzna ma życie skrzywione tak, że nie czuje pożądania, nie zmienia to jego tęsknoty, by nadać życiu sens. Szuka czegoś, co go przetrwa. Pewnego rodzaju nieśmiertelności. Sposobu, by zmienić świat, by jego życie coś znaczyło. Ale na próżno... Odsunięto mnie, istniałem tylko w odnośnikach cudzych artykułów. I wszystko sprowadziło się do jednego... jak zawsze. Możesz zmienić świat, jak to

uczyniłeś, Julianie Delphiki, i ty, Petro Arkanian, wy dwoje i wszystkie dzieci, które walczyły, i te, które nie walczyły... Wy wszyscy zmieniliście świat. Ocaliliście świat. Cała ludzkość to wasze potomstwo. A jednak... ten świat wydaje się pusty, prawda? Nie odebrali go wam, tak jak kiedyś mnie. Ale czas wam go zabrał. Wasz świat istnieje w przeszłości, gdy wy ciągle żyjecie. Więc czemu to życie ma służyć?

Kamienne stopnie prowadziły w dół, do wody. Groszek miał ochotę po prostu iść przed siebie, zanurzyć się w Morzu Śródziemnym, coraz głębiej, na dnie by spotkał starego Posejdona... A potem jeszcze głębiej, przed tron Hadesa. Jaki sens ma moje życie?

– Znalazłeś nowy cel w Tajlandii – mówił Anton. – A potem celem stało się ocalenie Petry. Ale po co właściwie ją ratowałeś? Wkroczyłeś do legowiska smoka i porwałeś smoczą córkę... Bo taki zawsze sens ma mit, chyba że chodzi o smoczą żonę... A teraz masz ją i... i nie chcesz zrozumieć, co musisz zrobić. Nie: co jej musisz zrobić, ale razem z nią.

Groszek ze znużeniem i rezygnacją spojrzał na Petrę.

– Ilu listów potrzebowałeś, żeby dokładnie wytłumaczyć Antonowi, co ma mi powiedzieć?

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, niemądry chłopcze – upomniął go Anton. – Ona chciała tylko sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób rozwiązania twojego genetycznego problemu. Nie rozmawiała ze mną o twoich osobistych dylematach. O niektórych dowiedziałem się od swojego starego przyjaciela Hyruma Graffa. O niektórych słyszałem od siostry Carlotty. A niektóre dostrzegłem sam, patrząc na was oboje. Wydzielacie tyle feromonów, że mogłyby zapłodnić jaja przelatujących ptaków.

– Nie opowiadam obcym o naszych sprawach – oświadczyła Petra.

– Posłuchajcie mnie oboje. Oto sens życia: by mężczyzna znalazł kobietę, a kobieta znalazła mężczyznę, istotę absolutnie do siebie niepodobną, a potem spłodzili ze sobą dzieci albo mieli je w jakiś inny sposób. I wychowywali je, a potem obserwowali, jak one robią to samo, pokolenie za pokoleniem. Wtedy, umierając, wiedzą, że na stałe są częścią wielkiej sieci życia. Że nie są rozwiązaniem końcem ani odcięta nicią.

– To nie jest jedyny sens życia – odparła Petra, wyraźnie trochę zirytowana.

No co, pomyślał Groszek. Sprowadziłaś mnie tutaj, więc też skosztuj swojego lekarstwa.

– Owszem, tak – upierał się Anton. – Wydaje ci się, że nie miałem czasu, żeby to sobie przemyśleć? Jestem tym samym człowiekiem, z tym samym mózgiem: człowiekiem, który odkrył klucz Antona. Odkryłem też inne klucze, ale odebrali mi moją pracę, więc musiałem znów szukać. I znalazłem. Teraz przekazuję wam wyniki moich... badań. Choć płytka, jest to najważniejsza teza, jaką sformułowałem. Nawet mężczyźni, którzy nie pożądamy kobiet, i kobiety niepożądające mężczyzn, nikt nie jest wyłączony z tego najgłębszego ze wszystkich pragnień: by stać się nierozdzieloną częścią rodzaju ludzkiego.

– Jesteśmy jego częścią niezależnie od tego, co robimy – zauważył Groszek. – Nawet ci z nas, którzy nie są właściwie ludźmi.

– To jest wbudowane w nas wszystkich. Nie tylko popęd płciowy, ten można skierować w dowolną stronę, co często się zdarza. I nie tylko chęć posiadania dzieci, ponieważ wielu wcale ich nie ma, a jednak mogą być wpleceni w sieć. Nie; to pragnienie, by znaleźć inną osobę z tej niezwyklej, przerażającej płci przeciwnej, i żyć wspólnie z nią. Nawet ludzie starzy, niezdolni do prokreacji, nawet ci, którzy wiedzą, że nie mogą mieć dzieci, wszyscy odczuwają to pragnienie. Marzenie o realnym małżeństwie, o dwojgu niepodobnych istotach, stających się, na ile to możliwe, jednym.

– Znam kilka wyjątków – wtrąciła kwaśnym tonem Petra. – Poznałam sporo osób z podejściem typu „nigdy więcej”.

– Nie mówię tu o przyczynach politycznych ani o zranionych uczuciach – wyjaśnił Anton. – Chodzi o cechę, która jest ludzkości absolutnie niezbędna dla przetrwania. O tym, czy czyni nas nie samotnikami, nie zwierzętami stadnymi, ale czymś pomiędzy. Co sprawia, że jesteśmy cywilizowani, a przynajmniej możliwi do ucywilizowania. A ci, którzy zostali odcięci, odseparowani własnymi pragnieniami, pułapkami losu, zakrętami kierującymi ich w inną stronę... Jak ty, Groszku, kiedy zdecydowałeś, że nie urodzi się więcej dzieci z twoim defektem, że swoją śmiercią nikogo nie osierocisz... A więc ci odseparowani nadal tego pragną, pragną nawet bardziej, zwłaszcza jeśli nie chcą tego przyznać. To sprawia, że są gniewni, zgorzkniali, zasmuceni i nie znają przyczyny, a jeśli znają, nie potrafią znieść tej wiedzy.

Groszek nie wiedział i nie dbał o to, czy Anton ma rację, że to pragnienie jest nieuniknione, że występuje u wszystkich ludzi. Podejrzewał, że tak – że taki popęd musi być obecny u wszystkich żywych istot, by zapewnić przetrwanie gatunku, co rozpaczliwie starają się osiągnąć. To nie wola przetrwania – ta jest egoistyczna, a taki egoizm nie prowadzi do niczego. To wola przetrwania gatunku z własnym „ja” wewnątrz niego, jako jego część, połączona z całością – na zawsze jedno z włókien splotu. Teraz to zrozumiał.

– Nawet jeśli ma pan rację – powiedział – czyni mnie to jeszcze bardziej zdecydowanym, by pokonać to pragnienie i nigdy nie mieć dziecka. Z powodów, jakie właśnie pan wymienił. Dorastałem między sierotami. Nie chcę zostawiać następnych po sobie.

– Nie będą sierotami – zauważyła Petra. – Będą miały mnie.

– A jeśli Achilles cię znajdzie i zabije? Liczysz, że okaże miłosierdzie i zrobi dla naszych dzieci to samo, co Volescu dla moich braci? I co ja straciłem przez to, że byłem taki wściekle sprytny?

W oczach Petry błysnęły łzy. Odwróciła się.

– Jesteś kłamcą, kiedy tak mówisz – stwierdził Anton. – W dodatku okrutnym, mówiąc to do niej.

– Powiedziałem prawdę – upierał się Groszek.

– Jesteś kłamcą – powtórzył Anton. – Ale wydaje ci się, że to kłamstwo jest niezbędne, więc nie chcesz się wycofać. Wiem, na czym to polega... Zachowałem zmysły, otaczając się

kłamstwami. Wierząc w nie. Ale znam prawdę. Jeśli odejdziesz z tego świata, nie pozostawiając dzieci, nie wiążąc się z tak obcą istotą jak kobieta, twoje życie nie będzie miało dla ciebie znaczenia. Umrzesz w goryczy, samotny.

– Jak pan...

– Nie. Nie jak ja.

– A co, nie ma pan zamiaru umierać? To, że zablokowali raka, nie znaczy jeszcze, że coś innego w końcu pana nie zabije.

– Nie, źle mnie zrozumiałeś. Żenię się.

Groszek parsknął śmiechem.

– Teraz rozumiem. Jest pan szczęśliwy i chciałby pan, żeby inni dzielili z panem to szczęście.

– Kobieta, z którą mam się ożenić, jest dobra. Czula. Ma małe dzieci, którym brak ojca. Moje skłonności się nie zmieniły, ale ona wciąż jest dość młoda; może kiedyś znajdziemy sposób, by urodziła dziecko, które będzie naprawdę moje. A jeśli nie, adoptuję jej dzieci w sercu. Dołączę do sieci. Moja nić wplecie się, zwiąże z ludzkim rodzajem. Nie umrę samotny.

– Cieszę się pańskim szczęściem – rzekł Groszek, zaskoczony, jak gorzko i nieszczerze to zabrzmiało.

– Tak... ja też się cieszę. Oczywiście, wyjdę na tym fatalnie. Przez cały czas będę się martwił o dzieci... Już się martwię. A dogadanie się z kobietami jest trudne nawet dla mężczyzn, którzy ich pożądam... dla nich może szczególnie. Ale widzicie, to wszystko nabierze sensu.

– Mam własne zadania – oświadczył Groszek. – Rodzaj ludzki staje wobec przeciwnika w pewnym sensie niemal tak strasznego, jak kiedyś Formidzi. I nie sądzę, żeby Peter Wiggin zdołał go powstrzymać. Szczerze mówiąc, moim zdaniem wygląda to, jakby Peter Wiggin lada moment miał przegrać wszystko na jego korzyść, a wtedy kto pozostanie, by mu się przeciwstawić? To właśnie moja praca. Gdybym był tak niemądry i egoistyczny, żeby ożenić się z wdową po mnie i spłodzić z nią moje sieroty, tylko oderwałoby mnie to od głównego celu. Jeśli zawiodę, cóż... Ile milionów ludzi urodziło się już i odeszło jako luźne nici, kiedy odcięto ich życie? Biorąc pod uwagę historyczne dane o śmiertelności noworodków, może nawet połowa, a co najmniej czwarta część ludzkości. Żywoty bez znaczenia... Będę jednym z nich. Tyle że tym, który przed śmiercią ze wszystkich sił starał się ocalić świat.

Ku jego zaskoczeniu – i przerażeniu – Anton objął go gwałtownie w tym straszliwym rosyjskim uścisku, z którego niczego niepodświadomie przybysz z Zachodu obawia się, że nie wyjdzie żywy.

– Mój chłopcze, jakież ty jesteś szlachetny! – zawołał ze śmiechem uczony, wypuszczając go z objęć. – Sam siebie posłuchaj! Tak pełen młodzieńczego romantyzmu! Ocalisz świat!

– Ja nie wykiwiałem pańskich marzeń!

– Przecież nie kpię z ciebie! Ja ciebie podziwiam. Ponieważ jesteś, choćby tylko w pewnym sensie i w niewielkiej części, moim synem! A przynajmniej bratankiem. I patrzcie no! Żyjesz tylko dla innych!

– Jestem całkowitym egoistą! – zaprotestował Groszek.

– Więc prześpij się z tą dziewczyną! Wiesz, że ci pozwoli! Albo ożeń się z nią i wtedy sypiaj z kimkolwiek, spłodzisz dzieci czy nie, czemu miałbyś się przejmować? Nie liczy się nic, co się dzieje poza twoim ciałem. Twoje dzieci nie są dla ciebie istotne. Jesteś całkowitym egoistą.

Groszek nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Trudno się pozbyć złudzeń – szepnęła Petra, biorąc go za rękę.

– Nikogo nie kocham – oświadczył.

– Stale łamiesz sobie serce z powodu ludzi, których kochasz – odparła. – Tylko nie potrafisz się do tego przyznać, dopóki nie zginą.

Groszek pomyślał o Buch. I o siostrze Carlotcie.

Pomyślał o dzieciach, których nie chciał. Dzieciach, które miałby z Petrą, tą dziewczyną, która zawsze była mądrym i lojalnym przyjacielem, z tą kobietą, którą – jak uświadomił sobie, kiedy myślał, że Achilles mu ją odbierze – kochał najbardziej na świecie. O dzieciach, których nie pragnął, nie pozwalał im zaistnieć, ponieważ...

Ponieważ za mocno je kochał, nawet teraz, kiedy ich nie było. Za mocno je kochał, by skazać na ból, kiedy utracą ojca, by zaryzykować, że będą cierpiały i umrą młodo, gdy nie będzie już nikogo, kto mógłby je ocalić...

Cierpienia, które sam potrafił znieść, im znosić nie pozwalał, gdyż za bardzo je kochał.

I teraz musiał spojrzeć w twarz prawdy: co z tego, że aż tak kocha swoje dzieci, jeśli nigdy się nie urodzą?

Zaszłochał i na chwilę przestał nad sobą panować; zapłakał po kobietach, które kochał, nad własną śmiercią i nad tym, że nie zobaczy, jak jego dzieci dorastają, nie będzie oglądał Petry, która starzeje się przy jego boku, jak to jest przeznaczone kobietom i mężczyznom.

Opanował się i powiedział głośno to, co postanowił – nie w umyśle, ale w sercu.

– Jeśli jest jakiś sposób, by się upewnić, że nie mają... nie będą miały klucza Antona... Wtedy będę miał dzieci. Wtedy ożenię się z Petrą.

Poczuła, jak zaciska palce w jej dłoni. Zrozumiała. Zwyciężyła.

– To proste – stwierdził Anton. – Wciąż odrobinę nielegalne, ale możliwe.

Petra wygrała, ale Groszek zrozumiał, że i on nie przegrał. Nie – jej zwycięstwo należało również do niego.

– Będzie bolało – westchnęła. – Ale jak najlepiej wykorzystajmy to, co mamy. Niech przyszyły ból nie zniszczy obecnego szczęścia.

– Ależ z ciebie poetka – mruknął Groszek.

Ale potem jedną ręką objął Antona za ramiona, drugą Petrę w biodrach, i stał tak między nimi, przez łyżę patrząc na roziskrzane morze.

Po kilku godzinach, po kolacji we włoskiej restauracyjce ze starym ogrodem, po spacerze po *rambla*, wśród rozbawionych, hałaśliwych tłumów mieszkańców, cieszących się ze swej przynależności do ludzkiego rodzaju i świętujących tę okazję lub szukających partnerów, usiedli w saloniku staroświeckiego domu Antona. Jego narzeczona, trochę zakłopotana, zajęła miejsce obok niego; dzieci spały w swoich pokojach.

– Powiedział pan, że to łatwe – przypomniał Groszek. – To znaczy upewnić się, że dzieci nie będą takie jak ja.

Anton przyjrzał mu się w zadumie.

– Tak – przyznał wreszcie. – Jest człowiek, który nie tylko opanował teorię, ale też wykonał całą pracę. Nie destruktywne testy na nowo uformowanych embrionach. Ale wymaga to zapłodnienia *in vitro*.

– Świetnie – mruknęła Petra. – Dziewicze poczęcie.

– To oznacza, że implantacja embrionów może nastąpić nawet po śmierci ojca – wyjaśnił Anton.

– O wszystkim pan pomyślał. Jakie to miłe – rzucił Groszek.

– Nie jestem pewien, czy zechcecie się z nim spotkać.

– Zechcemy – zapewniła Petra. – Szybko.

– Wiele cię z nim łączy, Julianie Delphiki.

– Naprawdę?

– Kiedyś cię porwał, razem z prawie dwoma tuzinami twoich braci. To on przekreślił ten genetyczny klucz nazwany moim imieniem. To on z pewnością by cię zabił, gdybyś nie schował się w toalecie.

– Volescu – powiedziała Petra takim tonem, jakby to imię było kulą, którą trzeba wyłuskać z jej ciała.

Groszek zaśmiał się ponuro.

– On jeszcze żyje?

– Niedawno wyszedł z więzienia – odparł Anton. – Prawa się zmieniły. Manipulacje genetyczne nie są już zbrodnią przeciw ludzkości.

– Ale dzieciobójstwo jest nadal. Prawda?

– Formalnie i według prawa nie jest morderstwem, jeśli dzieci nie miały formalnego prawa istnienia. O ile pamiętam, zarzut dotyczył usuwania dowodów winy. Ponieważ spalił ciała.

– Proszę, niech mi pan powie – odezwała się Petra – że zamordowanie Groszka nie jest całkowicie legalne.

– Pomiędzy wtedy a teraz pomogłeś ocalić świat – przypomniał Anton. – Myślę, że polityczna strona sytuacji wygląda nieco inaczej.

– Co za ulga – mruknął Groszek.

– Czyli ten niemorderca, ten usuwacz dowodów winy... – przypomniała Petra. – Nie wiedziałam, że go pan znał.

– Nie znałem. Nie znam. Nigdy jeszcze go nie spotkałem, ale napisał do mnie. Jego list przyszedł dzień przed listem Petry. Nie wiem, gdzie jest teraz, ale mogę was skontaktować. Dalej poradzicie sobie sami.

– Czyli w końcu będę mógł poznać legendarnego wuja Constantine’a – stwierdził Groszek. – Czy też, jak nazywa go ojciec, kiedy chce rozzłościć mamę, jego brata-bękarta.

– A jak właściwie wydostał się z więzienia? – zapytała Petra.

– Wiem tylko tyle, ile sam mi zdradził. Ale, jak powiedziała siostra Carlotta, ten człowiek jest kłamcą aż do szpiku kości. Wierzy we własne kłamstwa. A w takim razie, Groszku, może się uważać za twojego ojca. Zapewniał ją, że ciebie i twoich braci sklonował z siebie.

– I pan uważa, że to on powinien nam pomóc w poczęciu? – spytała Petra.

– Uważam, że jeśli chcecie mieć dzieci pozbawione drobnego kłopotu Groszka, tylko on może wam pomóc. Oczywiście, wielu lekarzy potrafi zniszczyć embriony i potem wam powiedzieć, czy odziedziczyłyby twoje talenty i twoje przekleństwo. Ale ponieważ mój kluczyk nigdy nie został przekręcony przez Naturę, nie istnieje niedestrukcyjny test, który by go wykrywał. A żeby skłonić kogoś do opracowania takiego testu, musiałbyś poddać się badaniom lekarzy, z których każdy uważałby cię za szczebel do kariery. Największa przewaga Volescu polega na tym, że on wie już dużo o tobie i raczej nie powinien się chwalić, że cię znalazł.

– Więc niech pan nam poda jego adres e-mailowy – poprosił Groszek. – Dalej poradzimy sobie sami.

8

Cele

From: Betterman%CroMagnon@HomeAddress.com [FREE e-mail! Sign up a friend!]
To: Humble%Assistant@HomeAddress.com [JESUS loves you! ChosenOnes.org]
Subject: Dziękuję za pomoc

Drogi Anonimowy Dobroczyńco,

wprawdzie siedziałem w więzieniu, ale nie chowałem się pod korcem. Wiem, kim jesteś, i wiem, czego dokonałeś. Kiedy więc proponujesz mi szansę kontynuacji badań, przerwanych wyrokiem dożywocia, a także sugerujesz, że dzięki tobie zmieniono zarzuty i zmniejszono mi wyrok, muszę podejrzewać jakiś ukryty motyw.

Myślę, że chcesz wykorzystać to moje przypuszczalne spotkanie z owymi przypuszczalnymi osobami, aby je zlikwidować. Jak Herod pytający Trzech Królów, gdzie jest nowo narodzony władca, by mógł także oddać mu cześć.

From: Humble%Assistant@HomeAddress.com [Don't go home ALONE! LonelyHearts]
To: Betterman%CroMagnon@HomeAddress.com [Your ADS get seen! Free Email!]
Subject: Źle mnie oceniasz

Drogi doktorze,

źle mnie pan ocenia. Nie jestem zainteresowany niczyją śmiercią. Chcę, żeby pomógł im pan spłodzić dzieci pozbawione wszelkich darów i problemów ojca. Niech ich pan zrobi nawet tuzin.

Ale jeśli przy okazji trafi pan na miłe, małe embrionki wyposażone w ojcowskie talenty, niech ich pan nie odrzuca. Niech je pan zachowa zdrowe i bezpieczne – dla mnie. Dla nas. Są ludzie, którzy z radością będą uprawiać zagon groszków.

Jan Paweł Wiggin już przed laty zauważył, że wychowywanie dzieci nie jest tak wspaniałym zajęciem, jak się powszechnie twierdzi. Teoretycznie powinno gdzieś istnieć coś takiego jak normalne dziecko – jednak nie trafiło jakoś nigdy w pobliże jego domu.

Co nie znaczy, że nie kochał swoich dzieci. Kochał. Bardziej, niż mogły się domyślać; bardziej chyba nawet, niż sam przypuszczał. W końcu człowiek nigdy nie wie, jak bardzo kogoś kocha, do chwili kiedy nastąpi sprawdzian. Czy zginąłby dla tej osoby? Czy rzuciłby się na granat, stanął przed pędzącym samochodem, torturowany dochował tajemnicy, żeby ocalić jej życie? Większość nigdy nie poznaje odpowiedzi na te pytania. A nawet ci, którzy wiedzą, nigdy nie są pewni, czy powodem była miłość, poczucie obowiązku, szacunek dla samego siebie, warunkowanie kulturowe czy jeszcze inne z wielu możliwych wyjaśnień.

Jan Paweł Wiggin kochał swoje dzieci. Ale albo nie miał ich dość, albo miał zbyt wiele. Gdyby miał więcej, to fakt, że dwójka odleciała do jakiejś odległej kolonii, z której nie zdołają powrócić za jego życia, nie byłby może taki straszny. W domu zostałoby przecież jeszcze kilka, by cieszyć się nimi, pomagać im, być dumnym tak, jak rodzice chcą być dumni ze swych dzieci.

Albo gdyby miał o jedno mniej... Gdyby rząd nie zażądał od nich trzeciego potomka... Gdyby Andrew nigdy się nie urodził, gdyby nie przyjęli go do programu, z którego odrzucili Petera, może patologiczna ambicja Petera utrzymałaby się w rozsądnych granicach. Może jego zazdrość, rozgoryczenie, jego pragnienie, by dorównać bratu, nie skaziłoby mu życia, nie przesłoniło cieniem nawet najradośniejszych chwil...

Oczywiście, gdyby Andrew się nie urodził, cała planeta mogłaby być teraz przeorana tunelami kopców Formidów, a ludzkość zredukowana do kilku obszarpanych band ukrywających się na jakichś nieprzyjaznych terenach, takich jak Ziemia Ognista, Grenlandia albo Księżyc.

Zresztą nie chodziło o to rządowe zamówienie. Mało kto o tym wiedział, lecz Andrew prawie na pewno został poczęty, zanim przyszło polecenie. Jan Paweł nie był aż tak dobrym katolikiem, dopóki nie uświadomił sobie, że prawa kontroli populacji nie pozwalają mu nim zostać. Wtedy – ponieważ był upartym Polakiem albo buntowniczym Amerykaninem, albo szczególną mieszaniną genów i pamięci zwaną Janem Pawłem Wiczorkiem – okazało się, że nie ma nic ważniejszego, niż być dobrym katolikiem. Zwłaszcza jeśli chodzi o niepodporządkowanie się prawom kontroli populacji.

Takie było założenie w ich małżeństwie z Theresą. Ona nie była katoliczką – co dowodzi, że Jan Paweł nie przestrzegał wszystkich reguł aż tak ściśle – ale pochodziła z tradycyjnej, licznej rodziny. Jeszcze przed ślubem zgodzili się, że będą mieli więcej niż dwoje dzieci, niezależnie od tego, ile miałyby ich to kosztować.

W końcowym rozrachunku nic ich to nie kosztowało. Przeciwnie – byli podziwiani jako rodzice zbawcy ludzkości.

Tyle że nigdy nie zobaczą ślubu Andrew ani Valentine, nie poznają ich dzieci. Zapewne nie pożyją dość długo, by się dowiedzieć, że ich statek wreszcie dotarł na tę kolonizowaną planetę.

A teraz stali się tylko dodatkami do życia dziecka, które lubili najmniej.

Chociaż prawdę mówiąc, Jan Paweł nie odczuwał do Petera aż takiej niechęci jak jego matka. Może dlatego że sam stanowił dla Petera rozsądną przeciwwagę – mógł być dla niego użyteczny. Tam, gdzie Peter próbował robić setki różnych rzeczy jednocześnie, gdzie zonglował swoimi projektami, ale żadnego z nich nie realizował jak należy, Jan Paweł był tym człowiekiem, który stawiał kropkę nad każdym i i przekreślał każde t. Dlatego nikomu dokładnie nie tłumacząc, na czym polega jego praca, pilnie obserwował wszystko, co robił Peter, i pilnował, żeby sprawy były właściwie załatwiane. Gdzie Peter zakładał, że jego podwładni zrozumieją, o co chodzi, i przystosują się, Jan Paweł wiedział, że to niemożliwe; cierpliwie więc im wyjaśniał i sprawdzał, czy wszystko toczy się w odpowiednim kierunku.

Naturalnie, by tego dokonać, musiał udawać, że jest oczami i uszami syna. Na szczęście ludzie, których kierował na właściwą drogę, nie mieli powodów, by iść do Petera i opowiadać mu o wszystkich głupstwach, jakie popełniali, dopóki nie zjawił się Jan Paweł ze swoimi pytaniami, swoimi planami, swoimi uprzejmymi pogawędkami, które jednak nie były otwarcie pouczeniami.

Ale co miał zrobić, kiedy nowy pomysł Petera był do tego stopnia ryzykowny i – tak jest – głupi, że nie miał najmniejszej ochoty pomagać przy jego realizacji?

Jego pozycja w niewielkiej społeczności hegemonistów nie pozwalała na utrudnianie Peterowi działania. Był pomocnikiem, nie biurokratą, omijał problemy, nie piętrzył ich na drodze.

W przeszłości najbardziej obstrukcyjnym działaniem, na jakie mógł sobie pozwolić, był brak działania. Bez jego popychania, poprawek, korygowania sprawy zwalniały bieg i często cały plan upadał.

Ale wobec Achillesa nie miał takiej możliwości. Bestia, jak go nazywali z Theresą, był metodyczny i dokładny, absolutne przeciwieństwo Petera. Zdawało się, że niczego nie pozostawia przypadkowi. Gdyby więc Jan Paweł dał spokój całej sprawie, Achilles osiągnąłby wszystko, co zaplanował.

– Peter, nie masz możliwości kontroli tego, co knuje Bestia – powiedział kiedyś synowi.

– Wiem, co robię, tato – odparł Peter.

– On znajduje czas dla każdego – tłumaczył Jan Paweł. – Przyjaźni się z każdym urzędnikiem, woźnym, każdą sekretarką i biurokratą. Z ludźmi, których mijasz, skinąwszy tylko ręką, albo i tego nie, on siada i rozmawia. Sprawia, że czują się ważni.

– Tak, ma swój wdzięk, trzeba przyznać.

– Peter...

– To nie jest konkurs popularności, tato.

– Nie, to turniej lojalności. Osiągasz dokładnie tyle, ile pozwalają ci osiągnąć ludzie, którzy dla ciebie pracują. Nic więcej. Twoją siłą są urzędnicy publiczni, których zatrudniasz. A on przeciąga ich na swoją stronę.

– Powierzchnownie, być może.

– Dla większości tylko ta powierzchowność się liczy. Działają, kierując się chwilowymi emocjami. A jego lubią bardziej niż ciebie.

– Zawsze jest ktoś, kogo ludzie bardziej lubią – stwierdził Peter ze złośliwym uśmiechem.

Jan Paweł powstrzymał się przed oczywistą ripostą, jednym słowem – ponieważ zdruzgotałoby Petera. To jedno mordercze słowo brzmiałoby „tak”.

– Peter – powiedział zamiast tego – kiedy Bestia wyjedzie, skąd wiesz, ile zostawi za sobą osób, które będą go lubić tak, by od czasu do czasu przekazać jakieś ploteczki? Albo tajny dokument?

– Tato, wdzięczny jestem za troskę. Mogę cię tylko raz jeszcze zapewnić, że panuję nad wszystkim.

– Myślisz chyba, że coś, czego nie wiesz, nie jest warte zainteresowania – oświadczył Jan Paweł, zresztą nie po raz pierwszy.

– A tobie się wydaje, że cokolwiek robię, robię nie dość dobrze – odparł Peter po raz co najmniej setny.

Tak zawsze kończyły się dyskusje. Jan Paweł nie naciskał bardziej. Wiedział, że jeśli będzie stanowczy – jeśli oboje z Theresą staną się zbyt stanowczy – Peter odbierze im wszelkie wpływy.

A to by było nie do zniesienia. Oznaczałoby utratę ostatniego z dzieci.

– Naprawdę powinniśmy mieć jeszcze jedno albo i dwoje dzieci – powiedziała któregoś dnia Theresa. – Wciąż jestem młoda, a zawsze planowaliśmy więcej niż tych troje, na które pozwolił nam rząd.

– Raczej nie – odparł Jan Paweł.

– Dlaczego? Nadal jesteś dobrym katolikiem czy trwało to tylko tak długo, dopóki być dobrym katolikiem oznaczało być buntownikiem?

Janowi Pawłowi nie podobały się sugestie zawarte w tym pytaniu, ponieważ mogły zawierać sporo prawdy.

– Nie, Thereso, skarbie. Nie możemy mieć więcej dzieci, ponieważ nigdy nam nie pozwolą ich zatrzymać.

– Kto? Rząd nie dba już, ile dzieci jeszcze urodzę. Dla nich są tylko przyszłymi podatnikami, dzieciorobami albo mięsem armatnim.

– Jesteśmy rodzicami Endera Wiggina, Demostenesa i Locke’a. Nasze następne dziecko będzie światową sensacją. Obawiałem się tego, zanim jeszcze porwano towarzyszy broni Andrew, ale teraz nie ma już żadnych wątpliwości.

– Według ciebie ludzie uznają, że skoro pierwszych troje było tak...

– Kochanie – przerwał jej Jan Paweł. Wiedział, że nie znosi, kiedy się tak do niej zwraca, gdyż nie potrafił ukryć lekkiego odcienia sarkazmu w głosie. – Wyrwą te dzieci jeszcze z kołyski, tak szybko zaatakują. Dzieci staną się celem od chwili poczęcia, będziemy tylko czekać, aż ktoś przyjdzie i zrobi z nich marionetki w służbie tego czy innego reżimu. A nawet gdybyśmy potrafili je ochronić, każdy moment ich życia będzie zdeformowany ciśnieniem publicznej ciekawości. Jeśli uznaliśmy, że Peter miał rozbite dzieciństwo, bo cały czas żył w cieniu Andrew, pomyśl, co czeka kolejne dzieci.

– Im może być łatwiej – stwierdziła Theresa. – Zawsze będą żyły w cieniu swoich braci.

– To tylko pogorszy sprawę. Nie będą miały pojęcia, kim są naprawdę, poza tym, że są czymś rodzeństwem.

– Tak tylko pomyślałam.

– Naprawdę bym tego chciał – zapewnił ją Jan Paweł. Łatwo było okazywać wielkoduszność, kiedy już się poddała.

– Ja po prostu... brakuje mi dzieci.

– Mnie również. A kiedy pomyślę, że naprawdę byłyby dziećmi...

– Żadne z tych trojga nie było naprawdę dzieckiem – westchnęła ze smutkiem Theresa. – Żadne nie zaznało beztroski.

Jan Paweł roześmiał się głośno.

– Jedyni ludzie, którzy wierzą w dziecięcą beztroskę, to ci, którzy nie pamiętają własnego dzieciństwa.

Theresa zastanowiła się przez chwilę i także parsknęła śmiechem.

– Masz rację – przyznała. – Wszystko jest albo rajem na ziemi, albo końcem świata.

Ta rozmowa miała miejsce jeszcze w Greensboro, kiedy Peter ujawnił już swoją prawdziwą tożsamość, a zanim jeszcze otrzymał praktycznie pusty tytuł Hegemona. Potem rzadko do niej wracali.

Ale teraz sam pomysł wydawał się o wiele bardziej atrakcyjny. Bywały dni, kiedy Jan Paweł miał ochotę wrócić do domu, wziąć Theresę w ramiona i powiedzieć: „Kochanie” – a nie byłby ani odrobinę sarkastyczny – „mam tu nasze bilety w przestrzeń. Lecimy do kolonii. Zostawiamy za sobą ten świat i wszystkie jego zmartwienia. Nowe dzieci zrobimy sobie w kosmosie, gdzie nie będą mogły ocalić świata ani nim zawładnąć”.

A potem Theresa spróbowała wejść do pokoju Achillesa i Jan Paweł naprawdę zaczął się zastanawiać, czy napięcie, w jakim żyła, nie wpłynęło na jej procesy myślowe.

Właśnie dlatego, że tak go zaniepokoił jej wyczyn, przez kilka dni świadomie nie próbował o tym rozmawiać. Czekał, czy nie zacznie sama.

Nie zaczęła. Ale właściwie nie spodziewał się tego.

Kiedy uznał, że zbladł już pierwszy rumieniec zakłopotania i Theresa może rozmawiać, nie próbując się bronić, poruszył temat pewnego wieczoru przy deserze.

– Rozumiem, że chcesz zostać gosposią – powiedział.

– Zastanawiałam się, jak długo wytrzymasz – stwierdziła z uśmiechem.

– A ja się zastanawiałem, kiedy sama zaczniesz – odparł Jan Paweł, z uśmiechem równie jak jej ironicznym.

– Teraz już się nie dowiesz.

– Sądzę – oznajmił Jan Paweł – że planowałeś go zabić.

Theresa roześmiała się.

– Ależ oczywiście. Dostałam takie zlecenie od swojego nadzorcy.

– Tak przypuszczałem.

– Żartowałam – stwierdziła szybko.

– Ale ja nie. Czy chodzi o coś, co powiedział Graff? Czy przeczytałaś powieść szpiegowską?

– Nie czytuję powieści szpiegowskich.

– Wiem.

– To nie było zlecenie – wyjaśniła. – Ale owszem, rozmowa z nim podsunęła mi taką myśl. Najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich byłoby, żeby Bestia nie opuścił Brazylii żywy.

– Szczerze mówiąc, wcale tak nie uważam – stwierdził Jan Paweł.

– Dlaczego? Nie myślisz chyba, że stanowi jakąś wartość dla świata?

– Ujawnił wszystkie plany, prawda? Zmusił wszystkich do pokazania, o co im naprawdę chodzi.

– Nie wszystkich. Jeszcze nie.

– Wiadomo, kto stoi po której stronie. Świat podzielił się na obozy. Ambicje zostały odkryte. Zdrajcy ujawnieni.

– Czyli sprawa jest zakończona. Nie jest już potrzebny.

– Nigdy nie sądziłem, że jesteś morderczynią.

– Nie jestem.

– Ale miałaś plan, prawda?

– Sprawdzalam tylko, czy jakikolwiek plan byłby realny... Czy zdołam się dostać do jego pokoju. Odpowiedź brzmi: nie.

- No tak. Czyli główny cel się nie zmienił. Potrzebne są tylko inne metody.
- Prawdopodobnie tego nie zrobię – oświadczyła Theresa.
- Zastanawiam się, ilu zabójców sobie to powtarzało, do chwili kiedy pociągali za spust, wbijali nóż albo podawali zatrute daktyle.
- Możesz się ze mną nie drażnić? Nie interesuje mnie polityka ani możliwe reperkusje. Jeśli zabicie go ma kosztować Petera Hegemonię, nie dbam o to. Nie mam zamiaru spokojnie patrzeć, jak Bestia pożera mojego syna.
- Jest lepszy sposób – oświadczył Jan Paweł.
- Oprócz zabicia go?
- Trzeba usunąć go z miejsca, gdzie może zabić Petera. To przecież nasz prawdziwy cel. Nie uratujemy świata przed Bestią, ale ocalimy Petera. Jeśli zabijemy Achillesa...
- Nie przypominam sobie, żebym ci proponowała udział w moim straszliwym spisku.
- ...wtedy owszem, Bestia jest skończony, ale także wiarygodność Petera jako Hegemona. Już na zawsze będzie splamiony, jak Makbet.
- Wiem, wiem...
- A zależy nam przecież na splamieniu Bestii, nie Petera.
- Zabicie go będzie bardziej ostateczne.
- Zabójstwo stwarza męczennika, legendę, ofiarę. Zabójstwo daje ci świętego Thomasa Becketa. I pielgrzymów z Canterbury.
- A co przewiduje twój lepszy plan?
- Skłonimy Bestię, żeby zabił nas.
- Theresa spojrzała na niego zdumiona.
- Nie pozwolimy, żeby mu się udało – dodał Jan Paweł.
- A ja myślałam, że to Peter uwielbia skrajnie ryzykowne zagrywki. Wielkie nieba, Janie P., właśnie mi pokazałeś, skąd się bierze jego szaleństwo. Niby jak zamierzasz zaaranżować wydarzenia, żeby ktoś spróbował cię zabić niemal publicznie, został wykryty, a równocześnie skąd możesz mieć pewność, że mu się nie uda?
- Nie pozwolimy mu wystrzelić – odparł trochę zniecierpliwiony Jan Paweł. – Musimy jedynie zgromadzić dowody na to, że przygotowuje zamach. Peter będzie musiał go odesłać. A my już dopilnujemy, żeby wszyscy wiedzieli dlaczego. Ja może budzę tu pewną niechęć, ale ciebie ludzie naprawdę lubią. Nie spodoba im się, że Bestia planował skrzywdzić ich „Dóce Theresa”.
- Ale ciebie przecież nikt nie lubi – przypomniała. – Co będzie, jeżeli ty zginiesz pierwszy?
- Wszystko jedno...
- A skąd będziemy wiedzieli, co planuje?

– Ponieważ we wszystkich komputerach systemu zainstalowałem programy odczytu klawiatury oraz soft monitorujący jego działania. Nie ma sposobu, by ułożył jakiś plan, nie wysyłając do nikogo e-maila, choćby całkiem pustego.

– Potrafię wymyślić sto powodów, z których jeden jest taki, że chce sam to zrobić, nikomu nic nie mówiąc.

– Wtedy będzie musiał sprawdzić nasz rozkład zajęć, prawda? Zrobi coś budzącego podejrzenia. Coś, co będę mógł pokazać Peterowi i zmusić go, żeby się pozbył tego chłopaka.

– Czyli metodą zastrzelenia Bestii jest wymalowanie sobie wielkiej tarczy na czole? – rzuciła niechętnie Theresa.

– Czy to nie wspomniały plan? – Jan Paweł zaśmiał się z absurdalności tego pomysłu. – Ale naprawdę nie umiem wymyślić nic lepszego. Za to nie jest nawet w przybliżeniu tak marny jak twój. Naprawdę wierzyłaś, że zdołasz kogokolwiek zabić?

– Niedźwiedzica broni swoich młodych – przypomniała mu Theresa.

– Wchodzisz w to razem ze mną? Obiecujesz, że nie dosypiesz mu do zupy zabójczego środka przeczyszczającego?

– Pomyślę nad twoim planem, kiedy przedstawiś jakiś, który naprawdę ma szansę powodzenia.

– Doprowadzimy do usunięcia stąd Bestii – obiecał Jan Paweł. – Tak czy inaczej.

Taki był plan, który – jak wiedział Jan Paweł – nie był żadnym planem, ponieważ Theresa właściwie nie obiecała, że zrezygnuje ze swych zamiarów.

Kłopot polegał na tym, że kiedy sprawdzał wyniki monitorowania działań Achillesa w sieci, otrzymywał komunikat: „Nie używano komputerów”.

To był absurd. Jan Paweł wiedział, że chłopak korzysta z komputerów, ponieważ sam dostał od niego kilka wiadomości – niewinnych zapytań, ale w ich nagłówkach był adres, jaki Peter przydzielił Bestii.

Nie mógł przecież spytać nikogo wprost, dlaczego programy szpiegowskie nie rejestrują logowań Achillesa i nie notują jego uderzeń w klawisze. Wiadomość się rozniesie, a Jan Paweł nie będzie się wydawał tak niewinną ofiarą, gdy już intryga Achillesa – jakakolwiek by była – wyjdzie na jaw.

Nawet kiedy na własne oczy widział, jak Achilles loguje się i wysyła wiadomość, dzienny raport – potwierdzający, że monitor klawiatury działał na tej maszynie – wciąż nie wykazywał żadnej aktywności.

Jan Paweł zastanawiał się nad tym długo. Próbował sobie wyobrazić, w jaki sposób Achilles zdołał ominąć jego oprogramowanie, nie logując się przynajmniej raz.

Aż w końcu przyszło mu do głowy, żeby wydać swojemu programowi inne polecenie: „Listuj wszystkie dzisiejsze logowania z tego komputera”.

Po kilku sekundach zobaczył raport: „Żadnych logowań”.

I żadnych wejść z sąsiednich maszyn. Ani z tych dalszych. Najwyraźniej nikt w całej Hegemonii nie korzystał tego dnia z sieci.

A że ludzie łączyli się z siecią przez cały czas, wśród nich sam Jan Paweł, taki wynik nie był możliwy.

Znalazł Petera na spotkaniu z Ferreira, brazylijskim ekspertem komputerowym, który zajmował się zabezpieczeniami systemu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział. – Ale nawet lepiej, jeśli wyjaśnię sprawę, kiedy jesteście tu obaj.

Peter zirytował się wyraźnie, ale odpowiedział uprzejmie.

– Proszę, mów.

Jan Paweł starał się wymyślić jakieś niewinne wytłumaczenie faktu, że prowadził działania szpiegowskie w całej sieci Hegemonii, ale nie potrafił. Powiedział więc prawdę: że próbował szpiegować Achillesa. Nie wyjaśniał, co zamierzał zrobić z uzyskanymi informacjami.

Kiedy skończył, Peter i Ferreira śmiali się – gorzko i ironicznie, ale jednak.

– Co w tym zabawnego?

– Tato, nie przyszło ci do głowy, że mamy w systemie soft wykonujący te same zadania?

– Jakiego programu pan używa? – spytał Ferreira.

Jan Paweł powiedział, a Ferreira westchnął.

– W normalnej sytuacji mój soft wykryłby go i wykasował – wyjaśnił Peterowi. – Ale twój ojciec ma uprzywilejowany dostęp do sieci. Tak bardzo uprzywilejowany, że moje programy musiały zostawić jego w spokoju.

– Dlaczego przynajmniej nie zameldowały? – zdziwił się zdenerwowany Peter.

– Jego wyłapuje przerwania, moje jest natywne, systemowe – wyjaśnił Ferreira. – Kiedy już jego soft przeszedł przez barierę i zainstalował się w systemie, nie było czego raportować. Oba programy wykonują te same zadania, tyle że w innych momentach cyklu pracy. Odczytują wciśnięcie klawisza, po czym przekazują informację do systemu, a ten do wyjściowego programu. I notują klawisz we własnym logu. Ale oba programy czyszczą bufor, żeby ten sam klawisz nie został odczytany dwukrotnie...

Peter i Jan Paweł wykonali równocześnie ten sam gest – unieśli dłonie do czoła i zasłonili oczy. Zrozumieli natychmiast, oczywiście.

Wciśnięcia klawiszy były rejestrowane przez program Ferreira albo Jana Pawła – ale nie przez oba naraz. Czyli oba logi zawierały tylko ciągi przypadkowych liter, nietworzące niczego sensownego. Nic tam nie przypominało logowania – chociaż ludzie bez przerwy logowali się do systemu z mnóstwa komputerów.

– Czy da się jakoś połączyć logi? – spytał Jan Paweł. – Przecież mamy zarejestrowane wszystkie uderzenia klawiszy.

– Mamy też wszystkie litery alfabetu – odparł Ferreira. – I jeśli tylko znajdziemy właściwy ich porządek, te litery utworzą wszystko, co kiedykolwiek napisano.

– Nie jest aż tak źle – zauważył Peter. – Przynajmniej litery zapisane są we właściwej kolejności. Połączenie obu ciągów tak, żeby nabrały sensu, nie powinno być takie trudne.

– Ale musimy połączyć je wszystkie, żeby znaleźć logowania Achillesa.

– Napisz program. Taki, który wyszuka wszystko, co może pochodzić z jego logowań. Wtedy możesz pracować na materiale następującym bezpośrednio potem.

– Napisz program... – mruknął Ferreira.

– To ja napiszę – zaproponował Peter. – Nie mam akurat nic lepszego do roboty.

Ten sarkazm nie zyskuje ci sympatii, Peter, pomyślał Jan Paweł. Z drugiej strony nie istniała możliwość, by przy takich rodzicach sarkazm sam nie cisnął mu się na usta.

– Zajmę się tym – obiecał Ferreira.

– Przykro mi – powiedział Jan Paweł.

Ferreira westchnął.

– Czy nawet przez chwilę pan nie pomyślał, że mamy już na miejscu program, który wykonuje to samo zadanie?

– To znaczy program monitorujący, który będzie mi przysyłał regularne raporty o tym, co pisze Achilles? – rzucił Jan Paweł.

No tak... Peter nie jest tu jedynym specjalistą od sarkazmu. Ale ja przecież nie staram się zjednoczyć świata.

– Nie było powodów, żebyś musiał wiedzieć – odparł Peter.

Nie ma na co czekać...

– Myślę, że Achilles ma zamiar zamordować twoją matkę.

– Tato, przecież on jej nawet nie zna...

– Myślisz, że istnieje jakakolwiek szansa, by nie słyszał, jak to próbowała się dostać do jego pokoju?

– Ale... zamordować? – nie dowierzał Ferreira.

– Achilles nie uznaje półśrodków. A nikt nie jest wobec Petera bardziej lojalny niż ona.

– Nawet ty, tato? – zapytał słodko Peter.

– Ona nie dostrzega twoich wad – skłamał Jan Paweł. – Instynkt macierzyński ją zaślepia.

– Ty nie jesteś tak upośledzony...

– Bo nie jestem twoją matką.

– Moje oprogramowanie i tak powinno to wyłapać – stwierdził Ferreira. – Mogę mieć pretensje tylko do siebie. System nie powinien mieć takiego tylnego wejścia.

– Systemy zawsze je mają – pocieszył go Jan Paweł.

Kiedy Ferreira wyszedł, Peter miał do powiedzenia kilka przykrych słów.

– Wiem, jak zagwarantować mamie całkowite bezpieczeństwo – oświadczył. – Zabierz ją stąd. Lećcie do jakiejś kolonii. Wynieście się i róbcie cokolwiek, ale przestańcie mnie chronić.

– Ciebie chronić?

– Bierzesz mnie za durnia? Myślisz, że uwierzyłem w tę twoją wariacką historię, jak to Achilles chce zabić mamę?

– Aha. Czyli ty tu jesteś jedyną osobą wartą zabójstwa?

– Jestem jedyną, której śmierć usunie Achillesowi z drogi poważną przeszkodę.

Jan Paweł mógł tylko pokręcić głową.

– No więc kto jeszcze? – dopytywał się Peter.

– Nikt więcej, synu – odparł Jan Paweł. – Nikt absolutnie. Wszyscy są bezpieczni, bo przecież Achilles wielokrotnie pokazał, że jest chłopcem w pełni racjonalnym, który by nigdy, ale to nigdy nikogo nie zabił, nie mając po temu jakichś w pełni racjonalnych powodów.

– No, fakt, oczywiście, jest psychotykiem – przyznał Peter. – Nie twierdziłem przecież, że nie jest.

– Tylu psychotyków, a tak mało skutecznych leków – westchnął Jan Paweł i wyszedł.

Tej nocy opowiedział o wszystkim żonie. Theresa jęknęła.

– Czyli robił, co chciał?

– Jestem pewien, że szybko uda się wszystko poskładać – uspokoił ją Jan Paweł.

– Nie, Janie P. Nie jesteśmy pewni, czy uda się wszystko poskładać dostatecznie szybko. Z tego co wiemy, już może być za późno.

Zapłodnienie

To: Stone%Cold@IComeAnon.com
From: Third%Party@MysteriousEast.org
Subject: Stanowczo nie vichyssoise

Nie wiem, kim jesteś, nie wiem, co oznacza ta wiadomość. On jest w Chinach. Byłem tam jako turysta i szedłem ulicą. On podał mi złożoną karteczkę i poprosił, żeby wysłać wiadomość na adres tego remailera, z tematem jak wyżej. No więc przesyłam:

„On myśli, że mu powiedziałem, gdzie będzie Kaligula, ale to nie ja”.

Mam nadzieję, że coś z tego rozumiesz, i że mail do ciebie dotarł, bo wydaje się, że bardzo mu na tym zależało. Co do mnie, to nie wiesz, kim jestem, on także nie, i chciałbym, żeby tak już zostało.

- To nie to samo miasto – stwierdził Groszek.
- Oczywiście, że nie – zgodziła się Petra. – Jesteś wyższy.

Groszek pierwszy raz odwiedził Rotterdam od czasu, kiedy jako bardzo małe dziecko odleciał stąd w przestrzeń, by uczyć się być żołnierzem. Po wojnie, gdy wędrował z siostrą Carlottą, ona ani razu nie zaproponowała, by tu przyjechać. A jemu samemu nie przyszło to do głowy.

Tu jednak przebywał Volescu – był na tyle bezczelny, by osiedlić się w mieście, gdzie go aresztowano. Teraz, oczywiście, nie określał swej pracy badawczą – choć od wielu lat badania takie były nielegalne, naukowcy prowadzili je dyskretnie. I kiedy po wojnie wreszcie mogli publikować wyniki, wszystkie osiągnięcia Volescu pozostawili daleko w tyle.

Dlatego jego gabinet w starym, ale prześlicznym domku w sercu miasta miał skromną tabliczkę: OBSŁUGA BEZPIECZEŃSTWA REPRODUKCJI.

– Bezpieczeństwo – zastanowiła się Petra. – Dziwna nazwa, biorąc pod uwagę, ile dzieci pozabijał.

– Nie dzieci – poprawił ją łagodnie Groszek. – Zakazane eksperymenty uległy przerwaniu, ale żadne prawdziwe, legalne dzieci nie miały z tym żadnego związku.

– A to czyści świnię, tak?

– Za dużo oglądasz widów. Zaczynasz mówić amerykańskim slangiem.

– Pewnie, oglądam, a co jeszcze mam do roboty, skoro ty całe dni spędzasz w sieci, ratując świat?

– Za chwilę mam się spotkać ze swoim stwórcą. A ty narzekasz, że za wiele czasu poświęcam na czysty altruizm.

– On nie jest twoim stwórcą – oświadczyła Petra.

– W takim razie kto? Moi biologiczni rodzice? Oni stworzyli Nikolaia. Ja byłam pozostałą w lodówce resztką.

– Chodziło mi o Boga – wyjaśniła.

– Wiem – zapewnił ją. – Ale nie umiem się pozbyć myśli, że istnieję, bo Bóg mrugnął. Gdyby bardziej uważał, nigdy by do tego nie doszło.

– Nie podpuszczaj mnie w kwestiach religijnych. Nie wchodzę w taką grę.

– Sama zaczęłaś.

– Nie jestem siostrą Carlottą.

– Gdybyś była, nie mógłbym się z tobą ożenić. Taki miałaś wybór? Ja albo klasztor?

Petra roześmiała się i pchnęła go lekko. Bardzo lekko – właściwie był to tylko pretekst, żeby go dotknąć, przekonać się, że należy do niej i ma teraz prawo dotykać go, kiedy tylko zechce, i nikt nie może jej niczego zarzucić. Nawet sam Bóg, gdyż byli już małżeństwem. Wymagano tego przed zapłodnieniem in vitro, aby nie pojawiły się kwestie ojcostwa ani wspólnej własności embrionów.

Konieczność, ale też coś, czego pragnęła.

Kiedy właściwie zaczęło jej na tym zależeć? W Szkole Bojowej, gdy ktokolwiek spytał, za kogo kiedyś wyjdzie za mąż, odpowiadała: „Za durnia, bo nikt mądrzejszy mnie nie zechce”. Gdyby jednak pytający naciskał, i gdyby ufała mu, że nie wypapla, powiedziałaby „Za Dinka Meekera”. W Szkole Bojowej był jej najbliższym przyjacielem.

Dink był nawet Holendrem, ale teraz nie mieszkał w Holandii. Nie miała armii, więc Dink został wypożyczony Anglii – jak świetny piłkarz do innego klubu. Współpracował ze wspólnym sztabem anglo-amerykańskim. Marnował swoje umiejętności, gdyż po obu stronach Atlantyku nie było widać nawet najmniejszej chęci wtrącenia się w ten zamęt, jaki wstrząsał resztą świata.

Nie żałowała, że go tu nie ma. Wciąż zależało jej na nim, wciąż łączyły ich miłe wspomnienia... Może nawet kochała go ciągle tym mglistym, nieco mocniejszym niż czysto platoniczne uczuciem. Ale po Szkole Bojowej, gdzie był zuchwałym buntownikiem rzucającym wyzwanie systemowi, gdzie odmówił dowodzenia armią w sali treningowej i wraz z Petrą przyłączył się do Endera w konflikcie z nauczycielami – po Szkole Bojowej pracowali razem niemal bez przerwy i może trochę za dobrze się poznali. Buntownicza poza zniknęła i Dink okazał się dowódcą błyskotliwym, ale aroganckim. A kiedy skompromitowała się przed nim, kiedy uległa zmęczeniu podczas gry, która okazała się rzeczywista, stało się to barierą między nią a pozostałymi, ale niepokonanym murem między nią a Dinkiem.

Nawet kiedy jeesh Endera został porwany i zamknięty razem w Rosji, ona i Dink przekomarzali się jak za dawnych czasów. Jednak nie poczuła żadnej iskry.

I przez cały ten czas pewnie wyśmiałyby każdego, kto by sugerował, że zakocha się w Groszku, a po zaledwie trzech latach zostanie jego żoną. Ponieważ o ile Dink wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem do jej serca w Szkole Bojowej, Groszek był najmniej prawdopodobnym. Pomagała mu trochę, owszem, tak jak pomagała Enderowi, kiedy zaczynał – ale była to pomoc dość protekcyjna, podanie ręki słabszemu.

W Szkole Dowodzenia zaczęła Groszka szanować, zauważać jego wyczyny. Widziała, że nigdy nie stara się o uznanie w oczach innych, ale robi wszystko, by pomóc przyjaciółom. Zaczęła pojmować, że to jeden z największych altruistów, najbardziej lojalnych ludzi, jakich zna. Co prawda on sam nie dostrzegał u siebie tych cech; zawsze znalazł wyjaśnienie, z którego wynikało, że wszystko, co robi, robi dla własnej korzyści.

Kiedy okazało się, że tylko Groszek nie został porwany, od razu wiedziała, że uczyni wszystko, by ich uratować. Inni mówili, że trzeba się z nim skontaktować, ale zrezygnowali, kiedy im powiedziano, że zginął. Petra nie uwierzyła. Wiedziała, że Achilles nie zdołałby zabić go tak łatwo. Wiedziała, że Groszek znajdzie sposób, by ją uwolnić.

I dokonał tego.

Nie pokochała go dlatego, że ją ocalił. Pokochała, gdyż przez wszystkie te miesiące w niewoli, kiedy bez przerwy musiała znosić złowieszczą obecność Achillesa, jego groźby śmierci splecione z pożądaniem, Groszek stał się marzeniem o wolności. Kiedy myślała o życiu po uwolnieniu, wyobrażała sobie życie przy nim. Nie jako mąż i żona, ale zwyczajnie: kiedy będę wolna, znajdziemy jakiś sposób, żeby pokonać Achillesa. My. My znajdziemy. A to „my” zawsze oznaczało ją i Groszka.

Potem dowiedziała się o jego genetycznej mutacji. O śmierci, jaka czekała go wskutek nadmiernego wzrostu, przekraczającego fizyczne możliwości ciała. I od razu wiedziała, że chce urodzić jego dzieci. Nie dlatego że pragnęła dzieci cierpiących na jakąś dziwną chorobę, która czyniła z nich jaskrawe motyle chwytające słońce tylko przez jeden dzień. Nie; po prostu nie chciała, by Groszek odszedł, nie pozostawiając po sobie potomstwa. Nie mogła znieść myśli o tym, że go straci, rozpaczliwie pragnęła zachować coś, kiedy go zabraknie.

Nie potrafiłaby mu tego wyjaśnić. Sama sobie ledwie to tłumaczyła.

Ale wszystko jakoś ułożyło się nadspodziewanie dobrze. Anton przekonał go szybciej, niż uważała za możliwe.

W rezultacie uwierzyła, że i Groszek – nie zdając sobie z tego sprawy – pokochał ją także. I tak jak ona chciała, by żył nadal w swych dzieciach, tak on chciał, by to ona była matką, która zadba o te dzieci i wykarmi je po śmierci ojca.

Jeśli to nawet nie miłość, wystarczy.

Ślub wzięli w Hiszpanii, a Anton i jego narzeczona zostali świadkami. Niebezpiecznie było zostawać tam tak długo, choć starali się zmniejszyć ryzyko, wynosząc się często ze wszystkimi bagażami, a potem wracając, by zamieszkać w innym miejscu. Ich ulubionym miastem stała się Barcelona, prawdziwie zaczarowana kraina budynków, które wyglądały, jakby wszystkie zaprojektował Gaudi – albo może jakby wyskoczyły ze snów Gaudiego. Ceremonia odbyła się w katedrze Sagrada Familia – jednym z niewielu wciąż stojących autentycznych Gaudich. Nazwa czyniła ją idealną dla ślubów. Oczywiście, *sagrada familia* dotyczyła świętej rodziny Jezusa. Ale to przecież nie znaczy, że nie mogła obejmować też innych rodzin. Poza tym czy dzieci Petry też nie miały być poczęte niepokałaniem?

Miodowy miesiąc w rzeczywistości trwał tydzień, w czasie którego przeskakiwali z wyspy na wyspę w Balearach, rozkoszując się Morzem Śródziemnym i afrykańskimi wiatrami. Był i tak o tydzień dłuższy, niż się spodziewała. Poznawszy charakter Groszka chyba tak dobrze, jak tylko może jedna osoba poznać drugą, Petrę krępowało trochę poznawanie jego ciała – i pozwalanie mu na poznanie swojego. Tu jednak pomógł im Darwin – pasje, które umożliwiały przetrwanie gatunku, ułatwiły wybaczenie sobie nawzajem niezdarności, głupoty, ignorancji i pragnienia.

Brała już pigułki regulujące owulację i inne, by jak najwięcej jajeczek osiągnęło dojrzałość. Nie było możliwości, by poczęli dziecko w sposób naturalny, zanim zacznie się proces zapłodnienia in vitro. Ale mimo to marzyła o tym; dwa razy zbudziła się ze snu, w którym lekarz mówił im łagodnie: „Przykro mi, nie mogę implantować embriona, ponieważ już pani jest w ciąży”.

Nie pozwoliła, by ją to dręczyło. Przecież niedługo i tak będzie nosiła jego dziecko.

Teraz zjawili się w Rotterdamie, by załatwić sprawę. Szukali nie łagodnego lekarza, ale masowego zabójcy, który jedynie przypadkiem oszczędził życie Groszka. Ten człowiek miał im dać dziecko, które nie umrze jako olbrzym w wieku dwudziestu lat.

– Jeśli zaczekamy dostatecznie długo – odezwał się Groszek – zamkną gabinet.

– Nie – odparła Petra. – Volescu będzie czekał nawet całą noc, żeby cię zobaczyć. Jesteś jego eksperymentem, który się udał mimo jego tchórzostwa.

– Miałem wrażenie, że to mój sukces, nie jego.

Przytuliła się do jego ramienia.

– To był mój sukces – oświadczyła.

– Twój? A to czemu?

– Bo w końcu ja zdobyłam wszystkie trofea.

– Gdybyś powiedziała coś podobnego w Szkole Bojowej, wszystkie armie by się z ciebie nabijały.

– Bo wszystkie armie składały się z niedojrzałych dzieciaków. Dorośli nie uważają takich spraw za wstydlive.

– Owszem, uważają – zapewnił ją Groszek. – Tylko w tym krótkim okresie dojrzewania ekstrawagancko romantyczne uwagi uznawane są za poezję.

– Taka jest potęga hormonów, że choć doskonale pojmujemy biologiczne przyczyny naszych uczuć, wciąż je odczuwamy.

– Nie wchodźmy tam – zaproponował Groszek. – Wracajmy do motelu i poodpoczywajmy jeszcze trochę.

Pocałowała go.

– Wejdźmy i zróbmy dziecko.

– Spróbujmy zrobić dziecko – poprawił ją. – Nie pozwolę ci urodzić takiego, które ma przekreślony klucz Antona.

– Wiem.

– I mam twoje słowo, że embriony z kluczem Antona będą usunięte.

– Oczywiście – rzekła.

To mu wystarczyło, choć była pewna, że zauważy: nigdy właściwie nie wypowiedziała tych słów. Może sam to zrobił, podświadomie, i dlatego stale się upewniał.

Zachowywała się nieuczciwie, oczywiście, i jak hipokrytka, i czasami miała niemal wyrzuty sumienia, ale co się stanie po jego śmierci, to już naprawdę nie jego interes.

– No dobrze – rzekł.

– Tak – odpowiedziała. – Pora iść na spotkanie z dzieciobójcą, *né*?

– Chyba nie powinniśmy mu tego mówić prosto w twarz, nie sądzisz?

– A od kiedy niby się przejmujesz dobrymi manierami?

Volescu był szczurem, tak jak Petra się spodziewała. Udawał rzeczowego, grając rolę wybitnego naukowca, ale wiedziała, co kryje się pod tą maską. Poznawała to po tym, że nie mógł oderwać wzroku od Groszka, po tym, jak mierzył go w myślach. Chciała rzucić jakąś złośliwą uwagę, że więzienie dobrze mu zrobiło, że przytył i teraz musi dużo spacerować... Ale w końcu ten człowiek miał im wybrać dziecko, więc nie warto było go drażnić.

– Wprost uwierzyć nie mogłem, że mamy się spotkać – powiedział Volescu. – Wiedziałem od tej zakonnicy, która mnie odwiedziła, że jedno z was przeżyło, i ucieszyłem się. Byłem już wtedy w więzieniu, przed czym właśnie miało mnie uchronić zniszczenie dowodów. Czyli w efekcie nie musiałem ich niszczyć. Żałowałem tego. I nagle ona się zjawia

i mówi, że to jedno zagubione żyje. To było jak promyk nadziei wśród ciemnej nocy rozpaczy. A teraz jesteś tutaj.

Raz jeszcze od stóp do głów zmierzył Groszka spojrzeniem.

– Tak – rzekł Groszek. – Jestem tutaj i jestem bardzo wysoki jak na swój wiek, co wyraźnie stara się pan ustalić.

– Przepraszam – powiedział Volescu. – Wiem, że sprowadziła cię tu całkiem inna sprawa. Bardzo ważna sprawa.

– Jest pan pewien, że test na klucz Antona jest absolutnie pewny i nondestruktywny?

– Przecież istniejesz, prawda? Jesteś sobą, prawda? Nie trzymalibyśmy tu żadnych embrionów, u których gen nie zadziałał. Mieliśmy bezpieczny i niezawodny test.

– Każdy z klonowanych embrionów był prowadzony do kolejnych stadiów. Gen zadziałał u wszystkich?

– W tamtych czasach byłem naprawdę dobry z wirusami aktywnymi. To umiejętność, która nawet dzisiaj nie jest specjalnie poszukiwana w procedurach dotyczących ludzi, jako że korekty genetyczne nadal są nielegalne.

Volescu parsknął, ponieważ wszyscy wiedzieli, że w różnych częściach świata interesy z preparowanymi genetycznie dziećmi rozwijają się znakomicie, umiejętność zmian genomu jest w cenie bardziej niż kiedykolwiek. Volescu prawie na pewno z tego właśnie żył, a Holandia była jednym z najbezpieczniejszych miejsc do prowadzenia takiej praktyki.

Petra, słuchając go, czuła narastający niepokój. Volescu kłamał; zmiana jego zachowania była niewielka, ale po miesiącach obserwacji najdrobniejszych niuansów reakcji Achillesa – co było warunkiem przetrwania – Petra potrafiła to zauważyć. Dostrzegła oznaki oszustwa: energiczny ton, zbyt pewny siebie, zbyt jowialny. Dłonie bez przerwy dotykające kitla, ołówek w kieszeni...

O czym kłamię?

Kiedy się chwilę zastanowiła, odpowiedź stała się oczywista.

Nie ma żadnego testu. Kiedy Volescu tworzył Groszka, tylko wprowadził do organizmów aktywnego wirusa, który powinien przekształcić wszystkie komórki embrionów. A potem czekał, który z nich przeżyje i który będzie miał klucz Antona. Tak się złożyło, że przeżyły wszystkie. Ale niekoniecznie wszystkie miały klucz.

Może dlatego spośród ponad dwadzieścioro dzieci ocalał tylko Groszek?

Może tylko u niego zmiana zakończyła się sukcesem. Może był jedynym z kluczem Antona. Tylko on posiadał tę niesamowitą inteligencję, która już rocznemu dziecku pozwoliła uświadomić sobie zagrożenie, uciec z kojca, ukryć się w rezerwuarze i czekać tam, póki nie minie niebezpieczeństwo.

Na pewno w tym właśnie punkcie kłamał Volescu. Może przez ten czas opracował jakiś test, ale to mało prawdopodobne. Niby po co byłby mu potrzebny? Ale zapewniał, że takim testem dysponował, dzięki czemu mógł... Co by mógł?

Mógłby od nowa zacząć eksperymenty. Zachować pozostałe embriony i zamiast usunąć te z kluczem Antona, zatrzymać je wszystkie, wychowywać i badać. Tym razem to nie jedno na dwadzieścia kilka miałoby klucz – tym razem genetyczna loteria sugerowała obecność klucza Antona u połowy dzieci.

Petra musiała podjąć decyzję. Jeśli powie głośno to, czego jest właściwie pewna, Groszek przyzna jej rację i odwoła cały układ. Skoro Volescu nie potrafi wykonać takiego testu, nie uda się to nikomu. I Groszek nie zechce żadnych dzieci.

Czyli: jeśli chce urodzić dzieci Groszka, musi w tym pomagać Volescu. Nie dlatego że Volescu ma test na klucz Antona, ale dlatego że Groszek w to wierzy.

A co z pozostałymi embrionami? One też będą ich dziećmi, dorastającymi jako niewolnicy, obiekty eksperymentów człowieka całkowicie pozbawionego moralności.

– Wie pan, oczywiście – powiedziała – że nie pan dokona samej implantacji?

Groszek pierwszy raz to usłyszał, ale – przecież to Groszek – uśmiechnął się tylko, by pokazać, że Petra mówi w imieniu ich obojga. Cóż za zaufanie... Nie czuła nawet wyrzutów sumienia, że tak bardzo jej ufa, akurat kiedy ona stara się go oszukać. Może i nie robi tego, czego – jak mu się wydaje – by chciał, ale wiedziała, że robi to, czego najbardziej pragnie gdzieś głęboko w genach.

Volescu za to okazał zdziwienie.

– Co...? O co chodzi?

– Proszę wybaczyć, ale zostaniemy z panem przez cały czas przy procesie zapłodnienia, będziemy pilnować, by każde zapłodnione jajeczko trafiło do szpitala i tam, pod strażą szpitalnej ochrony, pozostało do chwili implantacji.

Volescu poczerwieniał.

– O co próbujesz mnie oskarżać?

– O to, że jest pan człowiekiem, jakim się pan już okazał.

– Wiele lat temu. I zapłaciłem za to.

Groszek już zrozumiał – przynajmniej tyle, by się włączyć, tonem równie swobodnym i lekkim jak Petra.

– Nie mamy co do tego wątpliwości. Ale oczywiście nie chcielibyśmy, żeby któryś z naszych małych embrionów z kluczem Antona obudził się w pokoju pełnym dzieci, które czekają rozmaite niemiłe niespodzianki. Tak jak ja kiedyś.

Volescu wstał.

– Spotkanie skończone.

Petra zamarła. Nie powinna w ogóle się odzywać. Teraz żadnej implantacji nie będzie, a Groszek odkryje...

– Czyli przechodzimy do ekstrakcji jajeczek? – spytał Groszek. – Pora jest odpowiednia. Dlatego zresztą umówiliśmy się właśnie na dzisiaj.

Volescu spojrzał na niego gniewnie.

– Po tym, jak mnie obraziłeś?

– Niech pan nie przesadza, doktorze. Pobiera pan od niej jajeczka, potem ja składam swoją część. Tak to robią łososie. Właściwie całkiem naturalny proces. Choć, jeśli to możliwe, wolałbym pominąć pływanie w górę rzeki.

Volescu przyglądał mu się przez chwilę, po czym uśmiechnął się z przymusem.

– Mój mały krewniak ma niezwykle poczucie humoru.

Petra czekała, bojąc się nawet odetchnąć, a co dopiero odezwać, choć tysiące słów przebiegało jej przez głowę.

– Zgoda, oczywiście, możecie chronić zapłodnione jajeczka, jak tylko macie ochotę. Rozumiem waszą nieufność, choć wiem, że nie ma uzasadnienia.

– W takim razie – rzekł Groszek – kiedy pan i Petra zajmiecie się tym, co należy, wezwę kurierów z centrum płodności, żeby czekali na embriony i natychmiast zabrali je do zamrożenia.

– Miną godziny, zanim osiągniemy ten etap.

– Stać nas, żeby zapłacić za ich czas – zapewniła Petra. – A nie chcemy ryzykować żadnych nieporozumień czy opóźnień.

– Będę musiał jeszcze raz uzyskać dostęp do embrionów – przypomniał Volescu. – Na kilka godzin. Żeby je przetestować i rozdzielić.

– W naszej obecności – ostrzegła. – Oraz specjaliści od płodności, który natychmiast zaimplantuje pierwsze jajeczko.

– Oczywiście. – Volescu znów uśmiechnął się z przymusem. – Zbadam je i usunę...

– Sami usuniemy te, które mają klucz Antona – przerwał mu Groszek.

– To się rozumie samo przez się – zgodził się oschle Volescu.

Nie podobają mu się te zasady, pomyślała Petra. Widziała to w jego oczach, mimo że pozornie zachowywał spokój. Jest wściekły. Jest nawet... tak, zakłopotany. No cóż, to chyba uczucie najbliższe wstydu, jakie zna, więc duża krzywda mu się nie dzieje.

Kiedy szpitalny lekarz, który miał dokonać implantacji, badał Petrę, Groszek zadbał o wynajęcie ochrony. Strażnik miał pilnować „żłóbka” embrionów, jak dowcipnie nazywali to pomieszczenie pracownicy, przez całą dobę, codziennie.

– Ponieważ wyraźnie wpadasz w paranoję – wyjaśnił Petrze – nie mam innego wyjścia, niż cię w tym wyprzedzić.

Przyjęła to z ulgą. Musiało minąć jeszcze kilka dni, nim embriony będą gotowe do implantacji. Volescu starał się pewnie gorączkowo wymyślić jakąś nondestruktywną procedurę wyglądającą jak test genetyczny. Dlatego ucieszyła się, że nie musi tkwić w szpitalu i osobiście pilnować embrionów.

Dało jej to możliwość zwiedzenia miasta, w którym Groszek przeżył dzieciństwo. On jednak postanowił chyba oglądać tylko atrakcje turystyczne i jak najszybciej wracać do

komputera. Wiedziała, że denerwuje się, zostając tak długo w jednym mieście, zwłaszcza że po raz pierwszy miejsce ich pobytu znane było osobie, której nie ufali. Trudno podejrzewać, by Volescu znał kogoś z ich wrogów. Groszek upierał się jednak, by codziennie zmieniali hotel, a wychodząc, mijali kilka przecznic, nim wezwą taksówkę; dzięki temu zastawienie na nich pułapki nie powinno być zbyt proste.

Krył się nie tylko przed wrogami. Unikał także swojej przeszłości w tym mieście. Petra obejrzała plan Rotterdamu i znalazła obszar, na który Groszek wyraźnie nie chciał się zapuszczać. Następnego dnia, kiedy wsiadali do pierwszej taksówki, pochyliła się i podała kierowcy adres.

Już po chwili Groszek zorientował się, dokąd jadą. Zauważyła, jak zesztyniał. Ale nie zrezygnował z jazdy ani nie poskarżył się, że go zmusza. Jak mógłby? Musiałby przyznać, że unika miejsc, które poznał jako dziecko – przyznać się do bólu i lęku.

Nie zamierzała pozwolić, by milczał przez cały dzień.

– Pamiętam, co mi opowiadałeś – odezwała się delikatnie. – Niewiele tego było, ale chciałabym to sama zobaczyć. Może nie będzie zbyt bolesne. Ale nawet jeśli, mam nadzieję, że to zniesiesz. Ponieważ pewnego dnia będę chciała naszym dzieciom opowiedzieć o ojcu. A jak mam powtórzyć te historie, jeśli nie będę wiedziała, gdzie się rozgrywały?

Po krótkiej chwili Groszek skinął głową. Wysiedli i poprowadził ją ulicami swego dzieciństwa, które już wtedy były zapuszczone i zrujnowane.

– Niewiele się tu zmieniło – powiedział. – Właściwie jest tylko jedna różnica: brakuje kryjących się wszędzie tysięcy porzuconych dzieci. Najwyraźniej ktoś zdobył budżet, żeby rozwiązać ten problem.

Zadawała pytania i pilnie słuchała odpowiedzi, aż wreszcie zrozumiał, jak bardzo jest poważna i jak bardzo jej na tym zależy. Zaczął schodzić z głównych ulic.

– Żyłem w zaułkach – wyjaśnił. – W cieniu. Jak sęp czekający na czyjąś śmierć. Musiałem szukać resztek, jakich inne dzieci nie zauważały. Rzeczy wyrzucanych nocą. Odpadków wysypujących się ze śmietnika. Czegokolwiek, co mogło mieć w sobie parę kalorii.

Oparł dłoń o pojemnik na śmieci.

– Ten – powiedział. – Ocalił mi życie. Kiedyś była tam restauracja... Tam gdzie teraz jest sklep muzyczny. Myślę, że człowiek, który codziennie wyrzucał z kuchni odpadki, wiedział, że się tu ukrywam. Większość śmieci wynosił zawsze po południu, za dnia. Starsze dzieciaki zabierały wszystko. A resztki z wieczornych posiłków wynosił na ogół rano. Ale zwykle jeden raz wychodził tutaj po ciemku. Palił papierosa przy śmietniku. A kiedy już skończył i wracał, zawsze coś tu leżało. O tutaj.

Groszek wskazał wąską listwę, element ramy pojemnika, za którą podnosiła go śmieciarka.

– Taki maleńki stolik – szepnęła Petra.

– Chyba on także kiedyś żył na ulicy – mówił Groszek. – Nigdy nie zostawiał nic dużego. Zawsze coś, co mogłem naraz wsunąć do ust, żeby nikt nie widział, że trzymam w ręku jedzenie. Umarłbym bez niego. Trwało to tylko parę miesięcy, nim się skończyło... Pewnie stracił pracę albo przeniósł się gdzie indziej... Nie mam pojęcia, kim był. Ale dzięki niemu żyję.

– Przyjemnie pomyśleć, że ktoś taki może pochodzić z ulicy...

– No owszem, teraz to widzę. Ale wtedy chyba w ogóle o takich rzeczach nie myślałem. Byłem... skupiony. Wiedziałem, że robi to celowo, ale nie interesowały mnie powody. Ważne dla mnie było, że nie zastawiał pułapki ani nie zatruchiwał jedzenia.

– Jak mogłeś wyeliminować taką możliwość?

– Zjadłem pierwsze, co tam położył, i nic się nie stało, a mogłem umrzeć albo zasnąć i obudzić się w jakimś dziecięcym burdelu.

– Były takie miejsca?

– Krążyły pogłoski, że tam właśnie trafiają dzieci, które zniknęły z ulic. Powtarzano też plotki, że są przerabiane na potrawkę w dzielnicy imigrantów. W te nie wierzyłem.

Objęła go ramionami.

– Och, Groszku, co za piekielne miejsce...

– Achilles też stąd pochodzi – przypomniał.

– Nigdy nie był taki mały jak ty.

– Ale był kaleką. Miał krzywą nogę. Musiał być sprytny, jeśli chciał przeżyć. Musiał się bronić, by ktoś go nie zatłukł choćby z tego powodu, że może. Niewykluczone, że stąd się wziął ten przymus eliminacji każdego, kto widział, że jest bezbronny. Dla niego tutaj mógł to być warunek przetrwania.

– Ależ z ciebie prawdziwy chrześcijanin – mruknęła Petra. – Pełen miłosierdzia.

– Skoro już o tym mowa – odpowiedział – zapewne chcesz wychować nasze dzieci na katolików?

– Siostra Carlotta byłaby szczęśliwa, nie sądzisz?

– Była szczęśliwa niezależnie od tego, co robiłem. Bóg to sprawiał. Teraz też jest szczęśliwa, jeżeli w ogóle jest. Taki miała charakter.

– Mówisz, jakby była... okaleczona psychicznie.

– Tak. Nie potrafiła żywić złości. Poważny mankament.

– Ciekawe, czy istnieje na to test genetyczny – rzuciła Petra i natychmiast tego pożałowała. Na pewno nie chciała, by Groszek zaczął myśleć o testach genetycznych i odkrył to, co jej wydawało się całkiem oczywiste: że Volescu nie ma takiego testu.

Odwiedzili też inne miejsca i coraz więcej z nich skłaniało Groszka do opowiadania. To tutaj Buch chowała jedzenie, by nagradzać dzieciaki. Tutaj siostra Carlotta pierwszy raz z nami usiadła, żeby nas uczyć czytać. To było nasze najlepsze zimowe miejsce noclegowe, dopóki większe dzieciaki nie odkryły nas i nie przegoniły.

– A tutaj Buch stała nad Achillesem z pustakiem w rękach – powiedział – gotowa rozwalić mu czaszkę.

– Szkoda, że tego nie zrobiła.

– Była za dobra. Nie potrafiła sobie wyobrazić, ile tkwi w nim zła. Ja zresztą też nie, dopóki nie zobaczyłem, jak tam leży i co ma w oczach, kiedy patrzy na ten pustak. Nie widziałem jeszcze takiej nienawiści. To wszystko, nic więcej: ani śladu strachu. Wtedy zobaczyłem jej śmierć w tych oczach. Powiedziałem jej, że musi go zabić. Nie potrafiła. Ale potem było tak, jak ją ostrzegałem. Jeśli pozwolisz mu żyć, on cię zabije, powiedziałem jej. I zabił.

– Gdzie to się stało? – spytała Petra. – Gdzie Achilles ją zabił? Możesz mnie tam zaprowadzić?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem wskazał drogę do nabrzeża. Znaleźli odsłonięte miejsce, gdzie poprzez łodzie i statki widzieli, jak wielki Ren toczy swe wody do Morza Północnego.

– Ileż tu mocy! – stwierdziła Petra.

– O co ci chodzi?

– No wiesz... Ta rzeka jest taka silna. A jednak istoty ludzkie potrafiły zbudować to wszystko na brzegach. Ten port. Natura jest potężna, ale myśl ludzka potężniejsza.

– Z wyjątkiem przypadków, kiedy nie jest – odparł Groszek.

– Oddał jej ciało rzece, tak?

– Rzucił jej trupa do wody, rzeczywiście.

– Ale pomyśl, jak Achilles to sobie wyobrażał. Oddał ją wodzie. Może nawet miał jakieś romantyczne myśli...

– Udusił ją. Nie obchodzi mnie, co myślał wtedy albo potem. Pocałował ją, a później udusił.

– Nie widziałeś samego morderstwa, mam nadzieję – powiedziała Petra. To byłoby zbyt straszne, gdyby Groszek przez te wszystkie lata nosił takie wspomnienie.

– Widziałem pocałunek. Byłem zbyt egoistyczny albo zbyt głupi, żeby zrozumieć, co oznacza.

Petra przypomniała sobie swój pocałunek z Achillesem i zadrżała.

– Pomyślałeś to, co pomyślałby każdy. Pomyślałeś, że jego pocałunek znaczy tyle co mój. I pocałowała go.

Odpowiedział tym samym, gwałtownie.

Ale kiedy odsunęli się od siebie, znowu posmutniał.

– Cofnąłbym wszystko, czego dokonałem w życiu, gdybym tylko mógł wrócić do tamtej chwili i ją jedną zmienić.

– I co, myślisz, że mógłbyś z nim walczyć? Zapomniałeś, jaki byłeś wtedy mały?

– Gdybym tam był, gdyby Achilles wiedział, że patrzę, na pewno by tego nie zrobił.

– Albo mógłby zabić i ciebie.

– Nie dałby rady zabić nas obojga naraz. Nie z tą krzywą nogą. Gdyby za jednym z nas pogonił, drugie zaczęłoby wrzeszczeć i sprowadziło pomoc.

– Albo uderzyłoby go w głowę pustakiem.

– Wiesz, Buch by potrafiła, ale ja nie podniosłbym ciężaru powyżej jego głowy. A nie wydaje mi się, żeby upuszczenie mu pustaka na palec u nogi coś pomogło.

Zostali przy nabrzeżu jeszcze chwilę, po czym spacerem wrócili do szpitala.

Strażnik stał na posterunku. Na świecie wszystko było w porządku.

Wszystko. Groszek nie cofnął się do swej dziecięcej rozpacz, nie płakał, nie wycofał się, nie uciekł w bezpieczne miejsce.

Tak się jej przynajmniej wydawało, dopóki ze szpitala nie wrócili do hotelu. Wieczorem leżał w łóżku, łapiąc oddech, aż się zorientowała, że łka, że wstrząsa nim potężny, suchy szloch.

Obejmowała go i tuliła, dopóki nie zasnął.

Oszustwo Volescu było tak dobrze przygotowane, że przez kilka chwil Petra rzeczywiście się zastanawiała, czy naprawdę nie ma możliwości zbadania embrionów. Ale nie, to tylko sztuczka na pokaz... Volescu był na tyle sprytny i na tyle mądry, by wymyślić przekonującą sztuczkę i oszukać parę niezwykle inteligentnych laików, jak oni, a nawet lekarza, którego ze sobą przyprowadzili. Volescu postarał się, by jego czynności przypominały szpitalne testy dla ustalenia płci dziecka albo chorób wrodzonych.

A może lekarz doskonale wiedział, że to wszystko kant, ale milczał – ponieważ wszyscy mechanicy od dzieci stali po tej samej stronie. Udawali, że sprawdzają cechy, których nie da się wykryć, bo wiedzieli, że kiedy oszustwo się wyda, rodzice już dziecko pokochają. A gdyby nawet nie, jak mogą kogokolwiek skarżyć za nieumiejętne wykonanie nielegalnej procedury, takiej jak sortowanie według wydolności fizycznej albo intelektualnej? Może wszystkie tutejsze dziecięce butiki były oszustwem?

Petra nie dała się oszukać z jednego tylko powodu: nie obserwowała samej procedury, ale Volescu, i pod koniec testu wiedziała już, że jest zbyt swobodny. Nic, co robił, nie miało naprawdę znaczenia. Test się nie liczył.

Mieli dziewięć embrionów. Volescu udał, że zidentyfikował trzy jako posiadające klucz Antona. Próbował przekazać pojemniki jednemu ze swych asystentów, żeby się pozbył zawartości, Groszek uparł się jednak, by zabrał je lekarz.

– Nie chciałbym, żeby któryś z tych embrionów omyłkowo stał się dzieckiem – wyjaśnił z uśmiechem.

Ale dla Petry to już były dzieci. Cierpiała, widząc, jak pojemniki opróżnia się do zlewu, a potem czyści, żeby któryś z embrionów nie przeżył w jakiejś pozostałej kropelce.

Wyobrażam to sobie, myślała. Przecież w pojemnikach mogło niczego nie być. Po co Volescu miałby coś poświęcać, skoro mógł skłamać, że w tych trzech pojemnikach są embriony z kluczem Antona?

Przekonując się w ten sposób, że żadne z jej dzieci nie doznało krzywdy, podziękowała Volescu za pomoc. Czekali, aż wyjdzie. Nie wyniósł z pomieszczenia niczego, z czym by tu nie przyszedł.

Następnie Petra i Groszek przyglądali się, jak pozostałe sześć embrionów zamrożono, opisano pojemniki i zabezpieczono.

Rankiem dnia implantacji obudzili się oboje prawie o pierwszym brzasku, zbyt podnieceni i zdenerwowani, by spać dłużej. Ona leżała w łóżku i czytała, on usiadł przy komputerze, odpowiadał na e-maile i przeglądał sieci.

Ale najwyraźniej myślał o porannym zabiegu.

– To będzie kosztowne – stwierdził. – Trzymanie strażnika przy tych niezaimplantowanych.

Wiedziała, do czego zmierza.

– Wiesz, że musimy przechować je zamrożone, dopóki się nie przekonamy, że pierwszy implant się rozwija. Nie zawsze się przyjmują.

Groszek skinął głową.

– Ale nie jestem też idiotą. Doskonale zdaję sobie sprawę, że chcesz zachować wszystkie embriony i implantować je po jednym, aż będziesz miała tyle moich dzieci, ile tylko zdołasz.

– Oczywiście – przyznała Petra. – A jeśli nasze pierworodne okaże się takie paskudne jak Peter Wiggin?

– Niemożliwe. Jak moje dziecko mogłoby przejawiać charakter inny niż sama słodycz?

– Niewyobrażalne, oczywiście. A jednak jakoś to sobie wyobraziłam.

– Czyli musimy je ochraniać przez całe lata.

– Po co? – zdziwiła się. – Nikt nie zechce pozostałych dzieci. Zniszczyliśmy te, które miały klucz Antona.

– My to wiemy – zgodził się Groszek. – Ale wciąż są to dzieci dwojga członków jeeshu Endera. Nawet bez żadnej szczególnej kłątwy warte są porwania.

– Ale jeszcze przez długie lata będą za małe, by przedstawiać jakąś wartość.

– Nie takie znowu długie. Ile my mieliśmy lat? Ile mamy nawet teraz? Wielu znajdzie się takich, którzy zechcą porwać te dzieci, zainwestować w szkolenie, co wcale nie trwa długo, po czym zaprząć je do pracy. Do gier i do wygrywania wojen.

– Nie pozwolę im nawet pomyśleć o szkoleniu wojskowym – zapewniła Petra.

– Nie zdołasz ich powstrzymać.

– Mamy dużo pieniędzy dzięki rentom, jakie załatwił nam Graff. Dopilnuję, żeby ochrona była szczelna.

– Chodziło mi o to, że nie zdołasz powstrzymać dzieci. Będą szukać służby wojskowej.

Miał rację, oczywiście. Testy Szkoły Bojowej sprawdzały też skłonności do dowodzenia, do walki o zwycięstwo. Do wojny. Groszek i Petra wykazali, jak silna jest w nich ta pasja. Mało prawdopodobne, by któreś z ich dzieci miało być szczęśliwe, nie pokosztowawszy wojskowego życia.

– Przynajmniej nie będą musiały unicestwiać obcych najeźdźców, zanim skończą piętnaście lat – stwierdziła Petra.

Ale Groszek nie słuchał. Zesztywniał nagle, wpatrzony w wyświetloną na ekranie wiadomość.

– Co to? – spytała.

– Myślę, że przyszło od Kant Zupa.

Wstała i stanęła za nim.

E-mail był wysłany z anonimowego serwera, należącego do azjatyckiej firmy Mysterious East. Temat wiadomości to „Stanowczo nie vichyssoise”. Nie łagodna zupa, zatem ostra... Kant Zupa, no tak. W Szkole Bojowej nazywali tak Han Tzu, który należał do jeeshu Endera, a teraz podobno trafił do najwyższych kręgów dowodzenia i planuje strategię Chin.

Wiadomość od niego do Groszka, do niedawna dowódcy sił Hegemonii, byłaby zdradą stanu. Dlatego przekazał ją turyście na ulicy – pewnie komuś, kto wyglądał na Europejczyka albo Afrykanina. A sam przekaz nietrudno było rozszyfrować:

On myśli, że mu powiedziałem, gdzie będzie Kaligula, ale to nie ja.

„Kaligula” może dotyczyć tylko Achillesa. „On” to na pewno Peter.

Han Tzu zawiadamiał, że Peter uważa go za źródło informacji na temat konwoju więziennego, z którego Suriyawong uwolnił Achillesa.

Nic dziwnego, że Peter uważał to źródło za godne zaufania – sam Han Tzu! A że należał do grupy porwanej przez Achillesa, miał dość powodów, by go nienawidzić. Dostateczny motyw, by Peter uwierzył, że Han Tzu zdradził, gdzie znajdzie się Achilles.

Ale to nie Han Tzu.

A jeśli nie, to kto inny mógł wysłać wiadomość, podszywając się pod niego? Informację, która okazała się prawdziwa?

– Powinniśmy od razu się domyślić, że to nie od Han Tzu – stwierdził Groszek.

– Nie wiedzieliśmy przecież, że to Han Tzu jest rzekomym źródłem – przypomniała rozsądnie Petra.

– Han Tzu nigdy nie przekazałby informacji prowadzącej do śmierci niewinnych chińskich żołnierzy. Peter powinien o tym wiedzieć.

– My byśmy wiedzieli. Ale Peter nie znał Kant Zupa. I nie powiedział nam, że to Kant Zupa jest jego źródłem.

– W takim razie wiemy, oczywiście, kto jest tym źródłem naprawdę – powiedział Groszek.

– Musimy go natychmiast zawiadomić.

Groszek już pisał.

– Ale to znaczy, że Achilles trafił tam dobrze przygotowany – zauważyła Petra. – Nie zdziwiłabym się, gdyby znalazł sposób, żeby czytać pocztę Petera.

– Nie piszę do Petera.

– Więc do kogo?

– Do państwa Wigginów – wyjaśnił Groszek. – Dwie osobne wiadomości. Kawalki układanki. Jest szansa, że Achilles nie sprawdza ich poczty, a przynajmniej nie dość dokładnie, by odgadnąć, że trzeba je połączyć.

– Nie – zaprotestowała Petra. – Żadnych zagadek. Nieważne, czyta te listy czy nie, nie mamy czasu do stracenia. Przecież siedzi tam od miesiący.

– Jeśli zobaczy wiadomość otwartym tekstem, może go to skłonić do działania natychmiast. Taki e-mail może być dla Petera wyrokiem śmierci.

– Więc zawiadom Graffa, niech on wkroczy.

– Achilles z pewnością wie, że Graff raz już się zjawił, by zabrać stamtąd naszych rodziców. Teraz jego przybycie też może przyspieszyć akcję.

– Dobra – zgodziła się Petra. – Niech ci będzie. Mam inny pomysł: Suriyawong.

– Nie – odparł Groszek.

– On natychmiast zrozumie kodowany przekaz. Myśli w ten sposób.

– Ale nie jestem pewien, czy można mu ufać.

– Jasne, że można. Tylko udaje, że jest człowiekiem Achillesa.

– Oczywiście, że udaje – zgodził się Groszek. – Ale gdyby nie udawał?

– Przecież to Suriyawong!

– Wiem. Ale nie mam pewności.

– No dobrze – ustąpiła Petra. – Niech będą rodzice Petera. Ale nie bądź przesadnie subtelny.

– Nie są głupi – zapewnił ją Groszek. – Pana Wiggina nie znam zbyt dobrze, ale pani Wiggin... jest bardzo subtelna. Wie o wiele więcej, niż zdradza.

– Nie wynika z tego, że jest czujna. Nie wynika, że odkryje szyfr ani że od razu porozmawia o tym z mężem, by mogli złożyć obie wiadomości.

– Zaufaj mi.

– Nie. Sprawdzę tekst, zanim wyślesz – oświadczyła Petra. – Pierwsza zasada przetrwania, prawda? Z tego, że ufasz czyimś motywom, nie wynika jeszcze wiara, że dobrze wykona swoją robotę.

– Jesteś złą, zimną kobietą...

– To jedna z moich najlepszych cech.

Pół godziny później oboje zgodzili się, że wiadomości powinny odnieść skutek. Groszek wysłał obie. W Ribeirão Preto było kilka godzin wcześniej niż tutaj. Nic się nie stanie, dopóki Wigginowie się nie obudzą.

– Musimy się przygotować, żeby wyjechać stąd natychmiast po implantacji – stwierdziła Petra.

Jeśli Achilles zaplanował to wszystko od początku, istniała spora szansa, że jego dawna siatka wciąż działa, a zatem dokładnie wie, gdzie przebywają i co robią.

– Nie będzie mnie przy tobie – odparł Groszek. – Muszę załatwić nam bilety. Niech strażnik stoi obok ciebie, na sali.

– Nie. Ale może stać tuż za drzwiami.

Petra pierwsza wzięła prysznic. Kiedy Groszek wyszedł z łazienki, była już spakowana.

– Jeszcze jedno – powiedziała.

– Co takiego?

Groszek układał swój skromny dobytek w jednej torbie, którą zabierał.

– Nasze bilety... Powinny być do różnych miejsc.

Przerwał pakowanie.

– Rozumiem – stwierdził. – Dostałaś ode mnie, czego chciałaś, a teraz odchodzisz.

Zaśmiała się nerwowo.

– Niby tak – przyznała. – Cały czas mi powtarzałeś, że podróżowanie razem jest bardziej niebezpieczne.

– A teraz, kiedy będziesz miała w brzuchu moje dziecko, nie potrzebujesz już mojego towarzystwa.

Groszek wciąż się uśmiechał, ale wiedziała, że pod żartem kryje się prawdziwa podejrzliwość.

– Cokolwiek zrobią Wigginowie, rozpęta się piekło – wyjaśniła. – Zapamiętałam wszystkie twoje martwe skrzynki, a ty pamiętasz moje.

– Dałem ci twoje – przypomniał.

– Spotkamy się za jakiś tydzień. Jeśli jestem podobna do swojej matki, będę wtedy rzygać własnymi flakami.

– Jeśli implantacja się uda.

– Będę za tobą tęskniła przez cały czas – szepnęła.

– Niech Bóg ma mnie w opiece, ale też będę tęsknił.

Wiedziała, jakie to dla niego bolesne i przerażające. Pozwolił sobie kochać ją tak bardzo, żeby za nią tęsknić – to nie drobnostka. A dwie poprzednie kobiety, które odważył się pokochać z całego serca, zostały zamordowane.

– Nie pozwolę, żeby ktoś skrzywdził nasze dziecko – obiecała.

Zastanowił się chwilę, a potem wyraźnie uspokoił.

– To dziecko jest prawdopodobnie najlepszą ochroną, na jaką cię stać.

Zrozumiała i uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście, nie zabiją mnie, dopóki nie sprawdzą, jakie się urodzi. Ale ono nie ochroni mnie przed porwaniem i uwięzieniem.

– Jeśli tylko ty i dziecko będziecie żyli, przyjdę po was.

– To właśnie mnie niepokoi. Mogą nas użyć jako przynęty, żeby zastawić na ciebie pułapkę.

– Za daleko wybiegamy w przyszłość. Przede wszystkim nas nie złapią. Ani ciebie, ani mnie. A gdyby jednak, no cóż, wtedy coś wymyślimy.

Byli spakowani. Raz jeszcze oboje sprawdzili pokój, by się upewnić, że niczego nie zostawiają, żadnego śladu, że w ogóle tu byli. Potem wyszli do szpitala i do dziecka, które tam czekało: zwitek genów opakowany w kilka niezróżnicowanych jeszcze komórek, gotowych zagnieździć się w macicy, zacząć pobierać pożywienie z krwi matki, zacząć dzielić się i przekształcać w serce i jelita, dłonie i stopy, oczy i uszy, usta i mózg.

Lewica i prawica

From: PW

To: TW, JPW

Subject: Pogodzenie logów klawiatur

Na pewno się ucieszycie: udało nam się poukładać wszystkie logi. Znaleźliśmy wszystkie komputery, z których łączyła się interesująca nas osoba. Wszystkie wiadomości dotyczyły spraw urzędowych i zleceń, jakie dla mnie wykonywała. Nie robiła nic, co byłoby choć w najmniejszym stopniu niewłaściwe.

Osobiście uważam to za bardzo niepokojące. Albo znalazła sposób, żeby oszukać oba nasze programy (mało prawdopodobne), albo rzeczywiście nie robi nic oprócz tego, co powinna (jeszcze mniej prawdopodobne), albo prowadzi jakąś niezwykle tajemniczą grę, o której nie mamy pojęcia (niezwykle prawdopodobne).

Porozmawiajmy jutro.

Theresa zbudziła się koło czwartej, kiedy Jan Paweł wyszedł do łazienki. Martwiła się, że mąż nie potrafi już przespać całej nocy. Był jeszcze trochę za młody na kłopoty z prostatą.

Ale to nie malejąca wytrzymałość męzowskiego pęcherza nie dała jej zasnąć. To raczej wiadomość od Petera, że Achilles robi tylko to, co wynika z jego pracy.

Niemożliwe. Nikt nie robi wyłącznie tego, czego wymagają obowiązki, i niczego więcej. Achilles powinien mieć jakieś kontakty, jakiegoś przyjaciela czy sprzymierzeńca, którego chciałby zawiadomić, że wydostał się z Chin i jest bezpieczny. Miał też siatkę informatorów i

agentów, co udowodnił, uciekając z Rosji do Indii, a potem do Chin, zawsze o krok przed wszystkimi. Chińczycy zmyśleli wreszcie, zauważyli ten ciąg i przerwali go, ale to przecież nie znaczy, że Achilles nie zdążył zaplanować kolejnego ruchu. Dlaczego więc nie zrobił nic, żeby skorzystać ze swego planu?

Oczywiście, oprócz tych wymienionych przez Petera, istniały też inne możliwości. Może Achilles dysponował środkami pozwalającymi na przebicie osłony elektromagnetycznej otaczającej osiedle w Ribeirão Preto? Naturalnie, nie mógł takiego urządzenia przywieźć ze sobą, kiedy uratowano go z konwoju, bo zostałyby wykryte podczas przeszukania, jakie przeprowadzono w czasie jego pierwszej kąpieli w Ribeirão. Czyli ktoś musiałby mu je dostarczyć. Zresztą Peter był przekonany, że nic takiego nie istnieje. Może miał rację.

Może kolejny ruch Achillesa to coś, co zamierzał zrobić całkiem sam?

Może miał coś, co zdołał przemycić do Brazylii we własnym ciele? Czy kamery nadzoru nie zarejestrowały, jak przeszukuje swoje wydaliny? Peter na pewno to sprawdził.

Kiedy tak się zastanawiała, Jan Paweł wrócił z łazienki. Zauważyła, że nie zaczęła znowu chrapać.

– Nie śpisz? – zapytała.

– Przepraszam, zbudziłem cię.

– I tak nie mogę zasnąć.

– Bestia?

– Coś nam ucieka – stwierdziła Theresa. – Przecież nie stał się nagle lojalnym poddanym Hegemonii.

– Ja też już chyba nie zasnę – uznał Jan Paweł i boso poczłapał do komputera.

Słyszała, jak stuka w klawiaturę, i wiedziała, że sprawdza swoją pocztę.

Każda praca jest lepsza niż takie leżenie i wpatrywanie się po ciemku w sufit. Wstała także, wzięła ze stołu terminal i wróciła z nim do łóżka, gdzie zaczęła od sprawdzenia własnej poczty.

Jedną z zalet bycia matką Hegemona polegała na tym, że nie musiała odpisywać na nudne listy. Przekierowywała je do któregoś z sekretarzy Petera. Listy zawierały na ogół uparte próby skłonienia jej, by wykorzystwała swoje rzekome wpływy u Petera i namówiła go, by zrobił coś, co i tak nie było w jego mocy, było nielegalne, nawet gdyby potrafił to zrobić, i czego z pewnością by nie zrobił, nawet gdyby było legalne.

Pozostawało jej więc najwyżej kilka listów, które powinna załatwić osobiście. Większość wymagała najwyżej kilku zdań odpowiedzi, więc uporała się z nimi szybko, choć trochę sennie.

Już miała wyłączyć terminal i jeszcze raz spróbować zasnąć, kiedy dotarła nowa wiadomość.

From: Mlot%Kowadlo@IComeAnon.com

Subject: Ale ty, gdy dajesz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja.

Co to ma być? Jakiś fanatyk religijny? Ale adres był prywatny, wykorzystywany tylko przez Jana Pawła, Petera i garstkę ludzi, których naprawdę lubiła i dobrze znała.

Więc kto to przysłał?

Spojrzała na koniec tekstu – żadnego podpisu. Wiadomość była krótka.

Nigdy byś nie zgadła. Byłam na imprezie – nudnej, ale niebezpiecznej, z chińską porcelaną, co to wiesz, że na pewno ją potłuczesz, i obrusem z indyjskiej bawełny, na który w końcu coś wylejesz. I wiesz, co się stało? Zjawił się akurat ten facet, dla którego walnęłam sobie włosy w kok. Myślał, że ratuje mnie z tej imprezy! Ale naprawdę przecież właśnie on był powodem, że przyszłam. Nigdy mu tego nie powiem. Chybaby go ROZSADZIŁO, gdyby się dowiedział. Potem, oczywiście, zrobiłam się taka nerwowa, że wpadłam na wazę i zupa wychlapała się na wszystko. W dodatku ostra. Ale... znasz mnie przecież. Niezdara ze mnie.

To był pełny tekst wiadomości. Naprawdę się zirytowała, bo nie napisał tego chyba nikt znajomy. Nie miała przyjaciół, którzy wysyłają takie puste i bezsensowne listy. Plotki o imprezie... Ktoś ma nadzieję poderwać kogoś innego...

Zanim jednak zdążyła się zastanowić, odebrała następny list.

To: T%Hegmom@Hegemony.gov

From: Owce%NieKozy@IComeAnon.com

Subject: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych...

Kolejny cytat z Biblii. Ta sama osoba? Na pewno tak.

Ale ten list nie był plotkarski. Kontynuował biblijne motywy z linii tematu. Nie miał nic wspólnego z poprzednią wiadomością.

Przyjęliście mnie, ale nie byłem nagi. Ja was ubrałem, bo byliście głupi. Nie znaliście mnie, ale ja was znałem. Kiedy nadejdzie dzień sądu? Jak złodziej w nocy. Kiedy nie spodziewacie się mnie. Głupiec mówi: on nie nadejdzie. Ale oto stoję u drzwi i kołaczę.

W bólach będziecie rodzić. Ja będę miał moc, by zmiażdżyć wasze głowy, a wy będziecie mieli moc, by ugryźć mnie w piętę.

Jest czas na siew i czas na zbiory. Czas, by układać kamienie, i czas, by uciekać na oślep.

Ta, która ma uszy, usłyszy. Są pełne wdzięku na górach nogi. Nie pokój wam przynoszę, ale miecz.

Theresa wstała z łóżka – Jan Paweł musiał zobaczyć te listy. Na pewno oznaczały coś ważnego, zwłaszcza że nadeszły prawie równocześnie. Niewielu ludzi znało ten adres, a nikt z nich nie napisałby czegoś takiego.

Zatem albo adres został ujawniony – ale komu by na tym zależało, przecież była tylko matką Hegemona – albo listy miały przekazać ukrytą informację. I wysłał je ktoś, kto uznał, że nawet pod tym adresem poczta może być przechwytywana przez kogoś innego.

Kto byłby tak paranoiczny, jeśli nie Groszek?

Niezdara, tak o sobie mówił. Groszek, oczywiście.

– Janie Pawle – odezwała się, kiedy stanęła za plecami męża.

– To dziwne – powiedział.

Pomyślała, że chce jej opowiedzieć o podobnej parze listów, więc czekała.

– Chińczycy wprowadzili w Indiach kompletnie bezsensowne prawo o kamieniach! Ludziom nie wolno bez zezwolenia nosić kamieni! Każdy przyłapany z kamieniami będzie aresztowany. I oni rzeczywiście je egzekwują! Rozum stracili czy co?

Jakoś nie potrafiła się zainteresować idiotyzmami chińskiej polityki w Indiach.

– Janie Pawle, muszę ci coś pokazać.

– Jasne.

Odwrócił się, by spojrzeć na jej terminal, który położyła na stole obok komputera.

– Przeczytaj te listy.

Zerknął na pierwszy i szybciej, niż mógłby go przeczytać, przeskoczył do następnego.

– Tak, do mnie też przyszły – powiedział. – Nudziarz i siksa. Nie powinnaś się nimi przejmować.

– Nie – zaprotestowała. – Przeczytaj uważnie. Przyszły na mój prywatny adres. Myślę, że to od Groszka.

Popatrzył na nią, potem wrócił do swojego komputera i wyświetlił oba listy.

– Moje też przyszły na prywatny – przyznał. – Nie zwróciłem uwagi. Wyglądały jak zwykłe śmieci, ale przecież nikt nie używa tych adresów.

– Tematy...

– Tak. Oba z Pisma, chociaż ten pierwszy...

– Tak, ten pierwszy jest o lewicy i prawicy, a drugi z przypowieści o tym, jak Jezus mówi do tych, co stoją po jego prawicy, i do tych po lewicy.

– Czyli w obu chodzi o lewą i prawą rękę.

– Dwie części tej samej wiadomości.

– Możliwe.

– Ale cytaty są pozmieniane – zauważyła Theresa.

– To wy, mormoni, uczycie się wersetów Pisma na pamięć. My, katolicy, uważamy, że to protestancki zwyczaj.

– W Ewangelii naprawdę jest napisane: byłem nagi, a przyodzialiszcie mnie. I jeszcze: byłem bezdomny czy jakoś tak, a przyjęliście mnie.

– Byłem przybyszem, a przyjęliście mnie – poprawił ją Jan Paweł.

– Czyli jednak czytałeś Biblię?

– Obudziłem się raz podczas kazania.

– To gra w zagadki. Wydaje mi się, że to „ubrałem was” ma oznaczać raczej „wrobiłem” albo „oszukałem”, a nie „dostarczyłem wam odzież”.

Jan Paweł studiował drugi list.

– Ten jest geopolityczny. Chińska porcelana. Indyjska bawełna. I to „rozsadziło”, dużymi literami.

– Walnęłam kok... – Theresa także czytała list. – To może oznaczać kogoś z Bangkoku.

– Trochę naciągasz...

– Jak to w zagadkach. „Moc, by ugryźć mnie w piętę”... To musi chodzić o Bestię, nie sądzisz? Achillesa, którego tylko w piętę można było zranić.

– A Achillesa uratował Taj z Bangkoku, Suriyawong.

– Czyli teraz też uważasz, że walnięcie w kok może oznaczać Bangkok?

– Tak. Sama mi powiedziałaś.

– On tylko myśli, że ratuje tę osobę z imprezy. Suri ratuje Achillesa, ale Achilles ma swoją tajemnicę. Rozsadziłoby Suriego, gdyby się dowiedział.

Jan Paweł zajrzał do pierwszego listu.

– Czas, by uciekać na oślep... To ostrzeżenie?

– Ostrzeżenie to ostatni akapit. Ta, która ma uszy, niech usłyszy. Użyj nóg. Bo on nie przynosi pokoju, ale miecz.

– W moim jest napisane: „Ten, który ma uszy, usłyszy”.

– Masz rację, nie są identyczne.

– Kim jest ten „ja”?

– Jezus.

– Nie, chodzi mi o to, kim jest „ja” w tych listach. Myślę, że są napisane tak, jakby to mówił Achilles. Ubrałem was w to, bo byliście głupi. Jak złodziej w nocy, kiedy się mnie nie spodziewacie. Jesteśmy głupi, bo myślimy, że nie przyjdzie, a tymczasem on jest już u drzwi.

– Czas, by uciekać na oślep – dodała Theresa.

Jan Paweł przymknął oczy.

– Ostrzeżenie od Groszka... To możliwe. Suri wierzył, że ratuje Achillesa, ale Achilles tego właśnie chciał. A ten drugi list... Wspomina o kamieniach, czyli na pewno chodzi o Petrę. Przysłali nam dwie wiadomości, które się łączą.

Teraz wszystko nagle się ułożyło.

– To właśnie mnie męczyło – oświadczyła Theresa. – Dlatego nie mogłam zasnąć.

– Przecież te listy dostałaś przed chwilą – zauważył Jan Paweł.

– Nie. Nie mogłam zasnąć, bo nie rozumiałam, jakim cudem Achilles od przyjazdu tutaj nie robił nic poza swoimi oficjalnymi obowiązkami. Myślałam, że nawet jeśli Chińczycy tym aresztowaniem przerwali jego działalność, to przecież nie ma sensu, żeby nie skontaktował się ze swoją siatką. Ale jeśli Chińczycy wcale go nie aresztowali? Jeśli to była tylko pułapka? „Przyjęliście mnie, ale nie byłem nagi”.

Jan Paweł pokiwał głową.

– Ja was ubrałem, bo byliście głupi.

– Czyli głównym celem tego wszystkiego było wprowadzenie Achillesa do osiedla.

– Ale co z tego wynika? Przecież i tak go podejrzewaliśmy.

– Teraz to coś więcej niż tylko podejrzenia. Inaczej by nie pisali.

– Nie mamy żadnych dowodów. Nic, co by przekonało Petera.

– Owszem, mamy – oświadczyła Theresa. – Ostrą zupę.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

– Ostra. Kant Zupa. Z jeeshu Endera. Han Tzu, z Chin. Wychlapał wszystko. To na pewno była pułapka.

– No dobrze – zgodził się Jan Paweł. – Czyli mamy dowód. Wiemy, że w rzeczywistości Achilles nie był więźniem. Chciał, żeby go tu dostarczyć.

– Nie rozumiesz jeszcze? To znaczy, że naprawdę rozumie Petera. Wiedział, że Peter nie potrafi się oprzeć pokusie i uwolni go. Może nawet wiedział, że Groszek i Petra odejdą. Zastanów się: wszyscy wiedzieliśmy, jak niebezpieczny jest Achilles, więc mógł na to właśnie liczyć.

– Odeszli ludzie najbliżsi Peterowi. Oprócz nas...

– A Peter próbował nas odesłać.

– I Suriyawong.

– Jego Achilles przeciągnął na swoją stronę.

– Albo Suri przekonał Achillesa, że dał się przeciągnąć.

Ten spór prowadzili już wcześniej.

– Wszystko jedno – uznała Theresa. – Samym swoim zjawieniem się tutaj Achilles zdołał odizolować Petera. Potem przez cały czas grał miłego gościa, był grzeczny i przy okazji z każdym się zaprzyjaźniał. Wszystko idzie gładko. Tyle że...

– Tyle że zajął pozycję pozwalającą mu zabić Petera.

– Jeśli tylko potrafi to zrobić tak, żeby nic nie wskazywało na niego.

– Gotów zająć jego miejsce jako lojalny asystent. Powie „Wszystko w Hegemonii toczy się normalnie, będziemy administrować, dopóki nie zostanie wybrany nowy Hegemon”. Ale na długo przed tym wyborem zdąży przekazać wszystkie szyfry, zneutralizuje wojsko... I w ten sposób Chiny raz na zawsze pozbędą się Hegemonii. Ktoś ich uprzedzi o którejś misji Suriego, a wtedy zetrą z powierzchni Ziemi naszą dzielną małą armię i...

– Po co ją likwidować, jeśli już spełnia ich rozkazy? – przerwała Theresa.

– Nie wiemy, czy Suri...

– Jak myślisz, co się stanie, jeśli Peter spróbuje wyjechać?

Jan Paweł zastanawiał się przez chwilę.

– Achilles przejmie rządy pod jego nieobecność. Taki manewr ma długą tradycję.

– Równie długą ma ogłoszenie, że Hegemon zachorował, i niedopuszczanie do niego nikogo.

– Wiesz, nie może zablokować dostępu do Petera, dopóki my tu jesteśmy...

Spojrzeli po sobie.

– Bierz paszport – rzuciła Theresa.

– Niczego nie możemy zabrać.

– Wykasuj wszystko w komputerach.

– Jak myślisz, czego użyje? Trucizny? Jakiegoś bioagenta?

– Bioagent jest najbardziej prawdopodobny. Mógł go tu przemycić.

– Czy to ważne?

– Peter nam nie uwierzy.

– Jest uparty, zrozumiąły i uważa nas za idiotów – zgodził się Jan Paweł. – Ale to przecież nie znaczy, że jest głupi.

– Może uznać, że sam da sobie radę.

Jan Paweł pokiwał głową.

– Masz rację. Akurat tak głupi jest rzeczywiście.

– Wykasuj swoje pliki z systemu i...

– To bez znaczenia. Są backupy.

– Ale przynajmniej nie tych listów.

Jan Paweł wydrukował obie wiadomości, a Theresa usunęła je z pamięci terminala.

Z papierowymi wersjami obu listów ruszyli do pokoju Petera.

Peter był śpiący, opryskliwy i zirytowany. Lekceważył ich niepokój i upierał się, żeby zaczekać do rana. W końcu Jan Paweł stracił cierpliwość i wyciągnął go z łóżka jak dzieciaka. Peter był tak zaszokowany niezwykłym traktowaniem, że umilkł.

– Niech ci się nie wydaje, że to sprawa między tobą a twoimi rodzicami – powiedział Jan Paweł. – Te listy są od Groszka i Petry, a oni przekazują wiadomość od Han Tzu z Chin. To

trzy najlepsze militarne umysły na świecie, a wszyscy troje wykazali już, że są sprytniejsi od ciebie.

Peter poczerwieniał ze złości.

– Czy teraz się obudziłeś? Możesz uważnie posłuchać?

– Jakie to ma znaczenie, czy posłucham? – burknął Peter. – Niech któreś z nich zostanie Hegemonem, jeśli są tacy mądrzy.

Theresa schyliła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zachowujesz się jak zbuntowany nastolatek, gdy my usiłujemy ci powiedzieć, że dom się pali.

– Przeanalizuj te wiadomości – dodał Jan Paweł. – Jakbyśmy byli dwójką twoich informatorów. Udawaj, że nam wierzysz. A przy okazji zastanów się, jak skutecznie Achilles usunął z twojego otoczenia każdego, kto był całkowicie godny zaufania. Oprócz nas.

– Wiem, że chcecie jak najlepiej – powiedział Peter, ale jego głos zdradzał, że jest rozgniewany.

– Zamknij się – przerwała mu Theresa. – I daruj sobie ten protekcyjny ton. Widziałeś listy. Nie wymyśliłyśmy ich sobie. Kant Zupa znalazł sposób, by przekazać Groszkowi i Petrze, że cała operacja ratunkowa była pułapką. Dałeś się wciągnąć, mądralo. Mając tyle czasu, Achilles wszystko tu rozpracował. Wie o każdym twoim ruchu, bo ktoś mu donosi.

– Można się spodziewać – dodał Jan Paweł – że Chińczycy są gotowi do rozpoczęcia operacji.

– Albo że zaaresztują cię żołnierze Suriego.

– Inaczej mówiąc – wtrącił Peter – nie macie nawet pojęcia, czego powinienem się obawiać.

– Zgadza się – przyznała Theresa. – Zgadłeś bezbłędnie. Ponieważ tańczyłeś, jak ci zagrał. Całkiem jakby ci dał scenariusz, a ty czytałeś swoją rolę jak robot.

– W tej chwili jesteś marionetką, Peter. Myślałeś, że ty trzymasz sznurki, ale to on tobą kieruje.

– I musisz wyjechać stąd natychmiast.

– Skąd ten pośpiech? – rzucił niecierpliwie Peter. – Nie wiecie przecież, co on chce zrobić. Ani kiedy.

– Wcześniej czy później będziesz musiał się stąd wynieść – wyjaśniła Theresa. – Czy może zamierzasz czekać, aż cię zabije? Albo nas? Musisz wyjechać, i to nagle, niespodziewanie. Nie trafi się okazja lepsza niż dzisiaj. Póki wszyscy troje jeszcze żyjemy. Możesz zagwarantować, że jutro też tak będzie? Dzisiaj wieczorem? Nie sądzę.

– Niedługo świt – przypomniał Jan Paweł. – Opuszczamy osiedle, jedziemy do miasta, wsiadamy do samolotu, znikamy z Brazylii.

Peter siedział bez ruchu. Patrzył tylko to na jedno, to na drugie z rodziców, ale wyraz irytacji zniknął z jego twarzy. Czy to możliwe? Czyżby naprawdę dotarło do niego coś z tego, co mówili?

– Jeśli wyjadę – stwierdził – powiedzą, że abdykowałem.

– A ty możesz zaprzeczyć.

– Wyjdę na durnia. Całkiem mnie to zdyskredytuje.

– Byłeś durniem – zauważyła Theresa. – Jeśli powiesz to pierwszy, nikt nie zyska punktów za to spostrzeżenie. Niczego nie ukrywaj. Przygotuj informację prasową jeszcze w samolocie. Jesteś Locke'em. Jesteś Demostenesem. Potrafisz ich przekonać do wszystkiego.

Peter wstał i zaczął wyciągać z szuflad ubranie.

– Chyba macie rację – oświadczył. – Myślę, że wasza analiza jest całkowicie słuszna.

Theresa zerknęła na Jana Pawła. Czy naprawdę Peter to mówi?

– Dziękuję, że nie zrezygnowaliście ze mnie. Ale ta zabawa z Hegemonem jest skończona. Straciłem szansę odzyskania prestiżu. Miałem ją i zmarnowałem. Wszyscy mi tłumaczyli, żeby nie ściągać tu Achillesa. Przygotowałem świetne plany, żeby go wciągnąć w pułapkę. A tymczasem sam wpadłem w jego sidła.

– Już raz dzisiaj ci powiedziałam, żebyś się zamknął – rzuciła ostro Theresa. – Nie każ mi tego powtarzać.

Peter nie tracił czasu na zapinanie koszuli.

– Idziemy.

Theresa z satysfakcją zauważyła, że nie próbuje niczego ze sobą zabierać. Zatrzymał się tylko przy komputerze i wpisał jedno polecenie. Potem ruszył do drzwi.

– Nie zamierzasz wykasować swoich plików? – zapytał Jan Paweł. – Zawiadomić szefa bezpieczeństwa?

– Właśnie to zrobiłem – odparł Peter.

A więc przygotował się na taki dzień jak dzisiaj. Miał wpisany program, który automatycznie niszczył wszystko, co powinno być zniszczone. Alarmował ludzi, którzy powinni być zaalarmowani.

– Mamy dziesięć minut, zanim ci, którym ufałem, dostaną ostrzeżenie i polecenie ewakuacji. Ponieważ nie wiem, komu z nich nadal mogę wierzyć, do tego czasu musimy stąd zniknąć.

Czyli jego plan przewidywał zadbanie o tych, którzy wciąż byli wobec niego lojalni, a których życie mogło być zagrożone, kiedy Achilles przejmie rządy. Theresa nie sądziła, że Peter o tym w ogóle pomyśli. Przyjemnie było się przekonać, że jednak tak.

Nie skradali się ani nie biegli, ale zwyczajnie przeszli przez osiedle do najbliższej bramy, pograżeni w ożywionej rozmowie. Owszem, był wczesny ranek, ale kto mógłby sobie wyobrazić, że Hegemon i jego rodzice podejmują ucieczkę? Żadnego bagażu, żadnego pośpiechu, żadnego ukrywania się. Dyskutują. Całkiem normalna scena.

Zresztą dyskusja nie była udawana. Mówili cicho, gdyż w nieruchomym powietrzu o świcie ktoś mógłby ich usłyszeć nawet z daleka. Ściszone głosy były jednak pełne napięcia.

– Daruj sobie ten melodramat – tłumaczył Jan Paweł. – Życie się na tym nie kończy. Popeliłeś wielki błąd, a są ludzie, którzy uznają, że taka ucieczka jest jeszcze większym. Ale twoja matka i ja wiemy, że to nieprawda. Dopóki żyjesz, jest nadzieja.

– Nadzieją jest Groszek – odparł Peter. – On nie postrzelił sam siebie w stopę. Zaczę teraz popierać Groszka... A może lepiej nie? Może moje wsparcie będzie jak pocałunek śmierci?

– Peter, jesteś Hegemonem. Zostałeś wybrany. Ty, nie to osiedle. Zresztą to przecież ty przeniosłeś tutaj biura Hegemonii. A teraz przeniesiesz je gdzie indziej. Hegemonia będzie tam, gdzie wylądujesz. Nie próbuj nawet jednym słowem sugerować nic innego. Nawet jeśli cała twoja potęga na tym świecie składa się z ciebie, mnie i mamy, to nie jest nic. Ponieważ jesteś Peterem Wigginem i, do licha, my jesteśmy Janem Pawłem i Theresą Wiggin, a pod naszą czarującą i uprzejmą powierzchownością jesteśmy prawdziwymi twardzielami.

Peter milczał.

– Prawdę mówiąc... – Theresa zwróciła się do Jana Pawła. – To my jesteśmy twardzi. Peter jest mądry.

Peter potrząsnął głową.

– Jesteś mądry – upierała się Theresa. – A skąd o tym wiem? Bo miałeś dość rozumu, żeby nas posłuchać i wynieść się na czas.

– Myślę... – powiedział cicho Peter.

– O czym? – spytała Theresa, zanim Jan Paweł zdążył udzielić swej typowej żartobliwej odpowiedzi: Najwyższy czas. W tej chwili nie byłby to odpowiedni żart, ale Jan Paweł nigdy nie potrafił rozpoznać, kiedy pora nie jest właściwa na jego typowe żarty. Wypowiadał je odruchowo, bez wcześniejszego przetwarzania w mózgu.

– Nie doceniałem was dwojga.

– Owszem – zgodziła się Theresa.

– I chyba od dawna musiałem już was trochę wkurzać.

– Nie tak znowu trochę – mruknął Jan Paweł.

Theresa ostrzegawczo uniosła brew.

– Mimo to nigdy nie zrobiłem nic tak głupiego, jak próbą wejścia do jego pokoju, żeby go zabić – dokończył Peter.

Theresa spojrzała na niego surowo. Peter uśmiechał się radośnie.

Jan Paweł wybuchnął śmiechem. Nie mogła mieć do syna pretensji – nie zdołał się powstrzymać od riposty. On sam przecież zarobił przed chwilą straszliwy ruch brwią.

– No dobrze, masz rację – zgodziła się Theresa. – To rzeczywiście było głupie. Ale nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym zrobić, żeby cię ratować.

– Może ratowanie mnie nie było tak świetnym pomysłem...

– Jesteś jedyną pozostałą na Ziemi kopią naszego DNA – odparł Jan Paweł. – Nie mamy ochoty zaczynać od początku i robić dzieci. To praca dla młodszych.

– Poza tym – dodała Theresa – ocalenie ciebie oznacza ocalenie świata.

– Akurat – mruknął niechętnie Peter.

– Jesteś jedyną nadzieją.

– No to życzę ci szczęścia, świecie.

– Wydaje mi się – wtrącił Jan Paweł – że to była prawie modlitwa. Nie sądzisz, Thereso? Nasz syn się pomodlił.

Peter zachichotał.

– Tak, czemu nie. Życzę ci szczęścia, świecie. Amen.

Kiedy dotarli do bramy, z dziesięciu minut pozostało jeszcze sporo czasu. Przed największym hotelem na zewnątrz osiedla stała taksówka ze śpiącym szoferem w środku. Jan Paweł zbudził go i wręczył sporą sumę pieniędzy.

– Proszę nas zawieźć na lotnisko – poleciła Theresa.

– Ale nie tutaj – dodał szybko jej mąż. – Polecimy chyba z Araraquary.

– To godzina drogi stąd...

– I mamy jeszcze godzinę do najbliższego lotu dokądkolwiek. Chcesz tę godzinę przesiedzieć na lotnisku, oddalonym o kwadrans drogi od osiedla?

Peter roześmiał się głośno.

– Czysta paranoja – stwierdził. – Jak u Groszka.

– Groszek wciąż żyje – przypomniał mu ojciec.

– Podoba mi się to. Przyjemnie jest żyć.

Peter wysłał swoją informację prasową z komputera na lotnisku w Araraquarze. Achilles jednak także nie marnował czasu.

Informacja Petera była w całości prawdziwa, choć pomijała kilka faktów. Peter przyznał, że dał się oszukać; sądził, że ratuje Achilleś, podczas gdy w rzeczywistości wprowadzał konia trojańskiego za mury Troi. Był to straszliwy błąd, gdyż Achilles przez cały czas służył chińskiemu imperium, więc zagroził bezpieczeństwu kwatery głównej Hegemonii. Peter oznajmił także, że przenosi biura Hegemonii w nowe miejsce, i prosił wciąż lojalnych wobec siebie pracowników, by czekali na wiadomość, gdzie mają się zjawić.

W swojej informacji prasowej Achilles stwierdzał, że on, generał Suriyawong oraz Ferreira, szef bezpieczeństwa sieci Hegemonii, odkryli, że Peter zdefraudował fundusze Hegemonii i przełał je na tajne konta – pieniądze przeznaczone na spłatę długów, pomoc żywnościową dla najuboższych oraz działalność zmierzającą do zaprowadzenia pokoju światowego. Zawiadamiał, że urząd Hegemona będzie nadal funkcjonował pod kierownictwem Suriyawonga jako dowódcy sił zbrojnych, a on sam pomoże mu, tylko jeśli zostanie poproszony. Tymczasem jednak wystawia nakaz aresztowania Petera Wiggina, który

ma odpowiedzieć na zarzuty sprzeniewierzenia środków, nadużycia władzy i zdrady stanu wobec Międzynarodowej Ligi Obrony.

W wysłanej trochę później wiadomości informował także, że Hyrum Graff został pozbawiony stanowiska ministra kolonizacji i ma być aresztowany za współudział w defraudacji funduszy Hegemonii.

– To sukinsyn – mruknął Jan Paweł.

– Graff go nie posłucha – stwierdziła Theresa. – Oświadczy po prostu, że nadal jesteś Hegemonem i że odpowiada tylko przed tobą i admirałem Chamrajnagarem.

– Ale straci sporo dotacji – odparł Peter. – I mocno mu to ograniczy swobodę ruchów. Bo teraz wyznaczono cenę za jego głowę, a w pewnych krajach z radością by go aresztowano i wydano Chińczykom.

– Naprawdę sądzisz, że Achilles służy Chinom?

– Równie lojalnie jak mnie.

Zanim jeszcze samolot wylądował w Miami, Peter znalazł swój bezpieczny port. Co dziwne, w USA.

– Myślałem, że Ameryka woli się nie mieszać – zdziwił się Jan Paweł.

– To tylko chwilowo – wyjaśnił Peter.

– Ale to stawia ich wyraźnie po naszej stronie – zauważyła Theresa.

– Ich? – powtórzył Peter. – Jesteście Amerykanami. Ja też. USA to nie „oni”, to my.

– Błąd – stwierdziła Theresa. – Jesteś Hegemonem. Jesteś ponad takie sprawy jak narodowość. Zresztą muszę dodać, że my także.

Dzieci

From: Chamrajnagar%sacredriver@ifcom.gov
To: Flandres%A-Heg@idl.gov
Subject: Min. Kol.

Panie Flandres

Stanowisko Hegemona nie jest i nigdy nie było wakatem. Peter Wiggin nadal sprawuje ten urząd. Tym samym pańskie odwołanie Hyruma Graffa ze stanowiska ministra kolonizacji jest nieważne. Graff nadal dysponuje pełnią władzy w sprawach Ministerstwa Kolonizacji na powierzchni Ziemi.

Co więcej, dowództwo MF uzna wszelkie utrudnianie mu pracy na Ziemi oraz wszelkie zamachy na jego osobę w trakcie pełnienia obowiązków za działanie na szkodę jednej z kluczowych operacji Międzynarodowej Floty. Podejmiemy wówczas odpowiednie kroki.

From: Flandres%A-Heg@idl.gov
To: Chamrajnagar%sacredriver@ifcom.gov
Subject: Min. Kol.

Panie admirale,

nie mam pojęcia, dlaczego w tej sprawie pisze pan do mnie. Nie pełnię obowiązków Hegemona, jestem asystentem Hegemona. Przekazałem pański list generałowi

Suriyawongowi i mam nadzieję, że cała przyszła korespondencja dotycząca takich kwestii będzie kierowana bezpośrednio do niego.

Pański uniżony sługa
Achilles Flandres

From: Chamrajnagar%sacredriver@ifcom.gov
To: Flandres%A-Heg@idl.gov
Subject: Min. Kol.

Przekazuj moje listy, gdzie tylko masz ochotę. Wiem, w co grasz. Ja toczę inną rozgrywkę. W mojej grze to ja trzymam wszystkie atuty. Twoja za to będzie się toczyć tylko do chwili, kiedy ludzie zauważą, że nie masz żadnych kart.

Kiedy proces implantacji dobiegł końca, relacje z Brazylii były już we wszystkich sieciach i widach. Petrę przewieziono do poczekalni na oddziale płodności. Groszek już na nią czekał. Z balonami.

Kiedy się zjawiała, początkowo wcale go nie zauważała. Była zajęta rozmową z lekarzem. Nie przeszkadzało mu to. Chciał się jej przyjrzeć – kobiecie, która być może nosi już jego dziecko.

Wydawała się taka mała.

Pamiętał, jak patrzył na nią z dołu, kiedy pierwszy raz spotkali się w Szkole Bojowej. Dziewczyna – rzadkość w miejscu, gdzie przyjmowano na podstawie testów na agresywność i w pewnym stopniu również bezwzględność. Na nim, nowym, najmłodszym dzieciaku, jaki tu trafił, sprawiała wrażenie rozluźnionej, twardej – ideał żołnierza, bystrego i wojowniczego. To była gra, ale wtedy konieczna.

Groszek od razu poznał, że Petra wiele dostrzega. Na przykład jego – nie z rozbawieniem czy zdziwieniem, jak inne dzieciaki, które widziały tylko, że jest mały. Nie, ona wyraźnie zastanawiała się nad jego obecnością, uznała ją za intrygującą. Zrozumiała może, że jego przybycie do Szkoły Bojowej, choć był wyraźnie za mały, mówiło o nim coś ciekawego.

Częściowo ta właśnie jej cecha skłoniła Groszka, by się do niej zwrócić – a także fakt, że jako dziewczyna musiała być tu traktowana jak odmieniec, tak jak on.

Wyrosła od tamtych czasów, to jasne, ale Groszek urósł bardziej i był teraz sporo od niej wyższy. Lecz nie chodziło tylko o wzrost. Gdy obejmował Petrę, jej żebra wydawały się niezmiernie kruche. Miał wrażenie, że zawsze musi być przy niej delikatny, bo może niechcący zgnieść ją w rękach.

Czy wszyscy mężczyźni odczuwają coś takiego? Raczej nie. Przede wszystkim większość kobiet nie jest tak drobnej budowy jak Petra. Po drugie, większość mężczyzn przestawała rosnać po osiągnięciu pewnego pułapu. Ale u Groszka dłonie i stopy wciąż były nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do ciała, jak u подростka. Chociaż już był wysoki, na pewno urośnie jeszcze bardziej. Dłonie przypominały raczej łapy; dłonie Petry ginęły w nich, jak rączki dziecka.

Jak w takim razie będzie dla mnie wyglądać to dziecko, które ona nosi? Kiedy już się urodzi? Czy dam radę kołysać je w dłoni? Czy będę potrafił być dla niego dość delikatny? Nie wyrządę mu krzywdy? Ostatnio poruszam się bardzo niezgrabnie.

A zanim dziecko będzie już tak duże, tak silne, żebym mu nie zagrażał, ja będę martwy.

Dlaczego się na to zgodziłem?

A tak – bo kocham Petrę. Bo ona bardzo chce urodzić moje dziecko. Z powodu Antona i jakiejś zabójczej teorii o tym, jak to wszyscy ludzie pragną małżeństwa i rodziny, nawet jeśli nie dbają o seks.

Teraz dopiero go zauważyła. Zauważyła też balony i roześmiała się.

– Mężowie zwykle nie przynoszą żonom balonów – powiedziała.

– Pomyślałem, że implantacja dziecka to szczególna okazja.

– Raczej tak. Pod warunkiem że robi się to profesjonalnie. Większość dzieci zostaje zaimplantowana w warunkach domowych, przez amatorów. I żony nie dostają balonów.

– Zapamiętam to i postaram się zawsze mieć kilka pod ręką.

Szedł obok jej fotela na kółkach w stronę wyjścia.

– Dokąd kupiłeś mi bilet? – spytała.

– Wziąłem dwa – odparł Groszek. – Różne linie lotnicze, różne punkty docelowe. I jeszcze bilet na pociąg. Jeśli któryś lot wzbudzi złe przeczucia, nawet jeśli nie będziesz potrafiła wyjaśnić, czemu ci się nie podoba, nie wsiadaj do tego samolotu. Idź do drugiego. Albo zostaw lotnisko i jedź pociągiem. Na kolej kupiłem ci bilet EU, możesz pojechać, gdzie zechcesz.

– Rozpieszczasz mnie...

– Jak myślisz, czy dziecko zagnieździło się w ścianie macicy?

– Nie jestem wyposażona w wewnętrzną kamerę. Brakuje mi też odpowiednich nerwów, żeby wyczuć, jak mikroskopijny embryon przylega do ścianki i zaczyna rosnać łożysko.

– Bardzo nieprzemyślana konstrukcja. Kiedy już umrę, powiem Bogu kilka słów na ten temat.

Petra skrzywiła się.

– Proszę, nie żartuj ze śmierci.

– Proszę, nie oczekuj, że będę ją traktował ponuro.

– Jestem w ciąży. Albo mogę być. To znaczy, że powinienes mi we wszystkim ustępować.

Pielęgniarz popychający fotel Petry skierował się do pierwszej z trzech czekających taksówek. Groszek zatrzymał go.

– Kierowca pali – powiedział.

– Ale zgasi papierosa – zapewnił go pielęgniarz.

– Moja żona nie wsiądzie do samochodu z kierowcą, którego ubranie śmierdzi dymem.

Petra spojrzała na niego zdziwiona. Uniósł brew, mając nadzieję, że zrozumie, iż nie chodzi mu o tytoń.

– To pierwsza taksówka w kolejce – oświadczył pielęgniarz, jakby nienaruszalne prawo fizyki głosiło, że pasażerowie muszą wsiąść do pierwszej taksówki.

Groszek przyjrzał się dwóm pozostałym. Kierowca drugiej patrzył na niego obojętnie. Trzeci szofer uśmiechnął się. Wyglądał na Indonezyjczyka albo Malaję. Groszek wiedział, że w ich kulturze uśmiech jest czysto odruchowy, kiedy spotyka się kogoś większego albo bogatszego od siebie.

Jednak z jakiegoś powodu wobec indonezyjskiego kierowcy nie czuł takiej nieufności jak wobec dwóch Holendrów.

Dlatego pchnął fotel do trzeciej taksówki. Zagadnął kierowcę, który potwierdził, że owszem, pochodzi z Dżakarty. Pielęgniarz, bardzo zirytowany takim naruszeniem protokołu, uparł się, że pomoże Petrze wsiąść. Groszek włożył jej torbę na tylne siedzenie – nigdy nie wkładał niczego do bagażników taksówek, na wypadek gdyby nagle musiał uciekać.

Potem stał tylko i patrzył, jak Petra odjeżdża. Nie było czasu na czułe pożegnania. Wszystko, co miał w życiu ważnego, umieścił w taksówce prowadzonej przez uśmiechniętego obcego człowieka – i musiał pozwolić jej odjechać.

Po chwili wsiadł do pierwszego samochodu. Szofer wyraźnie okazywał swoje niezadowolenie z faktu, że Groszek naruszył prawa kolejki. Teraz, kiedy Holendrzy znów u siebie rządzą, Holandia stała się krajem cywilizowanym i wszelkie zasady budziły szacunek. Miejscowi wyglądali na dumnych z tego, że lepiej stoją w kolejkach niż Anglicy. To absurd, gdyż pogodne czekanie w kolejce było angielskim sportem narodowym.

Groszek wręczył kierowcy dwudziestopięciodolarową monetę, na którą ten spojrzał z pogardą.

– Dolar jest w tej chwili mocniejszy niż euro – wyjaśnił Groszek. – A płacę panu, żeby nie był pan stratny, bo wsadziłem żonę do innej taksówki.

– Dokąd życzy pan sobie jechać? – spytał szorstko kierowca po angielsku, ze sztywnym akcentem BBC.

Holendrom naprawdę przydałyby się lepsze programy w ich języku, żeby obywatele nie musieli przez cały czas oglądać angielskich widów i słuchać angielskiego radia.

Groszek nie odpowiedział, dopóki nie znalazł się w samochodzie i nie zatrzasnął drzwi.

– Do Amsterdamu.

– Co?!

– Słyszał pan.

– To będzie kosztowało osiemset dolarów – uprzedził kierowca.

Groszek wyjął ze zwitka tysiąc dolarowy banknot.

– Czy wideo w samochodzie działa? – zapytał.

Kierowca demonstracyjnie obejrzał banknot, sprawdzając, czy nie jest podrobiony. Groszek pożałował, że nie dał mu banknotu Hegemonii. Nie podobają się dolary? Co powiesz na to? Ale niewielka była szansa, by ktokolwiek przyjął teraz walutę Hegemonii – w końcu twarze Achillesa i Petera widziało się na wszystkich ekranach i wszyscy mówili, jak to Peter rzekomo zdefraudował urzędowe fundusze.

Ich twarze pojawiły się też na monitorze w samochodzie, kiedy kierowca w końcu go uruchomił. Biedny Peter, myślał Groszek. Teraz wie, jak się czuli papieże i antypapieże w czasach, kiedy jedni i drudzy zgłaszali pretensje do Piotrowego tronu. Przyda mu się trochę posmakować historii. Niestety, dla świata oznacza to chaos.

Ku swemu zdumieniu odkrył nagle, że niespecjalnie się przejmuje, czy świat pogrzeże się w chaosie – pod warunkiem że owa chaotyczność nie dotknie jego niewielkiej rodziny.

Naprawdę stałem się cywilem, pomyślał. Jedyne, co mnie obchodzi, to czy wydarzenia na świecie wpłyną na los moich bliskich.

Potem przypomniał sobie: dawniej sprawy polityczne też interesowały mnie tylko wtedy, gdy wpływały na mnie bezpośrednio. Naśmiewałem się z siostry Carlotty, bo ona zawsze strasznie się przejmowała.

Ale i on się przejmował. Śledził wydarzenia. Poświęcał im uwagę. Tłumaczył sobie, że chce po prostu wiedzieć, kiedy będzie bezpieczny. Teraz jednak, choć miał więcej powodów, by martwić się o bezpieczeństwo, cała ta historia Petera i Achillesa wydała mu się strasznie nudna. Peter był durniem, sądząc, że zdoła kontrolować Achillesa. Był durniem, wierząc w tej sprawie wiadomościom z chińskiego źródła. Jak dobrze Achilles musiał Petera rozumieć, skoro przewidział, że raczej zechce go ratować, niż zabić... Chociaż właściwie dlaczego nie? Musiał tylko wyobrazić sobie, co sam by zrobił, gdyby stanął na miejscu Petera, ale był głupszy.

Mimo to, choć znudzony, zaczynał pojmywać sens prasowych relacji i połączył je z tym, co sam wiedział. Historia o defraudacji była śmieszna, oczywiście – najwyraźniej próba dezinformacji ze strony Achillesa, choć niektóre łatwe do przewidzenia kraje bardzo głośno żądały dochodzenia i wyjaśnienia sprawy: Chiny, Rosja, Francja. Prawdą było, że Peter i jego rodzice tuż przed świtem wymknęli się z osiedla Hegemonii w Ribeirão Preto, przejechali do Araraquary, stamtąd polecili do Montevideo, gdzie z kolei uzyskali oficjalną zgodę na przelot do Stanów Zjednoczonych, jako goście amerykańskiego rządu.

Możliwe, oczywiście, że tę nagłą ucieczkę spowodowały jakieś działania Achillesa albo informacje o jego planach. Groszek jednak był prawie pewien, że wydarzenia zostały

zapoczątkowane przez e-maile, które razem z Petrą wysłali rankiem, kiedy tylko dotarła do nich wiadomość od Han Tzu.

Najwyraźniej Wigginowie albo kładli się bardzo późno, albo bardzo wcześnie wstawali, bo odebrali te listy prawie natychmiast po wysłaniu. Odebrali, odszyfrowali przekaz, zrozumieli implikacje tego, co zdradził Han Tzu. A potem, co niewiarygodne, przekonali Petera, żeby ich wysłuchał i wyniósł się stamtąd natychmiast.

Groszek zakładał, że miną dni, zanim do Petera dotrze waga przekazanych informacji. Częścią problemu były jego stosunki z rodzicami. Groszek i Petra wiedzieli, jak inteligentni są Wigginowie, ale większość urzędników Hegemonii nie miała o tym pojęcia, a już najmniej Peter. Groszek spróbował sobie wyobrazić scenę, kiedy tłumaczą Peterowi, że został oszukany przez Achillesa. Peter, który wierzy swoim rodzicom, kiedy mu mówią, że popełnił błąd? Niesamowite.

A jednak musiał im uwierzyć, i to od razu.

Chyba że go uśpili.

Groszek zaśmiał się z tej myśli, po czym oderwał wzrok od ekranu, gdyż taksówka skręcała ostro.

Zjeżdżali z głównej drogi w boczną uliczkę. Nie powinni.

Odruchowo otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz, zanim kierowca zdążył wyrwać spod siedzenia i wymierzyć pistolet. Kula świsnęła mu nad głową, kiedy przetoczył się po ziemi. Taksówka zahamowała i kierowca wyskoczył, żeby zakończyć sprawę. Porzucając torbę, Groszek starał się schować za róg. Jednak nie miał szans, żeby uciec daleko. Na ulicy nie było przechodniów, gdyż znaleźli się w dzielnicy przemysłowej. Wystarczyło, że taksówkarz pobiegnie za nim na główną drogę.

Kolejny strzał padł, kiedy mijał narożnik budynku. Pomyślał, czy nie zacząć się pod ścianą w nadziei, że strzelec okaże się głupi i bez patrzenia wysunie broń.

Ale nic by z tego nie wyszło, ponieważ taksówka, która stała jako druga w kolejce, hamowała właśnie przy krawężniku tuż przed nim, a szofer unosił broń.

Groszek rzucił się na ziemię i dwa pociski trafiły w mur, gdzie stał przed chwilą. Czystym przypadkiem skok przeniósł go bezpośrednio przed pierwszego kierowcę, który rzeczywiście okazał się głupi i mijał róg w pełnym biegu. Potknął się o Groszka i upadł, wypuszczając pistolet.

Groszek nie próbował go chwycić, bo dostrzegł kątem oka, że drugi taksówkarz już wysiada. Cofnął się do pierwszej taksówki, która stała z włączonym silnikiem. Czy zdoła ukryć się za nią, zanim któryś z tych dwóch znowu strzeli?

Wiedział, że nie zdąży. Ale musiał spróbować i mieć nadzieję, że obaj – jak wszystkie czarne charaktery w widach – okażą się fatalnymi strzelcami. A kiedy dostanie się do samochodu, odjedzie. Byłoby miło, gdyby tapicerkę fotela kierowcy zrobiono z jakiegoś cudownego materiału, który odbija kule wpadające przez tylną szybę...

Paf! Paf-paf! A potem... terkot broni automatycznej.

Żaden z taksówkarzy nie miał broni automatycznej.

Groszek wyjrzał zza samochodu, nisko pochylony. Ku jego zdziwieniu żaden z kierowców nie stał na rogu ulicy i nie celował do niego. Może i robili to przed chwilą, ale teraz leżeli na ziemi, naszpikowani kulami. Obfitymi strumieniami krwi zalewali chodnik.

Zza rogu wybiegło dwóch Indonezyjczyków, jeden z pistoletem, drugi z małym plastikowym pistoletem maszynowym. Groszek rozpoznał izraelską produkcję – takiej broni używała jego mała armia podczas operacji, w których jak najdłużej powinni ją ukrywać.

– Chodź z nami! – krzyknął jeden z Indonezyjczyków.

Groszek uznał to za dobry pomysł. Ponieważ plan zamachu uwzględnił jednego strzelca w rezerwie, mógł też przewidywać ich więcej. Im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej.

Oczywiście, nic nie wiedział o tych Indonezyjczykach – skąd się tu wzięli akurat we właściwej chwili, żeby ocalić mu życie. Ale fakt, że mieli broń, a nie strzelali do niego, sugerował, że przynajmniej chwilowo są jego najdroższymi przyjaciółmi.

Chwycił torbę i ruszył biegiem. Prawe przednie drzwi pospolitego niemieckiego samochodu czekały otwarte.

– Co z moją żoną? – zapytał, gdy tylko wskoczył do środka. – Była w trzeciej taksówce.

– Jest bezpieczna – uspokoił go człowiek na tylnym siedzeniu, ten z pistoletem maszynowym. – Jej kierowca jeden z nas. Bardzo dobry wybór taksówka dla niej. Bardzo niedobry dla ciebie.

– Kim jesteście?

– Indonezyjscy imigranci – odpowiedział z uśmiechem kierowca.

– Muzułmanie... – domyślił się Groszek. – Alai was przysłał?

– Nie leje, słońce świeci.

Groszek nie poprawiał go. Jeśli imię „Alai” nic dla niego nie znaczyło, nie warto ciągnąć tej sprawy.

– Gdzie jest Petra? Moja żona?

– Jedzie na lotnisko. Nie używa biletów ty jej dawać. – Człowiek z tylnego siedzenia wręczył mu bilet lotniczy. – Leci tam.

Groszek przyjrzał się biletowi. Do Damaszku.

Najwyraźniej misja Ambula zakończyła się sukcesem. Damaszek był, praktycznie rzecz biorąc, stolicą islamskiego świata. I chociaż Alai zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, niewielka była szansa, że przebywa gdziekolwiek indziej.

– Jedziemy tam jako goście? – zapytał.

– Turyści.

– To dobrze. Bo zostawiliśmy coś tutaj w szpitalu i może będziemy chcieli po to wrócić.

Co prawda było jasne, że ludzie Achillesa – czy kogo tam jeszcze – wiedzieli wszystko o ich wizycie w szpitalu. Właściwie... było całkiem nieprawdopodobne, by pozostało tam jeszcze coś, co należy do nich.

Obejrzał się na mężczyznę z tylnego siedzenia.

– Przykro mi – odezwał się mężczyzna siedzący z tyłu – mówić mi, kiedy my stać tu i strzelać za ciebie, strażnik ze szpitala ukraść, co wy zostawić.

Oczywiście. Nie otwiera się siłą drogi chronionej przez strażnika. Łatwiej go wynająć.

Teraz wszystko stało się jasne. Gdyby Petra wsiadła do pierwszej taksówki, nie byłoby zamachu, tylko porwanie. Nie chodziło o zabicie Groszka – on był tylko niespodziewaną premią. Chodziło o przejęcie jego dzieci.

Wiedział, że nikt ich tutaj nie śledził. Byli zdradzeni zaraz po przylocie... Volescu. A jeśli Volescu był w to zamieszany, to ukradzione embriony prawdopodobnie miały jednak klucz Antona. Po co ktoś miałby porywać embriony, jeśli nie istniała przynajmniej szansa, że okażą się cudownymi dziećmi, takimi jak Groszek?

Test Volescu był prawdopodobnie oszustwem. Volescu nie miał pewnie pojęcia, które embriony mają klucz Antona, a które nie. Porywacze zaimplantują je zastępczym matkom i będą czekać, co się wydarzy, kiedy już się narodzą.

Groszek dał się nabrać Volescu równie łatwo, jak Peter Achillesowi. A przecież wcale mu z Petrą nie ufali. Wierzyli tylko, że nie działa w porozumieniu z Achillesem.

Chociaż to wcale nie musiał być Achilles. Z faktu, że porwał jeesh Endera, nie wynikało przecież, że jest jedynym potencjalnym porywaczem na świecie. Dzieci Groszka, jeśli odziedziczą jego talenty, będą cenne dla każdego ambitnego kraju albo wojskowego przywódcy. Wystarczy wychować je tak, by nic nie wiedziały o prawdziwych rodzicach, przeszkolić na Ziemi równie intensywnie, jak szkolono Groszka i inne dzieci w Szkole Bojowej, a już w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat można im powierzyć planowanie strategii i taktyki.

Mogło to być nawet przedsięwzięcie rynkowe. Może Volescu zrobił wszystko sam, wynajął zamachowców i przekupił strażnika, żeby potem sprzedać dzieci temu, kto da więcej.

– Złe wieści, przykro – powiedział człowiek siedzący z tyłu. – Ale ciągle mieć jedno dziecko. W żonie, tak?

– Jeszcze jedno – przyznał Groszek. Jeśli wyjątkowo dopisywało im szczęście.

Co w tej chwili nie wydawało się trendem dominującym.

Jednak lot do Damaszku... Jeśli Alai rzeczywiście chce ich wziąć pod ochronę, to Petra będzie tam bezpieczna. Petra i być może jedno dziecko – które może mieć klucz Antona, może być skazane na śmierć przed dwudziestym rokiem życia. Ale przynajmniej obojgu nic teraz nie zagrazi.

Za to pozostałe wciąż są nie wiadomo gdzie – dzieci Petry i Groszka, które zostaną wychowane przez obcych, jako narzędzia. Jako niewolnicy.

Było dziewięć embrionów. Jeden zaimplantowano, trzy inne zniszczono. Pozostało więc pięć w rękach Volescu, Achillesa czy kogoś innego, kto je wykradł.

Chyba że Volescu znalazł sposób, by zachować te trzy przeznaczone do usunięcia, że zdołał jakoś podmienić pojemniki. Wtedy do znalezienia jest osiem embrionów.

Raczej nie, raczej tylko pięć, o których wiedzieli. Groszek i Petra zbyt uważnie obserwowali Volescu, by udało mu się wykraść te trzy. Prawda?

Siłą woli Groszek porzucił rozważania o sprawach, na które i tak nie mógł chwilowo nic poradzić. Oceniał bieżącą sytuację.

– Dziękuję – zwrócił się do mężczyzn w samochodzie. – Byłem nieuważny. Bez was już bym nie żył.

– Nie nieuważny – pocieszył go człowiek z tyłu. – Młody człowiek zakochany. Żona z dzieckiem. Czas nadziei.

A zaraz po nim, pomyślał Groszek, czas niemalże rozpacz. Nie powinien się zgodzić, nieważne, jak bardzo pragnęła tego Petra, jak bardzo ją kochał i jak sam chciałby dochować się potomstwa, założyć rodzinę. Powinien być stanowczy, gdyż wtedy coś takiego nie byłoby możliwe. Jego wrogowie nie mieliby mu czego zabierać. On i Petra wciąż by się ukrywali, niewykryci, gdyż nie mieliby po co zjawiać się u takiej żmii jak Volescu.

– Dzieci dobre – stwierdził człowiek z tyłu. – Ty wystraszony, ty wściekły. Ktoś zabiera dzieci, ktoś krzywdzi dzieci, ty wściekły. Ale i tak dobre. Dzieci dobre.

No tak... Może Groszek pożyje dość długo, by dojść do takich wniosków. A może nie.

Ponieważ właśnie odkrył, jakie będzie dzieło jego życia przez czas, jaki mu jeszcze pozostał do śmierci od gigantyzmu: musi odzyskać swoje dzieci. Czy powinny zjawić się na świecie, czy nie, teraz już istniały, każde z własną genetyczną tożsamością, każde żywe. Dopóki ich nie skradziono, były dla niego tylko komórkami w roztworze – liczyło się tylko to, które zaimplantowali Petrze. Ono miało dorosnąć, stać się członkiem rodziny. Ale teraz wszystkie stały się ważne. Wszystkie były dla niego żywe, ponieważ wpadły w ręce kogoś innego – kogoś, kto chciał je wykorzystać.

Żałował nawet tej trójki, której kazał się pozbyć. Nawet gdyby test nie był oszustwem, nawet gdyby rzeczywiście miały klucz Antona, jakie miał prawo, by kasować ich genetyczną tożsamość, tylko dlatego że chciał – jakże altruistycznie – oszczędzić im cierpień życia tak krótkiego jak jego?

I nagle uświadomił sobie, o czym właściwie myśli. Co to oznacza.

Siostró Carlotto, zawsze chciałaś nawrócić mnie na chrześcijaństwo. Nie tylko na chrześcijaństwo – na katolicyzm. I teraz właśnie dochodzę do wniosku, że kiedy tylko plemnik i jajeczko się połączą, powstaje ludzka istota i nie wolno jej krzywdzić...

Lecz nie jestem katolikiem i nie było błędem, że chciałem, by dzieci dorastały, mając przed sobą całe życie, a nie tylko tę jedną piątą, na jaką sam mogę liczyć.

Ale czym się właściwie różniłem od Volescu, wylewając zawartość tych trzech pojemników? On zlikwidował dwadzieścia dwa, ja trójkę. On odczekał prawie dwa lata – ciąża plus rok – ale w ostatecznym efekcie czy to naprawdę aż tak wielka różnica?

Czy siostra Carlotta potępiłaby go za to? Czy popełnił grzech śmiertelny? Czy teraz dostaje to, na co zasłużył – stracił pięcioro, bo wcześniej z własnej woli pozbył się trojga?

Nie, nie potrafił sobie wyobrazić, by powiedziała mu coś takiego. Ani nawet żeby coś takiego pomyślała. Cieszyłaby się, że w ogóle zdecydował się na dzieci. Byłaby szczęśliwa, gdyby się okazało, że Petra jest w ciąży.

Ale zgodziłaby się też, że tej piątki, która znalazła się teraz w obcych rękach, która może być zaimplantowana komuś obcemu, może się urodzić – tej piątki nie wolno mu porzucić. Musi znaleźć te embriony, ocalić je, sprowadzić do domu...

Gaszenie ogni

From: Han Tzu
To: Śnieżny Tygrys
Subject: Kamienie

Jestem uradowany i zaszczycony, że mogę raz jeszcze zaproponować moją nędzną radę twojej świetlistej wspaniałości. Moja poprzednia sugestia, by zignorować leżące na drogach stosy kamieni, była oczywiście nierozsądna. Ty dostrzegłeś, że o wiele mądrzej jest uznać noszenie kamieni za nielegalne.

Teraz ponownie przypadł mi oszałamiający zaszczyt udzielenia złej porady temu, kto żadnych rad nie potrzebuje.

Oto problem, tak jak ja go widzę:

1. Wprowadziwszy prawo zakazujące noszenia kamieni, nie możemy się cofnąć i go odwołać, bo okazałoby się słabość.
2. Prawo zakazujące noszenia kamieni stawia nas w sytuacji, kiedy musimy aresztować kobiety i małe dzieci, co jest filmowane i przemycane z Indii, i powoduje wielkie zakłopotanie Światowego Państwa Ludu.
3. Wybrzeże Indii jest tak rozległe, a nasza flota tak nieliczna, że nie możemy powstrzymać przemytu tych widów.
4. Kamienie blokują drogi, co sprawia, że transport żołnierzy i materiałów jest niebezpieczny i trudny do zaplanowania.
5. Stosy kamieni określane są Indyjskim Murem oraz innymi nazwami, które czynią je symbolem buntowniczego wyzwania dla Światowego Państwa Ludu.

Poddajesz mnie próbie, sugerując, że istnieją tylko dwie możliwości, a w mądrości swej przewidziałeś, że obie doprowadziłyby do katastrofalnych skutków. Zawieszenie prawa lub zaprzestanie jego egzekucji byłoby zachętą do dalszego bezprawia. Ściślejsze egzekwowanie go doprowadziłoby do stworzenia męczenników, rozbudzenia opozycji, zawstydzenia nas wobec barbarzyńskich krajów, i znowu zachęciło do dalszego bezprawia.

Dzięki niewiarygodnemu szczęściu zdołałem zdać twój chytry test. Odkryłem trzecią możliwość, którą sam już dostrzegłeś. Teraz rozumiem, że twój plan polega na załadowaniu ciężarówek drobnym żwirem i wielkimi głazami. Twoi żołnierze pojadą do wiosek, które wzniosły te nowe, wyższe barykady, wysypią żwir i głazy przed stosami miejscowych - ale nie na te stosy.

1. Buntowniczy i niewdzięczni mieszkańcy Indii będą mogli rozważyć różnicę wielkości Indyjskiego Muru i Chińskiego Żwiru i Głazów.
2. Ponieważ zablokowane zostaną wszystkie drogi z wioski i do wioski, nie dotrą do nich żadne ciężarówki ani autobusy, dopóki nie uprzątną nie tylko Indyjskiego Muru, ale też Chińskiego Żwiru i Głazów.
3. Przekonają się, że żwir jest zbyt drobny, a głazy zbyt ciężkie, by łatwo dały się usunąć. Wielki wysiłek, jaki włożą w oczyszczenie dróg, będzie wystarczającą karą.
4. Wszelkie widy przemyczone z Indii pokażą, że zrobiliśmy z ich drogami tylko to, co z własnej woli zrobili sami, tyle że skuteczniej. I cudzoziemcy zobaczą, że Hindusi nie ponoszą żadnej innej kary, tylko dźwigają kamienie - a to właśnie robili sami, od tego wszystko się zaczęło.
5. Ponieważ w Indiach nie ma dosyć ciężarówek, by wysypać żwir i głazy we wszystkich miejscach, gdzie zbudowano Indyjski Mur, wioski, które zostaną tak potraktowane, powinny być dobrane starannie, by jak najwięcej dróg zostało zablokowanych, dezorganizując handel i transport żywności w całych Indiach.
6. Trzeba także dopilnować, by dostatecznie wiele dróg pozostało przejezdnych, umożliwiając przewóz naszych zapasów. Należy jednak ustawić punkty kontrolne - daleko od samych wiosek i w miejscach, których nie da się sfilmować z dużej odległości. Żadne pojazdy cywilne nie będą przepuszczane.
7. Niektóre wioski, gdzie zapanuje głód, otrzymają nieco żywności przewiezionej drogą powietrzną przez chińskich żołnierzy, którzy przybędą jako wybawcy, niosąc pożywienie tym, którzy cierpią niewinnie z powodu działań nieposłusznych

buntowników, blokujących drogi. Film z tych operacji humanitarnych naszej armii dostarczymy wszystkim zagranicznym agencjom prasowym.

Podziwiam twoją mądrość, jaką się wykazałeś, tworząc ten plan. Dziękuję też, że komuś tak głupiemu jak ja dałeś możliwość przestudiowania twojego sposobu myślenia i przekonania się, jak zdołasz tę kłopotliwą sytuację zmienić w ważną lekcję dla niewdzięcznego ludu Indii. Chyba że, jak poprzednim razem, masz plan jeszcze bardziej mądry i subtelny, którego nie udało mi się odgadnąć.

Han Tzu, dziecko, które pada do twych stóp, by poznawać mądrość

Peter nie chciał wstać z łóżka.

Coś takiego nigdy w życiu mu się jeszcze nie zdarzyło. Nie, to nieprawda. Często nie chciał podnieść się z łóżka, ale zawsze brał się w garść i wstawał mimo wszystko. Dzisiaj jednak wciąż leżał, choć było wpół do dziesiątej rano i za niecałe pół godziny miał zaplanowaną konferencję prasową w sali konferencyjnej hotelu O. Henry, w jego rodzinnym mieście Greensboro, w Karolinie Północnej.

Nie mógł się tłumaczyć zmianą strefy czasowej – różnica między Ribeirão Preto i Greensboro wynosiła zaledwie godzinę. Będzie wstyd, jeśli nie wstanie na czas. Ale przecież wstanie. Już niedługo.

Zresztą to przecież nic nie zmieni. Owszem, w tej chwili nadal nosi tytuł Hegemona, ale przecież w wielu krajach ludzie tytułujący się królami, książętami czy markizami gotowali, robili zdjęcia albo naprawiali samochody, żeby zarobić na życie. Może udałoby mu się pod innym nazwiskiem wrócić do college'u i po studiach podjąć pracę taką jak ojciec – spokojną, w jakiejś firmie.

Mógłby też iść do łazienki, napełnić wannę, położyć się w niej i wciągnąć wodę do płuc. Kilka chwil paniki i szarpania się, a potem cały problem byłby już nieistotny. Gdyby jeszcze się bardzo mocno poobijał, wyglądałoby to, jakby walczył z napastnikiem i został zamordowany. Mogliby nawet uznać go za męczennika. Ludzie by myśleli, że był dość ważny, by mieć nieprzyjaciela, dość ważny, by warto go było zamordować.

Już zaraz, myślał. Zaraz wstanę i wezmę prysznic, żeby porządnie wyglądać przed dziennikarzami.

Powinienem przygotować oświadczenie. Coś w stylu: „Dlaczego nie jestem tak politowania godny i głupi, jak mogłyby sugerować moje ostatnie działania”.

Biorąc pod uwagę jego ostatnie osiągnięcia, prawdopodobnie ktoś go wyciągnie z wanny, zrobi sztuczne oddychanie, potem ktoś zauważy sińce na ciele i nieobecność napastnika. W

rezultacie rozejdzie się wieść o jego żalostnej próbie upozorowania próby samobójstwa na brutalne zabójstwo, przez co życie stanie się jeszcze bardziej bezwartościowe niż w tej chwili.

Ktoś zapukał do drzwi. Czy pokojówka nie potrafi przeczytać wywieszki „Nie przeszkadzać”? Napisano ją w czterech językach. Czy może być analfabeta we wszystkich czterech? To pewnie jest nią i w piątym.

Dwadzieścia pięć minut do konferencji. Czy się zdrzemnąłem? To by było nieźle. Zwyczajnie... zasnąć. Przepraszam, zasnęłam. Miałem mnóstwo pracy. To bardzo męczące, przekazywać – w dodatku megalomańskiemu mordercy – wszystko, co w życiu zbudowałem.

Puk, puk, puk. Dobrze, że nie zdecydowałem się zabić, przy tym stukaniu nie potrafiłbym się skoncentrować i całkiem bym zepsuł scenę swojej śmierci. Powinienem umierać jak Seneka, ze wspaniałą mową pożegnalną. Albo Sokrates, ale to byłoby trudniejsze, bo nie mam cykuty. Mam tylko wannę, ale ani jednej zyletki. Nie mam jeszcze takiego zarostu, żebym ich potrzebował. Kolejny dowód, że jestem tylko głupim dzieciakiem, któremu nie powinno się powierzać żadnej roli w dorosłym świecie.

Drzwi się otworzyły. Brzęknął łańcuch.

To oburzające! Kto ośmielił się użyć służbowego klucza do drzwi jego pokoju?

I nie tylko służbowego klucza! Ktoś miał narzędzie, które pozwoliło odsunąć łańcuch.

Zabójcy! Dobrze, niech zabiją mnie w łóżku, kiedy patrzę im prosto w twarz, nie skulonego w kącie i błagającego, żeby nie strzelali.

– Biedne dziecko – odezwała się mama.

– Jest w depresji – stwierdził ojciec. – Nie śmieć się z niego.

– Kiedy pomyślę, przez co przeszedł Ender... Toczył bitwy z Formidami prawie codziennie, przez całe tygodnie, całkowicie wyczerpany, a jednak zawsze wstawał i walczył dalej.

Peter miał ochotę na nią wrzasnąć. Jak śmie porównywać to, przez co niedawno przeszedł, z legendarnym „cierpieniem” Endera? Ender nigdy nie przegrał bitwy. Czy ona w ogóle o tym pomyślała? A Peter właśnie przegrał wojnę! Miał prawo się wypaść.

– Gotowa? Raz, dwa, trzy!

Poczuł szarpnięcie materaca i wylądował niezgrabnie na podłodze. Uderzył głową o ramę łóżka.

– Aj! – krzyknął.

Czy to nie piękne ostatnie słowo, które przetrwa w pamięci pokoleń?

W jaki sposób wielki Peter Wiggin, Hegemon Ziemi (i oczywiście brat Endera Wiggina, świętego zbawcy), zakończył życie?

Doznał straszliwej rany głowy, kiedy rodzice wyciągnęli go z łóżka rankiem po haniebnej ucieczce z jego własnego osiedla, gdzie nikt w żaden sposób mu nie zagroził i gdzie nie miał żadnych dowodów na grożące mu niebezpieczeństwo.

A jakie były jego ostatnie słowa godne wyrzeka na nagrobku?

Jednowyrazowa wypowiedź. Aj.

– Chyba nie damy rady zaciągnąć go pod prysznic, nie dotykając jego świętej osoby – zauważyła mama.

– Masz rację – zgodził się ojciec.

– A jeśli go dotkniemy – ciągnęła mama – istnieje realna szansa, że padniemy trupem na miejscu.

Inni ludzie miewają matki współczujące, czułe, opiekuńcze i pełne zrozumienia. Jego matka to sarkastyczna wiedźma, która najwyraźniej go nienawidzi i zawsze nienawidziła.

– Wiaderko z lodem – zaproponował ojciec.

– Nie ma lodu.

– Ale jest woda.

To było aż nazbyt głupie. Stary numer z oblewaniem wodą śpiącego nastolatka...

– Idźcie sobie. Wstanę za parę minut.

– Nie – odparła mama. – Wstaniesz natychmiast. Ojciec właśnie napełnia wiaderko. Słyszysz, że leje się woda z kranu.

– Dobrze, dobrze. Wyjdźcie, żebym mógł się rozebrać i iść pod prysznic. Czy może to podstęp, bo chcesz znowu zobaczyć mnie nagiego? Nigdy nie pozwoliłaś mi zapomnieć, jak to zmieniałaś mi pieluchy, więc wyraźnie był to ważny okres w twoim życiu.

Odpowiedzią było chłapięcie wodą na twarz. Nie całe wiaderko, ale dosyć, by zmoczyć mu głowę i ramiona.

– Przepraszam, nie miałem czasu, żeby nalać do pełna – usprawiedliwiał się ojciec. – Ale kiedy zaczęłaś rzucać prymitywne seksualne insynuacje pod adresem mojej żony, musiałem użyć tego, co miałem w rękę. Chciałem, żebyś się zamknął, zanim powiesz tyle, że będę musiał ci sprać tę śliczną buźkę.

Peter podniósł się z materaca na podłodze i ściągnął spodenki, w których spał.

– Czy to chcieliście zobaczyć?

– Jak najbardziej – potwierdził ojciec. – Nie miałaś racji, Thereso. On jednak ma jaja.

– Rzeczywiście. Jestem zaskoczona.

Peter dumnie przeszedł między nimi i zatrzasnął za sobą drzwi łazienki.

Pół godziny później, każąc dziennikarzom czekać ledwie dziesięć minut, Peter wszedł samotnie na podium w zatłoczonej sali konferencyjnej. Wszyscy reporterzy trzymali kamery w górze, obiekty wyglądały spomiędzy palców. Takiego tłoku nie miał jeszcze na żadnej konferencji prasowej – choć trzeba przyznać, że żadnej nie organizował w Stanach Zjednoczonych. Może tutaj wszystkie by takie były?

– Jestem nie mniej od państwa zdziwiony, że znalazłem się dzisiaj właśnie tutaj – zaczął z uśmiechem. – Pragnę wyrazić wdzięczność źródłu, które dostarczyło informacji umożliwiającej mnie oraz mojej rodzinie opuszczenie miejsca będącego kiedyś bezpieczną

przystania, teraz jednak dla mnie najniebezpieczniejszego na świecie. Jestem także wdzięczny rządowi Stanów Zjednoczonych, który zaprosił mnie i zaproponował, by tutaj przenieść biura Hegemonii, tylko na jakiś czas, naturalnie. Przydzielił mi także obfity kontyngent agentów Secret Service. Nie sądzę, by byli niezbędni, przynajmniej w takiej liczbie, ale z drugiej strony do niedawna nie sądziłem nawet, że potrzebuję ochrony na terenie osiedla Hegemonii w Ribeirão Preto.

Uśmiechem zachęcał do śmiechu i ten śmiech wywołał – było to bardziej rozładowanie napięcia niż prawdziwa wesołość, ale wystarczy. Ojciec podkreślał to mocno – od czasu do czasu skłonił ich do śmiechu, żeby czuli się rozluźnieni. Wtedy pomyślą, że ty również jesteś rozluźniony i pewny siebie.

– Moje informacje sugerują, że wielu lojalnym pracownikom urzędu Hegemona nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Kiedy utworzymy nową, stałą kwaterę, zaproszę wszystkich, którzy tego zechcą, by podjęli swoje obowiązki. Nielojalni pracownicy, naturalnie, mają już innego pracodawcę.

Znowu śmiech – a także kilka słyszalnych jęków. Prasa wyczuwała krew. Okazuj dobry humor, owszem, ale nie próbuj wyjść na dowcipnego mądrałę. A zwłaszcza nie przypominaj dowcipnego mądrale, którego rodzice musieli rano wywlec z łóżka.

– Nie powiem niczego, co mogłoby ujawnić mojego niedawnego dobroczyńcę. Mogę jednak zapewnić, że moja tak niedogodnie nagła podróż, ta niespodziewana przerwa w działaniach urzędu Hegemona wynika wyłącznie z mojej winy.

Właśnie. Czegoś takiego nie powiedziałaby dzieciak. Nie powiedziałaby nawet dorosły polityk.

– Wbrew radom dowódcy mojej armii i innych osób sprowadziłem do siebie, do mojego osiedla, niesławnego Achillesa Flandres, na jego prośbę. Zapewniał o swojej lojalności. Ostrzegano mnie, że nie można mu ufać, i wierzyłem tym ostrzeżeniom. Sądziłem jednak, że jestem dostatecznie sprytny i dostatecznie ostrożny, by wykryć wszelką zdradę z jego strony, i to z dużym wyprzedzeniem. Przeliczyłem się pod tym względem. Dzięki pomocy innych błęd nie okazał się fatalny.

Sala słuchała pilnie.

– Informacje, jakie w tej chwili rozpowszechnia Achilles Flandres z byłego osiedla Hegemonii na temat mojego rzekomego przywłaszczenia funduszy, są oczywiście fałszywe. Zawsze podawałem stan finansów Hegemonii do wiadomości publicznej. Ogólne kategorie przychodów i wydatków były co roku ogłaszane w sieciach, a dziś rano udostępniłem pełny zestaw ksiąg obrachunkowych Hegemonii i moich własnych rejestrów finansowych na zabezpieczonym serwerze, pod adresem „Ujawnienie Finansów Hegemona”. Z wyjątkiem kilku tajnych pozycji budżetu, które, jak wam powie każdy specjalista do spraw militarnych, ledwie wystarczają na sfinansowanie nielicznych operacji wojskowych przeprowadzonych przez mój zespół przez ostatnie lata, każdy dolar jest tam rozliczony. Owszem, prowadzimy te

księgi w dolarach, ponieważ wartość waluty Hegemonii wahała się ostatnio dość mocno, ale przez ostatnie lata dał się zauważyć wyraźny trend spadkowy.

Znowu śmiech. Lecz wszyscy notowali jak szaleni. Decyzja pełnego ujawnienia była słuszna.

– Przekonacie się, że nic nie zostało ukradzione – podjął Peter. – Odkryjecie też, że Hegemonia pracuje przy niezwykle ograniczonym budżecie. Było prawdziwym wyzwaniem, jak przy tych skromnych funduszach zmobilizować liczne kraje, by sprzeciwiły się imperialistycznym planom tak zwanego Światowego Państwa Ludu, czyli chińskiego imperium. Byliśmy niezwykle wdzięczni tym krajom, które na takim czy innym poziomie kontynuowały pomoc dla Hegemonii. Z szacunku dla tych, które wolą utrzymać ową pomoc w tajemnicy, nie podaliśmy około dwudziestu nazw. Mogą państwo spekulować, o które kraje chodzi, ale nie potwierdzę ani nie zaprzeczę. Powiem jednak szczerze, że Chin nie ma wśród nich.

Najgłośniejsze jak dotąd śmiechy. Kilka osób nawet klasnęło.

– Jestem oburzony, że uzurpator Achilles Flandres zakwestionował uczciwość ministra kolonizacji. Ale jeśli byłyby jakieś wątpliwości co do zamiarów Achillesa, fakt, że było to jego pierwsze zarządzenie, powinien wiele państwu zdradzić na temat jego planów wobec nas wszystkich. Achilles Flandres nie spocznie, dopóki każda istota ludzka nie znajdzie się pod jego całkowitą władzą. Albo, rozumie się, nie zginie.

Przerwał i spojrzał na pulpit, jakby miał tam notatki, których oczywiście nie miał.

– Z jednego powodu nie żałuję, że sprowadziłem Achillesa Flandres do Ribeirão Preto. Otóż miałem okazję ocenić go jako człowieka, choć tylko w najszerszym możliwym sensie zaliczam go do tej kategorii. Achilles Flandres osiągnął swoją pozycję w świecie nie dzięki własnej inteligencji i odwadze, ale wykorzystując inteligencję i odwagę innych. Zorganizował porwanie dzieci, które pomagały mojemu bratu, Enderowi Wigginowi, ratować ludzkość przed najeźdźcami. Dlaczego? Bo wiedział, że sam nie ma najmniejszych szans zdobycia władzy nad światem, jeśli którekolwiek z tych dzieci będzie pracować przeciwko niemu. Siła Achillesa Flandres bierze się z gotowości innych do uwierzenia w jego kłamstwa. Ale te kłamstwa nie będą mu już pozyskiwać nowych sprzymierzeńców, jak to się działo w przeszłości. Zaprzął do swego wózka Chiny i teraz wymachuje im batem. Słyszałem jednak, jak naśmiewa się z tych biednych głupców w chińskim rządzie, którzy mu uwierzyli. Słyszałem, jak drwi z ich małych ambicji. Mówił mi, jak nie są warci tego, żeby to on zajmował się ich sprawami. Bez wątpienia wiele z tych wypowiedzi było tylko próbą przekonania mnie, że już dla nich nie pracuje. Ale jego kpiny dotyczyły konkretnych, wymienionych z nazwiska osób, i były bardzo konkretne. Jego pogarda dla nich była szczera. Niemal mi ich żal, bo kiedy jego władza okrzepnie i nie będą mu już potrzebni, poznają to, co i ja poznałem.

Odczekał chwilę.

– Oczywiście i dla mnie żywił pogardę, a jeśli teraz śmieje się ze mnie, mogę tylko przyklasnąć. Zostałem wykiwany, panie i panowie. Dołączyłem tym samym do szacownego grona, z którego część utraciła władzę w Rosji po porwaniach, część cierpi jako więźniowie polityczni po chińskim podboju Indii, a część jeszcze teraz aresztuje ludzi za... noszenie kamieni. Mam tylko nadzieję, że okażę się ostatnią osobą tak prózną i niemądrą, by wierzyć, że Achillesa Flandres można kontrolować czy wykorzystać do jakichś wyższych celów. Achilles Flandres służy tylko jednemu celowi: własnej przyjemności. A przyjemność sprawi mu władza nad każdym mężczyzną, kobietą i dzieckiem. Nie byłem głupcem, kiedy postanowiłem, że Hegemonia musi się przeciwstawić imperialistycznym działaniom chińskiego rządu. Teraz, przez moje własne błędy, prestiż tej instytucji uległ chwilowemu osłabieniu. Ale nie osłabił mój sprzeciw przeciwko uciskowi, jaki stosuje chińskie imperium wobec ponad połowy ludności świata. Jestem nieprzejednanym wrogiem imperatorów.

To zdanie uznał za nie gorsze od innych, by nim skończyć. Skłonił się lekko, dziękując za uprzejme brawa. Niektórzy ze słuchających klaskali bardziej niż tylko grzecznościowo, jednak zdawał sobie sprawę, że niektórzy nie klaskali wcale.

Zadawali mu pytania, ale że sam siebie oskarżył na samym początku, radził sobie z nimi bez trudu. Dwie osoby próbowały uzyskać dokładniejsze informacje na temat źródła, z którego pochodziło ostrzeżenie, i czego dokładnie to ostrzeżenie dotyczyło. Peter odpowiedział tylko:

– Jeśli powiem coś więcej na ten temat, ktoś, kto bardzo mi pomógł, z pewnością zginie. Dziwię się, że takie pytanie padło.

Kiedy powtórzył to po raz drugi, słowo w słowo, nikt już dalej nie drażył tej sprawy.

Padaly pytania będące zawołanymi oskarżeniami. Zgodził się ze wszystkimi, którzy sugerowali, że postąpił głupio. Zapytany, czy nie okazał się zbyt głupi, by sprawować urząd, odpowiedział początkowo żartem:

– Kiedy przyjąłem to stanowisko, od razu mi powiedziano, że zgadzając się, dowodzę, iż jestem zbyt tępy, by je pełnić.

Śmiech, oczywiście. Potem jednak dodał:

– Staralem się wykorzystać tę funkcję, by służyć sprawie pokoju i samostanowienia dla całej ludzkości. Czy ktoś potrafiłby dowieść, że robiłem cokolwiek, co nie służyło osiągnięciu jak największych postępów w realizacji tego celu, przy środkach, jakie miałem do dyspozycji?

Po piętnastu minutach przeprosił, że nie ma już czasu.

– Ale zachęcam, by dalsze pytania przesłać mi pocztą elektroniczną. Mój personel i ja postaramy się odpowiedzieć tak, żeby państwo zdążyli dostarczyć teksty do redakcji. Jeszcze słowo na zakończenie, zanim wyjdę.

Umilkli wszyscy.

– Przyszłe szczęście ludzkości zależy od dobrych ludzi, którzy chcą żyć w pokoju z sąsiadami i skłonni są bronić sąsiadów przed takimi, co pokoju nie chcą. Ja jestem tylko jednym z tych ludzi. Zapewne nie najlepszym z nich, a w Bogu pokładam nadzieję, że nie najmądrzejszym. Ale tak się składa, że to mnie powierzono urząd Hegemona. Dopóki nie skończy się moja kadencja albo nie zostanę zgodnie z prawem odwołany przez kraje wspierające Hegemonię, nadal będę pełnił ten urząd.

Znowu oklaski – i tym razem pozwolił sobie na wiarę, że może była w nich odrobina prawdziwego entuzjazmu.

Do pokoju wrócił wyczerpany.

Czekali tam mama i ojciec. Nie chcieli zejść z nim na dół.

– Jeśli twoja matka i ja będziemy przy tobie – twierdził ojciec – to lepiej, żeby to była konferencja, na której zrezygnujesz ze stanowiska. Ale jeśli chcesz je zachować, zejdiesz do nich sam. Żadnych doradców. Żadnych rodziców. Żadnych przyjaciół. Żadnych notatek. Tylko ty.

Ojciec miał rację. Mama też miała rację. Ender, niech Bóg ma w opiece jego dobre serduszko, to przykład, jakim powinien się kierować: jeśli przegrywasz, to przegrywasz, ale się nie poddajesz.

– Jak poszło? – spytała mama.

– Chyba nieźle – odparł Peter. – Odpowiadałem na ich pytania przez kwadrans, ale zaczęli się powtarzać albo odchodzić od tematu, więc poprosiłem, żeby resztę przysłali mi e-mailem. Pokazywali to w widach?

– Sprawdziliśmy trzydzieści stacji informacyjnych – oświadczył ojciec. – I jakieś dwadzieścia najpopularniejszych sieci. – Większość dała transmisję.

– Więc widzieliście?

– Nie, przesłakiwaliśmy po kanałach – wyjaśniła mama. – Ale to, co zobaczyliśmy, wyglądało i brzmiało całkiem dobrze. Nawet powieka ci nie drgnęła. Chyba się udało.

– Zobaczymy.

– Na dłuższą metę – dodał ojciec. – Czekaj cię teraz parę nerwowych miesięcy. Zwłaszcza że Achilles na pewno nie wypuścił jeszcze wszystkich strzał.

– Analogia z łukiem? – uśmiechnął się Peter. – Jesteście tacy staroświeccy.

Zaśmiali się z jego żartu.

– Mamo, tato, dzięki.

– Zrobiliśmy tylko to – rzekł ojciec – z czego nie mogliśmy zrezygnować, bo wiedzieliśmy, że jutro byś tego żałował.

Peter skinął głową. Usiadł na krawędzi łóżka.

– O rany, nie mogę uwierzyć, jaki byłem głupi. Nie mogę uwierzyć, że nie słuchałem Groszka i Petry, Suriego i...

– ...i nas – podpowiedziała mama.

– I was, i Graffa – dokończył Peter.

– Zaufałeś własnym sądom – pocieszył go ojciec. – I właśnie tak powinieś postępować. Tym razem popełniłeś błąd, ale nieczęsto je popełniałeś i wątpię, czy kiedyś jeszcze popełnisz aż taki.

– Na miłość boską, nie poddawaj swoich decyzji pod głosowanie – powiedziała mama. – Nie sprawdzaj badań opinii publicznej i nie staraj się przewidzieć, jak twoje działania przedstawią media.

– Nie będę.

– Bo widzisz, jesteś przecież Locke'em. Już zakończyłeś jedną wojnę. Za parę dni czy tygodni dziennikarze zaczną sobie o tym przypominać. I jesteś Demostenesem; masz wielu gorących zwolenników.

– Miałem...

– Zobaczyli to, czego spodziewali się po Demostenesie. Nie wykręcałeś się, nie usprawiedliwiałeś, wziąłeś na siebie winę za swoje błędy i odrzuciłeś fałszywe oskarżenia. Przedstawiłeś swoje dowody...

– To był dobry pomysł, tato. Dziękuję.

– I jeszcze – dodała mama – okazałeś odwagę.

– Uciekając z Ribeirão Preto, zanim ktoś tam choćby krzywo na mnie spojrzał?

– Wstając z łóżka – odparła.

Peter pokręcił głową.

– W takim razie to tylko pożyczona odwaga.

– Nie pożyczona – sprzeciwiła się. – Zmagazynowana. W nas. Jak w banku. Poznaliśmy twoją odwagę i zachowaliśmy trochę na czas, kiedy chwilowo ci się wyczerpie, a będzie potrzebna.

– Problem przepływu gotówki, nic więcej – podsumował ojciec.

– Ile razy oboje będziecie musieli ratować mnie przed sobą samym, zanim ten dramat dojdzie do finału? – zapytał Peter.

– Według mnie... – Ojciec zastanowił się przez chwilę. – Jakies sześć razy.

– Nie, osiem – poprawiła go mama.

– Wydaje wam się, że jesteście dowcipni...

– Mhm.

– Jasne.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Obsługa! – usłyszeli głos z korytarza.

Ojciec w dwóch krokach znalazł się przy drzwiach.

– Trzy soki pomidorowe? – zapytał.

– Nie, nic takiego. Lunch. Kanapki. Lody.

Ojciec stanął z boku i uchylił drzwi, na ile pozwolił łańcuch. Nikt nie strzelił, a człowiek z wózkiem roześmiał się tylko.

– Wszyscy zapominają odpiąć to draństwo. Stale się zdarza.

Ojciec otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, sprawdzając, czy nikt tam nie czeka, by wejść za kelnerem. Kiedy Peter odwrócił się, zauważył, że mama chowa do torebki pistolet.

– Kiedy zaczęłaś go nosić? – zapytał.

– Odkąd twój szef bezpieczeństwa sieci okazał się dobrym przyjacielem Achillesa.

– Ferreira? – zdziwił się Peter.

– Opowiadał prasie, jak to zainstalował oprogramowanie szpiegowskie, żeby wykryć, kto wprowadza fundusze. Był zaszokowany, kiedy się okazało, że to ty.

– Aha... Naturalnie, zwołali swoją konferencję prasową w tym samym czasie co ja.

– Ale prawie wszyscy przekazywali twoją na żywo, a z tamtej dali tylko skróty. A po wypowiedzi Ferreiry puścili powtórkę, jak mówisz, że umieściłeś w sieci dokumenty finansowe Hegemonii.

– Zapchamy im serwer...

– Nie, wszystkie sieci informacyjne od razu sklonowały dane.

Ojciec podpisał rachunek i kelner wyszedł. Ojciec zamknął drzwi.

– Jedzcie. Jeśli dobrze pamiętam, zawsze tu mieli świetne przekąski.

– Przyjemnie jest być znowu w domu – westchnęła mama. – No, może nie całkiem w domu, ale przynajmniej w mieście.

Peter ugryzł kanapkę. Była dobra. Zamówili mu dokładnie taką, jaką sam by sobie wybrał. Tak dobrze go znali... Dzieci były ośrodkiem, wokół którego toczyło się ich życie. On dla nich nie potrafiłby zamówić niczego.

Trzy nakrycia na małym stoliku. Powinno być pięć.

– Przepraszam – powiedział.

– Za co? – zdziwił się ojciec.

– Że jestem jedynym dzieckiem, jakie wam zostało na Ziemi.

– Mogło być gorzej – mruknął ojciec. – Mogło nie zostać żadne.

Mama poklepała go po ręku.

Kalif

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov

To: Locke%erasmus@polnet.gov

Subject: Najlepsza połowa męstwa

Wiem, że nie chcesz dostawać wieści ode mnie. Ale biorąc pod uwagę, że twoja sytuacja nie jest już pewna, a nasz wspólny wróg znowu występuje na światowej scenie, chcę zaproponować tobie i twoim rodzicom schronienie. Nie sugeruję, żebyście przystąpili do programu kolonizacyjnego. Wręcz przeciwnie – uważam cię za jedyną nadzieję zmobilizowania światowej opozycji przeciwko naszemu wrogowi. Dlatego właśnie fizyczne chronienie cię jest sprawą najwyższej wagi.

Z tego powodu zostałem upoważniony, by zaprosić cię do naszej placówki pozaplanetarnej na kilka dni, kilka tygodni lub kilka miesięcy. Zapewnimy ci pełne połączenie z sieciami. Na Ziemię zostaniesz przetransportowany w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, jeśli zgłosisz takie żądanie. Nikt nie dowie się nawet, że zniknąłeś. Za to znajdziesz się poza zasięgiem wszelkich zamachów czy prób porwania ciebie lub twoich rodziców.

Proszę, potraktuj tę propozycję poważnie. Teraz, kiedy już wiemy, że nasz nieprzyjaciel nie zerwał kontaktów z poprzednim gospodarzem, pewne uzyskane wcześniej dane wywiadowcze nabrały nowego sensu. Według naszej najlepszej interpretacji tych danych zamach na twoje życie nastąpi wkrótce.

Czasowe zniknięcie z powierzchni Ziemi będzie dla ciebie w tej chwili bardzo wygodne. Wyobraź sobie, że to coś w rodzaju tajnej podróży Lincolna przez Baltimore, żeby objąć prezydenturę. Czy też, jeśli wolisz mniej podniosły precedens, podróż Lenina w zaplombowanym wagonie do Rosji.

Petra zakładała, że leci do Damaszku, ponieważ Ambulowi udało się nawiązać kontakt z Alai. Jednak żaden z nich nie czekał na lotnisku. W ogóle nikt na nią nie czekał. Co nie znaczy, że chciałyby zobaczyć kogoś z tabliczką „Petra Arkanian” – równie dobrze mogłyby wysłać Achillesowi e-maila i poinformować, gdzie się znalazła.

Podczas lotu wciąż miała mdłości, lecz wiedziała, że to na pewno nie z powodu ciąży, nie tak prędko. Trzeba przynajmniej kilku godzin, zanim do krwi popłyną hormony. To z pewnością czyste przerażenie, które ogarnęło ją, gdy sobie uświadomiła, że ludzie Alai potrafili ją odnaleźć i nawet podstawić taksówkę. Zatem ludzie Achillesa też mogli tego dokonać.

Skąd Groszek wiedział, którą taksówkę dla niej wybrać? Jakaś predylekcja względem Indonezyjczyków? Czy wyciągnął wnioski z przesłanek, których ona nawet nie zauważyła? A może wybrał trzeci samochód, bo nie ufał zasadzie „następny w kolejce”?

Do jakiej taksówki sam wsiadł i kto ją prowadził?

Ktoś wpadł na nią z tyłu i poczuła nagły przypływ adrenaliny. To już, pomyślała. Zabije mnie morderca, który zakradł się z tyłu, ponieważ byłam za głupia, żeby się obejrzeć...

Po tej krótkiej chwili paniki – i chwili wyrzutów wobec siebie – zrozumiała, że to oczywiście nie morderca. Zwykły pasażer spieszył się do wyjścia z lotniska, a ona, niepewna i zatopiona w myślach, szła zbyt powoli i blokowała ruch.

Pojadę do hotelu, pomyślała. Ale nie do takiego, gdzie zawsze zatrzymują się Europejczycy... Chwileczkę. Jeśli pojadę do takiego, gdzie wszyscy wyglądają na Arabów, będę się wyróżniać. Groszek śmiałyby się ze mnie, że nie przyswoiłam żadnych użytecznych odruchów, pomagających przeżyć. Przynajmniej się zastanowiłam, nim zamieszkałam w arabskim hotelu...

Jedynym jej bagażem była przewieszona przez ramię torba, więc przy odprawie musiała odpowiedzieć na zwykłe pytania celników.

- To wszystkie pani rzeczy?
- Tak.
- Jak długo zamierza pani tu zostać?
- Ze dwa tygodnie.
- Dwa tygodnie i tylko tyle ubrań?
- Planuję zakupy.

Przyjazd do kraju ze zbyt małym bagażem zawsze budzi podejrzenia, ale – jak twierdził Groszek – lepiej odpowiedzieć na kilka dodatkowych pytań przy kontroli celnej lub paszportowej, niż stać potem przy taśmociągu, gdzie ludzie mają mnóstwo czasu, żeby ją znaleźć.

Jedyne, co według Groszka było jeszcze gorsze, to skorzystanie z pierwszej toalety.

– Wszyscy wiedzą, że kobiety bez przerwy muszą siusiać – wyjaśnił.

– Wcale nie bez przerwy – odpowiedziała. – A większość mężczyzn wcale tego nie zauważa, nawet gdyby tak było.

Lecz biorąc pod uwagę, że Groszek – tak się wydawało – nigdy nie chodził siusiać, jej normalne ludzkie potrzeby mógł uznać za przesadne.

Teraz zdążyła się już wyćwiczyć. Nawet nie spojrzała na pierwszą mijaną toaletę. Ani na drugą. Pewnie skorzysta dopiero z tej w pokoju hotelowym.

Groszku, kiedy się zjawisz? Wsadzili cię do następnego samolotu? Jak się odnajdziemy w tym mieście?

Wiedziała jednak, że byłby wściekły, gdyby kręciła się po hali, czekając na jego przylot. Przede wszystkim nie miała pojęcia, skąd może przylecieć – miał zwyczaj wybierania dość dziwacznych międzylądowań, więc mógł tu dotrzeć lotem z Kairu, Moskwy, Algieru, Rzymu czy Jerozolimy. Nie, lepiej iść do hotelu, zameldować się pod fałszywym nazwiskiem, o którym wie, i...

– Pani Delphiki?

Odwróciła się błyskawicznie, słysząc nazwisko rodziców Groszka, i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wysoki, siwowłosy dżentelmen zwraca się do niej.

– Tak, to ja. – Roześmiała się. – Wciąż się nie przyzwyczaiłam do myśli, że noszę nazwisko męża.

– Proszę wybaczyć. Woli pani nazwisko panińskie?

– Nie używałam go od miesięcy – wyznała. – Kto pana po mnie przysłał?

– Pani gospodarz.

– Wielu miałam w życiu gospodarzy. Niektórych nie chciałabym odwiedzać ponownie.

– Ale tacy ludzie jak oni nie mieszkiliby w Damaszku. – Dostrzegła żartobliwe iskierki w jego oczach. Pochylił się nad nią. – Pewnych imion lepiej nie wymawiać głośno.

– Moje najwyraźniej do nich nie należy – stwierdziła.

– W tym czasie i miejscu jest pani bezpieczna, choć inni niekoniecznie.

– Jestem bezpieczna, bo pan jest ze mną?

– Jest pani bezpieczna, bo ja i... Jak to było w waszym slangu Szkoły Bojowej? Mój jeesh i ja jesteśmy tu, żeby pani pilnować.

– Nie zauważyłam, żeby ktoś mnie pilnował.

– Nawet mnie pani nie zauważyła. Jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy.

– Widziałam pana. Nie zdawałam sobie tylko sprawy, że w ogóle zwraca pan na mnie uwagę.

– Tak jak powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze więc. Nie wymienię imienia naszego gospodarza. A ponieważ pan również nie chce nic powiedzieć, obawiam się, że nie mogę nigdzie z panem pójść.

– Och, jakaż podejrzliwa – westchnął z żalnym uśmiechem. – No cóż... Może ułatwię sprawę, aresztując panią?

Otworzył portfel i pokazał bardzo oficjalnie wyglądającą odznakę. Petra nie miała pojęcia, jaka organizacja mu ją wydała, ponieważ nigdy nie nauczyła się arabskiego, ale Groszek powtarzał: słuchaj swoich lęków, słuchaj swojej intuicji. Intuicja mówiła, żeby zaufać temu człowiekowi, dlatego Petra uwierzyła w odznakę, choć nie potrafiła przeczytać napisów.

– Czyli pracuje pan dla syryjskiej policji?

– Czasem tak, czasem nie. – Znów się uśmiechnął, chowając portfel do kieszeni.

– Wyjdźmy stąd – zaproponowała.

– Lepiej nie. Chodźmy do małego pokoiku tutaj, na lotnisku.

– Kabina w toalecie? Czy pokój przesłuchań?

– Moje biuro – wyjaśnił.

Jeśli było to biuro, to bardzo dobrze zamaskowane. Przeszli za stanowisko linii El Al, a potem do pokoju pracowników.

– El Al? – zdziwiła się. – Jest pan Izraelczykiem?

– Izrael i Syria są bliskimi przyjaciółmi już od stu lat. Powinna pani uzupełnić wiedzę z historii.

Przeszli korytarzem, między szafkami pracowników. Minęli drzwi do toalet.

– Nie sądziłam, że przyjaźń jest tak bliska, by pozwalać syryjskiej policji na wykorzystywanie państwowej linii lotniczej Izraela.

– Skłamałem z tą syryjską policją – odpowiedział.

– A czy od frontu też kłamię, że są El Alem?

Przyłożył dłoń do czytnika i otworzył nieoznakowane drzwi. Kiedy Petra chciała wejść za nim, pokręcił głową.

– Nie, nie. Najpierw niech pani położy prawą dłoń...

Posłuchała, zastanawiając się, skąd tutaj, w Syrii, mogli zdobyć odcisk jej dłoni i sygnaturę potu.

Nie. Nie zdobyli, oczywiście. Właśnie teraz je pobierają, więc gdziekolwiek jeszcze pójdzie, komputery systemu bezpieczeństwa zawsze ją rozpoznają.

Za drzwiami były schody prowadzące w dół.

Schodzili, potem schodzili dalej, i jeszcze dalej, aż musieli się znaleźć głęboko pod ziemią.

– Nie wydaje mi się, żeby to przejście spełniało międzynarodowe normy dostępu dla niepełnosprawnych – zauważyła Petra.

– Czego prawodawcy nie widzą, nie może nam zaszkodzić.

– To teoria, która już wielu ludzi doprowadziła do poważnych kłopotów...

Dotarli do podziemnego tunelu, gdzie czekał na nich niewielki samochódzik elektryczny. Bez kierowcy. Najwyraźniej jej towarzysz miał prowadzić.

Nic z tego. Zajął miejsce z tyłu, obok niej, a samochódzik ruszył sam.

– Niech zgadnę – rzekła Petra. – Większości swoich VIP-ów nie prowadzicie przez stanowisko El Alu?

– Są inne drogi prowadzące na tę uliczkę. Ale ludzie, którzy pani szukają, nie obstawialiby El Alu.

– Byłby pan zdumiony, wiedząc, jak często mój przeciwnik wyprzedza mnie o dwa kroki.

– A jeśli pani przyjaciele wyprzedzają panią o trzy? – Roześmiał się, jakby to był żart, nie przechwałka.

– Jesteśmy tu sami – stwierdziła Petra. – Może pora wymienić jakieś nazwiska?

– Jestem Ivan Lankowski – przedstawił się.

Zaśmiała się mimo woli. Ale kiedy on się nie uśmiechnął, spoważniała.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wygląda pan na Rosjanina, a jesteśmy przecież w Damaszku.

– Mój dziadek ze strony ojca był rodowitym Rosjaninem, moja babka Kazaszką, a oboje byli muzułmanami. Rodzice mojej matki ciągle żyją, dzięki niech będą Allahowi, i oboje pochodzą z Jordanii.

– I nie zmienił pan nazwiska?

– Serce czyni człowieka muzułmaninem. Serce i życie. Nazwisko mieści w sobie część mojej genealogii. Skoro Allah zechciał, bym urodził się w tej rodzinie, to kimże jestem, by odrzucać Jego dar?

– Panie Lankowski, nazwisko, jakie chciałabym usłyszeć, to nazwisko człowieka, który pana przysłał.

– Nie zdradza się danych oficera dowodzącego. Tak brzmi podstawowa zasada bezpieczeństwa.

Petra westchnęła.

– To chyba dowodzi, że nie jestem już w Kansas.

– Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek była pani w Kansas, pani Delphiki.

– To było odwołanie do...

– Widziałem „Czarnoksiężnika z Krainy Oz” – przerwał jej Lankowski. – Jestem w końcu człowiekiem wykształconym. I... byłem w Kansas.

– Zatem odnalazł pan mądrość, o jakiej ja mogę tylko marzyć.

Parsknął śmiechem.

– To niezapomniane miejsce na Ziemi. Taka była dolina Jordanu zaraz po epoce lodowcowej: wysokie trawy ciągną się jak okiem sięgnąć, nad nimi ogromne niebo, a nie skrawek błękitu między drzewami.

– Jest pan poetą. A także bardzo starym człowiekiem, skoro pamięta pan epokę lodowcową.

– Epoka lodowcowa to czasy mojego ojca. Ja pamiętam tylko okres deszczów zaraz po niej.

– Nie miałam pojęcia, że istnieją takie tunele pod Damaszkiem.

– Podczas naszych wojen z Zachodem nauczyliśmy się ukrywać pod ziemią wszystko, co nie powinno być zniszczone. Indywidualnie namierzane bomby były najpierw testowane na Arabach. Wiedziała pani o tym? Archiwa pełne są zdjęć eksplodujących Arabów.

– Widziałam niektóre fotografie – potwierdziła Petra. – Przypominam też sobie, że w czasie tych wojen niektóre indywidua same się namierzały, obwieszając się bombami i eksplodując w miejscach publicznych.

– Tak. Nie mieliśmy pocisków kierowanych, ale mieliśmy nogi.

– A rozgoryczenie pozostało?

– Nie, nie rozgoryczenie – zapewnił Lankowski. – Kiedyś władaliśmy całym znanym światem, od Hiszpanii po Indie. Muzułmanie rządili w Moskwie, nasi żołnierze docierali do Francji, do bram Wiednia. Nasze psy były lepiej wykształcone niż uczeni Zachodu. Aż pewnego dnia zbudziliśmy się i odkryliśmy, że jesteśmy biedni, niedouczeni, a ktoś inny ma wszystkie działa. Wiedzieliśmy, że nie może to być wola Allacha, więc walczyliśmy.

– I odkryliście, że wolą Allacha jest...?

– Wolą Allacha było, by zginęło wielu z naszego ludu i aby Zachód okupował nasze ziemie znowu i znowu, póki nie zaprzestaliśmy walki. Pojęliśmy naszą lekcję. Teraz jesteśmy dobrze wychowani. Przestrzegamy wszystkich warunków traktatu. Mamy wolną prasę, wolność wyznania, wyzwolone kobiety i demokratyczne wybory.

– I tunele pod Damaszkiem.

– I wspomnienia. – Uśmiechnął się do niej. – I samochody bez kierowców.

– Izraelska technologia, jak sądzę.

– Przez długi czas uważaliśmy Izrael za nieprzyjacielski przyczółek na naszej świętej ziemi. Aż pewnego dnia przypomnieliśmy sobie, że Izrael to członek naszej rodziny, który odszedł na wygnanie, nauczył się wszystkiego, co potrafią nasi wrogowie, a potem znowu wrócił do domu. Przestaliśmy walczyć z naszym bratem, a nasz brat ofiarował nam wszystkie dary Zachodu, nie niszcząc przy tym naszych dusz. Jakież byłoby to smutne, gdybyśmy zabili wszystkich Żydów albo ich stąd wypędzili. Kto by nas wtedy uczył? Ormianie?

Zaśmiała się z tego żartu, ale uważnie wysłuchała wykładu. Więc tak układali sobie życie z historią – przypisywali znaczenie wszystkiemu, a to pozwalało im dostrzegać działanie ręki Boga. Widzieć sens. A nawet czerpać siłę i nadzieję.

Ale też ciągle pamiętali, że kiedyś muzułmanie rządili światem. I wciąż uważali demokrację za coś, co przyjęli, by udobruchać Zachód.

Naprawdę powinnam przeczytać Koran, pomyślała. Zobaczyć, co kryje się za fasadą zachodniego wyrafinowania.

Tego człowieka wysłano mi na spotkanie, ponieważ taką twarz chcą pokazywać gościom w Syrii. Opowiedział mi te historie, bo taką postawę chcą mi zaprezentować, chcą, żebym w nią uwierzyła.

Ale to wygładzona wersja. Przystosowana dla zachodnich uszu. Kośćcem tych opowieści, ich krwią i ścięgnami jest klęska, upokorzenie, niezrozumienie woli bożej, utrata wielkości, poczucie bezustannych porażek. Ci ludzie mają coś do wykazania, chcą odzyskać utracony status. To lud, który pragnie nie zemsty, ale rehabilitacji.

Bardzo niebezpieczni ludzie.

Może też bardzo użyteczni – w pewnych granicach.

Poprowadziła wnioski ze swych obserwacji o krok dalej – ale ułożyła słowa w taki sam rodzaj eufemistycznej alegorii jak ta, której on użył.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że świat islamu postrzega ten niebezpieczny okres historii jako moment, który Allah dla was przygotował. Wcześniej byliście poniżani, więc teraz okażecie uległość wobec Allacha i gotowość, by poprowadził was do zwycięstwa.

Przez długą chwilę milczał.

– Nie powiedziałem tego – oświadczył wreszcie.

– Oczywiście, że tak. To była przesłanka wszystkiego, co pan mówił. Ale chyba nie zdaje pan sobie sprawy, że powiedział pan to nie wrogowi, lecz przyjacielowi.

– Jeśli jest pani przyjacielem Boga, dlaczego nie żyje pani według Jego praw?

– Nie mówiłam, że jestem przyjacielem Boga – sprostowała Petra. – Jedyne że jestem pańskim przyjacielem. Niektórzy z nas nie potrafią żyć według waszych praw, jednak możemy podziwiać tych, którzy potrafią, życzyć im powodzenia i pomagać, jeśli to możliwe.

– I przybywać tu, szukając bezpieczeństwa, bo w naszym świecie można je znaleźć, a w waszym go nie ma.

– To prawda.

– Jest pani interesującą dziewczyną – stwierdził Lankowski.

– Dowodziłam żołnierzami w bitwie. Wyszłam za męża, możliwe, że jestem w ciąży. Kiedy przestanę być dziewczyną według prawa islamu?

– Jest pani dziewczyną, ponieważ ma pani o czterdzieści lat mniej ode mnie. To nie ma żadnego związku z prawem islamu. Kiedy dożyje pani sześćdziesiątki, a ja będę miał setkę, *inshallah*, nadal pozostanie pani dla mnie dziewczyną.

– Groszek zginął, prawda? – spytała nagle.

Lankowski był wyraźnie zaskoczony.

– Nie – odpowiedział natychmiast. To był odruch, więc Petra uwierzyła.

– W takim razie zdarzyło się coś strasznego, o czym nie potrafi mi pan powiedzieć. Moi rodzice... coś im się stało?

– Skąd taki pomysł?

– Bo jest pan człowiekiem uprzejmym. Bo pańscy ludzie zmienili mi bilet, sprowadzili tutaj i obiecali, że spotkam się z mężem. A przez cały nasz wspólny spacer i jazdę nawet pan nie wspomniał, kiedy i czy w ogóle zobaczę Groszka.

– Przepraszam za to niedopatrzenie – powiedział Lankowski. – Pani mąż wsiadł do późniejszego samolotu, który leci inną trasą, ale jest w drodze. Pani rodzina jest zdrowa, a przynajmniej nie mamy powodu, by sądzić inaczej.

– Mimo to wciąż się pan waha.

– Zdarzył się wypadek. Pani mąż jest bezpieczny. Nie został ranny. Ale próbowano go zabić. Myślmy, że gdyby pani wsiadła do pierwszej taksówki, nie byłoby próby zabójstwa. Nastąpiłoby porwanie.

– Czemu pan tak uważa? Ten, kto pragnie śmierci mojego męża, chciałby, żebym i ja zginęła.

– Tak, ale tego, co nosi pani w sobie, pragnie jeszcze bardziej.

Tylko chwilę zabrało jej wyciągnięcie logicznych wniosków z faktu, że o tym wie.

– Zabrali embriony – stwierdziła.

– Pewne osoby zaproponowały strażnikowi podwyżkę pensji, a on w zamian pozwolił komuś wynieść wasze zamrożone embriony.

Petra wiedziała, że Volescu kłamał. Z pewnością potrafił odróżnić dzieci z kluczem Antona. Teraz Groszek również to wie. Oboje domyślali się, jaka może być wartość dzieci Groszka na wolnym rynku. Najwyższą cenę można uzyskać, jeśli dzieci mają w DNA klucz Antona – a przynajmniej jeśli potencjalny nabywca wierzy, że mają.

Zauważyła, że za szybko oddycha. Hiperwentylacja na pewno nie jest wskazana... Z trudem się opanowała.

Lankowski lekko poklepał ją po rękę. Tak, widzi, że jestem zdenerwowana. Nie mam Groszkowej zdolności ukrywania uczuć. Choć oczywiście ta jego umiejętność może być zwykłym wynikiem nieodczuwania niczego.

Groszek domyślił się, że Volescu ich oszukał. Dziecko w jej łonie może być takie jak Groszek. A on przysiągł, że nigdy nie będzie miał dzieci z kluczem Antona.

– Czy odebraliście jakieś wiadomości z żądaniem okupu? – zapytała Lankowskiego.

– Niestety nie. Nie sądzimy, by robili sobie kłopot z prawie niemożliwym zadaniem wydostania od pani pieniędzy. Ryzyko, że wpadną w pułapkę i będą aresztowani w trakcie

próby wymiany posiadanych wartości, jest chyba zbyt wysokie w porównaniu z ryzykiem związanym ze sprzedażą waszych dzieci osobom trzecim.

– Wydaje mi się, że ryzyko z tym związane jest praktycznie zerowe – uznała Petra.

– Zatem zgadzamy się w naszych ocenach. Pani dzieciom nic nie grozi, jeśli to jakieś pocieszenie.

– Prócz tego, że zostaną wychowane przez potwory.

– Może oni nie widzą siebie w taki sposób.

– Czy próbuje mi pan powiedzieć, że wasi ludzie penetrują rynek, by zdobyć jedno z nich i wychować na własnego małego geniusza?

– Nie handlujemy kradzionym ciałem – odparł z powagą Lankowski. – Bardzo długo mieliśmy problemy z handlem niewolnikami, który nie zanikał. Teraz, jeśli kogoś przyłapią na posiadaniu, sprzedawaniu lub przewożeniu niewolnika, lub też na tolerowaniu niewolnictwa, jeśli ktoś pełni funkcje urzędowe, karą jest śmierć. W dodatku procesy są krótkie, a apelacje nigdy nieuznawane. Nie, pani Delphiki, do nas raczej nikt nie przywiezie kradzionych embrionów na sprzedaż.

Mimo że nękana troską o swoje dzieci – swoje potencjalne dzieci – uświadomiła sobie, do czego właśnie się przyznał. Że ci „my”, o których mówił, to nie Syria, ale raczej rodzaj panislamskiego tajnego rządu, który – przynajmniej oficjalnie – nie istniał. Władza przekraczająca granice krajów...

O to właśnie chodziło Lankowskiemu, kiedy mówił, że pracuje dla syryjskiego rządu „czasami”. Ponieważ czasami pracuje dla rządu stojącego wyżej niż syryjski.

Mieli już swojego rywala wobec Hegemonia.

– Może pewnego dnia – powiedziała – moje dzieci zostaną przeszkolone i wykorzystane, by pomóc w obronie jakiegoś kraju przed islamskim podbojem.

– Ponieważ muzułmanie nie napadają już na inne kraje, zastanawiam się, jak coś takiego mogłoby się zdarzyć.

– Macie tu schowanego gdzieś Alai. I co on robi? Plecie koszyki albo lepi garnki, żeby sprzedawać je na targu?

– Czy tylko taki wybór pani dostrzega? Lepienie garnków albo agresywna wojna?

Zaprzeczenia przestały ją interesować. Wiedziała, że jej analiza jest tak poprawna, jak to tylko możliwe bez dalszych danych. Zaprzeczenia nie były dowodem, że nie ma racji, raczej mimowolnym potwierdzeniem.

W tej chwili interesował ją Groszek. Gdzie jest teraz? Kiedy zjawi się w Damaszku? Co zrobi w sprawie wykradzonych embrionów?

A przynajmniej starała się sama przed sobą udawać, że tym się właśnie martwi.

Bo to, co myślała naprawdę, co powtarzało się w jej głowie nieustającym monologiem, brzmiało:

On ma moje dzieci.

Nie szczurołap z Hammelin wyprowadzający je muzyką z miasta. Nie Baba-Jaga wabiąca je do chatki na kurzej łapce. Nie czarownica w domku z piernika, tucząca je w klatkach. Żadna z tych ponurych fantazji. Nic z mgły i dymu. Jedynie absolutna czerń miejsca, gdzie nie jaśniej żadne światelko, gdzie zaginęła nawet pamięć o świetle.

Tam właśnie znalazły się jej dzieci.

W brzuchu Bestii.

Samochodzik zatrzymał się przy pustej rampie. Podziemna droga biegła dalej, ku celom, jakich Petra nawet nie starała się odgadnąć. Równie dobrze tunel mógł biec do Bagdadu, Ammanu albo pod górami do Ankary. Może nawet pod radioaktywną pustynią, by wynurzyć się w miejscu, gdzie starożytny gład czeka, aż przeminie okres połowicznego rozpadu połowicznego rozpadu połowicznego rozpadu śmierci, by pielgrzymi znowu mogli przybywać na *hajj*.

Lankowski pomógł jej wsiąść, choć była młoda, a on stary. Odnosił się do niej trochę dziwnie, jak gdyby musiał traktować ją z wielką ostrożnością. Jakby nie była zdrowa, jakby łatwo mogła się złamać.

I to prawda. Mogła się złamać... złamała się w bitwie.

Ale teraz nie mogę, pomyślała. Być może, noszę to jedyne dziecko. Zostało umieszczone we mnie, co go nie zabiło, ale dało mu życie. Może zapuściło korzenie w moim ogrodzie, rozkwitnie i wyda owoc – dziecko na krótkiej, poskręcanej łodydze. A kiedy zerwie się ten owoc, niepotrzebne będą łodyga i korzeń. Ogród zostanie pusty. Gdzie wtedy będą pozostałe? Zabrano je, by rosły na cudzym zagonie. Ale nie załamie się teraz, bo mam to jedno, może mam jedno...

– Dziękuję – zwróciła się do Lankowskiego. – Ale nie jestem taka delikatna, żeby musiał mi pan pomagać.

Uśmiechnął się tylko. Poszła za nim do windy, którą wyjechali...

Do ogrodu. Z roślinnością tak bujną, jak na łące na Filipinach, gdzie Peter wydał rozkaz, który wprowadził Bestię do ich domu, a ich samych wypędził.

Zauważyła, że dziedziniec pokryty jest szklanym sklepieniem. To dlatego panuje taka wilgoć. I dlatego nie brakuje wody – niczego nie oddaje się suchemu powietrzu pustyni.

Na kamiennym krześle pośrodku ogrodu siedział wysoki, smukły mężczyzna o skórze barwy kakaowego brązu, typowej dla górnego Nigru, skąd pochodził.

Stała w bezruchu, podziwiając go. Długonogi, ubrany nie w garnitur, który już od stuleci był mundurem ludzi Zachodu, ale w szaty szejka, choć pozostał z odkrytą głową. Ani śladu zarostu na brodzie – wciąż tak młody, ale już mężczyzna.

– Alai – szepnęła tak cicho, że wątpiła, czy usłyszał.

I może nie usłyszał, ale przypadkiem tę właśnie chwilę wybrał, by się odwrócić – i zobaczył ją. Wyraz zadumy na jego twarzy znikł, rozpląnął się w uśmiechu. Jednak nie był to

już ten chłopięcy uśmiech, jaki pamiętała, kiedy Alai skakał w niskiej grawitacji korytarzy Szkoły Bojowej. Ten uśmiech miał w sobie znużenie i dawne lęki, opanowane już, ale wciąż obecne. To był uśmiech mądrości.

Wtedy zrozumiała, dlaczego Alai nagle zniknął.

Jest kalifem. Znowu wybrali kalifa. Cały świat islamu uznał władzę jednego człowieka, a tym człowiekiem jest Alai.

Nie mogła tego odgadnąć – nie z faktu, że zastała go w tym ogrodzie. Ale poznała po tym, jak siedział, że krzesło musi być tronem. Poznała po tym, jak została tu sprowadzona: bez żadnych przywilejów władzy, żadnych strażników ani hasel – jedynie elegancki, uprzejmy mężczyzna prowadzący ją do tego chłopca-mężczyzny siedzącego na starożytnym tronie. Władza Alai była raczej duchowej natury. W całym Damaszku nie istniało miejsce bezpieczniejsze. Nikt nie mógłby kalifa niepokoić. Miliony by zginęły, aby nie dopuścić tutaj intruza.

Skinął na nią – to było jak łagodne zaproszenie świętego męża. Nie musiała posłuchać i nie miałby jej za złe, gdyby nie podeszła. Ale podeszła.

– *Salaam* – powitał ją.

– *Salaam* – odpowiedziała.

– Kamienna dziewczyna.

– *Hai*.

To był ich stały żart – on nawiązywał do znaczenia jej imienia w oryginalnej grece, ona do *jai z jai alai*, baskijskiej gry, w którą się czasem bawili.

– Cieszę się, że jesteś bezpieczna.

– Twoje życie bardzo się zmieniło, odkąd odzyskałeś wolność.

– Twoje też – zauważył. – Jesteś mężatką.

– Zawarliśmy uczciwy katolicki ślub.

– Powinniście mnie zaprosić.

– I tak nie mógłbyś przyjechać.

– Ale życzyłbym wam szczęścia.

– Zamiast tego pomogłeś nam, kiedy najbardziej potrzebowaliśmy.

– Przykro mi, że nic nie zrobiłem, by ochronić pozostałe... dzieci. Za późno się o nich dowiedziałem. Zakładałem, że ty i Groszek zorganizujecie dostatecznie szczelną ochronę... Nie, nie, przepraszam. Przypominam o twoim bólu, zamiast go łagodzić.

Usiadła na ziemi przed tronem. Alai pochylił się, by ją objąć. Odpoczywała z głową i ramionami na jego kolanach, a on gładził jej włosy.

– Kiedy byliśmy dziećmi, grającymi w największą grę komputerową na świecie, nie mieliśmy pojęcia...

– Ratowaliśmy świat.

– A teraz tworzymy ten świat, który ocaliliśmy.

– Nie ja – oświadczyła Petra. – Ja już nie jestem graczem.

– Czy ktokolwiek z nas jest? – zapytał Alai. – Czy jesteśmy tylko pionkami przesuwanymi w grze kogoś innego?

– *Inshallah* – rzekła Petra.

Spodziewała się właściwie, że Alai parsknie śmiechem, ale on tylko skinął głową.

– Tak. Nasza wiara mówi, że wszystko, co się zdarza, dzieje się z woli Boga. Ale wydaje mi się, że nie jest to twoja wiara.

– Nie. My, chrześcijanie, musimy odgadywać wolę Boga i starać się ją realizować.

– Wrażenie jest takie samo, kiedy toczą się wydarzenia. Czasami wydaje ci się, że panujesz nad wszystkim, bo swoimi wyborami prowadzisz do zmian. I nagle zdarza się coś, co zmiata twoje plany, jakby były niczym, tylko układem pionków na szachownicy.

– Cieniami, które dzieci rzucają na ścianę – powiedziała Petra. – A potem ktoś gasi światło.

– Albo zapala jaśniejsze i cienie znikają.

– Alai, pozwolisz nam stąd odejść? – spytała Petra. – Znam twoją tajemnicę.

– Tak, pozwolę wam odejść. Tajemnicy nie da się utrzymać długo. Zbyt wiele osób ją poznało.

– Nigdy byśmy nie zdradzili.

– Wiem. Ponieważ kiedyś razem byliśmy w jeeshu Endera. Ale teraz należę do innego jeeshu. Stoję na jego czele, bo mnie o to poprosili, bo twierdzą, że wybrał mnie Bóg. Nic o tym nie wiem. Nie słyszę głosu Boga, nie czuję w sobie Jego mocy. Ale przychodzą do mnie ze swoimi planami, pytaniami, swoimi konfliktami między narodami, a ja oferuję im sugestie. Oni je przyjmują i wszystko się układa. Przynajmniej jak dotąd się układało. Więc może naprawdę zostałem wybrany przez Boga.

– Albo jesteś bardzo mądry.

– Albo mam szczęście. – Alai spojrzał na swoje dłonie. – Mimo to łatwiej jest wierzyć, że jakaś wola kieruje naszymi krokami w drodze do wyższego celu, niż sądzić, że nic nie ma znaczenia prócz naszych drobnych niepowodzeń i szczęścia.

– Chyba że nasze szczęście to właśnie ten wyższy cel.

– Gdyby nasze szczęście było bożym celem, dlaczego tak niewielu jest szczęśliwych?

– Może On chce, byśmy osiągnęli tylko takie szczęście, jakie sami potrafimy sobie znaleźć.

Alai pokiwał głową i roześmiał się.

– My, bachory ze Szkoły Bojowej, wszystkie mamy w sobie coś z imama. Nie sądzisz?

– I jezuity. I rabina. I lamy.

– Wiesz, jak szukam rozwiązań? Czasami, kiedy jest bardzo trudno, pytam siebie: „Co by zrobił Ender?”.

Petra pokręciła głową.

– To stary dowcip. „Pytam siebie, co na moim miejscu zrobiłby ktoś mądrzejszy ode mnie, a potem to robię”.

– Tylko że Ender nie jest wymyślony. Był z nami, znaliśmy go. Widzieliśmy, jak zbudował z nas armię, jak poznał nas wszystkich, odkrył w nas to, co najlepsze, naciskał nas tak mocno, że ledwo mogliśmy znieść, a czasem mocniej. Ale siebie zawsze najmocniej.

Petra znowu poczuła dawne ukłucie żalu, wrażenie, że to ona była jedyną, którą Ender naciskał mocniej, niż potrafiła znieść. Zasmuciło ją to i rozgniewało. Chociaż wiedziała, że Alai nawet nie myślał o niej, gdy to mówił, miała ochotę odpowiedzieć złośliwie.

Ale przecież był dobry dla niej i dla Groszka. Ocalił ich, sprowadził tutaj, chociaż nie potrzebował i nie chciał pomocy od niewiernych. Jego nowa rola jako przywódcy świata islamu wymagała jeśli nie czystości samej duszy, to przynajmniej ostrożności w doborze towarzystwa.

Mimo to musiała złożyć propozycję.

– Pomożemy ci, jeśli nam pozwolisz.

– W czym mi pomożecie? – spytał Alai.

– Pomożemy ci prowadzić wojnę z Chinami.

– Ale my nie planujemy wojny z Chinami. Odrzuciliśmy dżihad prowadzoną środkami militarnymi. Jedyne oczyszczenie i odkupienie, jakie staramy się osiągnąć, dzieje się w duszy.

– Czy wszystkie wojny muszą być świętymi wojnami?

– Nie, ale te nieświęte skazują na potępienie wszystkich, którzy w nich uczestniczą.

– Kto jeszcze oprócz was może stanąć przeciwko Chinom?

– Europejczycy. Północni Amerykanie.

– Trudno jest stanąć, kiedy się nie ma kręgosłupa.

– To stare i znużone cywilizacje. My też kiedyś taką byliśmy. Potrzebowaliśmy długich wieków upadku, serii gorzkich klęsk i poniżeń, zanim dokonaliśmy zmian, które pozwolą nam służyć Allachowi w jedności i z nadzieją.

– A jednak utrzymujecie wojska. Macie siatkę agentów, którzy strzelają, jeśli zajdzie konieczność.

Alai przytaknął z powagą.

– Jesteśmy gotowi użyć siły, jeśli zostaniemy zaatakowani.

Petra pokręciła głową. Przez chwilę czuła frustrację, bo świat potrzebował ratunku, a zdawało się, że Alai i jego lud wyrzekli się wojen. Teraz była równie mocno rozczarowana, gdyż uświadomiła sobie, że nic się naprawdę nie zmieniło. Alai planował wojnę – ale zamierzał czekać, aż jakiś atak uczyni ją wojną obronną. To nie znaczy, że nie zgadzała się ze słusznością wojny obronnej. Chodziło o fałsz, o pozory, że nie chcą wojen, gdy w rzeczywistości je planują.

A może myślał dokładnie to, co powiedział?

Raczej mało prawdopodobne.

– Jesteś zmęczona – stwierdził Alai. – Chociaż przesunięcie czasowe względem Holandii nie jest duże, powinnaś wypocząć. Słyszałem, że źle się czułaś w samolocie.

Roześmiała się.

– Miałeś na pokładzie kogoś, kto mnie pilnował?

– Oczywiście – przyznał. – Jesteś bardzo ważną osobą.

Dlaczego niby jest ważna dla muzułmanów? Nie chcą korzystać z jej talentów wojskowych, a nie ma przecież żadnych wpływów w świecie polityki. Z pewnością dziecko czyni ją cenną – lecz czemu to dziecko stanowi wartość dla świata islamu?

– Moje dziecko – oświadczyła – nie będzie wychowywane na żołnierza.

Alai uniósł dłoń.

– Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski, Petro. Prowadzi nas Allah; na to przynajmniej liczymy. Nie chcemy odbierać ci dziecka. I chociaż mamy nadzieję, że pewnego dnia wszystkie dzieci na świecie będą wychowane tak, by poznały Allacha i Mu służyły, nie zamierzamy wziąć twojego siłą ani zatrzymywać go tutaj.

– Albo jej. – Petra wciąż nie była spokojna. – Ale jeśli nie chcecie naszego dziecka, to czemu jestem taka ważna?

– Myśl jak żołnierz. W swoim łonie nosisz coś, czego nasz najgorszy wróg najbardziej pragnie. I nawet jeśli nie urodzisz dziecka, musi doprowadzić do twojej śmierci z powodów głęboko ukrytych w mrokach jego serca. Chęć, by cię schwytać, czyni cię ważną dla nas, bo lękamy się go i chcemy pokrzyżować jego plany.

Petra znów pokręciła głową.

– Alai, ja i moje dziecko moglibyśmy zginąć, a dla ciebie i twojego ludu byłaby to ledwie plamka na ekranie radaru.

– Utrzymanie cię przy życiu jest dla nas pożyteczne.

– Jakież to pragmatyczne podejście... Ale chodzi o coś więcej.

– Tak. Rzeczywiście o coś więcej.

– Powiesz mi?

– Powód wyda ci się bardzo mistyczny – ostrzegł.

– To niespecjalnie zaskakujące u kalifa.

– Allah sprowadził na świat coś nowego... Mówię o Groszku, o genetycznej różnicy między nim a resztą ludzkości. Niektórzy imamowie uważają go za coś odrażającego, poczętego ze zła. Inni twierdzą, że jest niewinną ofiarą, dzieckiem poczętym jako normalny embriion, ale odmienionym przez zło; nie mógł poradzić na to, co z nim zrobiono. Są jeszcze inni, a ich liczba jest o wiele większa, którzy uważają, że nie można by tego dokonać, gdyby nie wola Allacha. Zdolności Groszka odegrały kluczową rolę w naszym zwycięstwie nad Formidami, więc to wola boża powołała go do istnienia w chwili, kiedy był najbardziej potrzebny. A skoro Bóg postanowił przywołać go na świat, musimy teraz czuwać, by przekonać się, czy Bóg pozwoli tej zmianie genetycznej przetrwać w następnych pokoleniach.

- On umiera, Alai.
- Wiem o tym. Ale czyż wszyscy nie umieramy?
- W ogóle nie chciał mieć dzieci.
- A jednak zmienił zdanie – przypomniał Alai. – Wola Boga rozkwita w naszych sercach.
- To może gdyby Bestia pozabijał nas wszystkich, też byłaby to wola Boga? Cemu do tego nie dopuściłeś?

– Bo prosili mnie o to przyjaciele. Dlaczego tak wszystko komplikujesz? Ja pragnę tylko rzeczy całkiem prostych: czynić dobro tam, gdzie jest to w mojej mocy, a jeśli nie mogę czynić dobra, to przynajmniej nie czynić zła.

- To hipokryzja z twojej strony.
- Petra, idź do łóżka i prześpij się. Robisz się złośliwa.

Miał rację. Czuła się nieswojo, gryzła się sprawami, na które nic nie mogła poradzić, chciała, żeby Groszek był przy niej, żeby Alai nie zmienił się w tę władczą postać, tego światobliwego męża.

- Nie cieszy cię to, kim się stałem – zauważył.
- Umiesz czytać w myślach?

– W twarzach. Widzisz, w przeciwieństwie do Achillesa i Petera Wiggina nie starałem się o to stanowisko. Wróciłem z kosmosu bez wielkich ambicji, chciałem prowadzić normalne życie, może też służyć mojemu krajowi i mojemu Bogu w taki czy inny sposób. Nie wybrała mnie żadna partia czy frakcja.

– Jak więc trafiłeś do tego ogrodu, na to krzesło, jeśli ani ty sam, ani nikt inny cię tu nie umieścił?

Petrę irytowało, kiedy ludzie kłamali – nawet wobec samych siebie – w sprawach, które nie wymagały kłamstwa.

– Wróciłem do domu z niewoli w Rosji i zająłem się planowaniem manewrów wojskowych panarabskich sił zbrojnych, szkolonych do obrony Pakistanu.

Petra wiedziała, że te panarabskie siły zbrojne powstały prawdopodobnie jako armia przeznaczona do obrony przed Pakistanem. W końcu aż do momentu chińskiej inwazji pakistański rząd planował wojnę z innymi państwami, by cały świat islamu zjednoczyć pod swoją władzą.

– Czy czego tam jeszcze. – Alai zaśmiał się z jej konsternacji i raz jeszcze miała wrażenie, że czyta jej w myślach. – W każdym razie stały się armią broniącą Pakistanu. W rezultacie nawiązałem kontakty ze strategami wojskowymi kilkunastu państw. Potem zaczęli do mnie przychodzić z problemami nie tylko militarnymi. Nikt tego nie planował, a już na pewno nie ja. Nie sądziłem, żeby moje odpowiedzi były jakoś szczególnie mądre. Mówiłem po prostu to, co wydawało mi się oczywiste, a kiedy nic nie było jasne, zadawałem pytania, póki nie pojawiło się zrozumienie.

- I uzależnili się od ciebie?

– Nie wydaje mi się. Po prostu... szanowali mnie. Zaczęli prosić o obecność przy spotkaniach z politykami i dyplomatami, nie tylko z żołnierzami. Ci politycy i dyplomaci zadawali mi pytania, szukali mojego poparcia dla swoich poglądów i planów, aż wreszcie wybrali mnie na mediatora w sporach między różnymi stronami.

– Sędzia – stwierdziła Petra.

– Absolwent Szkoły Bojowej – odparł Alai – w czasach kiedy ludzie potrzebowali kogoś więcej niż tylko sędziego. Chcieli znowu być wielkim narodem, a do tego potrzebny był im przywódca, co do którego wierzyli, że jest w łaskach Allacha. Staram się żyć i działać tak, by mieli we mnie takiego przywódcę. Petro, wciąż jestem tym samym chłopakiem, którym byłem w Szkole Bojowej. I tak jak Ender, mogę być przywódcą, ale jestem też narzędziem stworzonym przez mój lud, by zrealizować jego zbiorową wolę.

– Może jestem po prostu zazdrosna – wyznała Petra. – Bo Armenia nie ma żadnego wielkiego celu. Tyle tylko, by przetrwać i zachować wolność. I nie ma sił, by osiągnąć to bez pomocy wielkich mocarstw.

– Armenii nic z naszej strony nie grozi.

– Chyba że, naturalnie, sprowokujemy Azerbejdżan. A muszę zaznaczyć, że prowokujemy go samym swoim istnieniem.

– Nie siłą i podbojem chcemy otworzyć sobie drogę do wielkości, Petro.

– Więc jak? Zaczekacie, aż cała ludzkość nawróci się na islam i będzie błagać, żebyście ją przyjęli do swojego nowego światowego porządku?

– Tak – rzekł Alai. – Właśnie tak uczynimy.

– To chyba najbardziej naiwny plan, o jakim słyszałam...

Roześmiał się.

– Stanowczo musisz się przespać, moja umiłowana siostró. Nie chcesz chyba, żeby takich słów musiał słuchać Groszek, kiedy się zjawi.

– A kiedy się zjawi?

– Dobrze po zmroku. Widzisz, pan Lankowski czeka już przy furtce. Odprowadzi cię do pokoju.

– Będę dziś spała w pałacu kalifa? – upewniła się Petra.

– Nie licz na pałacowy przepych. Większość pokoi to przestrzeń publiczna, gabinety i tym podobne. Mam tylko bardzo skromną sypialnię i... ten ogród. Twój pokój też będzie skromny, choć może potraktujesz go jak luksusowy, jeśli pomyślisz, że kalif śpi w identycznym.

– Mam wrażenie, jakbym trafiła do opowieści Szeherezady.

– Dach jest solidny. Nie musisz się lękać Roka.

– Pomyślałeś o wszystkim.

– Mamy tu doskonałego lekarza, gdybyś potrzebowała pomocy medycznej dowolnego rodzaju.

– Jeszcze za wcześnie, żeby test ciążowy dał jakiś sensowny wynik – stwierdziła Petra. – Jeśli o to ci chodziło.

– Chodziło mi o to – rzekł Alai – że mamy tu doskonałego lekarza, gdybyś potrzebowała pomocy medycznej. Dowolnego rodzaju.

– W takim razie moja odpowiedź brzmi: pomyślałeś o wszystkim.

Myślała, że nie potrafi zasnąć, ale nie miała nic lepszego do roboty niż położyć się na łóżku w pokoiku wyposażonym rzeczywiście po spartańsku – bez telewizora, bez żadnej książki oprócz armeńskiego tłumaczenia Koranu. Wiedziała, czego dowodzi obecność świętej księgi. Przez wiele stuleci tłumaczenia Koranu uznawano za fałszywe z definicji, gdyż tylko oryginalny arabski przekazuje słowa Proroka. Ale po wielkim otwarciu islamu, jakie nastąpiło po klęskach w serii rozpaczliwych wojen z Zachodem, to była jedna z pierwszych zmian.

Każdy egzemplarz tłumaczenia Koranu miał na stronie tytułowej cytaty z wielkiego imama Zuqāqā – tego samego, który doprowadził do pojednania świata arabskiego z Izraelem. „Allah stoi ponad językiem. Nawet po arabsku, Koran jest tłumaczeniem myśli Boga na słowa ludzi. Każdy człowiek powinien mieć możliwość wysłuchania słów Boga w języku, który rozumie jego serce”.

Zatem obecność Koranu po armeńsku dowodziła przede wszystkim, że w pałacu kalifa nie ma recydywy, nie ma powrotu do czasów fanatycznego islamu, kiedy cudzoziemców zmuszano do życia zgodnie z prawem koranicznym, kobiety zasłaniały twarze i nie mogły uczęszczać do szkół ani wychodzić na ulicę, a młodzi muzułmańscy żołnierze przypinali do ciała bomby, by zabijać dzieci swych nieprzyjaciół.

Koran zdradził także, że jej przyjazd był oczekiwany i ktoś zadał sobie wiele trudu, by przygotować dla niej ten pokój, choć tak skromny. Koran we wspólnym – mniej więcej fonetycznie zapisywanym angielskim, który przyjęto jako język Międzynarodowej Floty – całkiem by wystarczył. Chcieli jednak podkreślić, że tutaj, w sercu... nie, w głowie islamskiego świata, szanują wszystkie narody i wszystkie języki. Wiedzieli, kim jest, i mieli dla niej słowo boże w języku, który rozumiało jej serce.

Doceniała ten gest i irytował ją jednocześnie. Nie otworzyła księgi. Zaczęła grzebać w torbie, wypakowała wszystkie rzeczy, wzięła prysznic, by splukać ze skóry i włosów kurz podróży. Potem położyła się na łóżku, bo w pokoju nie było miejsca, żeby usiąść.

Nic dziwnego, że cały czas siedzi w ogrodzie, pomyślała. Musi wyjść, jeśli chce się chociaż odwrócić.

Obudziła się, bo ktoś stał przy drzwiach. Nie zapukał. Stał tam i przyciskał dłoń do czytelnika. Co mogła usłyszeć, że wyrwało ją to ze snu? Kroki na korytarzu?

– Jestem nieubrana! – zawołała, kiedy drzwi się otworzyły.

– Na to liczyłem – odpowiedział Groszek.

Wszedł z torbą w ręku i postawił ją obok jedynej szafki.

- Widziałeś się z Alai? – spytała Petra.
- Tak, ale porozmawiamy o tym później.
- Wiesz, że jest kalifem?
- Później.

Zdjął buty.

- Myślę, że planują wojnę, ale udają, że nie – mówiła Petra.
- Mogą planować, co chcą. Jesteś tu bezpieczna i tylko to mnie interesuje.

Wciąż w podróżnym ubraniu, Groszek położył się obok niej, wsunął jej rękę pod ramiona i przyciągnął do siebie. Poglądził ją po plecach i pocałował w czoło.

- Powiedzieli mi o reszcie embrionów – szepnęła. – Achilles je wykradł.

Pocałował ją znowu.

- Ciii...
- Nie wiem, czy jestem w ciąży.
- Będziesz – zapewnił.
- Wiedziałam, że nie sprawdził klucza Antona. Wiedziałam, że nas okłamuje.
- Nie szkodzi.
- Wiedziałam, ale ci nie powiedziałam.
- Teraz powiedziałaś.
- Chcę mieć twoje dziecko choćby nie wiem co.
- Tak? – Groszek zastanowił się. – W takim razie do następnego zabierzemy się już w zwykły sposób.

Pocałowała go.

- Kocham cię – oświadczyła.
- Miło mi to słyszeć.
- Musimy odzyskać pozostałe. To nasze dzieci i nie chcę, żeby ktoś inny je wychowywał.
- Odzyskamy je – obiecał Groszek. – Tego jednego jestem pewny.
- On wszystkie zniszczy, zanim pozwoli nam je odebrać.
- Nie. Chce je mieć żywe bardziej, niż chciałby nas pozabijać.
- Skąd możesz wiedzieć, czego chce Bestia? – zdziwiła się.

Groszek przewrócił się na plecy i leżał, patrząc w sufit.

– W samolocie dużo myślałem. O czymś, co powiedział Ender. W jaki sposób myślał. Musisz poznać nieprzyjaciela, mówił. Dlatego bez przerwy studiował Formidów. Wszystkie nagrania z Pierwszej Inwazji, anatomię zwłok martwych żołnierzy robali... A czego nie mógł znaleźć w książkach i na widach, wyobrażał sobie. Ekstrapolował. Próbował wyczuć, kim one są.

– W niczym nie jesteś podobny do Achillesa – stwierdziła Petra. – Jesteś jego przeciwieństwem. Jeśli chcesz go poznać, myśl o wszystkim, czym nie jesteś, i to będzie on.

– Nieprawda. W jakiś smutny, skrzywiony sposób on cię kocha. I w jakiś smutny, skrzywiony sposób, ja także.

– Ale to nie te same skrzywienia i na tym polega cała różnica.

– Ender powiedział, że nie możesz zwyciężyć potężnego przeciwnika, jeśli nie zrozumiesz go w pełni, a nie możesz go zrozumieć, jeśli nie poznasz pragnień jego serca, a nie poznasz pragnień jego serca, dopóki go szczerze nie pokochasz.

– Proszę cię! – zawołała Petra. – Tylko mi nie mów, że postanowiłeś kochać Bestię!

– Myślę, że zawsze go kochałem.

– Nie, nie, nie! – powtarzała Petra z obrzydzeniem. Odwróciła się do niego plecami.

– Odkąd go zobaczyłem, jak idzie do nas, kulejąc, jedyny duży chłopak, o którym myśleliśmy, że zdołamy go pokonać... my, małe dzieci. Ta jego skrzywiona stopa, ta groźna nienawiść do każdego, kto zobaczył jego słabość... i prawdziwa łagodność, miłość, jaką okazywał wszystkim dzieciom oprócz Buch i mnie. Petro, tego właśnie nikt w Achillesie nie rozumie; widzą w nim mordercę, potwora...

– Bo nim jest.

– Potwór, co stale zdobywa miłość i zaufanie ludzi, którzy powinni przecież wiedzieć... Znam tego człowieka; jego oczy zaglądają ci w duszę, osądzają cię i uznają za godnego. Widziałem, jak kochały go inne dzieci, jak przenosiły poczucie lojalności z Buch na Achillesa, uznawały go za ojca, szczerze, z serca. I chociaż mnie zawsze trzymał na dystans, faktem jest, że... ja też go kochałem.

– A ja nie – stwierdziła Petra.

Wspomnienia obejmujących ją ramion Achillesa, kiedy ją pocałował – nie mogła tego znieść. Zaszlochała.

Poczuła dłoń Groszka na ramieniu. Głaskał ją delikatnie, uspokajał.

– Zamierzam go zniszczyć, Petro – powiedział. – Ale nigdy tego nie dokonam w taki sposób, jak próbowałem do tej pory. Unikałem go, reagowałem na jego posunięcia. Peter miał jednak dobry pomysł. Głupio się do tego zabrał, lecz myśl była słuszna: zbliżyć się do niego. Nie można go traktować jak czegoś odległego, niepojętego. Jak siły natury, burzy czy trzęsienia ziemi, gdy nie ma innej nadziei ratunku niż uciekać i szukać kryjówki. Trzeba go zrozumieć. Dostać się do jego umysłu.

– Byłam tam. Same brudy.

– Tak, wiem. Jest tam strach i płomienie. Ale pamiętaj, on tkwi tam przez cały czas.

– Nie tłumacz mi, że mam się nad nim litować, bo musi żyć we własnym towarzystwie!

– Petro, przez cały czas lotu starałem się być Achillesem, próbowałem zgadnąć, za czym tęskni, czego pragnie. Myśleć tak, jak on myśli.

– I nie wyrzygałeś? Bo ja tak, dwa razy w samolocie, i wcale nie musiałam w tym celu wchodzić w skórę Bestii.

– Może dlatego że nosisz małą bestię w sobie?

Zadrżała.

– Nie nazywaj go tak. Jej. Dziecka. Przecież nawet nie jestem jeszcze w ciąży. Prawdopodobnie. To było ledwie dziś rano. Moje dziecko nie jest bestią.

– Marny żart – przyznał Groszek. – Przepraszam. Ale wysłuchaj mnie, Petro. Podczas lotu uświadomiłem sobie coś ważnego. Achilles nie jest tajemną siłą. Dokładnie wiem, czego chce.

– I czego chce? Poza tym, żebyśmy zginęli?

– Chce, żebyśmy wiedzieli, że dzieci są żywe. Nie zaimplantuje ich na razie. Będzie zostawiał drobne tropy, żebyśmy za nimi podążali... Nic nazbyt oczywistego, bo mamy wierzyć, że odkrywamy coś, co on stara się zataić. Ale w końcu odgadniemy, gdzie one są, bo on tego chce. Będą wszystkie w jednym miejscu. Ponieważ chce, żebyśmy po nie przyszli.

– Przynęta – rzuciła.

– Nie, nie tylko przynęta. Gdyby mu na tym zależało, mógłby wysłać nam wiadomość nawet teraz. Nie, tu chodzi o coś innego. Mamy uwierzyć, że jesteśmy bardzo sprytni, skoro odkryliśmy, gdzie są dzieci. Mamy być pełni nadziei, że uda się nam je odzyskać. Podnieceni, żebyśmy rzucili się do akcji całkiem nieprzygotowani na to, że on będzie na nas czekał. W ten sposób będzie widział, jak ze szczytów tryumfu i nadziei spadamy na dno rozpacz. I wtedy nas zabije.

Groszek miał rację – wiedziała o tym.

– Jak możesz choćby udawać, że kochasz kogoś tak ohydneho?

– Nie, ty wciąż nie rozumiesz. Jemu nie chodzi o naszą rozpacz. Chodzi mu o naszą nadzieję. On jej nie ma. Nie pojmuje jej.

– Daj spokój. Człowiek ambitny wręcz żyje nadzieją.

– On nie ma nadziei. Nie ma marzeń. Próbuje wszystkiego, by je znaleźć. Udaje miłość i dobroć, ale wciąż nic nie ma dla niego sensu. Każdy nowy podbój budzi tylko głód następnego. Chce znaleźć coś, co naprawdę w życiu ma znaczenie. Wie, że my to mamy. Mieliliśmy oboje, zanim jeszcze odnaleźliśmy siebie nawzajem.

– Zdawało mi się, że znany jesteś z braku wiary – przypomniała.

– Ale widzisz, Achilles poznał mnie lepiej, niż sam znałem siebie. On to we mnie zobaczył. To samo co siostra Carlotta.

– Inteligencję?

– Nadzieję – wyjaśnił Groszek. – Nieustępliwą nadzieję. Nigdy nie przychodzi mi na myśl, że nie ma rozwiązania, nie ma szansy ocalenia. Oczywiście, mogę rozważać tę możliwość na poziomie intelektualnym, ale moje działania nigdy nie są dyktowane rozpaczą, bo nie wierzę w nieuchronną klęskę. Achilles wie, że mam powód, by żyć. Dlatego tak mu na mnie zależy. I na tobie, Petro. Na tobie nawet bardziej. I naszych dzieciach: to one są naszą nadzieją. Całkiem szaleńczą nadzieją, owszem, a jednak je spłodziliśmy, prawda?

– Czyli... – Petra pojęła, o co Groszkowi chodzi. – Nie wystarczy mu, żebyśmy zginęli tak jak siostra Carlotta w samolocie, kiedy on sam był daleko. Chce, żebyśmy widzieli go z naszymi dziećmi.

– A kiedy zrozumiemy, że nie możemy ich odzyskać, że jednak zginiemy, kiedy stracimy całą nadzieję, on wierzy, że ją przejmie. Myśli tak, bo ma nasze dzieci, ma naszą nadzieję.

– I rzeczywiście ma – zauważyła.

– Ale nadzieja nigdy nie będzie jego. Nie jest do niej zdolny.

– To wszystko bardzo ciekawe – uznała Petra – ale kompletnie bezużyteczne.

– Nie rozumiesz? – zdziwił się Groszek. – W ten sposób możemy go zniszczyć.

– O co ci chodzi?

– Sam wpadnie do dołu, który dla nas wykopał.

– My nie mamy jego dzieci.

– On liczy, że przyjdziemy i oddamy mu, czego chce. A tymczasem my przyjdziemy przygotowani, by go zniszczyć.

– Przygotuje na nas zasadzkę. Jeśli zjawimy się z większą siłą, albo się wymknie, albo... kiedy tylko stanie się jasne, że nie ma wyjścia, zabije nasze dzieci.

– Nie, nie. Pozwolimy mu zatrzaskać pułapkę. Wejdziemy w nią. I kiedy staniemy przed nim, zobaczymy go w chwili tryumfu. A to zawsze ten moment, kiedy człowiek jest najgłupszy.

– Nie trzeba być specjalnie mądrym, kiedy ma się wszystkie atuty.

– Spokojnie, Petro. Odzyskam nasze dzieci – obiecał Groszek. – I zabiję Achillesa przy okazji. Niedługo, skarbie. Zanim umrę.

– To świetnie – pochwaliła go. – Bo potem byłoby ci o wiele trudniej.

I rozplakała się, ponieważ – wbrew temu, co przed chwilą mówił Groszek – nie miała żadnej nadziei. Straci męża, jej dzieci stracą ojca. Żadne zwycięstwo nad Achillesem nie zmieni faktu, że w ostatecznym rozrachunku utraci Groszka.

Objął ją znowu, przytulił, pocałował w czoło i w policzek.

– Dbaj o nasze dziecko – szepnął. – Sprowadzę jego braci i siostry do domu, jeszcze zanim się urodzi.

Stacja kosmiczna

To: Locke%erasmus@polnet.gov
From: SitePostAlert
Subject: Dziewczyna na moście

Teraz nie tkwisz już w szambie, kontakt znowu możliwy. Nie mam tu e-maila. Kamienie są moje. Wkrótce wracam na most. Wojna na poważnie. Pisz do mnie tylko na tę skrzynkę, mój – ID BridgeGirl, hasło nie podnózek.

Peter przekonał się, że lot kosmiczny jest nudny, tak jak się tego spodziewał. Niczym w samolocie, tylko mniej widoków za oknem.

Dzięki Bogu, że mama i ojciec okazali dość rozsądku, żeby nie roztkliwiać się nad podróżą do Ministerstwa Kolonizacji. W końcu to ta sama stacja kosmiczna, która była kiedyś Szkołą Bojową. Wreszcie mieli postawić stopę w miejscu, gdzie ich ukochany mały Ender odniósł pierwsze tryumfy. I jeszcze – no tak – zabił chłopca.

Ale nie pozostały żadne ślady. Nic, co by im powiedziało, jak się czuł Ender, kiedy leciał promem po tej trasie. Zresztą nie byli małymi dziećmi zabranymi z domów – byli dorosłymi ludźmi; los świata mógł spoczywać w ich rękach.

Jeśli się zastanowić, to całkiem podobnie jak Ender.

Kiedy się tu zjawił, cała ludzkość była zjednoczona. Wróg był dobrze znany, zagrożenie realne, a Ender nie musiał nawet wiedzieć, co robi, żeby wygrać wojnę.

W porównaniu z tym zadanie Petera było o wiele trudniejsze. Chociaż mogło się wydawać całkiem łatwe: wystarczy znaleźć dobrego zabójcę i zlikwidować Achillesa.

Ale to nie takie proste. Przede wszystkim Achilles, jako zabójca i zlecniodawca zabójców, jest przygotowany na taką próbę. Po drugie, nie wystarczy zabić Achillesa. To nie on był armią, która podbiła Indie i Indochiny. Nie był rządem władającym ponad połową ludności planety. Po usunięciu Achillesa wciąż zostanie problem cofnięcia wszystkiego, do czego doprowadził.

To tak jak z Hitlerem w czasie drugiej wojny światowej. Bez niego Niemcy nie zdecydowaliby się na podbój Francji, na marsz aż pod bramy Moskwy. Ale gdyby Hitlera zamordowano tuż przed inwazją na Rosję, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wspólnym językiem Międzynarodowej Floty byłby niemiecki. Ponieważ to właśnie błędy Hitlera, jego słabości, lęki i nienawiści przegrały Niemcom drugą połowę wojny – tak jak jego entuzjazm i jego decyzje przyniosły zwycięstwa w pierwszej połowie.

Zabicie Achillesa może w efekcie zagwarantować chińskie rządy na świecie.

Jednakże, gdyby go usunąć, Peter stanąłby wobec racjonalnego przeciwnika. A jego własne aktywa nie byłyby tak strasznie przerażone. Groszek, Petra i Virlomi uciekli na samą myśl, że Achilles przybywa do Ribeirão Preto... choć oczywiście na dłuższą metę mieli rację. Tylko że strasznie mu to skomplikowało życie – musiał pracować sam, jeśli nie liczyć mamy i ojca.

Ale liczył na nich, naturalnie; byli jedynymi ludźmi, na których lojalności mógł polegać.

Liczył na nich, ale jednocześnie był na nich zły. Wiedział, że to irracjonalne, lecz przez całą drogę do Ministerstwa Kolonizacji wracały te irytujące wspomnienia, jak to rodzice zawsze go osądzali, kiedy był dzieckiem, i uznawali za niedoskonałego, podczas gdy Ender i Valentine po prostu nie mogli źle postąpić. Jako człowiek w zasadzie rozsądny zwracał uwagę na fakt, że odkąd Val i Ender odlecieli statkiem kolonizacyjnym, rodzice wspierali go bez wahania. Niejeden raz uratowali mu życie. Nie mógłby wymagać od nich więcej, nawet gdyby naprawdę go kochali. Wykonywali swoje rodzicielskie obowiązki, i więcej niż tylko obowiązki.

Lecz nie zacierало to pamięci o bólu tych wczesnych lat, kiedy wszystko, co zrobił, wydawało się błędne, każdy naturalny instynkt obrażał jedną lub drugą z ich wersji Boga. Ale przy wszystkich waszych osądach pamiętajcie jedno: to Ender okazał się Kainem, prawda? A zawsze myśleliście, że to będę ja!

Głupi, głupi, głupi, powiedział do siebie Peter. Ender nie zabił brata, Ender bronił się przed wrogami. Tak jak ja czyniłem.

Muszę dać sobie z tym spokój, przekonywał siebie raz po raz przez całą drogę.

Chciałbym, żeby można tu było na coś popatrzeć oprócz tych głupich widów. Albo chrapiącego ojca. Albo mamy, która od czasu do czasu zerka na mnie, mierzy mnie wzrokiem i mruga. Czy nie zdaje sobie sprawy, jakie to okropne? Jakie poniżające? Mrugać do mnie! A co z uśmiechem? Co z patrzeniem na mnie tym rozmarzonym, czułym wzrokiem, jaki zawsze miała dla Val i Endera?

Oczywiście, ich lubiła.

Przestań! Myśl o tym, co musisz zrobić, durniu.

Myśl, co musisz napisać i opublikować jako Locke i Demostenes, by porwać ludzi w wolnych krajach i zachęcić władze narodów rządzonych odgórnie. Nic już nie będzie takie jak zawsze – nie dopuszczę do tego. Chociaż trudno utrzymać zainteresowanie wojną, w której nie padają strzały. Wojną toczącą się daleko. Co obchodzi mieszkańców Argentyny, że Hindusi mają rząd, którego sobie nie wybrali? Czemu świetlny farmer, doglądający swoich ekranów fotowoltanicznych na pustyni Kalahari, ma się przejmować tym, jak w Tajlandii traktują ludzi?

Chiny nie miały żadnych planów w stosunku do Namibii czy Argentyny. Wojna się skończyła. Dlaczego niektórzy nie mogą się zwyczajnie zamknąć i wrócić do robienia pieniędzy?

To mój główny wróg. W ostatecznym rozrachunku nie Achilles, nawet nie Chiny, lecz apatia reszty świata, która działała na ich korzyść.

A ja jestem teraz w kosmosie, pozbawiony swobody poruszania się, o wiele bardziej uzależniony od innych niż kiedykolwiek przedtem. Bo jeśli Graff postanowi nie odsyłać mnie na Ziemię, to nie polecę. Nie istnieje alternatywny transport. Wydaje się, że Graff jest całkowicie po mojej stronie, ale lojalności dochowuje tylko swoim byłym bachorom ze Szkoły Bojowej. Sądzi, że może mnie wykorzystać, tak jak ja myślałem, że wykorzystam Achillesa. Ja się myliłem, ale on prawdopodobnie ma rację.

Po całym długim locie strasznie irytowało, że choć byli już na miejscu, to jednak wciąż musieli czekać, aż prom wykona swój taniec przy doku stacji. Nie było na co patrzeć. Zaciemnili „okna”, bo w nieważkości niedobrze się robiło na widok Ziemi wirującej szaleńczo, kiedy prom zgrał już prędkość obrotową z ruchem wielkiego koła.

Moja kariera może dobiegła końca. Może zasłużyłem już na notkę w historii. Może nie będę niczym więcej niż odnośnikiem w biografiach innych, paragrafem w podręcznikach...

Szczerze mówiąc, w tej chwili moją najlepszą strategią poprawy reputacji byłoby pewnie dać się zamordować w sposób możliwie spektakularny. Ale sądząc po tym, jak sprawy układały się do tej pory, pewnie zginę wskutek jakiejś tragicznej awarii śluzy, w czasie rutynowego dokowania do stacji Ministerstwa Kolonizacji.

– Przestań się nad sobą litować – powiedziała mama.

Spojrzał na nią ostro.

– Nie lituję się – burknął.

– Dobrze – stwierdziła. – Złość się na mnie. To lepsze niż pławienie się w nieszczęściu.

Chciał odpowiedzieć coś złośliwie, ale nagle zrozumiał daremność zaprzeczania temu, co było prawdą i wszyscy o tym wiedzieli. Rzeczywiście był w depresji, ale mimo to musiał pracować. Jak w dniu konferencji prasowej, kiedy wyciągnęli go z łóżka. Nie chciał powtarzać tego poniżającego doświadczenia. Wykona to, co powinien, nie czekając, aż

rodzice zaczną go poganiać niby jakiegoś podrostrka. I nie będzie się na nich denerwował, kiedy mówią mu prawdę.

Uśmiechnął się do niej.

– Daj spokój, mamó. Wiesz doskonale, że gdybym nagle stanął w płomieniach, nikt by nawet na mnie nie nasikał, żeby je zgasić.

– Bądź sprawiedliwy, synu – wtrącił ojciec. – Na Ziemi są setki tysięcy takich, których wystarczyłoby poprosić. I kilkadziesiąt tysięcy takich, co by nie czekali na zaproszenie, gdyby dostrzegli okazję.

– Sława ma jednak swoje zalety – uznał Peter. – A ci z pustymi pęcherzami pewnie odżałowałiby trochę śliny.

– Jesteście obaj obrzydliwi – stwierdziła mama.

– Mówisz to, bo mówienie takich rzeczy jest twoim obowiązkiem.

– W takim razie za mało mi płacą, bo to praca na okrągło.

– To twoja rola w życiu. Taka kobieca. Mężczyzn trzeba cywilizować, więc ty się tym zajmujesz.

– Ale najwyraźniej nie idzie mi za dobrze.

W tej właśnie chwili sierżant MF, który był ich opiekunem w czasie lotu, wszedł do kabiny z wiadomością, że pora wysiadać.

Zadokowali w środku stacji, więc nie było ciężenia. Popłynęli do luku, a sierżant pchnął ich bagaże, tak że sunęły przez służę pod nimi. Chwytała ich dwójka szeregowców, którzy pewnie robili to już setki razy. Wcale im nie imponował fakt, że na stację przybył Hegemon we własnej osobie.

Chociaż prawdopodobnie nikt ich tutaj nie zna. Podróżowali z fałszywymi dokumentami, oczywiście. Ale Graff z pewnością uprzedził kogoś na stacji, kim są naprawdę.

Chyba jednak nie szeregowców.

Dopiero kiedy zeszli jedną ze szprych koła, na poziom, gdzie była już wyraźna podłoga, po której dało się chodzić, spotkali kogoś mającego na stacji realny status. Mężczyzna w szarym garniturze, będącym w Ministerstwie Kolonizacji czymś w rodzaju munduru, z wyciągniętą ręką czekał przy windzie.

– Państwo Raymond – powiedział. – Jestem wiceminister Dimak. A to zapewne państwa syn Dick.

Peter uśmiechnął się blado z delikatnie złośliwego pseudonimu, który przydzielił mu Graff.

– Proszę, niech pan powie, że wie pan, kim naprawdę jesteśmy – zaproponował. – Żebyśmy nie musieli podtrzymywać tej gry.

– Ja wiem – odparł cicho Dimak. – Ale poza tym nie wie nikt na tej stacji i chciałbym, żeby na razie tak pozostało.

– Nie ma tu Graffa?

– Minister kolonizacji wraca z inspekcji prac wykończeniowych nowego statku kolonizacyjnego. Mamy dwa tygodnie do pierwszego etapu i nie uwierzcie państwo, jaki ruch zacznie się tu od przyszłego tygodnia. Szesnaście promów dziennie, i to tylko dla kolonistów. Frachtowce lecą prosto do suchego doku.

– Czy jest też mokry dok? – zapytał niewinnie ojciec.

Dimak uśmiechnął się.

– Trudno się odzwyczaić od morskiej terminologii.

Poprowadził ich korytarzem do rury łącznikowej. Zsunęli się za nim po słupie. Grawitacja nie była silna, więc nie sprawiło to problemów nawet rodzicom Petera, którzy w końcu byli już po czterdziestce. Dimak pomógł im wyjść z szybu na niższy, a więc i „cięższy” korytarz.

Wzdłuż ścian biegły staromodne pasy kierunkowe.

– Odciski waszych dłoni są już wprowadzone – oświadczył Dimak. – Wystarczy dotknąć tutaj, a system doprowadzi państwa do pokoju.

– To pozostałość z dawnych czasów? – domyślił się ojciec. – Chociaż nie wyobrażam sobie, że był pan tu wtedy...

– Ależ byłem – zapewnił Dimak. – Byłem matką dla grupy nowych dzieci. Nie syna państwa, obawiam się. Ale znajomego, jak sądzę.

Peter nie chciał stawiać się w idiotycznej sytuacji i wymieniać wszystkich znanych sobie absolwentów Szkoły Bojowej. Mama nie miała takich oporów.

– Petra? – spytała. – Suriyawong?

Dimak przysunął się, by nie podnosić głosu i nie ryzykować, że ktoś podsłucha.

– Groszek – oznajmił.

– Musiał być niezwykłym chłopcem – stwierdziła mama.

– Kiedy tu trafił, wyglądał na trzylatka. Nikt nie wierzył, że jest dość duży na Szkołę.

– Teraz tak nie wygląda – wtrącił oschłym tonem Peter.

– Nie. Ja... wiem o jego stanie. To nie jest wiedza publicznie dostępna, ale pułkownik Graff... to znaczy minister... zdaje sobie sprawę, że wciąż mnie interesuje, co się dzieje... no, ze wszystkimi moimi dziećmi, ale ten był... Przypuszczam, że pierwszy trener waszego syna ma podobne odczucia.

– Mam nadzieję – rzekła mama.

Atmosfera robiła się tak sentymentalnie słodka, że Peter miał ochotę umyć zęby. Dotknął płytki przy wejściu i zapaliły się trzy pasy.

– Zielony zielony brązowy – powiedział Dimak. – Ale wkrótce nie będą wam potrzebne. W końcu nie mamy tu wielkiego otwartego terenu, gdzie można by się zgubić. System pasów zawsze zakłada, że chcecie wrócić do waszego pokoju, chyba że dotknięcie czytnika przy drzwiach do waszego pokoju, wtedy uważa, że chcecie iść do łazienki. Niestety, nie ma ich w pokojach, stacji nie budowano w ten sposób. Ale gdybyście chcieli dotrzeć do mesy, wystarczy klepnąć czytnik dwa razy, to zrozumie.

Odprowadził ich na kwaterę – do pojedynczego długiego pokoju z rzędami piętrowych pryz po obu stronach wąskiego przejścia.

– Obawiam się, że będą mieli państwo towarzystwo przez ten tydzień, kiedy zacznie się załadunek statku. Jednak nikt nie zostanie tu na dłużej, a potem będziecie mieli ten pokój tylko dla siebie przez kolejne trzy tygodnie.

– Macie jeden start na miesiąc? – zdziwił się Peter. – Jak właściwie finansujecie takie tempo?

Dimak spojrzał na niego obojętnie.

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

Peter pochylił się i powiedział, naśladowując głos, jakim Dimak mówił o sekretach:

– Jestem Hegemonem. Formalnie, pański szef pracuje dla mnie.

– Ty ratujesz świat – odpowiedział Dimak, także szeptem – a my finansujemy program kolonizacyjny.

– Szczerze powiem, że przydałoby mi się trochę więcej pieniędzy na moje operacje.

– Każdy Hegemon tak uważa. Właśnie dlatego nasze fundusze nie idą przez ciebie.

Peter roześmiał się.

– Sprytne posunięcie. Jeśli ktoś wierzy, że program kolonizacyjny jest aż taki ważny.

– To przyszłość ludzkości – odparł krótko Dimak. – Robale... przepraszam, Formidzi mieli dobry pomysł. Trzeba się rozprzestrzenić jak najdalej, żeby nie zlikwidowała nas jedna katastrofalna wojna. Im to co prawda nie pomogło, ale... my nie żyjemy w kopcach.

– Nie? – spytał ojciec.

– Jeśli tak, to kto jest królową?

– Przypuszczam, że w tym miejscu Graff.

– A my wszyscy to jego małe rączki i nóżki?

– I usta, i... No tak, oczywiście. Trochę bardziej niezależne i trochę mniej posłuszne niż indywidualni Formidzi, ma się rozumieć, ale właśnie w taki sposób gatunek zyskuje dominującą pozycję na świecie. Tak jak my i oni. Bo wie, jak skłonić dużą liczbę osobników do rezygnacji z osobistej woli i do poddania się umysłowi grupowemu.

– Widzę, że mówimy tu o filozofii – stwierdził Dimak.

– Albo o najnowszych osiągnięciach nauki – odparł ojciec. – Zachowanie grup ludzkich. Poziomy lojalności. Często się nad tym zastanawiam.

– Bardzo interesujące.

– Widzę, że wcale nie jest pan zainteresowany. I że trafiłem do pańskiego notesu jako ekscentryk, który lubi opowiadać o swoich teoriach. Jednak w rzeczywistości nigdy tego nie robię. Nie wiem, dlaczego teraz zacząłem. Po prostu... pierwszy raz trafiłem do domu Graffa, że tak powiem. A spotkanie z panem to prawie jak wizyta u niego.

– Pochlebia mi pan – stwierdził Dimak.

– Janie Pawle – odezwała się mama. – Mam wrażenie, że wprawiasz pana Dimaka w zakłopotanie.

– Kiedy ludzie są bardzo mocno lojalni wobec swojej społeczności, zaczynają przejmować nie tylko moralność, ale i manieryzmy przywódcy – oświadczył ojciec, który wyraźnie nie chciał zrezygnować.

– O ile przywódca ma osobowość – wtrącił Peter.

– A jak bez niej mógłby zostać przywódcą? – zdziwił się ojciec.

– Zapytaj Achillesa. On jest przeciwieństwem twojej tezy. Przejmuje manieryzmy ludzi, których chce skłonić, by za nim podążali.

– Jego nie pamiętam – przyznał Dimak. – Był tu tylko parę dni, zanim... zanim odkryliśmy jego mordercze wyczyny na Ziemi.

– Kiedyś musi mi pan opowiedzieć, jak Groszek zmusił go do przyznania się. On sam nie chce mówić.

– Jeśli on nie powie, to ja także nie.

– Jakaż lojalność – pochwalił ojciec.

– Właściwie nie. Po prostu nie wiem. Jedyne tyle, że miało to jakiś związek z szybem wentylacyjnym.

– To zeznanie... – powiedział ojciec. – Nagrania ciągle są tutaj, prawda?

– Nie, nie ma. A gdyby nawet były, to fragment utajnionych danych z okresu dziecięcego.

– Wielokrotnego mordercy.

– Spostrzegamy zasady prawa tylko wtedy, kiedy działają wbrew naszym interesom – zauważył Dimak.

– Widzi pan? Wymieniliśmy nasze filozofie.

– Jak Indianie wymieniający się darami. Ale do rzeczy. Chciałbym, żeby jeszcze przed kolacją porozmawiali państwo z Uphanadem, szefem ochrony.

– O czym?

– Koloniści nie stanowią problemu. Przemieszczają się wtedy tylko w jedną stronę i niełatwo im kontaktować się z powierzchnią. Ale prawdopodobnie zostaniecie państwo rozpoznani. Gdyby nawet nie, trudno przez dłuższy czas podtrzymywać fałszywą legendę.

– Więc zrezygnujmy z fałszywej legendy – zaproponował ojciec.

– Nie – sprzeciwiła się mama. – Lepiej przygotujmy jakąś naprawdę dobrą.

– Po prostu z nikim nie rozmawiamy.

– Właśnie te kwestie major Uphanad chce z państwem omówić – wyjaśnił Dimak.

Kiedy odszedł, wybrali sobie posłania na końcu sali. Peter zajął górne, naturalnie. Kiedy jednak wypakowywał rzeczy do szafki w ścianie obok pryczy, ojciec odkrył, że każdy blok sześciu posłań – po trzy z każdej strony – można oddzielić od reszty przesłoną.

– Musieli je zamontować później – stwierdził. – Nie wierzę, żeby pozwalali dzieciakom odcinać się od innych.

– Jak dźwiękoszczelny jest ten materiał? – zainteresowała się mama.

Ojciec zaciągnął przesłone kolistym ruchem, tak że zamknęła się jak żrenica, odcinając go po drugiej stronie. Po chwili otworzył.

– I co? – zapytał.

– Całkiem skuteczna bariera dźwiękowa – oceniła mama.

– Ale próbowałeś coś do nas powiedzieć, prawda? – upewnił się Peter.

– Nie. Słuchałem, co wy mówicie.

– A my słuchaliśmy ciebie, Janie Pawle – zirytowała się mama.

– Nie, nie. Mówiłem, chociaż nie krzychałem. Nie słyszeliście mnie, co?

– Peter, przeprowadzasz się do sąsiedniego boksu – rzuciła mama.

– Nie będę mógł tam zostać, kiedy się zjawia koloniści.

– Jak przyjadą goście, będziesz mógł spać w pokoju mamusi i tatusia.

– Będziecie przechodzić przez mój pokój po drodze do łazienki – zauważył.

– Fakt – przyznał ojciec. – Wiem, że jesteś Hegemonem i powinieneś dostać najlepsze miejsce, ale z drugiej strony my raczej nie trafimy u ciebie na moment, kiedy będziesz się z kimś kochał.

– Nie licz na to – mruknął kwaśnym tonem Peter.

– Otworzymy zasłone tylko trochę i zawołamy „puk, puk”, zanim wejdziemy – obiecała mama. – Zdązysz schować koleżankę.

Był trochę zakłopotany, prowadząc taką rozmowę z rodzicami.

– Bardzo jesteście milusi oboje. Ale poważnie, naprawdę chętnie się przeniosę.

Dobrze będzie mieć gwarancję samotności, kiedy już zamkną przesłone, nawet za cenę przeniesienia wszystkich rzeczy z szafki, gdzie właśnie je ułożył, do szafki w sąsiednim boksie. Teraz mógł zająć dolne posłanie – to po pierwsze. Po drugie, nie musiał znosić ciągłego pocieszania rodziców.

Musiał mieć czas na zastanowienie.

No i naturalnie od razu zasnął. Obudził go głos Dimaka z interkomu.

– Panie Raymond, jest pan tam?

Ułamek sekundy trwało, nim sobie przypomniał, że tutaj jest Dickiem Raymondem.

– Tak. Chyba że chodzi o mojego ojca.

– Z nim już rozmawiałem – odpowiedział Dimak. – Zaprogramowałem pasy kierunkowe, żeby doprowadziły was do biura ochrony.

Biuro znajdowało się na najwyższym poziomie, z najniższą grawitacją – co miało sens, bo w przypadku jakiejś akcji wyruszający stąd funkcjonariusze zmierzali w dół, niezależnie od celu.

W gabinecie czekał major Uphanad. Kolejno uścisnął im dłonie.

– Jest pan z Indii? – spytała mama. – Czy z Pakistanu?

– Z Indii – odparł Uphanad, cały czas z uśmiechem.

– Przykro mi z powodu pańskiego kraju...
– Nie byłem tam od... od bardzo dawna.
– Mam nadzieję, że pańska rodzina radzi sobie jakoś pod chińską okupacją.
– Dziękuję pani za troskę – odpowiedział, dając tonem do zrozumienia, że temat uważa za zakończony.

Wskazał im krzesła i sam również usiadł za biurkiem, w pełni wykorzystując przewagę pozycji gospodarza. Petera trochę to uraziło, gdyż od dłuższego czasu to on był człowiekiem, który dominuje. Może jako Hegemon nie miał realnej władzy, ale protokół zawsze dawał mu miejsce u szczytu.

Tu jednak ludzie nie powinni go rozpoznawać. Dlatego musiał być traktowany jak każdy inny cywilny przybysz.

– Wiem, że są państwo szczególnymi gośćmi ministra – zaczął Uphanad – i nie chcą, by ktokolwiek zakłócał ich prywatność. Musimy tylko omówić zakres tej prywatności. Czy wasze twarze mogą być rozpoznane?

– To możliwe – przyznał Peter. – Zwłaszcza jego. – Wskazał ojca.

Było to kłamstwo, w dodatku pewnie daremne, ale...

– Aha. Zakładam też, że prawdziwe nazwisko państwa też byłoby rozpoznane.

– Prawdopodobnie – przyznał ojciec.

– Na pewno – stwierdziła mama, jakby była z tego dumna i trochę obrażona, że Uphanad może w to wątpić.

– A zatem czy należy przynosić państwu posiłki do sypialni? Czy mamy usuwać ludzi z korytarzy, kiedy ktoś z państwa zechce wyjść do łazienki?

Dla Petera brzmiało to jak opis koszmaru.

– Panie majorze, nie chcemy rozgłaszać swojej obecności tutaj, ale jestem pewien, że możemy liczyć na dyskrecję pańskich ludzi.

– Wręcz przeciwnie – oświadczył Uphanad. – Ludzie dyskretni zawsze pamiętają, żeby nie przyjmować lojalności personelu jako czegoś oczywistego.

– Nawet pańskiej? – spytała mama słodkim głosem.

– Ponieważ okłamali mnie państwo już wielokrotnie, można chyba uznać, że niczyjej lojalności nie uznają państwo za oczywistą.

– Mimo wszystko – wtrącił Peter – nie mam zamiaru dać się zamknąć w tej rurze. Chciałbym korzystać z waszej biblioteki... zakładam, że jakąś macie. Możemy chyba jadać normalnie w mesie i korzystać z toalety, nie sprawiając nikomu kłopotu.

– Widzi pan? – rzekł Uphanad. – Po prostu nie docenia pan problemów bezpieczeństwa.

– Nie możemy tu żyć jak więźniowie – oznajmił Peter.

– Nie o to mu chodziło – wyjaśnił ojciec. – Pan major mówił o tym, jak poinformowałeś o decyzji podjętej w imieniu naszej trójki. A niby to ja mam być tym najłatwiej rozpoznawalnym.

Uphanad uśmiechnął się lekko.

– Problem rozpoznania was jest całkiem realny. Ja od razu pana poznałem, z widów, panie Hegemonie.

Peter westchnął.

– Pańska twarz nie jest tak łatwo rozpoznawalna jak twarze zwykłych polityków – stwierdził Uphanad. – Im zależy na pokazywaniu się publiczności. Pan, jeśli dobrze pamiętam, rozpoczął karierę anonimowo.

– Ale pokazywali mnie w widach.

– Proszę posłuchać. Niewiele osób z personelu stacji w ogóle ogląda widy. Ja akurat jestem maniakiem aktualności, ale większość zrezygnowała ze słuchania ziemskich ploteczek. Myślę, że najlepszym sposobem maskowania się jest w państwa przypadku takie zachowanie, jakby nie mieli państwo nic do ukrycia. Proszę raczej udawać samotników; nie włączać się w rozmowy, które prowadzą do wzajemnego wyjaśniania, kim kto jest i czym się zajmuje. Ale jeśli będą państwo uprzejmi, jeśli nie będą grać tajemniczych, nie powinniśmy mieć problemów. Ludzie nie spodziewają się przecież, że zobaczą Hegemoną, który wraz z rodzicami mieszka tu w jednej ze wspólnych sal. – Uphanad uśmiechnął się szeroko. – To będzie nasz sekret. Tylko naszej szóstki.

Peter policzył szybko: on sam, rodzice, Uphanad, Dimak i... no tak, Graff, oczywiście.

– Nie spodziewam się tu zamachu – ciągnął Uphanad. – Mamy na pokładzie bardzo niewiele broni, a cała jest bezpiecznie zamknięta. Wszyscy przybywający są skanowani. Sugeruję zatem, by nie nosili państwo broni osobistej. Czy szkolili się państwo w walce wręcz?

– Nie – odparł Peter.

– Na dolnym poziomie mamy salę gimnastyczną, bardzo dobrze wyposażoną, i to nie tylko w urządzenia przystosowane dla dzieci. Dorośli też muszą dbać o kondycję. Powinni państwo korzystać z tej możliwości, żeby zachować masę kostną i tak dalej, ale możemy też zaaranżować lekcje sztuk walki, jeśli to państwa interesuje.

– Wcale mnie nie interesuje – oświadczył Peter. – Ale wydaje się, że to dobry pomysł.

– Tylko że każdy, kogo wyślą przeciwko nam – stwierdziła mama – będzie o wiele lepiej wyszkolony.

– Może tak, może nie. Jeśli wrogowie państwa spróbują uderzyć tutaj, będą musieli wykorzystać kogoś, kto przedostanie się przez nasze procedury bezpieczeństwa. Ludzie, którzy wyglądają na szczególnie atletycznych, poddawani są ściślejszej kontroli. Widzi pani, jesteśmy trochę paranoiczni na punkcie zagrożenia przez jedną z grup antykolonizacyjnych, która mogłaby przysłać tu kogoś, by dokonał aktu terroryzmu czy sabotażu.

– Albo zabójstwa.

– Tak. Ale zapewniam, że ja i moi ludzie jesteśmy bardzo uważni. Sprawdzamy wszystko i wszystkich.

– Inaczej mówiąc, wiedział pan, kim jesteśmy, zanim stanęliśmy w tych drzwiach.
– Prawdę mówiąc, zanim jeszcze wasz prom wystartował. A przynajmniej mogłem się domyślać.

Pożegnali się.

Powoli przyzwyczajali się do życia na stacji.

Dzień i noc zmieniały się według czasu Greenwich, bez żadnego konkretnego powodu prócz tego, że był to czas południka zero, a jakiś trzeba było przecież wybrać. Peter odkrył, że rodzice nie są tak wścibscy, jak się obawiał; z ulgą się przekonał, że przesłona w pełni blokuje odgłosy ich aktów miłosnych, a także ich rozmowy na jego temat.

Najczęściej chodził do biblioteki i pisał.

Eseje, naturalnie – o wszystkim, na każdym możliwym forum. Wiele wydawnictw chętnie zamieszczało teksty Locke’a i Demostenesa, tym bardziej że wszyscy już wiedzieli, iż oba te pseudonimy należą do Hegemona. Większość poważnych prac ukazywała się najpierw w sieci, więc trudno było je dopasować do konkretnych grup odbiorców. Starał się jednak poruszać tematy budzące szczególne zainteresowanie w konkretnych regionach.

Celem wszystkiego, co pisał, było rozniecznianie podejrzliwości wobec Chin i chińskich ambicji. Jako Demostenes mówił wprost o ryzyku, jakim jest brak reakcji na podbój Indii i Indochin, ze sporą dozą retorycznych pytań typu „Kto będzie następny?”. Oczywiście nie mógł bezpośrednio nawoływać do wojny, gdyż każde jego słowo mogło być potem wykorzystane przeciwko Hegemonowi.

Życie zdawało się o wiele prostsze, kiedy w sieci był kimś anonimowym.

Jako Locke pisywał poważne, bezstronne teksty o problemach rozmaitych narodów i regionów. Locke prawie nigdy nie zabierał głosu przeciwko Chinom, raczej przyjmował za oczywiste, że nastąpi kolejna inwazja i – na przykład – długoterminowe inwestycje w krajach, będących jej prawdopodobnym celem, są posunięciem nierozsądnym.

Praca była ciężka, gdyż każdy esej musiał być interesujący, oryginalny i ważny; w przeciwnym razie nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Musiał się pilnować, żeby nigdy nie pisać tak, jakby Chiny były jego obsesją – jak ojciec, kiedy zaczął opowiadać Dimakowi o swoich teoriach lojalności grupowej i osobniczej. Chociaż uczciwie przyznawał, że ojciec nigdy wcześniej o tym nie mówił, jednak uświadomiło mu to, jak łatwo Locke i Demostenes – a zatem i sam Peter – może najpierw zacząć drażnić, a potem budzić śmiech.

Ojciec nazywał ten proces „stassenizacją” – od Harolda Stassena, który dziewięciokrotnie bezskutecznie ubiegał się o nominację na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ojciec podsuwał też rozmaite sugestie co do tematyki esejów, a Peter czasem korzystał z jego rad. Co on i mama robili z wolnym czasem, kiedy nie czytali jego tekstów, nie komentowali ich, nie wyłapywali błędów i tak dalej – nie miał pojęcia.

Może mama znalazła sobie czyjś pokój do sprząwania.

Graff zjawił się z krótką wizytą pierwszego ranka po ich przylocie, po czym znowu zniknął – wrócił na Ziemię tym samym promem, którym tu przybyli. Nie było go przez trzy tygodnie. Peter napisał w tym czasie prawie czterdzieści artykułów, wszystkie opublikował w rozmaitych magazynach. Większość była esejami Locke’a. I jak zwykle, większą uwagę zwracały teksty Demostenesa.

Graff po powrocie zaprosił ich na kolację do ministerialnej kwatery. Spędzili przyjemny wieczór, nie poruszono żadnej istotnej sprawy. Gdy tylko rozmowa zbaczała w stronę czegoś poważniejszego, Graff przerywał, nalewając wodę czy opowiadając jakąś anegdotkę, choć z rzadka zabawną.

Zdziwiło to Petera, ponieważ Graff mógł chyba polegać na bezpieczeństwie własnej kwatery. Najwyraźniej jednak nie, gdyż po kolacji zaprosił ich na spacer. Szybko opuścili ogólnie dostępne korytarze, zanurzając się w mrok przejść serwisowych. Prawie natychmiast stracili orientację. Kiedy Graff wreszcie otworzył drzwi i wyprowadził ich na szeroką półkę zawieszoną nad szybem wentylacyjnym, nie wiedzieli już, która strona jest którą, z wyjątkiem oczywiście „dołu”.

Szyb wentylacyjny biegł „w dół”... bardzo daleko.

– To miejsce ma pewne historyczne znaczenie – oznajmił Graff. – Choć niewielu z nas wie o tym.

– Aha – stwierdził ojciec domyślnie.

A ponieważ odgadł, uświadomił sobie Peter, zagadka jest możliwa do odgadnięcia. I także się domyślił.

– Tu był Achilles – powiedział.

– Tutaj – mówił Graff – Groszek i jego przyjaciele oszukali Achillesa. Achilles sądził, że nadarzy mu się okazja do zabicia Groszka, ale to Groszek doprowadził do tego, że Achilles związany zawisł w szybie. Mógł go zabić. Jego przyjaciele sugerowali takie rozwiązanie.

– Kim byli ci przyjaciele? – spytała mama.

– Nigdy mi nie zdradził, co nie powinno dziwić, ponieważ nigdy nie pytałem. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli nawet w mojej głowie nie pozostanie żaden ślad po dzieciach, które były tu świadkami poniżenia i bezradności Achillesa.

– Nie miałyby to znaczenia, gdyby po prostu go zabił. Nie byłoby dalszych morderstw.

– Ale widzi pani, gdyby Achilles zginął, musiałbym zapytać o te imiona. A Groszek nie mógłby zostać w Szkole Bojowej. Moglibyśmy przegrać wojnę, gdyż Ender mocno się na nim opierał.

– Pozwolił pan zostać Enderowi, chociaż zabił innego chłopca – przypomniał Peter.

– Tamten chłopiec zginął przypadkiem, kiedy Ender się bronił.

– Bronił się, bo zostawił go pan samego – przypomniała mama.

– Stałem już przed sądem, właśnie o to oskarżony, i uniewinniono mnie.

– Ale poproszono, żeby zrezygnował pan ze stanowiska.

– Otrzymałem za to o wiele wyższe: ministra kolonizacji. Nie kłóćmy się o przeszłość. Groszek ściągnął tu Achillesa nie po to, żeby zabić, ale żeby go zmusić do zeznań. I rzeczywiście, Achilles przyznał się do wszystkiego, bardzo przekonująco. Słyszałem go, więc też jestem na liście jego celów.

– To dlaczego ciągle pan żyje? – spytał Peter.

– Ponieważ, wbrew powszechnym przekonaniom, Achilles nie jest geniuszem i popełnia błędy. Jego ręce nie sięgają nieskończenie daleko, a jego wpływy można zneutralizować. Nie wie wszystkiego. Nie wszystko zaplanował. Myślę, że połowę swoich zwycięstw zawdzięcza temu, że potrafi dostrzec okazje i korzystać z nich, kiedy się trafia.

– Skoro nie jest geniuszem, to czemu stale wygrywa z geniuszami?

– Bo robi rzeczy nieoczekiwane – stwierdził Graff. – Nie robi ich szczególnie dobrze, ale robi to, czego nikt się po nim nie spodziewa. Zawsze jest o krok przed wszystkimi. A nasze najlepsze mózgi nawet o nim nie myślały, kiedy realizował swoje najbardziej spektakularne sukcesy. Uważali się już za cywilów, gdy ich porwał. W czasie wojny Groszek nie starał się pokrzyżować planów Achillesa, tylko uwolnić Petrę. Rozumiecie? Mam wyniki testów Achillesa. Jest mistrzem pochlebstwa i jest bardzo sprytny, inaczej w ogóle by tu nie trafił. Wiedział na przykład, jak oszukiwać w testach psychologicznych, żeby ukryć przed nami swoją skłonność do przemocy. Dlatego udało mu się wejść do ostatniej grupy, jaką przyjęliśmy do Szkoły Bojowej. Ale nigdy nie musiał naprawdę stawić czoła przeciwnikowi. Nigdy nie musiał walczyć z tymi, z którymi walczyli Formidzi.

– Więc jest pan pewny swego – podsumował Peter.

– Wcale nie. Ale mam nadzieję.

– Sprowadził nas pan tutaj, żeby pokazać to miejsce? – spytał ojciec.

– Prawdę mówiąc, nie. Sprowadziłem was, bo przyszedłem tu wcześniej i osobiście sprawdziłem, czy nie ma urządzeń podsłuchowych. Dodatkowo zainstalowałem tłumik dźwięku, żeby nasze głosy nie niosły się szybem wentylacyjnym.

– Boi się pan, że agenci przeniknęli do Ministerstwa Kolonizacji? – domyślił się Peter.

– Wiem, że przeniknęli. W czasie rutynowego skanu logów wiadomości wychodzących Uphanad znalazł coś dziwnego, wysłanego w czasie kilku godzin od waszego przylotu. Cała wiadomość składała się z jednego słowa: „on”. Oczywiście, rutynowy skan Uphanada jest dokładniejszy niż rozpaczliwe poszukiwania większości ludzi. Znalazł ten list, szukając anomalii długości przekazu, wzorców językowych i tak dalej. Żeby znaleźć kody, rozumiecie.

– I to był kod? – upewnił się ojciec.

– Nie w sensie szyfru, nie. I z tego powodu tekst jest niemożliwy do odszyfrowania. Może oznaczać, że kogoś rozpoznano, może oznaczać potwierdzenie albo sygnał rozpoczęcia jakiejś operacji, jak w on/off. Może to być jakieś obce słowo; jest kilkanaście języków, w których „on” ma własne znaczenie. Może to być również „no” zapisane od tyłu. Dostrzegacie

problem? Poza krótkością przekazu uwagę Uphanada zwrócił także fakt, że został nadany kilka godzin po waszym przybyciu oraz że nadawca i adresat byli anonimowi.

– Jak nadawca mógł zachować anonimowość, pisząc z zabezpieczonej placówki, budowanej przez wojskowych? – zdziwił się Peter.

– To całkiem proste. Nadawca załogował się jako ktoś inny.

– Kto?

– Uphanad był bardzo zakłopotany, kiedy pokazał mi wydruk wiadomości. Ponieważ z punktu widzenia komputera była wysłana przez niego.

– Ktoś zdobył hasło samego szefa bezpieczeństwa? – Nie dowierzał ojciec.

– Zawstydzające, z pewnością.

– Wyrzucił go pan? – spytała mama.

– To nie zapewniłoby nam większego bezpieczeństwa wobec ewentualnych działań, jakie uruchomiła ta wiadomość.

– Czyli uważa pan, że chodzi o angielskie słowo *on* i że ktoś przygotowuje jakąś akcję przeciw nam?

– Uważam, że nie jest to wykluczone. Uważam, że wiadomość wysłano otwartym tekstem. Jest niezrozumiała tylko dlatego, że nie wiemy, jaka akcja została uruchomiona.

– A brał pan pod uwagę – nie ustępowała mama – możliwość, że Uphanad sam wysłał tę wiadomość i powiedział panu o niej, by ukryć fakt, że jest nadawcą?

Graff przyglądał się jej przez chwilę. Potem zamrugnął i uśmiechnął się.

– Powtarzałem sobie, że trzeba podejrzewać wszystkich, ale dopiero teraz widzę, co znaczy prawdziwa podejrzliwość.

Peter też nie pomyślał o takiej możliwości. Teraz jednak wydała mu się całkiem sensowna.

– Mimo wszystko nie wyciągajmy przedwczesnych wniosków – uspokoił ich Graff. – Prawdziwy nadawca mógł się logować jako major Uphanad właśnie po to, by szef ochrony stał się naszym głównym podejrzanym.

– Jak dawno odkrył tę wiadomość? – zainteresował się ojciec.

– Parę dni temu. Miałem i tak przylecieć, więc nie zmieniałem planów.

– Żadnego ostrzeżenia dla nas?

– Nie. Każde odstępstwo od normy uprzedziłoby nadawcę, że jego sygnał został wykryty i być może odczytany. A to by go skłoniło do zmiany planów.

– Więc co teraz zrobimy? – zapytał Peter.

– Przede wszystkim – odrzekł Graff – muszę przeprosić za swoją pewność, że będziecie tu całkiem bezpieczni. Najwyraźniej Achilles, a może Chiny, ma długie ręce.

– Czyli wracamy do domu? – spytał ojciec.

– Po drugie – ciągnął Graff – nie możemy zrobić niczego, co ułatwi im grę. Powrót teraz, nim zagrożenie zostanie zidentyfikowane i zneutralizowane, narazi was na większe

niebezpieczeństwo. Nasz zdrajca może przesłać kolejny sygnał, uprzedzając, gdzie i kiedy będziecie lądować, jaka jest trajektoria zejścia i tak dalej.

– Kto zaryzykuje zestrzelenie promu, by zabić Hegemoną? – zdziwił się Peter. – Świat będzie oburzony, nawet ci, którzy chętnie by się mnie pozbyli.

– Jakakolwiek zmiana naszych zachowań ujawni zdrajcy, że przechwyciliśmy jego wiadomość. Może przyspieszyć akcję, cokolwiek to ma być. A my nie jesteśmy gotowi. Nie. Przykro mi to mówić, ale najlepszym rozwiązaniem jest czekać.

– A jeśli się nie zgodzimy?

– Wtedy wyślę was do domu promem, jaki sobie wybieriecie, i przez cały czas lotu będę się za was modlił.

– Pozwoli nam pan odlecieć?

– Jesteście moimi gośćmi, nie więźniami.

– No to sprawdzimy – oświadczył Peter. – Odlatujemy następnym promem. Tym, którym pan przybył. Kiedy wystartuje, będziemy na pokładzie.

– Za wcześnie. Nie mamy czasu na przygotowania.

– On też nie ma. Proponuję, żeby poszedł pan do Uphanada i rozkazał mu zachować nasz odlot w absolutnej tajemnicy. Nie wolno mu powiedzieć nawet Dimakowi.

– Ale jeśli to on – zastanowiła się mama – to...

– To nie może nadać sygnału. Chyba że znajdzie sposób, by ta informacja jakoś wyciekła i stała się znana na całej stacji. Dlatego jest bardzo ważne, panie ministrze, by był pan przy nim przez cały czas od chwili, kiedy mu pan powie. Tak żeby nie mógł wysłać sygnału, jeśli to on.

– Ale to prawdopodobnie nie on – stwierdził Graff. – A w ten sposób wszyscy się dowiedzą.

– Tym razem będziemy uważać na wysyłane wiadomości.

– Chyba że po prostu zabiją was, kiedy będziecie wchodzić na pokład.

– Wtedy nasze zmartwienia się skończą – odparł Peter. – Ale nie sądzę, żeby nas zabili. Ten agent jest dla nich zbyt użyteczny... albo dla Achilleśa, zależy, dla kogo pracuje. Nie poświęcą go dla tej jednej akcji.

Graff się zastanowił.

– Czyli pilnujemy, kto mógłby wysłać wiadomość...

– I rozstawi pan agentów w okolicy miejsca lądowania na Ziemi, żeby sprawdzić, czy wypatrzą zamachowca.

– To mogę załatwić – obiecał Graff. – Jest tylko jeden drobny problem.

– Jaki?

– Nie możesz lecieć.

– Dlaczego nie? – zdumiał się Peter.

– Bo ta jednoosobowa kampania propagandowa zaczyna przynosić efekty. Ludzie, którzy czytają twoje teksty, coraz częściej dryfują do obozu antychińskiego. Ten ruch jest jeszcze dość skromny, ale wyraźny.

– Mogę pisać swoje eseje na Ziemi.

– W każdej chwili zagrożony śmiercią.

– Tutaj też może się to zdarzyć.

– Niby tak... ale sam mówiłeś, że to mało prawdopodobne.

– Lepiej złapmy kreta, który działa na stacji – rzekł Peter. – I odeślijmy go do domu.

Naprawdę miło było pana odwiedzić, panie ministrze, ale musimy już wracać.

Spojrzał na rodziców.

– Absolutnie – potwierdził ojciec.

– Jak myślisz? – spytała matka. – Czy jak wrócimy, znajdziemy jakieś mieszkanie z takimi wąskimi łózkami jak tutaj? – Przytuliła się do ojca. – Bardzo nas to zbliżyło jako rodzinę.

Plany wojenne

From: Demosthenes%Tecumseh@freeamerica.org

To: DropBox%Feijoad@IComeAnon.net

Subject: *****

Szyfrowanie kluczem *****

Deszyfracja kluczem *****

Marnuję połowę pojemności pamięci tylko po to, żeby nie zapomnieć, z jakich sieciowych tożsamości korzystasz w kolejnych tygodniach. Czemu nie wystarczy samo szyfrowanie? Nikt jeszcze nie złamał kodu hiperpierwszego.

Do rzeczy, Groszek. Kamienie w Indiach? Virloimi to zaczęła, oczywiście. Dostałem od niej wiadomość:

- > Teraz nie tkwisz już w szambie, kontakt znowu możliwy. Nie
- > mam tu e-maila. Kamienie są moje. Wkrótce wracam na most.
- > Wojna na poważnie. Pisz do mnie tylko na ten serwer, mój
- > ID BridgeGirl, hasło nie podnózek.

Przynajmniej sędzę, że to właśnie znaczy „Kamienie są moje”. A jak rozumieć „hasło nie podnózek”? Że hasło to „nie podnózek”? Czy może, że hasło to nie „podnózek”? W takim przypadku nie jest też pewnie „mrówkojad”, ale jak ma mi to pomóc?

W każdym razie proponuje, że rozpocznie wojnę na poważnie w Indiach. Nie może oczywiście dysponować ogólnokrajową siatką, ale możliwe, że wcale jej nie potrzebuje. Wyraźnie potrafiła się dogadać z miejscowymi, jeśli skłoniła ich do

układania stosów kamieni na drogach. Teraz cała ta sprawa z kamiennym murem rozwija się samodzielnie. Mnóstwo starć między głodnymi i gniewnymi Hindusami a chińskim wojskiem. Porwane ciężarówki. Coraz częstsze sabotaże w chińskich placówkach. Czy może zrobić coś więcej od tego, co już się dzieje?

Biorąc pod uwagę, gdzie jesteś, możesz potrzebować jej informacji i/lub współpracy bardziej ode mnie. Ale będę wdzięczny za pomoc w zrozumieniu tych fragmentów jej listu, które są dla mnie niejasne.

From: LostBoy%Navy@IComeAnon.net

To: Demosthenes%Tecumseh@freeamerica.org

Subject: <empty>

Szyfrowanie kluczem *****

Deszyfracja kluczem *****

Oto dlaczego zmieniam adresy. Po pierwsze, wcale nie muszą deszyfrować tekstu, żeby zdobyć informacje – jeśli tylko zauważą regularność naszej korespondencji. Użyteczne będzie poznanie częstotliwości i terminów wysyłania e-maili oraz długości tekstu. Po drugie, nie muszą łamać szyfru wiadomości, wystarczy, że odgadną klucz szyfrujący i deszyfrujący. Które – mogę się założyć – masz gdzieś zapisane, bo przecież nie obchodzi cię, czy zginę, a jesteś zbyt leniwy, żeby je zapamiętać.

Oczywiście mówię to w najbardziej niewinnym sensie, wielce szanowny panie Hegemonie.

Oto co miała na myśli Virlomi. Oczywiście chciała, żebyś nie mógł zrozumieć wiadomości i nawiązał z nią normalną korespondencję dopiero po rozmowie z Surim albo ze mną. Co oznacza, że nie ufa ci całkowicie. Domyślam się, że gdybyś napisał do niej i zostawił wiadomość, używając hasła „nie podnózek”, wiedziałaby, że nie kontaktowałeś się ze mną (nie masz pojęcia, jaka to była pokusa, żeby zostawić cię z tym domysłem).

Kiedy zabieraliśmy ją z tego mostu niedaleko birmańskiej granicy, weszła na pokład śmigłowca, stając na plecach Suriyawongowi, który leżał przed nią plackiem. Hasło to nie podnózek, ale prawdziwe imię jej podnóżka. I zamierza wrócić na most, co oznacza, że przedostała się przez Indie aż na granicę z Birma, gdzie uzyska

możliwość zakłócania zaopatrzenia chińskich żołnierzy w Indiach, albo odwrotnie, chińskich prób wycofania wojsk z Indii i przesunięcia ich z powrotem do Chin albo Indochin.

Oczywiście, może przebywać tylko na jednym moście. Ale domyślam się, że już teraz szykuje grupy partyzanckie gotowe do zakłócania ruchu na wszystkich innych drogach między Birmą a Indiami. Jest duża szansa, że przygotowała też coś na granicy wzdłuż Himalajów. Wątpię, czy potrafi zablokować granice, ale może spowolnić i utrudnić komunikację, wiążąc tym oddziały konieczne do ochrony transportów, przez co Chińczykom trudniej będzie wyprowadzać ofensywy czy zaopatrzyć żołnierzy w amunicję – to zawsze był dla nich problem.

Osobiście sędzę, że powinienes ją uprzedzić, by nie rozgrywała swoich kart za szybko. Być może, będę w stanie ci powiedzieć, kiedy masz wysłać odpowiedź i poprosić, żeby konkretnego dnia zaczęła wojnę na poważnie. I nie, nie będę do niej pisał osobiście, bo prawie na pewno jestem tu obserwowany, a nie chcę, żeby dowiedzieli się o niej wprost. Wychwyciłem już dwa szpiegowskie włamania w moim komputerze i za każdym razem aż dwadzieścia minut kosztowało mnie takie ich przerobienie, żeby włamywaczom wysłać fałszywe informacje. Zaszyfrowaną pocztę, jak ta, mogę wysyłać, ale wiadomości posyłane na skrzynkę może wykryć odpowiednie oprogramowanie w sieci lokalnej.

Naprawdę są moimi przyjaciółmi. Ale byliby durniami, gdyby nie rejestrowali, co stąd wysyłam. Jeśli potrafią.

Groszek przyjrzał się sobie w lustrze. Wciąż był do siebie podobny – mniej więcej. Ale nie podobało mu się, jak rośnie głowa: nieproporcjonalnie w stosunku do reszty ciała.

Powinienem się robić mądrzejszy, nie? Więcej miejsca na mózg i w ogóle...

A zamiast tego martwię się, co będzie, kiedy pewnego dnia głowa zrobi się za wielka, a czaszka i mózg za ciężkie, żeby szyja utrzymała cały zestaw w pozycji pionowej.

Przymierzył się jeszcze do szafy. Nie tak dawno temu musiał stawać na palcach, żeby dosięgnąć wieszaków. Potem stało się to łatwe. Dzisiaj musiał sięgać trochę w dół z wysokości ramienia.

Framugi drzwi nie były jeszcze problemem. Ale przechodząc, zaczynał już mimowolnie schylać głowę.

Dlaczego tempo wzrostu się zwiększyło? Miał już za sobą okres dojrzewania.

Petra przeszła chwiejnie za nim, weszła do łazienki i przez bolesne pięć minut wymiotowała, choć nie miała czym.

– Powinny być na to jakieś proszki – stwierdził.

– I są – odpowiedziała. – Ale nikt nie wie, jak działają na dziecko.

– Nie było żadnych badań? Niemożliwe.

– Żadnych badań nad możliwym oddziaływaniem na twoje dzieci.

– Klucz Antona to tylko para punktowych zmian w genomie.

– Pojedynczy gen często pełni wiele funkcji.

– Dziecko prawdopodobnie nawet nie ma klucza Antona. I nie wychodzi mu na zdrowie to, że nie potrafisz zatrzymać w żołądku jedzenia.

– Wkrótce wszystko się uspokoi – stwierdziła Petra. – Jeśli trzeba, będę się odżywiać przez kroplówkę. Ale nie zrobię nic, co mogłoby zagrozić dziecku. Przepraszam, jeśli te wymioty odebrały ci apetyt na śniadanie.

– Nic nie odbierze mi apetytu – zapewnił ją. – Rosnę.

Znowu dostała torsji.

– Przepraszam – powiedział Groszek.

– Nie dlatego tak reaguję – odparta żałośnie – że twoje żarciki są takie marne.

– Nie – zgodził się. – Dlatego że moje geny takie są.

Znowu zaczęła. Wyszedł z pokoju. Czuł się trochę winien, że ją zostawia, ale wiedział, że zostając, na nic się nie przyda. Nie lubiła pocieszania, gdy źle się czuła. Wolała zostać sama ze swoim nieszczęściem. W tym także byli do siebie podobni. Jak ranne zwierzęta, które zaszywają się w gąszczu, by wydobrzeć – albo umrzeć – w samotności.

Alai czekał na niego w dużej sali konferencyjnej. Krzesła ustawiono wokół dużego ekranu holograficznego na podłodze – pokazywał mapę terenu i znaczące z militarnego punktu widzenia drogi w Indiach i zachodnich Chinach.

Pozostali przyzwyczaili się już do obecności Groszka, choć niektórym wciąż się to nie podobało. Ale kalif chciał, żeby przychodził. Kalif mu ufał.

Patrzyli, jak rozbłyskują błękitem znane pozycje chińskich garnizonów, potem zielenią prawdopodobne miejsca pobytu ruchomych jednostek i rezerw. Kiedy Groszek pierwszy raz zobaczył tę mapę, popęnił faux pas i zapytał, skąd pochodzą informacje. Wyjaśniono mu dość chłodno, że i Persja, i konsorcjum izraelsko-egipskie mają programy kosmiczne, a ich satelity szpiegowskie są najlepsze na orbicie.

– Możemy poznać grupę krwi pojedynczych żołnierzy – oświadczył z uśmiechem Alai.

Przesada, oczywiście. Ale Groszek zaczął się zastanawiać. Może jakaś spektroanaliza potu?

Niemożliwe. Alai żartował, nie przechwalał się.

Teraz Groszek wierzył tym informacjom tak samo jak oni – ponieważ naturalnie wykonał dyskretne rozpoznanie poprzez Petera i własne źródła. Kiedy połączył uzyskane od Vlada

dane rosyjskiego wywiadu, przekazy Zwariowanego Toma z Anglii oraz amerykańskich kontaktów Petera, stało się jasne, że muzułmanie – Liga Półksiężycy – mają to co inni. I więcej.

Plan był prosty. Ruchy dużych sił wzdłuż granicy między Indiami i Pakistanem, i przesunięcie na front żołnierzy irańskich. To powinno zmusić Chiny do reakcji i koncentracji swoich wojsk na granicy.

Tymczasem żołnierze tureccy zajęli już pozycje wzdłuż zachodniej granicy chińskiej, a często i dalej – od kilku miesięcy przenikali tam w przebraniu nomadów. Na papierze zachodnie Chiny wydawały się idealnym terenem dla czołgów i transporterów, ale w rzeczywistości ochrona linii zaopatrzenia byłaby bezustannym koszmarem. Dlatego pierwsza fala Turków miała ruszyć do walki jako kawaleria, przerzucając się na transport zmechanizowany dopiero wtedy, kiedy będą mogli przejąć i wykorzystać sprzęt chiński.

Groszek wiedział, że to najbardziej ryzykowna część planu. Armie tureckie – połączone wojska od Hellespontu po Morze Aralskie plus siły z regionu podnóża Himalajów – były wyposażone jak partyzanci, a postawiono przed nimi zadania armii inwazyjnej. Owszem, miały pewną przewagę, która powinna zrekompensować brak broni pancernej i wsparcia lotniczego. Rezygnacja z zaopatrzenia oznaczała, że na początku Chińczycy nie będą mieli czego bombardować. Mieszkańcy zachodniej chińskiej prowincji Xinjiang także byli Turkami i – podobnie jak Tybetańczycy – nigdy nie przestali się buntować przeciwko chińskim rządóm.

Przede wszystkim jednak Turcy będą mieli przewagę zaskoczenia i liczebną, przynajmniej w ciągu kilku początkowych dni, kluczowych dla powodzenia operacji. Chińskie garnizony skoncentrowano wzdłuż granicy z Rosją. Póki te siły się nie ruszą, Turcy nie napotkają większego oporu. Mogą uderzać, gdzie zechcą, likwidować posterunki policyjne i składy zaopatrzenia – a jeśli szczęście będzie im sprzyjać, także wszystkie lotniska w Xinjiang.

Kiedy nadejdą chińscy żołnierze znad rosyjskiej granicy, od zachodu do Chin będą już wracać w pełni zmechanizowane tureckie oddziały. Teraz oczywiście pojawią się możliwe do zbombardowania linie zaopatrzeniowe, ale Chińczycy pozbawieni wysuniętych lotnisk, z których startować teraz będą tureckie myśliwce, nie uzyskają dużej przewagi powietrznej.

Zdobywanie kawalerią słabo bronionych baz lotniczych było takim właśnie pociągnięciem, jakiego Groszek spodziewał się po Alai. Mogli tylko mieć nadzieję, że Han Tzu nie przewidzi tego, iż Alai kieruje całością ataku muzułmanów. Chińczycy bowiem musieliby być durniami, żeby nie planować obrony przed islamską inwazją.

W pewnym momencie – taką przynajmniej mieli nadzieję – Turcy odniosą dostateczne sukcesy, by Chińczycy zaczęli przemieszczać wojska z Indii na północ, do Xinjiang. Ukształtowanie terenu sprzyjało tu planom Alai. Wprawdzie część żołnierzy można było przerzucić drogą lotniczą nad Tybetem i Himalajami, ale drogi w Tybecie powinny zniszczyć

zespoły saperskie tureckiej armii. Dlatego większość chińskich żołnierzy będzie musiała jechać na wschód, okrążając Himalaje, i do zachodnich Chin dotrzeć od wschodu, nie od południa.

Zajmie im to długie dni. A kiedy islamskie dowództwo uzna, że największa liczba Chińczyków jest w drodze i nie może z nikim walczyć, rozpocznie potężną inwazję przez granicę Indii z Pakistanem.

Bardzo wiele zależało od tego, co pomyślą Chińczycy. Na początku powinni sądzić, że prawdziwy atak nadejdzie z Pakistanu, by główne siły chińskie pozostały przy tej granicy. Potem, w kluczowym momencie, po kilku dniach tureckiej operacji powinni być przekonani, że właśnie front turecki jest prawdziwą inwazją. Przekonani w dostatecznym stopniu, by wycofać wojska z Indii, osłabiając tam obronę.

W jaki inny sposób niedoświadczona trzymilionowa armia może pokonać armię złożoną z dziesięciu milionów weteranów?

Omówili plany awaryjne na kilka dni po wejściu do akcji muzułmańskich żołnierzy w Pakistanie. Jednak Groszek wiedział – tak jak Alai – że od chwili przekroczenia indyjskiej granicy niczego nie da się przewidzieć. Przygotowali plan, na wypadek gdyby inwazja poniosła całkowitą klęskę i trzeba było bronić Pakistanu na pozycjach w głębi jego terytorium. Mieli plany na wypadek całkowitego pogromu chińskiej armii – mało prawdopodobnego, jak zdawali sobie sprawę. Ale w najbardziej realnym scenariuszu – trudnych walkach na froncie długości półtora tysiąca kilometrów – należało improwizować, by wykorzystać każdą sprzyjającą okazję.

– Taki jest plan – podsumował Alai. – Jakież uwagi?

Siedzący wokół oficerowie jeden po drugim wyrażali poparcie. Nie dlatego że byli potakiwaczami – Alai wysłuchał już uważnie wszystkich obiekcji i zmienił plany, by zażegnać problemy, które uznał za istotne.

Tylko jeden z jego ludzi zgłosił dzisiaj uwagę. Jedyne cywil, Lankowski. Jego rola, o ile Groszek mógł to ocenić, była czymś pośrednim między ministrem bez teki i kapelanem.

– Szkoda – powiedział – że powodzenie naszych planów tak bardzo jest uzależnione od decyzji Rosji.

Groszek rozumiał, o co mu chodzi. W tej sytuacji Rosja była całkowicie nieprzewidywalna. Z jednej strony Chiny zawarły pakt z Układem Warszawskim, co zabezpieczyło im długą północną granicę z Rosją i pozwoliło wykorzystać wojska do podboju Indii. Z drugiej jednak Rosjanie i Chińczycy od setek lat rywalizowali o pierwszeństwo w regionie i każdy z tych krajów uważał, że ten drugi zajmuje bezprawnie jego terytoria.

Istniały też nieprzewidywalne kwestie natury osobistej. Jak wielu lojalnych wobec Achillesa ludzi zachowało stanowiska i władzę w Rosji? A równocześnie wielu Rosjan było na niego wściekłych, że ich oszukał, zanim uciekł do Indii, a potem do Chin.

Mimo to właśnie Achilles doprowadził do zawarcia tajnego paktu między Chinami a Rosją, więc chyba nie był tam aż tak zniechęcony.

Ile naprawdę był wart ten pakt? Każde rosyjskie dziecko wiedziało, że najgłupszym z rosyjskich władców był Stalin, ponieważ zawarł pakt z hitlerowskimi Niemcami i spodziewał się, że będzie dotrzymany. Z pewnością Rosjanie nie wierzą, że pokój z Chinami potrwa wiecznie.

Zawsze istniała więc szansa, że widząc trudną sytuację Chin, Rosja włączy się do walki. Rosjanie zobaczą w tym okazję do powiększenia swego terytorium i uprzedzenia nieuniknionej zdrady Chińczyków.

Najlepiej byłoby, gdyby Rosjanie zaatakowali Chiny, ale nie odnieśli oszałamiających sukcesów. Taki atak odciągnąłby część wojsk od walki przeciwko muzułmanom. Jednak byłoby niekorzystne, gdyby Rosjanom poszło za dobrze albo całkiem źle. Jeśli za dobrze, mogliby przebić się przez Mongolię i zająć Pekin, a wtedy zwycięstwo islamu zmieni się w zwycięstwo Rosji. Alai nie chciał, by Rosja grała dominującą rolę w rokowaniach pokojowych.

Jeżeli jednak Rosja włączy się do wojny i szybko przegra, chińscy żołnierze nie będą musieli pilnować rosyjskiej granicy. Mając swobodę ruchu, żołnierze z tych garnizonów mogą być skierowani przeciwko Turkom albo ruszyć przez terytorium Rosji, by uderzyć na Kazachstan, zagrażając odcięciem tureckich linii zaopatrzenia.

Dlatego Alai wyraził nadzieję, że Rosja będzie zbyt zaskoczona, by jakkolwiek zareagować.

– Nie ma na to rady – powiedział. – Zrobiliśmy wszystko co możliwe. Co zrobi Rosja, leży w rękach Boga.

– Mogę coś powiedzieć? – spytał Groszek.

Alai kiwnął głową.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Na poprzednich spotkaniach Groszek milczał. Wolał rozmawiać z Alai na osobności, gdzie nie ryzykował jakiegoś błędu przy zwracaniu się do kalifa.

– Kiedy przystąpicie do walki – oświadczył – mogę wykorzystać swoje kontakty i przekonać Hegemon, by użył swoich. Spróbowalibyśmy zachęcić Rosję do postępowania najbardziej rozsądnego z waszego punktu widzenia.

Kilku mężczyzn poruszyło się niespokojnie na krzesłach.

– Czy mógłbyś uspokoić moich nerwowych przyjaciół? – zapytał Alai. – Możesz zapewnić, że nie prowadziłeś już dyskusji o naszych planach z Hegemonem ani nikim innym?

– Wręcz przeciwnie – odparł Groszek. – To wy przygotowujecie się do akcji, więc przekazywałem wam wszelkie informacje, jakie od nich uzyskałem. Lecz znam tych ludzi i wiem, co potrafią. Hegemon nie ma armii, ale ma wielki wpływ na światową opinię publiczną. Oczywiście jest, że będzie wspierał wasze działania. Posiada też kontakty w Rosji i

może je wykorzystać, by albo zachęcić do interwencji, albo przekonać do rezygnacji. Są także moi przyjaciele.

Alai na pewno zdawał sobie sprawę, że jedynym przyjacielem wartym wzmianki jest Vlad, a tylko Vlad z porwanych członków jeeshu Endera stanął po stronie Achillesa. Czy rzeczywiście stał się prawdziwym zwolennikiem Achillesa, czy uznał, że Achilles działa w interesie Matki Rosji, tego Groszek nie potrafił odgadnąć. Vlad dostarczał mu czasem informacji, ale Groszek zawsze szukał potwierdzenia, zanim im zaufał.

– Powiem ci zatem – rzekł Alai – że dzisiaj nie wiem jeszcze, co okaże się bardziej użyteczne: czy włączenie się Rosji do walk, czy jej bezczynność. Jeśli tylko nas nie zaatakują, będę zadowolony. W miarę rozwoju wydarzeń obraz będzie wyraźniejszy.

Groszek nie musiał mu przypominać, że Rosja nie przystąpi do wojny, by ratować nieudaną inwazję muzułmańską. Tylko jeśli zobaczą szansę na zwycięstwo, zdecydują się narażać swoich żołnierzy. Jeśli więc Alai za długo będzie zwlekał z prośbą o pomoc, ta pomoc nie nadejdzie.

W południe zrobili krótką przerwę na posiłek. Kiedy wrócili do sali, mapa się zmieniła. Istniała jeszcze trzecia część planu i Groszek wiedział, że z niej właśnie Alai najmniej jest zadowolony.

Od kilku miesięcy wojska z Egiptu, Iraku i wszystkich innych krajów arabskich przewożono tankowcami do Indonezji. Indonezyjska marynarka wojenna należała do najlepszych na świecie, a ich siły powietrzne, bazujące na lotniskowcach, jako jedyne w regionie dorównywały chińskim pod względem wyposażenia i uzbrojenia. Wszyscy wiedzieli, że to właśnie indonezyjski parasol powietrzny powstrzymał Chiny przed zajęciem Singapuru i inwazją na Filipiny.

Teraz indonezyjskie okręty miały przenieść połączone armie arabską i indonezyjską do Tajlandii albo Wietnamu. W obu państwach mieszkali ludzie marzący o oswobodzeniu spod chińskiej okupacji.

Kiedy zreferowano plany dla obu możliwych miejsc lądowania, Alai nie spytał o uwagi. Miał własne.

– Sądzę, że w obu przypadkach nasze plany taktyczne są bez zarzutu. Jednak mam wątpliwości, takie same jak na początku. W tej operacji nie zrealizujemy żadnego ważnego celu militarnego. Chińczycy mogą sobie pozwolić, żeby przegrywać jedną bitwę po drugiej, wykorzystując tylko siły dostępne lokalnie, wycofywać się coraz głębiej i czekać na rezultat prawdziwej wojny. Uważam, że żołnierze, których tam wyślemy, narażają się na śmierć bez ważnego celu. Przypomina to włoską kampanię z drugiej wojny światowej: długą, powolną i nieskuteczną, nawet jeśli wygramy wszystkie bitwy.

Indonezyjski dowódca skłonił głowę.

– Jestem kalifowi wdzięczny za troskę o życie naszych ludzi, ale muzułmanie z Indonezji nie chcą stać bezczynnie, kiedy walczą ich bracia. Jeśli cele tej operacji są zbyt mało ważne, znajdźcie nam jakieś istotniejsze zadania.

Jeden z arabskich oficerów przytaknął.

– Przygotowaliśmy żołnierzy do tej operacji. Czy jest za późno, żeby przetransportować ich z powrotem i pozwolić razem z Pakistańczykami i Irańczykami uczestniczyć w wyzwoleniu Indii? Te siły mogą nam dać decydującą przewagę.

– Zbliża się okres najlepszej pogody dla naszych celów – odparł Alai. – Nie ma czasu na ponowny transport arabskich wojsk. Lecz nie widzę sensu, by posyłać żołnierzy do walki jedynie ze względu na solidarność ani by opóźniać inwazję, przerzucając ich do innego teatru działań. Jeśli błędem było wysłanie ich do Indonezji, tylko ja za ten błąd odpowiadam.

Rozległy się pomruki zaprzeczeń. Nie mogli się zgodzić, by o jakiegokolwiek błędy winić kalifa. Z drugiej strony – Groszek widział to wyraźnie – doceniali, że prowadzi ich człowiek, który nie zrzuca winy na innych. To jeden z powodów, dla których go kochają.

Alai zignorował ich protesty.

– Nie postanowiłem jeszcze, czy utworzymy trzeci front. Ale jeśli tak, naszym celem powinna być Tajlandia, nie Wietnam. Zdaję sobie sprawę z ryzyka, jakim jest pozostawienie floty zbyt długo na morzu. Musimy liczyć na indonezyjskie lotnictwo, że potrafi bronić okrętów. Wybieram Tajlandię, bo to teren bardziej dostępny, odpowiedni do szybkiego podboju. W Wietnamie musielibyśmy walczyć o każdą piędź ziemi, a nasze postępy na mapie wydawałyby się powolne. Chiny czułyby się bezpieczne. W Tajlandii nasz postęp będzie wyglądać na szybki i niebezpieczny. Jeżeli tylko zapomną, że w tej wojnie Tajlandia nie jest dla nich ważna, może poślą żołnierzy, by nas zatrzymać.

Po kilku jeszcze uprzejmościach narada dobiegła końca. Nikt nie wspomniał o dacie planowanej inwazji. Groszek był pewien, że już ją wybrano i że znają ją wszyscy obecni prócz niego. Godził się na to – ta informacja była mu zbędna.

W pokoju znalazł śpiącą Petrę. Usiadł przy komputerze, by sprawdzić pocztę i kilka serwerów w sieci. Przerwało mu delikatne pukanie do drzwi. Petra zbudziła się natychmiast – w ciąży czy nie, wciąż spała jak żołnierz. Była przy drzwiach, zanim Groszek zdążył pozamykać połączenia i wstać.

W progu stanął Lankowski. Wyglądał na skruszonego i dumnego zarazem – kombinacja, którą tylko on chyba zdołał opanować.

– Proszę o wybaczenie – powiedział – ale nasz wspólny przyjaciel chciałby porozmawiać z wami w ogrodzie.

– Z obojgiem? – upewniła się Petra.

– Tak, jeśli tylko dobrze się pani czuje.

Wkrótce siedzieli oboje na ławce obok tronu Alai – choć oczywiście kalif nigdy tak go nie nazywał.

– Wybacz, Petro, nie mogłem cię zaprosić na naradę. Nasza Liga Półksiężycy nie jest recydywistyczna, ale niektórzy czuliby się zakłopotani, gdyby kobieta uczestniczyła w takim spotkaniu.

– Alai, myślisz, że o tym nie wiem? Trzeba się dostosować do kultury gospodarzy.

– Zakładam, że Groszek opowiedział ci o naszych planach.

– Spałam, kiedy wrócił – wyjaśniła Petra. – Więc nie wiem o niczym, co mogło się zmienić od ostatniego razu.

– W takim razie przykro mi. Mam nadzieję, że domyślisz się z kontekstu. Bo wiem, że Groszek ma mi coś do powiedzenia, czego jeszcze nie powiedział.

– Nie zauważyłem żadnej rysy w twoich planach – zapewnił Groszek. – Myślę, że zrobiłeś wszystko co możliwe. Łącznie z tym, że miałeś dość rozsądku, by nie planować działań po rozpoczęciu walk w Indiach.

– Nie tylko pochwały wyczytałem z twojej twarzy – zauważył Alai.

– Czy z mojej twarzy tak łatwo coś odczytać?

– Nie jest łatwo. Dlatego pytam.

– Otrzymaliśmy propozycję, która powinna cię ucieszyć – oznajmił Groszek.

– Od...?

– Nie wiem, czy poznałeś kiedyś Virłomi.

– W Szkole Bojowej?

– Tak.

– Chyba nie. Zresztą byłem małym chłopcem i nie zwracałem uwagi na dziewczyny. – Uśmiechnął się do Petry.

– Jak my wszyscy – przyznał Groszek. – Virłomi umożliwiła mnie i Suriyawongowi odbicie Petry z Hajdarabadu i ocalenie indyjskich absolwentów Szkoły Bojowej przed wymordowaniem przez Achillesa.

– Zasłużyła więc na podziw.

– Jest znowu w Indiach. Te przeszkody drogowe, ten tak zwany Indyjski Mur... Okazuje się, że to ona do tego doprowadziła.

Teraz Alai okazał zaniepokojenie głębsze niż wynikające tylko z grzeczności.

– Peter dostał od niej list. Virłomi nie wie o tobie ani o tym, co robisz. Peter też nie. Ale posłała mu wiadomość tak ułożoną, że nie mógł jej zrozumieć bez skontaktowania się ze mną. Bardzo ostrożne i bardzo rozsądne posunięcie z jej strony, moim zdaniem.

Uśmiechnęli się obaj.

– Zajęła pozycję w okolicy mostu na jednej z dróg między Indiami i Birmą. Jest zapewne w stanie zablokować jedną, wiele lub nawet wszystkie główne szlaki z Chin do Indii.

Alai skinął głową.

– Byłoby katastrofą – ciągnął Groszek – gdyby działając według własnego rozeznania, odcięła te szlaki, zanim Chińczycy zdążą wycofać wojska z Indii. Inaczej mówiąc, jeśli

pomyśli, że turecki atak to prawdziwa inwazja, może uznać, że pomoże, zatrzymując chińskich żołnierzy w Indiach. Tymczasem byłoby najlepiej, gdyby zaczęła, aż zaczęła przerzucać wojska z powrotem, i wtedy zablokowała drogi, zatrzymując ich poza granicami.

– Ale jeśli jej powiemy – rzekł Alai – a wiadomość zostanie... przechwycona, Chińczycy dowiedzą się, że operacja turecka nie jest zasadniczym celem.

– Właśnie dlatego nie chciałem podnosić tej sprawy przy wszystkich. Tobie mogę powiedzieć: wierzę, że komunikacja między nią a Peterem oraz między Peterem a mną jest bezpieczna. Wierzę, że Peter rozpaczliwie pragnie, by wasza inwazja się powiodła, Virłomi także. Nie zdradzą nikomu danych, które mogłyby jej zagrozić. Ale decyzja należy do ciebie.

– Peter rozpaczliwie pragnie, by nasza inwazja się powiodła? – powtórzył Alai.

– On nie jest głupi. Nie muszę mu mówić o waszych planach, czy że w ogóle macie jakieś plany. Wie, że tu jesteś, a satelity rejestrują ruchy wojsk na indyjskiej granicy. Nie rozmawiał o tym ze mną, ale nie zdziwiłbym się, gdyby wiedział o obecności Arabów w Indonezji... Takie rzeczy zawsze odkrywa, bo wszędzie ma kontakty.

– Przepraszam, że cię podejrzewam. Lecz byłoby poważnym zaniedbaniem, gdybym zaniechał podejrzeń.

– W każdym razie pomyśl o Virłomi – poprosił Groszek. – Doszłoby do tragicznego w skutkach nieporozumienia, gdyby starając się pomóc, w rzeczywistości zaszkodziła naszemu planom.

– Ale to nie wszystko, co chciałeś powiedzieć – zauważył Alai.

– Nie – przyznał z wahaniem Groszek.

– Mów.

– Twoje powody, by nie otwierać trzeciego frontu, były rozsądne. Nie warto poświęcać życia żołnierzy dla osiągnięcia nieistotnych militarnie celów.

– Uważasz zatem, że w ogóle nie powinienem wykorzystywać tych wojsk?

– Nie. Uważam, że powinienesz wykorzystać je śmieiej. Uważam, że powinienesz poświęcić więcej ludzi dla osiągnięcia celu jeszcze bardziej spektakularnie niemilitarnego.

Alai odwrócił głowę.

– Obawiałem się, że to zauważysz.

– Byłem pewien, że już o tym pomyślałeś.

– Miałem nadzieję, że zaproponuje to któryś z Arabów albo samych Indonezyjczyków – przyznał Alai.

– Co proponuje? – zdziwiła się Petra.

– Celem militarnym – odparł Groszek – jest zniszczenie ich armii. Dokonuje się tego przez natarcie przeważającą siłą, z wykorzystaniem zaskoczenia, oraz przez odcięcie ich linii zaopatrzenia i dróg ucieczki. Nic, co zaplanujesz dla trzeciego frontu, nie pomoże w realizacji tych zadań.

– Wiem – zgodził się Alai.

– Chiny nie są demokracją. Ich rząd nie musi wygrywać wyborów. Ale tym bardziej potrzebuje poparcia obywateli.

Petra westchnęła. Zrozumiała.

– Chcesz zaatakować same Chiny.

– Taka inwazja nie ma szans na sukces – stwierdził Alai. – Na pozostałych frontach mamy miejscową ludność, która powita nas z radością i będzie z nami współpracować, a im przeszkadzać. W Chinach wręcz przeciwnie. Ich lotnictwo będzie operować z bliskich lotnisk i może prowadzić nalot po nalocie, pomiędzy kolejnymi falami naszych maszyn. Prawdopodobieństwo katastrofy jest bardzo wysokie.

– Zaplanuj tę katastrofę – rzekł Groszek. – Zaczynaj od katastrofy.

– Jesteś dla mnie zbyt subtelny.

– Co byłoby katastrofą w tym przypadku? Poza zatrzymaniem naszych oddziałów już na plaży, co jest wątpliwe, gdyż Chiny mają chyba najłatwiejszą dla inwazji linię brzegową na świecie. Katastrofą byłoby, gdyby twoje siły uległy rozproszeniu, zostały odcięte od źródeł zaopatrzenia, zmuszone do działania bez koordynacji centralnego dowództwa.

– Niech wylądują, a potem natychmiast zaczną wojnę partyzancką? – Alai zastanowił się.
– Nie będą mieli wsparcia miejscowej ludności.

– Długo nad tym myślałem. Ludność chińska jest przyzwyczajona do ucisku. Kiedy nie byli uciskani? Ale nigdy się z tym nie pogodzili. Pomyśl, ile tam było chłopskich buntów, i to przeciwko rządowi o wiele łagodniejszym niż obecny. Jeśli teraz twoi żołnierze ruszą przez Chiny jak Sherman do morza, napotkają opór na każdym kroku.

– Będą musieli utrzymywać się z tego, co znajdą na miejscu, skoro mają nie korzystać z zaopatrzenia.

– To możliwe ze zdyscyplinowanymi żołnierzami – zapewnił Groszek. – Ale trudne dla Indonezyjczyków, biorąc pod uwagę, jak zawsze traktowali Chińczyków w samej Indonezji.

– Możesz mi wierzyć, że potrafię kontrolować swoich żołnierzy.

– W takim razie powinni robić tak: z każdej wioski po drodze zabierają połowę żywności. Ale tylko połowę. Muszą urządzić małą demonstrację, jak to zostawiają resztę. To dlatego, powiesz im, że Allach nie chce wojny z prostym ludem Chin. Gdyby musieli zabić kogoś, żeby opanować wioskę, niech przeproszą jego rodzinę albo i całą wieś. Muszą być najgrzeczniejszymi najeźdźcami na świecie.

– Hm... – mruknął Alai. – Wiele wymagasz.

Petra wyobraziła to sobie.

– Może jeśli zacytujesz żołnierzom werset z Wzniesionych Krawędzi, gdzie jest napisane: Może być, że wasz Pan zniszczy waszego wroga i uczyni was następcami na ziemi, aby mógł zobaczyć, jak wy będziecie działać.

Alai spojrzał na nią szczerze zakłopotany.

– Ty mnie cytujesz Koran?

– Pomyślałam, że werset jest odpowiedni. Czy nie dlatego kazałeś umieścić Koran w moim pokoju? A ja go przeczytałam.

Alai pokręcił głową.

– Lankowski dał ci Koran.

– Przeczytała – dodał Groszek. – Obaj jesteście zaskoczeni.

– Ale to dobry werset – przyznał Alai. – Może Bóg uczyni nas władcami w Chinach. Pokażmy od początku, że umiemy rządzić godnie i sprawiedliwie.

– Najlepsza część tego planu – tłumaczył dalej Groszek – jest taka, że chińscy żołnierze pojawią się wkrótce po twoich. Bojąc się, że ich armia pozostanie bez zapasów, albo próbując twoją pozbawić zapasów na przyszłość, prawdopodobnie zabiorą resztę żywności.

Alai kiwnął głową, uśmiechnął się, wreszcie roześmiał głośno.

– Nasza armia inwazyjna zostawia chińskim wieśniakom dość jedzenia, ale chińska armia skazuje ich na głód.

– Szansa propagandowego zwycięstwa jest bardzo wysoka.

– A tymczasem – wtrąciła Petra – chińscy żołnierze w Indiach i Xinjiang będą dostawali szau, nie wiedząc, co się dzieje z ich rodzinami w domach.

– Nie będzie koncentracji floty inwazyjnej przed atakiem – tłumaczył Groszek. – Lądowanie trzeba wykonać z pomocą filipińskich i indonezyjskich łodzi rybackich. Indonezyjska flota z lotniskowcami zaczeka dalej od brzegu, by dokonywać uderzeń lotniczych na zidentyfikowane cele wojskowe. Za każdym razem, kiedy spróbują was odszukać, rozplyniecie się. Żadnych dużych bitew. Z początku miejscowi będą pomagać tamtym, ale po krótkim czasie już wam. Amunicję i materiały wybuchowe dostarczasz metodą nocnych zrzutów. Żywność znajdą sami. I przez cały czas posuwają się w głąb lądu, niszczą linie komunikacyjne i wysadzają mosty. Ale nie tamy. Tamy zostawiacie w spokoju.

– Oczywiście – zgodził się Alai posępnie. – Pamiętamy Asuan.

– W każdym razie to chciałem zaproponować – zakończył Groszek. – Przez pierwsze tygodnie nic ci to nie da militarnie. Początkowo straty będą spore, dopóki oddziały nie oddalą się od wybrzeża i nie przyzwyczają do takiego sposobu walki. Ale nawet jeśli tylko czwarta część twoich sił zachowa swobodę ruchów i skuteczność działań, zmusi Chińczyków, żeby coraz więcej wojska przerzucali z frontu indyjskiego do domu.

– Dopóki nie poproszą o pokój – rzekł Alai. – Tak naprawdę wcale nie chcemy rządzić w Chinach. Chcemy tylko wyzwolić Indie i Indochiny, sprowadzić wszystkich jeńców wywiezionych do Chin i przywrócić legalne rządy. Chcemy traktatu, który w granicach tych państw zagwarantuje pełne przywileje wyznawcom islamu.

– Tyle krwi dla tak skromnego celu – odezwała się Petra.

– I oczywiście wyzwolenia chińskich Turków – dodał Alai.

– To im się spodoba – stwierdził Groszek.

– I Tybetu.

– Jeśli upokorzysz ich dostatecznie – oświadczyła Petra – przygotujesz tylko scenę do kolejnej wojny.

– I jeszcze całkowitej wolności wyznania w Chinach.

Petra wybuchnęła śmiechem.

– To będzie długa wojna, Alai. Z nowego imperium prawdopodobnie zrezygnują. Nie władają nim długo, zresztą nie przyniosło im ani bogactw, ani honoru. Ale Tybet i część tureckiego terytorium trzymają od wieków. Wszędzie tam żyją rodowici Chińczycy.

– Te problemy zostaną rozwiązane później – odparł Alai. – I nie przez was. Zapewne też nie przeze mnie. Ale my tutaj wiemy to, o czym Zachód wciąż zapomina: kiedy wygrywasz, to wygrywasz.

– Mam wrażenie, że takie właśnie podejście doprowadziło do katastrofy w Wersalu.

– Nie. Doprowadziło do katastrofy po Wersalu, kiedy Francja i Anglia nie miały woli ani stanowczości, by wymusić przestrzeganie traktatu. Po drugiej wojnie światowej alianci byli mądrzejsi. Zostawili swoich żołnierzy na niemieckiej ziemi przez niemal stulecie. Czasem dobrotliwi, czasem brutalni, ale stale tam byli.

– Sam powiedziałeś – rzekł Groszek – że ty i twoi następcy przekonają się, jak to funkcjonuje, jak rozwiązać nowe problemy, które muszą się pojawić. Ale ostrzegam cię już dzisiaj, że jeśli wyzwoliciele okażą się gnębicielemi, wyzwoleni poczują się tym bardziej zdradzeni i tym mocniej ich znienawidzą.

– Zdaję sobie z tego sprawę – zapewnił Alai. – I wiem, przed czym mnie ostrzegasz.

– Nie przekonasz się, czy muzułmanie naprawdę się zmienili od tych dawnych, złych czasów nietolerancji religijnej, dopóki nie dasz im władzy.

– Co może uczynić kalif, uczynię.

– Wiem, że tak – zapewniła go Petra. – I nie zazdroszczę ci odpowiedzialności.

Alai uśmiechnął się.

– Ale wasz przyjaciel Peter zazdrości. Prawdę mówiąc, chciałby nawet więcej.

– Twój lud także zechce więcej dla ciebie – odparł Groszek. – Może i nie zamierzasz rządzić światem, ale kiedy zwyciężysz w Chinach, oni zechcą, byś rządził. W ich imieniu. I w takiej chwili, Alai, jak zdołasz im odmówić?

– Tymi wargami – odparł. – I tym sercem.

Pułapki

To: Locke%erasmus@polnet.gov
From: Sand%Water@ArabNet.net
Subject: Zaproszenie na imprezę

Nie chciałbyś tego stracić. Kemal na gorze myśli, że to jego balanga, ale kiedy Shaw i Pack ruszą w suterenie, dopiero się zaczną fajerwerki! Radzę ci, z otwieraniem butelek czekaj na imprezę na dole.

– Janie P. – odezwała się cicho Theresa Wiggin. – Nie rozumiem, co Peter chce zrobić.

Jan Paweł zamknął walizkę.

– Tak to sobie wymyślił.

– Mieliśmy się wynieść w tajemnicy, ale on...

– Prosił, żeby tutaj nie rozmawiać na ten temat.

Jan Paweł przytknął palec do warg. Potem chwycił jej i swoją walizkę, i ruszył w długą drogę do drzwi sali sypialnej.

Theresa mogła tylko westchnąć i pójść za nim. Po wszystkim, co przeszli z Peterem, można by sądzić, że powie im, o co chodzi. On jednak wolał prowadzić te swoje gierki, w których nikt oprócz niego nie wiedział o wszystkim. Ledwie parę godzin temu zdecydował, że odlatują najbliższym promem i że powinni to zachować w całkowitej tajemnicy.

I co potem robi? Praktycznie każdą osobę ze stałej załogi stacji prosi o jakąś przysługę, wykonanie jakiegoś polecenia, i „musi to do mnie dotrzeć przed osiemnastą”.

Przecież nie są idiotami. Wszyscy wiedzą, że osiemnasta to pora, kiedy wszyscy odlatujący najbliższym promem muszą zjawić się na pokładzie przed startem, zaplanowanym na dziewiętnastą.

Czyli tę jego wielką tajemnicę poznała cała załoga.

Mimo to wciąż się upierał, że nie powinni o tym rozmawiać. A Jan Paweł go w tym popierał! Co to za wariactwo? Peter oczywiście nie był nieuważny, działał zbyt systematycznie, by mogła uznać to za zwykłą pomyłkę. Czy miał nadzieję kogoś przyłapać na wysyłaniu meldunku do Achillesa? A co będzie, jeśli zamiast go ostrzegać, po prostu wysadzą prom? Może na tym miała polegać ta niewiadoma operacja – żeby uszkodzić prom, na którym polecą do domu? Czy Peter o tym pomyślał?

Oczywiście, że tak. Miał to w naturze, że myślał o wszystkim.

A przynajmniej miał w naturze to, że myślał, że myśli o wszystkim. Na korytarzu Jan Paweł szedł za szybko, żeby mogła z nim porozmawiać. Kiedy mimo to spróbowała, znowu przyłożył palec do ust.

– Wszystko w porządku – wymruczał.

Przed windą jadącą do osi koła, gdzie dokowały promy, czekał na nich Dimak. Musiał ich odprowadzić, bo ich dłonie nie uruchamiały windy.

– Przykro mi, że tak prędko państwa tracimy – powiedział.

– W końcu nam pan nie powiedział – przypomniał Jan Paweł – która sala należała do Armii Smoka.

– Ender i tak tam nie sypiał – odparł Dimak. – Miał własny pokój, jak wszyscy dowódcy. Przedtem pokój ten należał do kilku różnych armii, ale...

– Teraz i tak już za późno.

Rozsunęły się drzwi. Dimak wszedł do wnętrza, przyłożył dłoń do czytnika i wprowadził kod pokładu startowego. Potem wysiadł z windy.

– Żałuję, że nie mogę państwa odprowadzić, ale pułkownik... minister sugerował, że nie powinienem o tym wiedzieć.

Jan Paweł wzruszył ramionami.

Drzwi windy zamknęły się i ruszyli w górę.

– Janie P. – odezwała się Theresa. – Jeśli boimy się podsłuchu, to czemu niby rozmawiałeś z nim tak otwarcie?

– Nosi tłumik – wyjaśnił Jan Paweł. – Nie da się podsłuchiwać jego rozmów. Za to nasze można, a ta winda z pewnością ma założone pluskwy.

– Co? Uphand ci o tym powiedział?

– Byłoby głupotą ochraniać taką rurę, jak ta stacja, nie montując podsłuchu w lejku, przez który każdy musi się precyzyjnie, żeby wejść do środka.

– No tak. Wybacz, że nie myślałam jak paranoiczny szpieg.

– Uważam, że to jedna z twoich najbardziej rozwiniętych zdolności.

Zrozumiała, że nie może mówić o niczym, o czym myślała. Nie tylko dlatego, że podsłuchuje ich system zabezpieczeń Uphanada.

– Nie znoszę, kiedy tak „radzisz sobie” ze mną.

– No dobrze. To może teraz będę cię „ustawiał”? – zaproponował Jan Paweł ze złośliwym uśmiechem.

– Gdyby nie to, że nosisz moją walizkę – zagroziła Theresa – to...

– Byś mnie połaskotała?

– Nie wiesz więcej ode mnie – oświadczyła. – Ale zachowujesz się, jakbyś wiedział wszystko.

Grawitacja szybko się zmniejszała. Theresa musiała już chwycić się poręczy i wsunąć stopy pod listwę przy podłodze.

– Trochę się domyśliłem – odparł Jan Paweł. – Co do reszty, mogę tylko mu zaufać. To naprawdę bystry chłopak.

– Nie taki bystry, jak mu się wydaje.

– Ale o wiele bardziej, niż tobie się wydaje.

– Przypuszczam, że twoja ocena jego inteligencji jest akurat właściwa.

– Tekst jak ze Złotowłoski. Czuję się jak taki... quasi-ursus.

– Dlaczego nie powiesz zwyczajnie: niedźwiedziowaty?

– Bo wiem, jak to po łacinie. I zabawnie jest to powiedzieć.

Drzwi windy się rozsunęły.

– Życzy pani sobie, żebym zaniósł walizkę? – spytał Jan Paweł.

– Jeśli chcesz – odparła. – Ale nie licz na napiwek.

– Aha... Naprawdę się zezłościłaś – mruknął.

Wyminęła go, kiedy przerzucał bagaże do ludzi z obsługi.

Peter czekał na nich przy wejściu na prom.

– Zdążyliście w ostatniej chwili – stwierdził.

– Już osiemnasta? – spytała Theresa.

– Za minutę.

– Czyli jesteśmy za wcześnie.

Przepełnęła obok niego do służy. Za sobą słyszała pytanie Petera:

– Co jej się stało?

I odpowiedź Jana Pawła:

– Później.

Wewnątrz promu chwilę trwało, zanim się przeorientowała. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że podłoga leży nie tam, gdzie trzeba – dół był po lewej, wewnątrz na zewnątrz czy coś w tym rodzaju. Przeciągnęła się jednak za uchwyty w oparciach foteli do wybranego miejsca. Od strony przejścia – żeby zachęcić innych pasażerów, by siedli gdzie indziej.

Ale nie było innych pasażerów. Nawet Jana Pawła i Petera.

Odczekała pięć minut, lecz była już zbyt zniecierpliwiona, żeby siedzieć tu dłużej.

Znalazła ich wiszących w powietrzu przy śluzie, obu bardzo wesołych.

– Ze mnie się śmiejecie? – spytała groźnie, czekając, czy odważą się potwierdzić.

– Nie – zapewnił natychmiast Peter.

– Tylko trochę – odparł Jan Paweł. – Możemy teraz rozmawiać. Pilot odciął wszystkie połączenia ze stacją, a w dodatku Peter ma tłumik.

– Jak miło. Szkoda, że nie dali też jednego dla mnie albo dla ojca.

– Nie mieli. Wziąłem tłumik Graffa – wyjaśnił Peter. – Nie trzymają ich tu w nadmiarze.

– Dlaczego każdemu, kogo tu spotkaliśmy, mówiłeś, że odlatujemy tym promem? Chcesz, żeby nas zabili?

– Ach, jak splątane sieci tkamy, kiedy oszustwa zamiar mamy – odparł Peter.

– Czyli bawisz się w pająka – stwierdziła Theresa. – A my czym jesteśmy? Nićmi? Czy muchami?

– Pasażerami – odparł Jan Paweł.

A Peter wybuchnął śmiechem.

– Wytlumaczcie, co w tym śmiesznego – zażądała Theresa – bo słowo daję, że was wyrzucę w próżnię.

– Gdy tylko Graff się dowiedział, że ma na stacji agenta, sprowadził tu własny zespół zabezpieczenia. Tylko on wie, że żadne wiadomości nie docierają ani nie opuszczają stacji. Ale dla ludzi tutaj wygląda, jakby wszystko było normalnie.

– Czyli masz nadzieję, że złapiesz kogoś, kto próbuje wysłać informację, którym promem lecimy?

– Prawdę mówiąc, spodziewamy się, że nikt niczego nie wyśle.

– Więc po co to wszystko?

– Ważne jest, kto niczego nie wyśle. – Peter uśmiechnął się szeroko.

– O nic więcej nie zapytam – oznajmiła Theresa – skoro taki jesteś dumny ze swojej przebiegłości. Ach, ach, mój sprytny synuś wymyślił taki sprytny plan.

– A ludzie mówią, że to Demostenes ma skłonność do sarkazmu...

Jeszcze przed sekundą nie wiedziała, o co chodzi. A teraz nagle zrozumiała. Coś zaskoczyło, umysł wrzucił odpowiedni bieg, zaiskrzyła właściwa synapsa.

– Zaraz... Wszyscy mieli uwierzyć, że przypadkiem dowiedzieli się o naszym odlocie. I dałeś im szansę nadania wiadomości. Oprócz jednej osoby. Zatem jeśli to ona...

– ... to wiadomość nie będzie wysłana – dokończył za nią Jan Paweł.

– Chyba że jest bardzo sprytny – powiedziała Theresa.

– Sprytniejszy od nas? – spytał Peter.

On i Jan Paweł spojrzeli na siebie nawzajem i obaj pokręcili głowami.

– Nieee... – stwierdzili chórem i wybuchnęli śmiechem.

– Ciesz się mnie, że tak dobrze się rozumiecie – mruknęła.

– Mamo, nie złość się – poprosił Peter. – Nie mogłem ci powiedzieć, bo gdyby się domyślił, że to pułapka, nic by z tego nie wyszło. A on jest chyba jedyną osobą, która może wszystkiego słuchać. Tłumik dostałem dopiero przed chwilą.

– Wszystko rozumiem – zapewniła Theresa. – Chodzi mi raczej o to, że twój ojciec odgadł, a ja nie.

– Mamo, naprawdę nie musisz być taka zaambarasowana.

– Zaambarasowana? W jakich zapleśniałych notatkach jakiego profesora historii języka znalazłeś takie słowo? Zapewniam cię, że nigdy, nawet w najgorszych koszmarach nie przyszło mi na myśl, żeby być... zaambarasowana.

– To dobrze. Bo naprawdę nie ma powodu.

– Czy nie powinniśmy zapiąć pasów przed startem? – spytała.

– Nie – odparł Peter. – Nigdzie nie lecimy.

– Czemu nie?

– Komputery stacji pilnie realizują program symulujący zwykłą procedurę startową promu. Żeby wszystko wyglądało jak trzeba, otworzymy zaczepy i odsuniemy się od stacji. Kiedy już w doku zostaną tylko ludzie sprowadzeni przez Graffa, wrócimy i wyjdziemy z tej puszeki.

– To bardzo skomplikowana akcja jak na schwytanie tylko jednego agenta.

– Od dziecka wpajałaś mi takie wyczucie stylu, mamo – odparł Peter. – Nie mogę zapomnieć tych lat spędzonych u ciebie na kolanach.

Lankowski zapukał do drzwi niemal o północy. Petra spała już od godziny. Groszek wylogował się, wyłączył komputer i otworzył drzwi.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nasz wspólny przyjaciel chce się spotkać z wami obojgiem.

– Petra już śpi – powiedział Groszek. Ale po chłodnym zachowaniu Lankowskiego poznał, że stało się coś bardzo niedobrego. – Alai dobrze się czuje?

– Owszem, bardzo dobrze. Dziękuję – odparł Lankowski. – Proszę zbudzić żonę i przyprowadzić ją jak najszybciej.

Po piętnastu minutach, czując usuwający wszelkie ślady senności dopływ adrenaliny, stanęli przed Alai. Nie w ogrodzie, ale w gabinecie. Alai siedział za biurkiem.

Na blacie leżała pojedyncza kartka papieru. Alai przesunął ją w stronę Groszka.

Groszek sięgnął i przeczytał.

– Myślisz, że ja to wysłałem – powiedział.

– Albo Petra – stwierdził Alai. – Próbowałem sobie tłumaczyć, że może w rozmowie z nią nie podkreśliłeś dostatecznie mocno wagi zachowania tej informacji w tajemnicy przed Hegemonem. Ale potem uświadomiłem sobie, że myślę jak bardzo staroświecki muzułmanin.

Sama odpowiada za swoje czyny. I równie dobrze jak ty rozumiała, że utrzymanie tej sprawy w sekrecie jest kluczowe.

Groszek westchnął.

– Ja tego nie wysłałem – zapewnił. – Petra tego nie wysłała. Nie tylko zrozumieliśmy twoją chęć zachowania tajemnicy, ale uznaliśmy twoje racje. Istnieje zerowa szansa, że przekazalibyśmy komukolwiek wiadomość o tym, co robisz, kropka.

– A jednak mam ten list, wysłany z naszej własnej sieci. Z tego budynku!

– Alai, wszyscy troje należymy do najinteligentniejszych osób na Ziemi – rzekł Groszek.

– Razem walczyliśmy w wojnie, wy dwoje przeżyliście porwanie przez Achillesa. A mimo to, kiedy zdarza się coś takiego, bez żadnych wątpliwości stwierdzasz, że to my właśnie zawiedliśmy twoje zaufanie.

– Kto jeszcze spoza naszego kręgu o tym wiedział?

– Pomyślmy. Każdy z ludzi, którzy uczestniczyli w naradzie, ma swój sztab. Te sztaby nie składają się z idiotów. Nawet jeśli nikt im wprost nie powiedział, to przecież czytają notatki, słuchają komentarzy. Niektórzy z dowódców mogą nawet uznać, że rozmowa z zaufanym adiutantem nie jest naruszeniem zasad bezpieczeństwa. Inni mogą być tylko figurantami, więc muszą powiedzieć tym, którzy mają wykonać prawdziwą pracę, bo inaczej nic nie będzie zrobione.

– Znam tych ludzi – odparł Alai.

– Nie tak dobrze jak nas – wtrąciła Petra. – To, że są dobrymi muzułmanami i są wobec siebie lojalni, nie znaczy jeszcze, że są ostrożni.

– Peter budował swoją sieć informatorów i korespondentów od... no, od dzieciństwa. Na długo przed tym, nim którykolwiek z nich się dowiedział, że jest dzieckiem. Byłoby zadziwiające, gdyby w twoim pałacu nikogo nie miał.

Alai przyglądał się kartce na biurku.

– Bardzo nieudolne ukrycie wiadomości – uznał. – Przypuszczam, że wy zrobilibyście to lepiej.

– Ja bym zaszyfrował – odpowiedział Groszek. – A Petra pewnie umieściła w grafice.

– Myślę, że sama nieudolność tego przekazu powinna coś ci zasugerować – oświadczyła Petra. – Osoba, która to napisała, wyraźnie uważa, że musi ukryć tę informację jedynie przed ludźmi spoza wewnętrznego kręgu. Musi przecież wiedzieć, że jeśli ty to zobaczysz, od razu zrozumiesz, że „Shaw” odnosi się do dawnych władców Iranu, „Pack” to Pakistan, a „Kemał” to wyraźna aluzja do założyciela postotomańskiego państwa tureckiego. Jak mógłbyś tego nie wyłapać?

Alai pokiwał głową.

– Czyli on to koduje tylko po to, żeby obcy nie zrozumieli. Na wypadek gdyby list był przejęty przez nieprzyjaciela.

– Nie podejrzewa, że ktokolwiek tutaj sprawdza wiadomości wychodzące – dodała Petra.
– Podczas gdy Groszek i ja wiemy z całą pewnością, że jesteśmy nadzorowani od chwili przyjazdu.

– Bez wielkich sukcesów. – Alai uśmiechnął się lekko.

– Wiesz, na początek potrzebujesz lepszych programów szpiegowskich – odparł Groszek.

– Gdybyśmy wysłali wiadomość do Petera – mówiła dalej Petra – powiedzielibyśmy mu wprost, że ma uprzedzić naszą indyjską przyjaciółkę, by nie blokowała wyjazdu Chińczyków z Indii, lecz dopiero ich powrót.

– Nie mamy innych powodów, żeby cokolwiek zdradzać Peterowi – dodał Groszek. – Nie pracujemy dla niego. Właściwie to nawet go specjalnie nie lubimy.

– Nie jest jednym z nas – oświadczyła stanowczo Petra.

Alai kiwnął głową, westchnął i odsunął się od biurka.

– Siadajcie, proszę – powiedział.

– Dziękuję – rzuciła Petra.

Groszek podszedł do okna i spojrzał na trawniki zraszane odsalaną wodą z Morza Śródziemnego. Gdzie Allah ześle swą łaskę, pustynia rozkwita.

– Nie wydaje mi się, żeby ta sprawa nam zaszkodziła – powiedział. – Poza niewyspaniem.

– Musicie zrozumieć, że trudno mi podejrzewać moich najbliższych kolegów tutaj.

– Jesteś kalifem – rzekła Petra. – Lecz jesteś też ciągle bardzo młodym człowiekiem. Oni wiedzą, że twój plan jest znakomity, kochają cię i poprą we wszystkich wielkich sprawach, jakie przewidziałeś dla swojego ludu. Ale kiedy im mówisz, że mają coś zachować w absolutnej tajemnicy, nie traktują tego tak samo poważnie, bo widzisz, jesteś...

– Wciąż tylko chłopcem – dokończył Alai.

– To minie z czasem. Masz przed sobą jeszcze wiele lat. W końcu wszyscy ci starsi mężczyźni zostaną zastąpieni.

– Przez młodszych mężczyzn, którym ufam jeszcze mniej. – Alai westchnął smętnie.

– Zdradzić coś Peterowi to nie to samo, co zdradzić nieprzyjacielowi – uznał Groszek. – Nie powinien uzyskać tych danych przed rozpoczęciem inwazji. Ale zauważ, informator nie powiedział mu, kiedy ma się zacząć inwazja.

– Owszem, powiedział – oświadczył Alai.

– Ja tego nie widzę.

Petra wstała i raz jeszcze przyjrzała się wydrukowanemu e-mailowi.

– Wiadomość nic nie mówi o dacie.

– Została wysłana – wyjaśnił Alai – w dzień inwazji.

Groszek i Petra spojrzeli po sobie.

– Dzisiaj? – upewnił się Groszek.

– Kampania turecka już się zaczęła – potwierdził Alai. – Gdy tylko w Xinjiang zapadła noc. Do tej pory otrzymaliśmy e-mailem potwierdzenie, że w naszych rękach są trzy lotniska i znaczna część sieci energetycznej. Na razie przynajmniej nie ma żadnych oznak, by Chińczycy wiedzieli, że coś się dzieje. Wszystko rozwija się lepiej, niż myśleliśmy.

– Zaczęło się – powtórzył Groszek. – Czyli było już za późno, żeby zmieniać plany trzeciego frontu.

– Nie było za późno – uspokoił go Alai. – Wysłaliśmy nowe rozkazy. Indonezyjscy i arabscy dowódcy są dumni, że powierzono im misję, która pozwoli ponieść wojnę na ojczyste ziemie nieprzyjaciela.

Groszek był trochę przerażony.

– Ale logistyka takiego manewru... Nie było czasu, żeby go przygotować.

– Groszek, mieliśmy gotowe plany skomplikowanego lądowania na plaży. To rzeczywiście był logistyczny koszmar. Ale wysadzenie trzystu niezależnych oddziałów w różnych punktach chińskiego wybrzeża, pod osłoną nocy, za trzy dni, i wspomaganie ich atakami lotniczymi i zrzutami to coś, co moi ludzie mogą robić przez sen. To jest najlepsze w twoim pomyśle, Groszek. Nie chodzi w nim o plan, lecz o sytuację, a cały plan polega na tym, żeby każdy pojedynczy dowódca improwizował i szukał najlepszych sposobów wypełnienia celów misji. Powiedziałem im w rozkazach, że dopóki poruszają się w głąb lądu, chronią swoich ludzi i możliwie najbardziej irytują chiński rząd i armię, nie mogą zawieść.

– Zaczęło się – powiedziała jeszcze raz Petra.

– Tak – przyznał Groszek. – Zaczęło się, a Achillea nie ma w Chinach.

Petra spojrzała na niego z uśmiechem.

– Zobaczymy, co da się zrobić, żeby utrzymać go z daleka.

– Co ważniejsze – stwierdził Groszek – ponieważ nie wysłaliśmy Peterowi wiadomości, on nie wie, co powinien przekazać Virlomi w Indiach. Czy możemy zrobić to teraz? Za twoją zgodą?

Alai zerknął na niego z ukosa.

– Jutro. Kiedy pojawią się informacje o walkach w Xinjiang. Powiem ci kiedy.

W gabinecie Uphanada Graff siedział z nogami na biurku, a sam Uphanad pracował przy konsoli.

– Gotowe, sir – powiedział. – Wystartowali.

– A wylądują... kiedy? – spytał Graff.

– Nie wiem. Wszystko zależy od trajektorii i bardzo skomplikowanych równań równowagi masy, prędkości, przyspieszenia... W Szkole Bojowej, jak pan pamięta, nie uczyłem astrofizyki.

– Jeśli sobie przypominam, wykladał pan taktykę walki małych oddziałów.

– I jeszcze kiedy próbował pan eksperymentować z muzyką wojskową... żeby chłopcy nauczyli się śpiewać razem...

Graff jęknął.

– Proszę. Niech mi pan tego nie przypomina. Ależ to był durny pomysł.

– Ale zauważył pan to od razu i wielkodusznie pozwolił nam zrezygnować.

– *Espirit de corps*, niech mnie diabli...

Uphanad wcisnął kilka klawiszy, a monitor pokazał, że się właśnie wylogował.

– Skończyłem – oznajmił. – Dobrze, że odkryliśmy tego informatora w ministerstwie. Odesłanie Wigginów było jedynym bezpiecznym rozwiązaniem.

– Pamięta pan, jak kiedyś oskarżyłem pana, że pozwolił pan Groszkowi podejrzeć swoje hasło?

– Jakby to było wczoraj. Chybaby mi pan wtedy nie uwierzył, gdyby Dimak za mnie nie zaręczył i nie wpadł na pomysł, że Groszek czołgał się po systemie przewodów i podglądał przez otwory wentylacyjne.

– Tak. Dimak był pewien, że jest pan człowiekiem metodycznym i nie mógłby pan w chwili nieuwagi zmienić przyzwyczajęń. Miał rację, prawda?

– Istotnie – zgodził się Uphanad.

– Zapamiętałem tę lekcję – mówił dalej Graff. – Od tego czasu zawsze panu ufałem.

– Mam nadzieję, że zasłużyłem na to zaufanie.

– Po wielokroć. Nie zatrudniłem tu całego personelu Szkoły Bojowej. Oczywiście, niektórzy uznali, że Ministerstwo Kolonizacji jest zbyt spokojne jak na ich talenty. Ale tak naprawdę nie chodzi o osobistą lojalność, prawda?

– W czym nie chodzi?

– Powinniśmy być lojalni wobec czegoś ważniejszego niż dowolna pojedyncza osoba. Wobec sprawy, być może. Ja nie jestem lojalny wobec ludzkości, to by było dość pretensjonalne, nie sądzi pan? Jestem lojalny wobec konkretnego projektu rozprzestrzenienia ludzkiego genomu do jak największej liczby systemów gwiazdnych. Tak żeby nasze istnienie nigdy już nie było zagrożone. I dla tego projektu poświęciłbym wiele lojalności osobistych. Czyni mnie to kimś całkowicie przewidywalnym, ale też kimś zawodnym, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

– Chyba tak, sir.

– Moje pytanie, przyjacielu, brzmi zatem: wobec czego pan jest lojalny?

– Wobec tej samej sprawy, sir. I wobec pana.

– Ten agent, który użył pańskiego hasła... Myśli pan, że znowu podglądał pana przez kratkę wentylacyjną?

– Mało prawdopodobne. Podejrzewam, że raczej spenetrował cały system i wybrał mnie przypadkowo.

– Oczywiście. Ale z pewnością rozumie pan, że ponieważ pańskie nazwisko widniało w tym e-mailu, właśnie pana przede wszystkim musieliśmy wyeliminować z grupy podejrzanych.

– To jedyna logiczna możliwość, sir.

– Kiedy więc odesłaliśmy Wigginów promem do domu, dopilnowaliśmy, żeby wszyscy członkowie stałej załogi wiedzieli o ich odlocie. I żeby mieli wszelkie możliwości nadania sygnału. Oprócz pana.

– Oprócz mnie?

– Jestem z panem przez cały czas od chwili, kiedy postanowili wracać. W ten sposób, jeśli wiadomość będzie wysłana, nawet z pańskiego konta, będziemy wiedzieli, że to nie pan ją nadał. Jeśli nie będzie wysłana, cóż... będziemy wiedzieli, że to pan jej nie nadał.

– Ale ten plan nie jest całkiem pewny, sir – stwierdził Uphanad. – Ktoś inny może nie nadać wiadomości dla jakichś własnych powodów. Możliwe też, że ich odlot nie jest czymś, co wymaga przesłania informacji.

– To prawda – zgodził się Graff. – Ale nie skazalibyśmy pana na podstawie niewysłanej wiadomości. Przesunęlibyśmy pana tylko na mniej krytyczne stanowisko. Albo dali możliwość przejścia na emeryturę.

– To bardzo łaskawie z pana strony, sir.

– Proszę nie myśleć, że jestem łaskawy. Ja...

Drzwi otworzyły się nagle. Uphanad obejrzał się, wyraźnie zaskoczony.

– Nie wolno tu wchodzić – zwrócił się do stojącej w progu Wietnamki.

– To ja ją zaprosiłem – wyjaśnił Graff. – Nie zna pan jeszcze pułkownik Nguyen z Grupy Zabezpieczenia Cyfrowego MF.

– Nie – przyznał Uphanad i podszedł, wyciągając rękę. – Nie wiedziałem nawet, że istnieje taka grupa. *Per se*.

Zignorowała jego dłoń i wręczyła Graffowi kartkę papieru.

– Aha – rzekł, nie czytając. – Czyli w tym pomieszczeniu jesteście czyści?

– Wiadomość nie wyszła z jego konta – oznajmiła.

Graff przeczytał. Przekaz składał się z jednego słowa: „off”. Wysłany przez kogoś z obsługi doku.

Czas podany w nagłówku wskazywał, że sygnał nadano kilka minut temu.

– Zatem mój przyjaciel jest niewinny – stwierdził Graff.

– Nie, sir – odparła Nguyen.

Uphanad, który raport Wietnamki przyjął z ulgą, teraz zrobił zdziwioną minę.

– Przecież ja tego nie wysłałem. Jak bym mógł?

Nguyen nie odpowiedziała. Zwracała się wyłącznie do Graffa.

– Została wysłana z tej konsoli.

Podeszła do komputera i zaczęła się logować.

– Ja to zrobię – zaproponował Uphanad.

Odwrociła się wtedy. W rękę trzymała pistolet ogłuszający.

– Pod ścianę – rozkazała. – Ręce na widoku.

Graff wstał i otworzył drzwi.

– Wejdźcie – powiedział. Do gabinetu wkroczyło jeszcze dwóch żołnierzy MF. – Proszę sprawdzić, czy pan Uphanad nie ma przy sobie broni ani innych śmiertelnych urządzeń. W żadnych okolicznościach nie wolno mu dotykać komputera. Nie chcemy, żeby uruchomił program kasujący istotne dane.

– Nie wiem, jak to się stało – przekonywał Uphanad. – Ale myli się pan co do mnie.

Graff wskazał konsolę.

– Nguyen nigdy się nie myli – oświadczył. – Jest nawet bardziej metodyczna od pana.

Uphanad patrzył.

– Loguje się jako ja! – I po chwili: – Użyła mojego hasła! To nielegalne!

Nguyen skinęła na Graffa, żeby spojrział na ekran.

– Normalnie, żeby się wylogować, trzeba przycisnąć te dwa klawisze. Widzi pan? Ale on przycisnął dodatkowo ten. Małym palcem, więc pan nie zauważył. Ta sekwencja uruchamia program rezydentny, wysyłający wiadomość z konta losowo wybranej osoby z personelu stacji. Dodatkowo wywołuje standardową procedurę wylogowania, więc dla pana wyglądało to jak całkiem zwyczajne zamknięcie połączenia.

– To znaczy, że miał wszystko przygotowane, żeby w każdej chwili wysłać, co trzeba – domyślił się Graff.

– I wysłał w ciągu pięciu minut od startu promu.

Graff i Nguyen spojrzeli na Uphanada. Graff dostrzegł w jego oczach, że zrozumiał swoją klęskę.

– A więc – zaczął – jak Achilles do pana dotarł? Nigdy chyba się pan z nim nie spotkał. Nie nawiązał przecież kontaktu z panem, kiedy przebywał tu przez kilka dni jako uczeń.

– Ma moją rodzinę – odparł Uphanad i wybuchnął płaczem.

– Nie, nie – rzucił Graff. – Proszę się opanować i zachowywać jak żołnierz. Nie mamy wiele czasu, żeby skorygować pańskie błędy. Na drugi raz będzie pan już wiedział, że jeśli ktokolwiek zjawi się z takimi groźbami, ma się pan zgłosić do mnie.

– Uprzedzili, że dowiedzą się, jeśli panu powiem.

– W takim razie o tym też musi mi pan powiedzieć. No ale w końcu pan powiedział. Może zatem spróbujemy wykorzystać tę sytuację. Co ma się stać po wysłaniu drugiej wiadomości?

– Nie wiem – zapewnił Uphanad. – To zresztą nie ma już znaczenia. Ona właśnie wysłała list po raz drugi. Kiedy dwa razy odbiorą ten sam sygnał, zrozumieją, że coś jest nie tak.

– Och, nie odebrali go ani razu. Odcieśliśmy tę konsolę. Odcieśliśmy łączność z Ziemią na całej stacji. Zresztą i prom tak naprawdę wcale nie odleciał.

Drzwi otworzyły się znowu, przepuszczając Petera, Jana Pawła i Theresę.

Uphanad stanął twarzą do ściany. Żołnierze chcieli odwrócić go z powrotem, ale Graff nakazał im gestem: zostawcie. Wiedział, że major jest człowiekiem dumnym. Pohańbienie w obecności ludzi, których zamierzał zdradzić, było nie do zniesienia. Trzeba dać mu chwilę, żeby nad sobą zapanował.

Dopiero gdy Wigginowie zajęli miejsca, Graff poprosił Uphanada, by też usiadł. Major wykonał polecenie, zwieszając głowę niczym zbity pies.

– Wyprostuj się, Uphanad, i przyjmij to jak mężczyzna. To dobrzy ludzie. Rozumieją, że zrobiłeś to, co ci się wydawało, że musisz. Dla dobra swojej rodziny. Byłeś nierozsądny, że mi nie zaufałeś, ale nawet to można zrozumieć.

Po twarzy Theresy Graff poznał, że ona przynajmniej nie jest tak skłonna do okazania zrozumienia. Uciszył ją jednak gestem ręki.

– Jak już mówiłem – podjął – spróbujemy obrócić to zajście na naszą korzyść. Na cele tej operacji oddano mi do dyspozycji dwa promy, to dowód uprzejmości admirała Chamrajnagara. Musimy tylko zdecydować, który z nich wyślemy, gdy już pozwolimy nadać ten e-mail.

– Dwa promy? – zdziwił się Peter.

– Musimy spróbować odgadnąć, jak Achilles zamierzał wykorzystać tę informację. Jeśli planował atak w czasie lądowania, to mamy prom bardzo ciężko uzbrojony, który powinien sobie poradzić ze wszystkim, czym Achilles mógłby uderzyć z ziemi albo z powietrza. Przypuszczam, że chce wystrzelić pocisk w chwili, kiedy będziecie przelatywać nad rejonem, gdzie może dostarczyć przenośną wyrzutnię.

– A pański ciężko uzbrojony prom wytrzyma taki atak? – upewnił się Peter.

– Bez problemu. Kłopot polega na tym, że taki prom w ogóle nie powinien istnieć. Statut MF wyraźnie zakazuje jakiegokolwiek uzbrajania pojazdów atmosferycznych. Tę maszynę zaprojektowano, by zabierały ją statki kolonizacyjne, na wypadek gdyby eksterminacja Formidów nie była pełna i gdybyśmy natrafili na opór. Jeśli jednak prom wejdzie w atmosferę Ziemi, jeśli wykaże swoje możliwości, zestrzeliwując pocisk, nikomu nie możemy o tym powiedzieć, nie narażając MF. Czyli możemy tym promem dostarczyć cię bezpiecznie na Ziemię, jednak nikogo nie możemy poinformować o zamachu.

– Jakoś to przeżyję – zapewnił Peter.

– Tylko że tym razem wcale nie musisz lecieć na Ziemię.

– Nie, nie muszę.

– Dlatego możemy posłać drugi prom. Jego istnienie również trzymamy w tajemnicy, ale na szczęście nie jest nielegalne. Ponieważ ten prom nie jest uzbrojony. Właściwie, choć jest dość kosztowny w porównaniu z taką na przykład bazooką, jest bardzo, ale to bardzo tani w porównaniu z normalnym promem. To atrapa. Bardzo starannie zaprojektowana, żeby

naśladować prędkość i ślad radarowy prawdziwego promu. Brakuje w niej jednak kilku elementów, na przykład miejsca dla ludzi oraz możliwości miękkiego lądowania.

– Czyli wysłał pan ten prom – podsumował Jan Paweł – on ściąga na siebie ogień, a potem propaganda pokazuje, co potrafi?

– Mamy obserwatorów MF na stanowiskach. Wykryją odpalenie pocisku i dotrą na miejsce, zanim sprawcy zdążą zdemontować wyrzutnię, a przynajmniej zanim uciekną. Czy ślady zaprowadzą nas do Achillesa, czy do Chin, w każdym razie będziemy mogli udowodnić, że ktoś z Ziemi ostrzelał prom MF.

– Znajdą się w bardzo niewygodnej sytuacji – uznał Peter. – Czy ogłosimy, że to ja byłem celem?

– Zdecydujemy zależnie od ich reakcji, a także od tego, kto będzie winien, Achilles czy Chiny. Jeśli Chiny, osiągniemy chyba więcej, traktując to jako atak na Międzynarodową Flotę. Jeśli Achilles, lepiej będzie przedstawić go jako zamachowca.

– Dość swobodnie omawiacie te sprawy w naszej obecności – stwierdziła Theresa. – Przypuszczam, że teraz będziecie musieli nas zabić.

– Tylko mnie – szepnął Uphanad.

– No cóż, muszę pana wyrzucić z pracy – przyznał Graff. – I odesłać na Ziemię, bo zwyczajnie nie mogę panu pozwolić tu zostać. Wszystkich doprowadziłby pan do depresji, gdyby laził pan tutaj z wyrzutami sumienia i zboląłą miną.

Graff mówił tonem dość żartobliwym, by pomóc Uphanadowi powstrzymać kolejny atak łez.

– Słyszałem – mówił dalej Graff – że mieszkańcy Indii potrzebują ludzi, którzy będą walczyć o ich wolność. Ta lojalność jest u pana silniejsza niż wobec Ministerstwa Kolonizacji. Rozumiem to. Musi pan więc iść tam, gdzie owa lojalność pana wzywa.

– To... to niewiarygodna łaska, sir.

– Nie ja wpadłem na ten pomysł. Mój plan był taki, żeby zorganizować tajny proces w MF i rozstrzelać pana. Peter jednak przekonał mnie, że jeśli jest pan winny i jeśli okaże się, że ochraniał pan członków rodziny przebywających w chińskiej niewoli, niesłusznie byłoby karać pana za brak lojalności.

Uphanad obejrzał się na Petera.

– Moja zdrada mogła zabić pana i pańską rodzinę.

– Ale nie zabiła – odparł Peter.

– Czasem lubię myśleć – oświadczył Graff – że Bóg okazuje łaskę, sprawiając, by jakiś przypadek nie pozwolił na realizację naszych najgorszych zamiarów.

– Ja w to nie wierzę – odparła Theresa. – Uważam, że jeśli wymierzy pan do człowieka, a naboż okaże się niewypałem, i tak jest pan mordercą w oczach Boga.

– W takim razie – stwierdził Graff – kiedy już wszyscy umrzemy, jeśli przekonamy się, że nadal istniejemy w takiej czy innej formie, będziemy musieli poprosić Boga, żeby wyjaśnił, które z nas ma rację.

Prorocy

SecureSite.net

From: Locke%erasmus@polnet.gov

PASSWORD: Suriyawong

Subject: Dziewczyna na moście

Godne zaufania źródło błaga: Nie przeszkadzaj Chińczykom w wyjściu z Indii. Ale jeśli zechcą wrócić albo dostarczyć zaopatrzenie, zablokuj wszystkie możliwe trasy.

Chińczycy uznali początkowo, że incydenty w prowincji Xinjiang to dzieło powstańców, którzy od stuleci formowali i reformowali oddziały partyzanckie. Han Tzu w Pekinie dopiero późnym popołudniem zdołał uzyskać dość informacji, by wykazać, że chodzi o poważną ofensywę z zewnątrz.

Już chyba pięćdziesiąty raz, odkąd objął stanowisko w pekińskim sztabie, popadał w rozpacz, widząc, że niczego nie da się zrobić. Zawsze ważniejsze było okazanie szacunku dla statusu zwierzchnika niż powiedzenie mu prawdy i skłonienie do działania. Nawet teraz, trzymając w rękach dowody wysokiego poziomu wyszkolenia, dyscypliny, koordynacji i organizacji zaopatrzenia, wykluczających, by to miejscowi buntownicy stali za wydarzeniami w Xinjiang, Han Tzu musiał czekać długie godziny. Tyle trwało, nim jego prośba o zwołanie narady została przekazana przez szeregi jakże ważnych adiutantów, sekretarzy, funkcjonariuszy i biurokratów, których jedynym obowiązkiem było udawanie bardzo poważnych i bardzo zajętych oraz pilnowanie, by jak najmniej spraw zostało normalnie załatwionych. Zapadł już wieczór, kiedy wreszcie Han Tzu przekroczył plac dzielący Wydział

Strategii i Planowania od Administracji – kolejny element bezsensownej struktury. Żeby przejść z jednego do drugiego, niezbędny był długi spacer po otwartym terenie. Tymczasem oba działy powinna rozdzielać niska ścianka, żeby cały czas ludzie mogli wołać do siebie i przekazywać informacje. Zamiast tego w Strategii i Planowaniu bez przerwy tworzyli plany, których Administracja nie umiała zrealizować, a Administracja stale demonstrowała niezrozumienie dla celu tych planów i torpedowała same idee, które gwarantowały im skuteczność.

Jak w ogóle podbiliśmy Indie? – zastanawiał się Han Tzu.

Kopnął gołębie kręcące się wokół jego nóg. Odfrunęły parę metrów i wróciły znowu, jakby sądziły, że jego stopy z każdym krokiem rozsypują na ziemi coś jadalnego.

Jedyny powód, dla którego rząd ciągle zachowuje władzę, to ten, że ludzie w Chinach są jak gołębie. Można ich kopać i kopać, a oni wciąż wracają po jeszcze. Najgorsi zaś są biurokraci. Chiny wynalazły biurokrację, a mając tysiącletnią przewagę nad resztą świata, rozwinęły sztukę zaciemniania spraw, budowania dworów i wywoływania burz w szklance wody do poziomu nigdzie indziej nieznanego. W porównaniu z nimi biurokracja bizantyjska była systemem całkiem prostym.

Jak udało się Achillesowi? Przybysz z zewnątrz, zbrodniarz i szaleniec – a chiński rząd wiedział o tym wszystkim – zdołał jednak przebić się przez hierarchie służalczych intrygantów i dotrzeć bezpośrednio na poziom decyzyjny. Większość nie wiedziała nawet, gdzie ten poziom się znajduje – z pewnością nie tworzyli go sławni przywódcy na samym szczycie. Ci byli już za starzy, by wymyślić coś nowego, zbyt przestraszeni możliwą utratą stołka albo tym, że wyjdą na jaw dziesięciolecia ich przestępczej działalności. Dlatego stać ich było tylko, by zalecić podwładnym: „Róbcie to, co uważacie za mądre”.

Decyzje zapadały dwa poziomy niżej, podejmowane przez adiutantów górnego szczebla generalicji. Han Tzu potrzebował sześciu miesięcy, nim zrozumiał, że spotkanie z wodzem nie ma sensu, bo on potem naradzi się z adiutantami i nieodmiennie podejmie decyzje, jakie mu zasugerują. Teraz rozmawiał już tylko z nimi. Jednak umówienie się na takie spotkanie wymagało oczywiście wysłania do każdego z generałów kwiecistego listu. Trzeba było im wytłumaczyć, że wprowadzie narada jest tak istotna, by zwołać ją jak najszybciej, jednak chodzi o sprawę tak trywialną, że generał może wysłać w zastępstwie adiutanta.

Nigdy nie był pewien, czy te wyszukane manewry służą jedynie okazaniu właściwego szacunku dla tradycji, czy też generałowie naprawdę w to wszystko wierzą i za każdym razem podejmują decyzję, czy zjawić się osobiście, czy posłać zastępcę.

Całkiem możliwe, oczywiście, że generałowie w ogóle nie oglądali tych listów, a adiutanci decydowali za nich. Najprawdopodobniej jednak jego listy trafiały do odpowiednich generałów z notką: „Szlachetny i zasłużony dowódca narazi się na lekceważenie, jeśli nie będzie obecny”, na przykład, albo: „Męcząca strata czasu bohaterskiego przywódcy;

niegodny adiutant chętnie zanotuje wszystko i przekaże raport, jeśli zdarzy się coś ciekawego”.

Han Tzu nie czuł lojalności wobec żadnego z tych bufonów. Kiedy tylko próbowali sami podejmować decyzje, zawsze mylili się beznadziejnie. Ci, których nie krępowała całkowicie tradycja, kierowali się tylko wskazaniem własnego ego.

Mimo to Han Tzu był absolutnie lojalny wobec Chin. Zawsze działał w najlepszym interesie Chin – i zawsze tak działać będzie.

Kłopot polegał na tym, że jego definicja „najlepszych interesów Chin” mogła go zaprowadzić przed pluton egzekucyjny.

Jak ta wiadomość, którą wysłał do Petry i Groszka. Miał nadzieję, że zrozumieją, jakie niebezpieczeństwo zagraża Hegemonowi, jeśli sądzi, że to Han Tzu był źródłem informacji o Achillesie. Wysłanie takiego listu było oczywiście zdradą, ponieważ awantura Achillesa zyskała aprobatę najwyższych władz, a zatem stała się elementem oficjalnej polityki Chin. Mimo to prestiż Chin na arenie międzynarodowej ucierpiałby straszliwie, gdyby wyszło na jaw, że wysłali zabójcę, by pozbyć się Hegemona.

Nikt jakoś nie mógł tego zrozumieć. Głównie dlatego że Chiny uznawali za centrum wszechświata, wokół którego orbitują wszystkie inne państwa. Jakże to ma znaczenie, że uznają Chińczyków za naród tyranów i skrytobójców? Jeśli komuś się nie podoba to, co robią Chiny, może sobie iść do domu i popłakać w kącie.

Jednak żaden kraj nie jest niezwyciężony. Nawet Chiny. Han Tzu wiedział o tym, nawet jeśli inni nie chcieli wiedzieć.

Nie pomógł fakt, że podbój Indii okazał się tak łatwy. Han Tzu nalegał na tworzenie wszelkiego rodzaju planów awaryjnych, gdyby coś się nie powiodło w niespodziewanym uderzeniu na wojska indyjskie, tajskie i wietnamskie. Ale kampania oszustw Achillesa okazała się tak udana, tajska strategia obronna tak skuteczna, że Hindusi zaangażowali wszystkie swoje siły, wyczerpali rezerwy, a morale żołnierzy sięgnęło dna. Wtedy właśnie chińska armia przekroczyła granicę, rozcinając siły indyjskie na izolowane grupy, po czym likwidowała je kolejno w ciągu dni, czasem godzin.

Wszelkie zasługi przypadły Achillesowi, naturalnie, chociaż to szczegółowe plany, jakie nakreślił Han Tzu ze sztabem prawie osiemdziesięciu absolwentów Szkoły Bojowej, doprowadziły chińskie oddziały dokładnie tam, gdzie powinny się znaleźć, dokładnie w chwili, kiedy były potrzebne. Nie; mimo że to jego zespół pisał rozkazy, wydawała je Administracja. Zatem to ludzie z Administracji dostali order, a Wydział Strategii i Planowania musiał się zadowolić jedynie ogólną zbiorową pochwałą. Miało to taki efekt na morale, jakby jakiś podpułkownik zajrzał do nich i powiedział: „Całkiem nieźle, chłopcy. Wiemy, że chcieliście jak najlepiej”.

No cóż, Achilles może sobie przypisywać całą chwałę, ponieważ w opinii Han Tzu atak na Indie był bezsensowny i daremny – nie mówiąc już o tym, że był złem. Chinom brakowało

zasobów, by rozwiązać indyjskie problemy. Dopóki Hindusi sami zarządzili w Indiach, cierpiący ludzie mogli mieć pretensje tylko do swoich rodaków. Ale teraz, kiedy coś pójdzie źle – a w Indiach zawsze coś idzie źle – wszyscy będą obwiniać Chińczyków.

Chińscy administratorzy, wysłani do zarządzania Indiami, okazali się zaskakująco odporni na korupcję i pracowali ciężko. Jednak nie mogli zmienić faktu, że żadnym krajem nie da się rządzić inaczej, niż wykorzystując dominującą siłę albo pełną współpracę mieszkańców. Na współpracę liczyć nie mogli, nie mieli też szans na utrzymanie dominujących sił. Jedyną kwestią było zatem, kiedy opór stanie się poważnym problemem.

I stał się – wkrótce po tym, gdy Achilles opuścił Chiny i trafił do Hegemonii. Wtedy Hindusi zaczęli piętzyć na drogach kamienie. Han Tzu musiał przyznać, że jeśli chodzi o naprawdę irytujący, a przy tym mający wielkie znaczenie symboliczne akt obywatelskiego nieposłuszeństwa, Hindusi okazali się prawdziwymi synami i córami Gandhiego. Nawet wtedy jednak biurokraci nie posłuchali rady Han Tzu i rozkręcili spiralę działań odwetowych.

Czyli... Nieważne, co sobie myśli świat zewnętrzny, tak? Możemy robić, co chcemy, bo nikt nie ma siły ani woli, by się nam przeciwstawić? Tak to brzmiało?

Ale teraz mam w ręku odpowiedź na tę teorię.

– Co to znaczy, w żaden sposób nie potwierdzili naszej ofensywy? – irytował się Alai.

Groszek i Petra siedzieli wraz z nim przy holomapie pokazującej wszystkie cele w Xinjiang, zdobyte zgodnie z planem. Całkiem jakby ktoś wręczył Chińczykom scenariusz, a teraz oni wykonywali swoją rolę, uprzejmie o to poproszeni przez Ligę Półksiężycy.

– Wydaje mi się, że wszystko idzie dobrze – stwierdziła Petra.

– Bezsensownie dobrze – odparł Alai.

– Nie bądź niecierpliwy – poradził Groszek. – W Chinach wszystko toczy się wolno. I nie lubią publicznie informować o swoich problemach. Może wciąż uważają to za wyczyny grupy miejscowych powstańców. Może czekają z komunikatem o tym, co się dzieje, dopóki nie będą mogli jednocześnie powiadomić o swoim miażdżącym kontrataku.

– O to mi właśnie chodzi – wyjaśnił Alai. – Nasz wywiad satelitarny twierdzi, że nic nie robią. Nawet żołnierze z najbliższych garnizonów siedzą na miejscu.

– Dowódcy garnizonów nie mają uprawnień, by wysłać swoich ludzi do bitwy – tłumaczył Groszek. – Poza tym pewnie nawet nie wiedzą, że dzieje się coś niedobrego. Twoje siły przejmują kontrolę nad naziemną siecią komunikacyjną?

– To był cel wtórny. Teraz się tym zajmują, żeby mieć coś do roboty.

Petra roześmiała się głośno.

– Zabawne.

– Co w tym takiego śmiesznego? – spytał Alai.

– To publiczne obwieszczenie – odparła. – Nie możesz ogłosić światu, że wszystkie narody islamskie jednogłośnie wybrały kalifa.

– Możemy to zrobić w każdej chwili – zapewnił z irytacją.

– Ale czekacie. Dopóki Chińczycy nie poinformują, że zaatakowało ich niezidentyfikowane państwo. Kiedy albo przyznają się do ignorancji, albo wymyślą jakąś całkiem fałszywą teorię, ty wystąpisz i powiesz, co się naprawdę dzieje. Że świat islamu jest całkowicie zjednoczony pod władzą kalifa i że wzięłeś na siebie odpowiedzialność za wyzwolenie podbitych narodów z niewoli bezbożnych, imperialistycznych Chin.

– Musisz przyznać, że w ten sposób robi to lepsze wrażenie.

– Ależ oczywiście. Nie dlatego się śmieję, Alai, że źle to zaplanowałeś. Śmieję się z ironii wypadków: udało ci się tak dobrze, a Chińczycy okazali się tak całkiem nieprzygotowani, że w efekcie opóźniają twoje oświadczenie. Ale... cierpliwości, drogi przyjacielu. Ktoś w chińskim sztabie wie, co się dzieje. W końcu reszta go posłucha, zmobilizują swoje siły i wydadzą jakiś komunikat.

– Muszą – zgodził się Groszek. – Inaczej Rosjanie umyślnie błędnie zinterpretują ruchy ich wojsk.

– To prawda – zgodził się Alai. – Niestety, wszystkie widy z moim wystąpieniem nagraliśmy w dzień. Nie przyszło nam do głowy, że trzeba będzie tak długo czekać na ich reakcję.

– A wiesz co? Nikt nie będzie się dziwił, że te widy są wyraźnie wcześniej nagrane. Ale byłoby jeszcze lepiej, gdybyś stanął przed kamerą na żywo, powiedział, kim jesteś, i wyjaśnił, co twoje wojska robią w Xinjiang.

– Ryzyko w przekazie na żywo polega na tym, że może mi się coś wymknąć, mogę przypadkiem zdradzić, że inwazja na Xinjiang nie jest naszą główną ofensywą.

– Alai, możesz wprost powiedzieć, że to nie główna ofensywa. Połowa Chińczyków uzna, że to świadoma dezinformacja, zaplanowana, żeby zatrzymać w Indiach ich żołnierzy uwięzionych na pakistańskiej granicy. Szczerze mówiąc, to bym ci właśnie radził. Bo dzięki temu zyskasz reputację człowieka prawdomównego. Co sprawi, że później twoje kłamstwa będą o wiele bardziej efektywne.

Alai parsknął śmiechem.

– Uspokoileś mnie.

– Cierpisz z tych samych powodów – zauważyła Petra – które prześladują wszystkich wyższych dowódców w obecnej epoce błyskawicznej komunikacji. Za dawnych czasów Aleksander i Cezar byli z żołnierzami na polu bitwy. Mogli widzieć wszystko, wydawać rozkazy, działać. Byli potrzebni. A ty tkwisz w Damaszku, bo właśnie w tym miejscu zbiegają się wszystkie linie komunikacyjne. Jeśli będziesz potrzebny, to będziesz potrzebny tutaj. Więc zamiast mieć tysiące spraw zajmujących umysł, masz tylko ten zwiększony dopływ adrenaliny i żadnej możliwości rozładowania napięcia.

– Doradzam krążenie po pokoju – rzekł Groszek.

– Grasz w piłkę ręczną? – spytała Petra.

- Rozumiem, o co wam chodzi – przyznał Alai. – Dziękuję. Będę cierpliwy.
- I przemyśl sobie moją radę – dodał Groszek. – Wystąp na żywo i powiedz prawdę. Twoi ludzie tym bardziej będą cię kochać, kiedy zobaczą, że masz dość odwagi, by zwyczajnie powiedzieć wrogom, co zamierzasz, a oni i tak nie potrafią ci w tym przeszkodzić.
- Idź już – powiedział Alai. – Zaczynasz się powtarzać.
- Groszek wstał ze śmiechem. Petra także.
- Wiecie, potem nie będę już miał dla was czasu – uprzedził Alai.
- Zatrzymali się, odwrócili...
- Kiedy to ogłoszę, kiedy wszyscy się dowiedzą, będę musiał zacząć utrzymywać dwór. Spotykać ludzi. Rozstrzygać spory. Pokazywać, że jestem prawdziwym kalifem.
- Dziękujemy za czas, który spędziłeś z nami do tej pory – odezwała się Petra.
- Mam nadzieję, że nigdy nie staniemy naprzeciw siebie na polu bitwy – dodał Groszek.
- Tak jak w tej wojnie stajemy przeciwko Han Tzu.
- Pamiętajcie tylko – ostrzegł Alai – że Han Tzu musi dzielić swoją lojalność. Ja nie.
- Będę pamiętał – obiecał Groszek.
- *Salaam* – zakończył Alai. – Pokój z wami.
- *Salaam* – odparła Petra. – Pokój.

Po naradzie Han Tzu wciąż nie był pewien, czy uwierzono jego ostrzeżeniom. Zresztą nawet jeśli teraz nie uwierzyli, to za kilka godzin nie będą mieli wyboru. Zasadnicze siły nieprzyjaciela w Xinjiang z pewnością rozpoczną atak jutro tuż przed świtem. Rozpoznanie satelitarne potwierdzi to, co im dzisiaj mówił – ale za cenę kolejnych dwunastu straconych godzin.

Najbardziej frustrujący moment nastąpił pod koniec spotkania, kiedy ważny adiutant ważnego generała zapytał:

- Jeżeli zatem jest to początek nieprzyjacielskiej ofensywy, co proponujesz?
- Przesunąć wszystkich dostępnych żołnierzy z północy. Sugeruję pięćdziesiąt procent obsady wszystkich garnizonów na rosyjskiej granicy. Przygotować ich do walki nie tylko z tymi konnymi partyzantami, ale też z liczną armią zmechanizowaną, która prawdopodobnie zaatakuje jutro.
- Co z koncentracją wojska w Indiach? – pytał dalej adiutant. – To nasi najlepsi żołnierze, najlepiej wyszkoleni i zdolni do szybkiego przemieszczania.
- Zostawić ich tam, gdzie są – odparł Han Tzu.
- Przecież jeśli огоłocimy garnizony nadgraniczne, Rosjanie z pewnością uderzą.
- Rosjanie nigdy dobrze nie walczą poza własnymi granicami – odezwał się inny z adiutantów. – Napadnij ich, a zniszczą cię, ale jeśli to oni cię napadną, ich żołnierze nie będą walczyć.

Han Tzu starał się nie okazywać lekceważenia dla tak śmiesznych opinii.

– Rosjanie zrobią, co zrobią – powiedział. – Jeśli zaatakują, my w odpowiedzi zrobimy to, co konieczne. Jednakże nie należy nie dopuszczać żołnierzy do walki z obecnym nieprzyjacielem tylko dlatego, że mogą być potrzebni przeciwko nieprzyjacielowi hipotetycznemu.

Jak dotąd wszystko było w porządku. Dopóki ważny adiutant ważnego generała nie oświadczył:

– Dobrze więc. Będę sugerował natychmiastowe wycofanie wojsk z Indii, by jak najszybciej wysłać je przeciwko obecnemu zagrożeniu.

– Nie o to mi chodziło – zaprotestował Han Tzu.

– Ale mnie o to chodzi – odparł adiutant.

– Uważam, że mamy do czynienia z muzułmańską ofensywą – tłumaczył Han Tzu. – Nieprzyjaciół stojący za pakistańską granicą to ten sam nieprzyjaciół, który atakuje nas w Xinjiang. Z pewnością ma nadzieję, że zrobimy właśnie to, co pan proponuje, tak by ich główna ofensywa miała większe szanse.

Adiutant roześmiał się tylko, a inni mu zawtórowali.

– W dzieciństwie zbyt długo nie było cię w Chinach, Han Tzu. Indie to daleki kraj. Jakie to ma znaczenie, co się tam dzieje? Możemy zająć je znowu, kiedy tylko zechcemy. A ci najeżdźcy w Xinjiang walczą już na naszym terytorium. Rosjanie czają się tuż za naszą granicą. Nieważne, co myślą wrogowie, ale to właśnie jest prawdziwe zagrożenie.

– Dlaczego? – zapytał Han Tzu. Odrzucając wszelką ostrożność, rzucił ważnemu adiutantowi bezpośrednie wyzwanie. – Bo obcy żołnierze na chińskiej ziemi oznaczają, że obecny rząd stracił mandat niebios?

Dookoła stołu rozległy się syknięcia powietrza gwałtownie wciąganego przez zęby. Wspomnienie o dawnej idei mandatu niebios było ryzykownie niezgodne z obecną linią rządu.

Skoro już zaczął irytować ludzi, to nie miał powodu, żeby przestać akurat w tym miejscu.

– Wszyscy wiedzą, że Xinjiang i Tybet nie są częścią prawdziwych Chin. Nie są dla nas ważniejsze niż Indie; to tylko podbite terytoria, które nigdy nie stały się prawdziwie chińskie. Kiedyś już, bardzo dawno temu, mieliśmy Wietnam, straciliśmy go i ta strata nic dla nas nie znaczyła. Ale chińska armia... Tak, ona jest cenna. Jeśli wycofacie naszych żołnierzy z Indii, ryzykujecie stratę milionów ludzi w walkach z islamskimi fanatykami. Wtedy już nie będziemy musieli się martwić o niebiański mandat. Zanim się obejrzymy, będziemy mieli obce wojska w samych Chinach i żadnego sposobu, by się przed nimi obronić.

Przy stole zapadła śmiertelna cisza. Nienawidzili go teraz, bo mówił im o klęsce... Bo powiedział, bez śladu szacunku, że ich pomysły są głupie.

– Mam nadzieję, że nikt z was nie zapomni tego spotkania – dodał na zakończenie.

– Możesz być tego pewien – odpowiedział mu najważniejszy adiutant.

– Jeśli się mylę, poniosę konsekwencje tego błędu i będę się cieszył, że wasze pomysły jednak nie okazały się głupie. Co jest dobre dla Chin, jest dobre i dla mnie, nawet jeśli zostanę ukarany za pomyłkę. Ale jeśli mam rację, wtedy się przekonamy, co z was za ludzie. Bo jeśli jesteście prawdziwymi Chińczykami i kochacie swoją ojczyznę bardziej niż swoje kariery, przypomnicie sobie, że miałem rację, sprowadzicie mnie tu i wysłuchacie, jak powinniście wysłuchać już dzisiaj. Jeśli jednak jesteście nielojalnym, egoistycznym stadem ogrodowych świnek, za jakie was uważam, dopilnujecie, żebym zginął. W ten sposób nikt się nie dowie, że słyszeliście ostrzeżenie, ale zlekceważyliście je, kiedy wciąż jeszcze był czas, by ratować Chiny przed najgroźniejszym nieprzyjacielem od czasów Dżyngis Chana.

Wspaniała przemowa. I jakież to odświeżające, wygłosić ją własnymi ustami przed ludźmi, którzy najbardziej powinni jej wysłuchać, zamiast odtwarzać raz po raz w myślach, z coraz większą irytacją, ponieważ ani jedno słowo nie padło głośno.

Oczywiście, jeszcze dziś wieczorem będzie aresztowany, a całkiem możliwe, że rozstrzelany przed świtem. Chociaż bardziej prawdopodobne, że go aresztują i oskarżą o przekazywanie informacji wrogom, co doprowadziło do klęski, którą właśnie starał się odwrócić. Była w tym pewna specyficzna ironia, kusząca dla Chińczyków, którzy zyskali odrobinę władzy. Jakąś niezwykłą rozkosz sprawiało im karanie człowieka uczciwego za zbrodnie jego zwierzchników.

Ale Han Tzu nie zamierzał się ukrywać. W tej chwili pewnie zdołałby jeszcze opuścić Chiny i udać się na wygnanie. Ale nie robi tego.

Dlaczego nie?

Nie opuści ojczyzny w godzinie najcięższej próby. Choć może zginąć, jeśli zostanie, to przecież wielu chińskich żołnierzy w jego wieku też zginie w najbliższych dniach i tygodniach. Dlaczego nie miałby być jednym z nich? Poza tym zawsze jest szansa, choć niewielka i odległa, że wśród uczestników narady znajdzie się dosyć przyzwoitych ludzi; dopilnują, by Han Tzu pozostał żywy, dopóki się nie wyjaśni, czy miał rację. Może wtedy – wbrew jego oczekiwaniom – sprowadzą go znowu i zapytają, jak mają się ratować przed katastrofą, którą sprowadzili na Chiny.

Tymczasem zgłodniał. Była taka restauracja, którą lubił, gdzie kierownik i jego żona traktowali go jak członka rodziny. Nie dbali o jego wysoką rangę ani o sławę jednego z bohaterów z jeeshu Endera. Lubili jego towarzystwo. Lubili patrzeć, jak pochłania jedzenie, jakby to były najlepsze potrawy świata – zresztą dla niego były. Jeśli to ostatnie godziny wolności, czy nawet życia, czemu nie spędzić ich z ludźmi, których polubił, przy daniach, które tak mu smakowały?

W Damaszku zapadła noc. Groszek i Petra chodzili bez celu po ulicach i oglądali wystawy. Damaszek miał tradycyjne place targowe, gdzie sprzedawano większą część świeżej żywności i miejscowe wyroby. Ale supermarkety, butiki i sklepy znanych firm

dotarli do miasta, tak jak do każdego miejsca na Ziemi. Jedynie towary były odbiciem miejscowych gustów. Nie brakowało artykułów produkcji europejskiej i amerykańskiej, ich bawiła jednak niezwykłość takich, które nigdy nie znalazłyby nabywców na Zachodzie. Tutaj cieszyły się wyraźnie wielką popularnością.

Próbowali zgadywać, co do czego służy.

Zatrzymali się w restauracji pod gołym niebem, z dobrą muzyką w tle – tak cichą, że nie przeszkadzała w rozmowie. Zamówili mieszankę lokalnych dań i potraw kuchni międzynarodowej, tak dziwaczną, że kelner pokręcił tylko głową. Mieli jednak ochotę na spełnianie swoich zachcianek.

– Jutro pewnie i tak wszystko zwymiotuję – westchnęła Petra.

– Pewnie tak – zgodził się Groszek. – Ale to będzie lepszy gatunek...

– Proszę cię! – przerwała mu. – Usiłuję coś zjeść.

– Przecież sama zaczęłaś.

– Wiem, że to niesprawiedliwe, ale kiedy ja o tym mówię, nie budzi to odruchu wymiotnego. To jak łaskotanie. Nie można siebie samego doprowadzić do torsji.

– Ja mogę.

– W to nie wątpię. To pewnie jeden z atrybutów klucza Antona.

Rozmawiali tak o niczym ważnym, dopóki nie usłyszeli wybuchów – najpierw bardzo daleko, potem coraz bliżej.

– To przecież nie może być atak na Damaszek – zdziwiła się Petra.

– Nie. To raczej fajerwerki – odparł Groszek. – Myślę, że ludzie się cieszą.

Któryś z kucharzy wybiegł między stoliki i wykrzyczał długi ciąg arabskich słów, oczywiście całkiem dla obojga niezrozumiałych. Miejscowi klienci natychmiast poderwali się z miejsc. Niektórzy wybiegli na ulicę – nie płacąc, ale nikt jakoś nie próbował ich zatrzymywać. Inni ruszyli do kuchni.

Nieliczni pozostali przy stolikach nie-Arabowie mogli tylko zgadywać, co się dzieje, dopóki litościwy kelner nie wrócił i nie oznajmił we wspólnym:

– Jedzenie będzie spóźniony, mnie przykro mówić. Ale radośnie wytłumaczyć dlaczego. Kalif przemawia za minuta.

– Kalif? – zdziwił się Anglik. – Czy on nie jest w Bagdadzie?

– Myślałam, że w Stambule – odparła Francuzka.

– Od kilkuset lat nie ma żadnych kalifów – przypomniał Japończyk o wyglądzie profesora.

– Najwyraźniej teraz już jest – stwierdziła rozsądnie Petra. – Ciekawe, czy pozwolą nam oglądać w kuchni.

– Nie jestem pewien, czybym chciał – mruknął Anglik. – Jeśli mają nowego kalifa, to przez pewien czas będą tu panowały dość szowinistyczne nastroje. A gdyby dla uczczenia okazji zaczęli wieszać cudzoziemców?

Japoński naukowiec był oburzony taką sugestią. Kiedy on i Anglik bardzo uprzejmie skoczyli sobie do gardeł, Groszek, Petra, Francuzka i jeszcze kilku zachodnich turystów przeszło przez wahadłowe drzwi do kuchni, gdzie obsługa ledwie zwróciła na nich uwagę. Ktoś przyniósł z biura spory płaski ekran i ustawił go na półce, oparty o ścianę.

Alai już przemawiał.

Nic im zresztą z tego nie przyszło. Nie zrozumieli ani słowa. Musieli poczekać na pełne tłumaczenie w którejś z sieci informacyjnych.

Ale mapa zachodnich Chin mówiła sama za siebie. Z pewnością Alai tłumaczył, że ludy islamu zjednoczyły się, by wyzwolić długo tkwiących w niewoli braci z Xinjiang. Kelnerzy i kucharze prawie każde zdanie witali okrzykami radości – Alai chyba wiedział, że tak będzie, bo po kolejnych deklaracjach robił krótkie przerwy.

Nie rozumiejąc słów, Groszek i Petra skupili się na czym innym. Groszek usiłował określić, czy Alai występuje na żywo. Zegar na ścianie nie był żadną wskazówką – oczywiście wmontowaliby go cyfrowo do nagrania, żeby niezależnie od pory emisji wskazywał aktualny czas. Po chwili uzyskał odpowiedź – Alai wstał i podeszedł do okna. Kamera podążyła za nim, pokazując w tle migoczące w ciemności światła Damaszku. Mówił na żywo. I cokolwiek powiedział, wskazując miasto, musiało być niezwykle poruszające, bo rozradowani przed chwilą kelnerzy i kucharze teraz płakali otwarcie, nie wstydząc się łez, z oczami wlepionymi w ekran.

Petra tymczasem starała się domyślić, jakie wrażenie robi Alai na oglądających go muzułmanach. Znała jego twarz tak dobrze, że niełatwo było jej oddzielić chłopca, którego pamiętała, od mężczyzny, którym się stał. Współczucie, jakie zauważyła już dawniej, było teraz tym wyraźniej widoczne. Oczy spoglądały z miłością. Ale był w nim też ogień. I duma. Nie uśmiechał się – nie wypadało to przywódcy narodów będących w stanie wojny, których synowie ginęli w walce, a także zabijali. Nie ciskał też gromów, podburzając słuchaczy do niebezpiecznego entuzjazmu.

Czy ci ludzie pójdą za nim do bitwy? Tak, oczywiście, z początku, kiedy miał dla nich opowieść o łatwych zwycięstwach. Ale później, gdy nastaną ciężkie czasy, a szczęście się od nich odwróci, czy wciąż będą szli za nim?

Może i tak. Bo Petra zobaczyła w nim nie tyle wielkiego wodza – choć owszem, potrafiła sobie wyobrazić, że tak mógłby wyglądać Aleksander albo Cezar – ile raczej króla-proroka. Saul czy Dawid, obaj młodzi, gdy proroctwo kazało im poprowadzić swój lud do wojny. Joanna d'Arc.

Oczywiście, Joanna d'Arc skończyła na stosie, a Saul rzucił się na swój miecz... A może nie, to chyba Brutus albo Kasjusz; Saul zdaje się rozkazał jednemu z własnych żołnierzy, by go zabił. Marny koniec w obu przypadkach. Dawid zmarł w niełasce, a Bóg zakazał mu budowy świątyni, bo zabił Uriasza, by Batszeba została wdową i mógł ją poślubić.

Nie najlepsza lista precedensów, trzeba przyznać.

Ale wszyscy oni mieli swoje chwile chwały, nim runęli.

Wojna na Ziemi

To: Chamrajnagar%Jawaharlal@ifcom.gov
From: AncientFire%Embers@han.gov
Subject: Oficjalny komunikat wkrótce

Mój szanowny kolego i przyjacielu,

Smutkiem napełnia mnie fakt, iż mógł Pan choćby przypuszczać, że w tych trudnych czasach, kiedy Chiny nękane są niesprowokowanymi atakami religijnych fanatyków, mielibyśmy możliwości czy chęci, by prowokować Międzynarodową Flotę. Żywimy jedynie najwyższy szacunek dla pańskiej organizacji, która tak niedawno ocaliła całą ludzkość od inwazji gwiazdnych smoków.

Nasz oficjalny komunikat, który zostanie opublikowany niezwłocznie, nie zawiera naszych spekulacji na temat osoby rzeczywiście odpowiedzialnej za tragiczne zestrzelenie promu MF, gdy przelatywał on nad terytorium Brazylii. Wprawdzie nie przyznamy się do jakiegokolwiek udziału czy wcześniejszej wiedzy o tym zdarzeniu, przeprowadziliśmy jednak wstępne dochodzenie i sądzimy, że odkryje Pan, iż kwestionowany sprzęt istotnie mógł pochodzić z chińskich formacji militarnych.

Stawia nas to w tragicznie kłopotliwym położeniu, prosimy więc gorąco, by nie rozgłaszać tych informacji. Zamiast tego załączamy dokument pokazujący, że nasza jedyna wyrzutnia pocisków, której brak wykazało śledztwo, a zatem mogła być wykorzystana do popełnienia tej zbrodni, była przekazana pod kontrolę niejakiego Achillesa de Flandres, rzekomo dla operacji wojskowych związanych z uprzedzającymi

działaniami obronnymi przeciwko indyjskim agresorom, którzy pustoszyli Birmę. Wierzyliśmy, że sprzęt ten został nam zwrócony, jednak w wyniku śledztwa odkryliśmy, że tak się nie stało.

Achilles de Flandres przez pewien czas korzystał z naszej opieki, wyświadczył nam bowiem przysługę w związku z ostrzeżeniem o niebezpieczeństwie, jakie dla pokoju w Azji Południowo-Wschodniej stanowiły Indie. Jednakże później naszą uwagę zwróciły pewne zbrodnie, jakich dopuścił się przed wyświadczeniem owej przysługi. Aresztowaliśmy go (por. załączona dokumentacja). Podczas przewożenia do miejsca, gdzie miał zostać poddany reedukacji, nieznane siły zaatakowały konwój i uwolniły Achillesa de Flandres. Zginęli wówczas wszyscy żołnierze eskorty.

Ponieważ Achilles de Flandres niemal natychmiast pojawił się w osiedlu Hegemonii w Ribeirão Preto w Brazylii, gdzie miał możliwości wyrządzenia licznych szkód po pospiesznym wyjeździe Petera Wiggina, oraz ponieważ pocisk był wystrzelony z terytorium Brazylii i prom zestrzelony nad Brazylią, sugerujemy, że miejsce, gdzie należy szukać odpowiedzialnych za ten atak na MF, znajduje się w Brazylii, a konkretnie w osiedlu Hegemonii.

Ostateczna odpowiedzialność za wszystkie działania Achillesa de Flandres po jego ucieczce z naszego konwoju spoczywa na tych, którzy go uwolnili, to znaczy na Hegemonie Peterze Wigginie i jego armii dowodzonej przez Juliana Delphiki oraz, ostatnio, przez Taja z pochodzenia, Suriyawonga, uważanego przez chiński rząd za terrorystę.

Mam nadzieję, że informacja, jaką przekazałem Panu nieoficjalnie, okaże się przydatna w pańskim śledztwie. Jeśli moglibyśmy okazać jeszcze jakąś pomoc, która nie narazi naszej desperackiej obrony przed inwazją barbarzyńskich hord z Azji, z radością jej udzielimy.

Pański uniżony i niegodny kolega

Starożytny Płomień

From: Chamrajnagar%Jawaharlah@ifcom.gov

To: Graff%pilgrimage@colmin.gov

Subject: Na kogo spadnie wina?

Jak widzisz w załączonej wiadomości od szacownej głowy chińskiego rządu, postanowili oddać nam Achillesa jako kozła ofiarnego. Myślę, że się ucieszą, jeśli pozbędziemy się go za nich. Nasza komisja poda w oficjalnym raporcie, że wyrzutnia była chińskiej produkcji i że ślady prowadzą do Achillesa de Flandres, nie wspominając, że na początku została mu przekazana przez chiński rząd. Pytani, odmówimy wszelkich spekulacji. To najlepsze, czego mogą się po nas spodziewać.

Tymczasem uzyskaliśmy solidne podstawy prawne do interwencji na Ziemi – dzięki dowodom przedstawionym przez kraj, który zapewne najgłośniejszemu by protestował przeciwko takiej interwencji. Nie zrobimy nic, by wpłynąć na wynik ani przebieg wojny w Azji. Przede wszystkim zwrócimy się o pomoc do brazylijskiego rządu, jednak dając wyraźnie do zrozumienia, że pomoc taka nie jest wymagana ani pod względem prawnym, ani wojskowym. Poprosimy ich, żeby odizolowali osiedle Hegemonii, by nikt nie mógł tam wejść ani wyjść do chwili przybycia naszych sił.

Proszę więc, żebyś zawiadomił Hegemona i przygotował odpowiednie plany. Czy pan Wiggin powinien być obecny podczas opanowania osiedla, to kwestia, w której nie mam zdania.

Virloomi nigdy sama nie chodziła do miasta. Te dni miała już za sobą. Wtedy mogła wędrować swobodnie, jak pielgrzym w kraju, gdzie ludzie albo całe życie przeżywali w jednym miejscu, albo zrywali wszelkie więzy i całe życie spędzali w drodze. Lubiła wchodzić do wiosek – każda była nową przygodą, każda pełna plotek, tragedii, romansów i humoru.

Między powrotem z kosmosu a podjęciem pracy w indyjskim sztabie w Hajdarabadzie przez krótki czas uczęszczała do college'u. Tam uświadomiła sobie, że intelektualiści uważali swoje życie – życie umysłu, nieskończonego studiowania własnego ja, ciągłej autobiografii przekazywanej wszystkim wokół – za w jakimś sensie ważniejsze od monotonnego, pozbawionego celu życia prostych ludzi.

Virloomi wiedziała, że jest przeciwnie. Intelektualiści na uniwersytecie byli wszyscy do siebie podobni. Mieli dokładnie te same głębokie przemyślenia o dokładnie takich samych płytkich emocjach i trywialnych dylematach. Podświadomie sami zdawali sobie z tego sprawę. Kiedy zdarzało się coś rzeczywistego, co wstrząsało nimi do głębi, wycofywali się z gry akademickiego życia, gdyż rzeczywistość trzeba było rozgrywać na innej scenie.

Na wsiach w życiu chodziło o życie, nie o wyższy status czy uznanie. Ludzie mądrzy cieszyli się szacunkiem, bo potrafili rozwiązywać problemy, zamiast ładnie o nich opowiadać. Gdziekolwiek się znalazła w Indiach, słyszała własne myśli: Tutaj mogłabym zamieszkać.

Mogłabym żyć wśród tych ludzi, poślubić któregoś z tych łagodnych chłopów i do śmierci pracować u jego boku.

A wtedy jakaś inna część umysłu odpowiadała: Nie, nie mogłabyś. Bo czy ci się to podoba, czy nie, należysz do tych z uniwersytetu. Możesz odwiedzać prawdziwy świat, ale to nie jest twoje miejsce. Musisz żyć w tym głupim marzeniu Platona, gdzie idee są rzeczywiste, a rzeczywistość tylko cieniem. Dla takiego świata się urodziłaś, a kiedy wędrujesz od wioski do wioski, to tylko po to, żeby uczyć się od nich, żeby ich nauczać, manipulować nimi, wykorzystywać dla osiągnięcia własnych celów.

Ale przecież moje własne cele, myślała, to przekazać im dary, których potrzebują: mądre władze, a przynajmniej samorządność.

I wtedy śmiała się sama z siebie, gdyż te dwie rzeczy zwykle wzajemnie się wykluczały. Nawet jeśli Hindus rządził Hindusami, nie była to samorządność. Władca rządził ludem, a lud władcą – system wzajemnych rządów to najlepsze, na co można liczyć.

Teraz jednak dni jej pielgrzymek dobiegły końca. Powróciła na most, gdzie kiedyś stacjonowali żołnierze, by go ochraniać, i gdzie chłopci z pobliskiej wsi uznali ją za kogoś w rodzaju bogini.

Wróciła bez fanfar. Wkroczyła do wioski, która zawojowała jej serce, zaczęła rozmawiać z kobietami przy studni i na targowisku. Przeszła do strumienia, by pomóc w praniu; ktoś zaproponował, że użyczy jej odzieży, by mogła wypłukać swoje wędrowne łachmany. Roześmiała się tylko, tłumacząc, że jeszcze jedno pranie zetrze tkaninę na proch, ale chętnie zapracuje na nowe ubranie, pomagając rodzinie, która ma jakieś zapasowe.

– Pani – odezwała się z zakłopotaniem jedna z kobiet – czy nie żywiliśmy cię na moście całkiem za darmo?

A więc rozpoznali ją.

– Ale chciałabym zapracować na dobroć, jaką mi okazywaliście.

– Pobłogosławiłaś nas po wielokroć, pani – zapewniła inna.

– I teraz błogosławieństwem jest, że znowu przybyłaś między nas.

Czyli nadal była boginią.

– Nie jestem tym, za kogo mnie uważacie – powiedziała. – Jestem straszniejsza niż wasze najgorsze lęki.

– Dla naszych nieprzyjaciół zapewne, pani.

– Straszna dla nich w istocie – zgodziła się Virlomi. – Ale do walki z nimi wykorzystam waszych mężów i synów i wielu z nich zginie.

– Wiele naszych synów i mężów odeszło już na wojnę z Chińczykami.

– Polegli w walce.

– Zaginęli i nie mogli odnaleźć drogi do domu.

– Chińskie diabły wywiozły ich do niewoli.

Virlomi uniosła rękę, by je uciszyć.

– Nie poświęcę ich życia na marne, jeśli będą mi posłuszni.

– Nie powinnaś ruszać na wojnę, pani – odezwała się jakaś starucha. – To nic dobrego. Popatrz na siebie, młoda jesteś i piękna. Idź do łoża z jednym z naszych młodych, a jeśli wolisz ze starym. Miejcie dzieci.

– Pewnego dnia wybiorę sobie męża i urodzę mu dzieci. Ale dzisiaj moim mężem są Indie, które pożarł tygrys. Muszę wywołać u niego torsję, żeby zwymiotował mojego męża.

Niektóre zachichotały, wyobrażając sobie taką sytuację. Ale inne były poważne.

– Jak to uczynisz, pani?

– Przygotuję mężczyzn, żeby nie ginęli z powodu swoich błędów. Przygotuję im broń, by żaden nie zginął dlatego, że będzie nieuzbrojony. Będziemy czekać, aby nie ściągnąć na siebie gniewu tygrysa, póki nie będziemy gotowi, by uderzyć go mocno. Tak mocno, by tygrys nigdy nie odzyskał sił po tym ciosie.

– Czyżbyś, pani, przyniosła nam broń jądrową? – zapytała starucha.

Najwyraźniej była sceptyczna z natury.

– Użycie takiej broni to obraza wobec Boga – odparła Virlomi. – Bóg muzułmanów został wypędzony ogniem ze swego domu i odwrócił od nich twarz, ponieważ użyli tej broni przeciwko sobie.

– Żartowałam – tłumaczyła się zawstydzona starucha.

– Ale ja nie – zapewniła ją Virlomi. – Jeśli nie chcecie, bym wykorzystała waszych mężczyzn tak, jak to opisałam, powiedzcie, a ja odejdę i poszukam innego miejsca, gdzie mnie zechcą. Może wasza nienawiść do Chińczyków nie jest tak gorąca jak moja. Może jesteście zadowolone z przebiegu spraw w tej krainie.

Jednak nie były zadowolone, a ich nienawiść wydawała się dostatecznie gorąca.

Nie miała wiele czasu na szkolenie, ale przecież nie chciała posyłać tych ludzi do bitwy. Mieli być sabotażystami, złodziejami, specjalistami od wysadzania w powietrze ważnych strategicznie obiektów. Spiskowali z robotnikami na budowach, by wykraść materiały wybuchowe; uczyli się ich używać; zbudowali kryjówki w dżungli, na stromych zboczach.

Schodzili do pobliskich miasteczek i rekrutowali nowych ludzi, a potem coraz dalej i dalej, budując sieć sabotażystów. Obsadzali wszystkie ważniejsze mosty, które można było wysadzić, by zablokować Chińczykom drogę, gdyby chcieli przewozić w tę czy w tamtą stronę zaopatrzenie i ludzi.

Nie mogli prowadzić żadnych prób czy pozorowanych akcji. Niczego, co mogłoby wzbudzić jakiekolwiek podejrzenia. Zakazała ludziom wszelkich wyzywających gestów i zachowań, robienia czegokolwiek, co mogłoby zakłócić działanie chińskiej sieci transportu między wzgórzami i górami.

Niektórzy irytowali się, słysząc te zakazy.

– Dałam słowo waszym żonom i matkom, że nie poświęcę was bez celu – odpowiadała im wtedy Virlomi. – Wielu z was jeszcze zginie, ale dopiero wtedy, gdy swoją śmiercią coś

osiągną. Ci, którzy przeżyją, będą mogli dać świadectwo: My tego dokonaliśmy, nic nie zostało nam podarowane.

Teraz nie schodziła już do wioski, ale zamieszkała tam gdzie dawniej – w grocie niedaleko mostu, który zamierzała wysadzić osobiście, kiedy nadejdzie czas.

Nie mogła sobie jednak pozwolić na rezygnację z kontaktu ze światem zewnętrznym. Dlatego trzy razy dziennie ktoś z jej ludzi łączył się z siecią i sprawdzał jej martwe skrzynki, drukował otrzymane wiadomości i przynosił do niej. Dopilnowała, by potrafił wykasować informacje z pamięci komputera, tak by nikt nie mógł sprawdzić, co pojawiło się na ekranie. A wiadomości po przeczytaniu paliła.

List od Petera Wiggina dostała na czas. Dlatego była gotowa, kiedy zjawili się jej ludzie – biegiem, zdyszani.

– Chinom źle idzie w wojnie z Turkami – powiedzieli. – Piszą o tym w sieciach. Turcy zajęli tyle lotnisk, że w Xinjiang mogą wysłać w powietrze więcej samolotów niż Chińczycy. Zrzucili bomby na sam Pekin, pani!

– Powinniście więc płakać, gdyż giną tam dzieci – odparła Virlomi. – Ale dla nas czas walki jeszcze nie nadszedł.

Następnego dnia, kiedy ciężarówki zadudniły na mostach, kiedy długimi kolumnami jechały zderzak w zderzak po górskich drogach, błagali ją znowu.

– Wysadźmy chociaż jeden most. Pokażmy, że Indie nie śpią, kiedy Turcy walczą za nas z wrogiem!

Odpowiedziała im:

– Dlaczego mamy wysadzać mosty, po których wrogowie opuszczają naszą ojczyznę?

– Gdybyśmy dobrze dobrali moment wybuchu, zabilibyśmy wielu z nich.

– Nawet gdybyśmy zabili pięć tysięcy, wysadzając w odpowiednim momencie wszystkie mosty, oni mają pięć milionów. Zaczekamy. Nikt z was nie zrobi niczego, co mogłoby ich ostrzec, że w tych górach czeka na nich przeciwnik. Czas się zbliża, ale czekajcie na mój rozkaz.

Raz po raz powtarzała te słowa, przez cały dzień, wszystkim, którzy przybyli. Posłuchali jej. Kazała im zatelefonować do towarzyszy w miasteczkach przy dalekich mostach, i tamci również posłuchali.

Przez trzy dni kontrolowane przez Chińczyków media informowały, jak potężne armie zostaną wysłane przeciwko tureckim hordom, gotowe wymierzyć karę za zdradziecki napad. Ruch na drogach i mostach trwał nieprzerwanie.

Wreszcie nadeszła wiadomość, na którą czekała.

Teraz.

Bez podpisu, ale dotarła do skrzynki, o której mówiła Peterowi Wigginowi. Wiedziała, co oznacza to słowo: że na zachodzie ruszyła główna ofensywa, a Chińczycy wkrótce zaczną przewozić ludzi i sprzęt z powrotem do Indii.

Tego listu nie spaliła. Podała kartkę chłopcu, który ją przyniósł.

– Zachowaj to na zawsze – powiedziała. – To początek naszej wojny.

– Czy to list od boga? – zapytał.

– Może od cienia bratanka boga – odparła z uśmiechem. – Może tylko człowieka we śnie śpiącego boga.

Wzięła chłopca za rękę i zeszła do wioski. Ludzie tłoczyli się wokół niej. Uśmiechała się do nich, głaskała dzieci po głowach, obejmowała i całowała kobiety.

Po czym poprowadziła ten pochód do biura miejscowego chińskiego administratora i weszła do budynku. Towarzyszyło jej tylko kilka kobiet. Minęła biurko protestującego oficera dyżurnego i wkroczyła do gabinetu chińskiego urzędnika, który rozmawiał przez telefon.

Spojrzał na nią i krzyknął, najpierw po chińsku, potem we wspólnym.

– Co ty wyprawiasz? Wynos się stąd!

Ale Virlomi nie zwracała uwagi na jego słowa. Podeszła do niego z uśmiechem, wyciągając ramiona, jakby chciała go objąć.

Uniósł dłonie w geście protestu.

Chwyciła go za ręce, szarpnięciem wytrąciła z równowagi, a kiedy się zachwiał, zarzuciła mu ramiona na szyję, chwyciła za głowę i skręciła mocno.

Padł martwy na podłogę.

Virlomi otworzyła szufladę biurka, wyjęła pistolet i zastrzeliła obu chińskich żołnierzy, którzy wbiegli do gabinetu.

Spojrzała spokojnie na kobiety.

– Już czas – oznajmiła. – Zatelefonujcie do innych, we wszystkich miastach. Została godzina do wieczora. O zmroku mają wykonać swoje zadania. Z krótkim lontem. Jeśli ktokolwiek spróbuje ich zatrzymać, choćby to był Hindus, mają go zabić, ale szybko i cicho, i wracać do pracy.

Powtórzyły wiadomość, po czym ruszyły do telefonów.

Virlomi wyszła z budynku, pistolet ukryła w fałdach spódnicy. Dwaj inni chińscy żołnierze stacjonujący w wiosce przybiegli na odgłos strzałów. Odezwała się do nich w swoim dialekcie. Nie zauważyli, że to nie miejscowe narzecze, ale całkiem inny język z drawidyjskiego południa. Zatrzymali się jednak i zażądali, żeby we wspólnym wytłumaczyła, co się dzieje. Dostali po kuli w brzuch, zanim się zorientowali, że jest uzbrojona. Gdy już leżeli na drodze, dobiła obu strzałami w głowę.

– Pomóżcie mi sprzątnąć ulicę – zwróciła się do zebranych gapiów.

Natychmiast podbiegli i przenieśli ciała do gabinetu administratora.

Kobiety przekazały telefonicznie wszystkie wieści i zebrały się przed drzwiami.

– Kiedy chińskie władze się zjawią i każą powiedzieć, co tu zaszło, musicie powiedzieć im prawdę. Jakiś człowiek nadszedł drogą; Hindus, ale nie z tej wioski. Wyglądał jak kobieta i pomyślałyście, że jest chyba bogiem, bo wszedł prosto do tego gabinetu i skręcił kark zarządcy. Potem wziął jego pistolet i zabił dwóch żołnierzy w urzędzie, a potem jeszcze dwóch, którzy przybiegli z wioski. Żadna z was nie miała czasu, by zareagować. Krzyczałyście tylko. Następnie ten obcy kazał wam przenieść ciała zabitych do gabinetu i wyjść, gdy tymczasem sam gdzieś telefonował.

– Każą nam opisać tego człowieka.

– Wtedy opiszecie mnie: ciemnoskóry. Z południowych Indii.

– Zapytają: jeśli wyglądał jak kobieta, skąd wiecie, że to nie była kobieta?

– Bo gołymi rękami zabił mężczyznę. Czy kobieta by to potrafiła?

Roześmiały się.

– Ale nie wolno wam się śmiać – ostrzegła Virłomi. – Będą bardzo źli. I nawet jeśli nie dacie im żadnego pretekstu, mogą surowo was ukarać za to, co się tu stało. Mogą pomyśleć, że kłamiecie, i torturować, żeby zmusić do wyznania prawdy. Dlatego powiem wam od razu: bez oporów możecie zdradzić, że waszym zdaniem to ta sama osoba, która mieszkała w niedużej grocie przy moście. Możecie ich nawet tam zaprowadzić.

Zwróciła się do chłopca, który przyniósł jej list od Petera Wiggina:

– Zakop ten papier w ziemi, dopóki wojna się nie skończy. Wciąż tam będzie, gdy zechcesz go znaleźć.

Po czym raz jeszcze przemówiła do wszystkich kobiet:

– Żadna z was nic nie zrobiła prócz przeniesienia ciał zabitych do miejsca, które wam wskazałam. Zawiadomiłybyście władze, ale jedyni znani wam przedstawiciele władz byli martwi.

Rozłożyła ramiona.

– Mój ukochany ludu, uprzedzałam, że sprowadzę na was straszne dni.

Nie musiała udawać smutku. Jej łzy były prawdziwe, kiedy szła między ludźmi, dotykając jeszcze raz ich dłoni, policzków, ramion... Wreszcie wyszła na trakt i opuściła wioskę. Mężczyźni, którym powierzyła to zadanie, wysadzą most za godzinę. Jej już tam nie będzie. Ruszy leśnymi ścieżkami na stanowisko dowodzenia, skąd będzie kierować całą kampanią sabotażu.

Nie wystarczy bowiem samo zniszczenie mostów. Ludzie muszą być gotowi, żeby pozabijać budowniczych, którzy zechcą te mosty naprawiać, i żołnierzy, którzy będą ich osłaniać. W końcu, kiedy zjawi się tylu budowniczych i żołnierzy, że nie da się ich powstrzymać, będą musieli zrzucić lawiny kamieni i błota, by blokować drogi.

Jeśli utrzymają tę granicę przez trzy dni, nacierające islamskie wojska zyskają dość czasu – pod warunkiem sprawnego dowodzenia – by dokonać przełomu i odciąć stojącą przeciw

nim wciąż potężną chińską armię. I kiedy wreszcie przybędą posiłki, będzie już za późno. Nowe oddziały także zostaną odcięte.

Kiedy Ambul doprowadził już do spotkania Alai z Groszkiem i Petrą, prosił kalifa tylko o jedno.

– Pozwól mi walczyć, jakbym był muzułmaninem, przeciwko nieprzyjaciołom mojego ludu.

Ze względu na jego rasę, Alai przydzielił go do oddziałów indonezyjskich, gdzie nie różnił się zbyt od pozostałych.

W ten sposób właśnie Ambul został wysadzony na bagnistym wybrzeżu niedaleko Szanghaju, na południe od miasta. Podpłynęli jak najbliżej na kutrach rybackich, a dalej powiosłowali w płaskodennych łódkach, szukając twardego gruntu.

W końcu jednak – tak jak się spodziewali – musieli zostawić łódki i brnąć pieszo przez mokradła. Buty nieśli w plecakach, gdyż zassałyby się w błocie, gdyby próbowali włożyć je na nogi.

Kiedy wzeszło słońce, byli wymęczeni, brudni, pokąsani przez komary i głodni.

Zdrapali błoto ze stóp i łydek, wciągnęli skarpety i buty, a potem ruszyli truchtem po ścieżynce, która wkrótce zmieniła się w ścieżkę, a potem w dróżkę między polami ryżowymi. Biegli obok chińskich wieśniaków i nie odzywali się do nich.

Niech myślą, że jesteśmy poborowymi albo ochotnikami z niedawno podbitego południa, w misji szkoleniowej. Nie chcemy zabijać cywilów. Jak najszybciej trzeba się oddalić od brzegu.

Tak powtarzali im oficerowie raz po raz.

Wieśniacy nie zwracali na nich uwagi. Z pewnością żaden nie odbiegał, żeby ogłosić alarm. Ale nim nadeszło południe, zauważyli pióropusz pyłu za jakimś pojazdem jadącym szybko po niezbyt odległej drodze.

– Padnij! – rzucił we wspólnym dowódca.

Bez wahania rzucili się w wodę, podpełzli na krawędź grobli i tam się ukryli. Tylko oficer wysunął głowę, by widzieć, co się dzieje. Jego informacje przekazywali sobie szeptem wzdłuż szeregu.

– Ciężarówka wojskowa – powiedział.

A po chwili:

– Rezerwiści. Żadnej dyscypliny.

To problem, myślał Ambul. Rezerwiści to pewnie miejscowi żołnierze. Starzy, niesprawni, którzy traktowali swoją służbę jak coś w rodzaju spotkań towarzyskich – aż do teraz, kiedy ktoś wygonił ich w teren, bo byli jedynymi żołnierzami w okolicy. Zabić ich to jak strzelać do wieśniaków.

Ale oczywiście są uzbrojeni. Zatem nie zabijać ich może być samobójstwem.

Słyszeli, jak chiński dowódca krzyczy na swoich niepełnowartościowych żołnierzy. Był wyraźnie bardzo zły – ale też bardzo niemądry, uznał Ambul. Myśli, że co właściwie się tu dzieje? Jeśli to ćwiczenia jakichś chińskich oddziałów, to po co brał ze sobą tych rezerwistów? A jeśli to prawdziwe zagrożenie, po co krzyczy, zamiast dyskretnie przeprowadzić rozpoznanie i złożyć meldunek?

No cóż, nie każdy oficer uczęszczał do Szkoły Bojowej. Nie dla każdego drugą naturą było myślenie jak żołnierz. Ten człowiek pewnie większą część swojej służby wojskowej przesiedział za biurkiem.

Wzdłuż szeregu przeszła powtarzana szeptem komenda: do nikogo nie strzelać, ale dokładnie w kogoś wymierzyć, kiedy dowódca każe wstać.

Głos chińskiego oficera rozbrzmiewał coraz bliżej.

– Może nas nie zauważą – szepnął żołnierz leżący obok Ambula.

– Czas już zmusić ich, żeby zauważyli – odparł także szeptem Ambul.

Żołnierz był kelnerem w eleganckiej restauracji w Dżakarcie, zanim – po chińskim podboju Indochin – zgłosił się na ochotnika do wojska. Jak większość tych ludzi, nigdy jeszcze nie był pod ogniem.

Prawdę mówiąc, ja też nie, pomyślał Ambul. Chyba że liczą się bitwy w sali treningowej.

Na pewno się liczą. Nie było tam krwi, ale było napięcie, nerwy przed starciem. Adrenalina, odwaga, straszliwe rozczarowanie, kiedy człowiek zdawał sobie sprawę, że został trafiony i skafander sztywniał na nim, eliminując z walki. Poczucie porażki, kiedy zawiódł kumpla, którego miał osłaniać. I poczucie tryumfu, kiedy widział, że nie może chybić.

Już tu kiedyś byłem, tylko że wtedy nie chowałem się za groblą, ale za trzymetrowym sześcianem. Czekałem na rozkaz, żeby wylecieć zza niego, strzelając do wszystkich przeciwników, jakich zobaczę.

Leżący obok szturchnął go łokciem. Jak wszyscy, Ambul zrozumiał sygnał i spojrzał na dowódcę, czekając na rozkaz powstania.

Dowódca dał znak i wszyscy poderwali się z wody.

Chińscy rezerwiści i oficer stali w ładnym rzędzie na grobli biegnącej prostopadle do tej, za którą krył się indonezyjski pluton. Nikt z nich nie trzymał broni w pogotowiu. Chiński oficer urwał w pół krzyku, patrząc tępo na szereg czterdziestu żołnierzy mierzących do niego z karabinów.

Dowódca Ambula podszedł do oficera i strzelił mu w głowę.

Rezerwiści natychmiast rzucili broń i poddali się.

Każdy indonezyjski pluton miał przynajmniej jednego człowieka mówiącego po chińsku. Czasem nawet kilku – członkowie chińskiej mniejszości w Indonezji bardzo się starali dowieść swego patriotyzmu. Najlepszy tłumacz, jakiego mieli, bardzo sprawnie przekazywał jeńcom rozkazy. Oczywiście, nie mogli ich zabrać ze sobą, ale też nie chcieli zabijać.

Dlatego Chińczykom rozkazano zdjąć ubrania i zanieść je do ciężarówki, którą przyjechali. Kiedy jeńcy się rozbierali, wzdłuż szeregu przekazano rozkaz po indonezyjsku: nie śmiać się z nich ani nie okazywać lekceważenia. Traktować z szacunkiem i honorowo.

Ambul zrozumiał, że to mądre polecenie. Celem rozebrania chińskich żołnierzy do naga było oczywiście ośmieszenie ich. Ale pierwszymi, którzy zaczęli z nich drwić, będą Chińczycy, nie Indonezyjczycy. Ci ludzie będą opowiadać, że napastnicy traktowali ich z szacunkiem. Kampania propagandowa już się rozpoczęła.

Pół godziny później Ambul z szesnastoma kolegami w zdobycznej chińskiej ciężarówce wjechał do miasteczka. Jeden nagi i przerażony rezerwista pokazywał im drogę. Tuż przed niewielkim posterunkiem wojskowym zwolnili i wypchnęli go z wozu.

Akcja była szybka i bezkrwawa. Wjechali ciężarówką na dziedziniec, sterroryzowali wszystkich i rozbili. Chińskich żołnierzy, nagich, zamknęli w pokoju bez telefonu. Czekali tam w całkowitym milczeniu, a szesnastu Indonezyjczyków zarekwirowało jeszcze dwie ciężarówki, czystą bieliznę i skarpety oraz dwa wojskowe radia.

Na koniec ułożyli na dziedzińcu całą pozostałą amunicję, materiały wybuchowe, broń i radiostacje, ustawili dookoła pozostałe samochody wojskowe, a na szczyt stosu rzucili trochę plastiku z pięciominutowym zapalnikiem.

Chiński tłumacz podbiegł do drzwi pomieszczenia, gdzie zamknęli więźniów, krzyknął, że mają pięć minut, żeby się ewakuować, zanim wszystko wyleci w powietrze, i że powinni ostrzec mieszkańców, by się oddalili od tego miejsca.

Potem otworzył drzwi i pobiegł do czekającej ciężarówki.

Cztery minuty po opuszczeniu miasteczka usłyszeli, że zaczęły się fajerwerki. To było jak prawdziwa wojna – kule lecące we wszystkie strony, wybuchy, słup dymu.

Ambul wyobraził sobie nagich żołnierzy biegnących od drzwi do drzwi i ostrzegających ludzi. Miał nadzieję, że nikt nie zginie, dlatego że śmiał się z gołego żołnierza, zamiast go słuchać.

Przydzielono mu miejsce obok kierowcy pierwszego wozu. Wiedział, że nie zatrzymają tych ciężarówek długo – zbyt łatwo je zauważyć. Odjadą tylko dalej od miasteczka, a niektórzy żołnierze będą mieli okazję do krótkiej drzemki na skrzyni.

Oczywiście, mogło się też zdarzyć, że powróciwszy do plutonu, znajdą martwych kolegów i duży oddział chińskich weteranów czekających, by ich także wystrzelać.

Ale jeśli to się stało, już się nie odstanie. Siedząc w ciężarówce, nie miał żadnego wpływu na rozwój wydarzeń. Mógł tylko mieć oczy szeroko otwarte i pilnować, żeby kierowca nie zasnął.

Nie było zasadzki. Kiedy wrócili do oddziału, większość żołnierzy spała, lecz wartownicy byli przytomni i czujni.

Wszyscy załadowali się do ciężarówek. Ci, którzy zdążyli się trochę przespać, trafili do szoferek, by prowadzić. Ci, którzy nie spali, zajęli miejsca w skrzyniach, by próbować zasnąć w ciężarówce podskakującej na wiejskich drogach.

Ambul był jednym z tych, którzy odkryli, że jeśli człowiek jest dostatecznie zmęczony, może rzeczywiście zasnąć, siedząc na twardej ławeczce w ciężarówce bez resorów, na wyboistym trakcie. Tyle że nie da się spać zbyt długo.

Obudził się raz i odkrył, że suną gładko po bruku. Zdążył się zastanowić, czy dowódca zwariował, że zdecydował się skorzystać z takiej drogi. Ale nie interesowało go to aż tak bardzo, by nie zasnąć ponownie.

Zatrzymali się po trzech godzinach jazdy. Wszyscy wciąż byli zmęczeni, ale mieli wiele pracy, zanim dostaną prawdziwy posiłek i porządnie się wyśpią. Dowódca zarządził postój przy moście i kazał wszystko wyładować. Potem zepchnęli ciężarówki do rzeki.

Głupi błąd, pomyślał Ambul. Powinniśmy je zostawić gdzieś zaparkowane, i to nie w jednym miejscu, żeby rozpoznanie lotnicze ich nie wykryło.

Ale nie, szybkość jest ważniejsza niż maskowanie. Zresztą chińskie lotnictwo ma teraz co innego do roboty. Nie sądził, żeby w najbliższym czasie mieli do dyspozycji jakieś wolne samoloty rozpoznawcze.

Kiedy żołnierze rozdzielali między siebie zdobyte zapasy, dowódca powiedział im, co słyszał przez radio w czasie jazdy. Nieprzyjaciół cały czas mówił o nich jako o spadochroniarzach i zakładał, że kierują się do jakiegoś ważnego celu wojskowego albo miejsca zgrupowania.

– Nie wiemy, kim jesteśmy i co robimy. Szukają nas w niewłaściwych miejscach. To nie potrwa wiecznie, ale dzięki temu nie rozwalili nas w czasie jazdy. No i myślą, że jest nas tu co najmniej tysiąc.

Przez te trzy godziny na drodze pokonali sporą odległość. Znaleźli się na niemal pagórkowatym obszarze i chociaż każdy skrawek chińskiej ziemi od wieków był uprawiany, widzieli wokół dzikie tereny. Może przed nocą uda im się oddalić od tej drogi tak daleko, że zdążą się porządnie wyspać, zanim znowu wyruszą.

Oczywiście, normalnie będą się przemieszczać głównie nocą, a spać w dzień.

Jeśli przeżyją tę noc. Jeśli przetrwają kolejny dzień.

Dźwigając teraz więcej niż w chwili lądowania, chwiejnym krokiem zeszli z drogi i zanurzyli się w las. Maszerowali wzdłuż brzegu. Szli na zachód. W górę rzeki. W głąb lądu.

Pożegnania

To: Porto%Aberto@BatePapo.Org
From: Locke%erasmus@polnet.gov
Subject: Dojrzał

Klucz szyfrujący: *****
Klucz deszyfrujący: *****

To Groszek czy Petra? Czy oboje?

Po wszystkich tych subtelnych strategiach i zaskoczeniach w końcu załatwiła go zwykła próba zabójstwa. Nie wiem, czy tam, gdzie jesteście, informacja o zestrzeleniu promu MF w ogóle przebiła się przez wiadomości z wojny. W każdym razie sądził, że ja jestem na pokładzie. Nie byłem, a Chińczycy zrobili z niego kozła ofiarnego, więc nagle MF zyskało prawne podstawy do operacji naziemnej. Rząd Brazylii współpracuje, osiedle jest zablokowane.

Jedyny kłopot polega na tym, że osiedla broni chyba twoja mała armia. Chcemy to załatwić bez ofiar, ale za dobrze wyszkoliłeś ludzi, a Suri nie odpowiada na moje nieśmiałe próby nawiązania kontaktu. Zanim wyjechałem, zdawało się, że Achilles ma go w kieszeni. Może to tylko kamuflaż, ale kto wie, co zaszło w czasie ich lotu z Chin?

Achilles potrafi dotrzeć do ludzi. Prom, którym miałem lecieć, wskazał mu indyjski oficer z MinKol, który znał Graffa od lat - dlatego że jego rodzina przebywa w

obozie w Chinach, a Achilles wykorzystał to, by zmusić go do współpracy. Czy miał jakiś sposób, by skłonić także Suriego? Jeśli Suri każe żołnierzom bronić Achillesa, czy go posłuchają?

Czy jeśli ty tu będziesz, zrobi to jakąś różnicę? Ja będę, lecz nie wierzę do końca twoim zapewnieniom, że żołnierze będą mi posłuszni. Mam uczucie, że straciłem twarz, kiedy uciekłem z osiedla. Ale ty ich znasz, a ja nie.

Twoja rada zyska moją wdzięczność. Twoja obecność bardzo by pomogła. Zrozumiem, jeśli odmówisz w obu wypadkach. Nic mi nie jesteś winien – miałeś rację, a ja się myliłem, a przez to naraziłem wszystkich. Ale w tej sytuacji chciałbym to załatwić, nie zabijając twoich żołnierzy, a zwłaszcza samemu nie dając się zabić – nie będę udawał, że moje motywacje są czysto altruistyczne. Nie mam wyboru, muszę się tam zjawić. Jeśli nie będzie mnie na miejscu w czasie zdobywania osiedla, mogę pocałować na do widzenia moją przyszłość jako Hegemona.

Tymczasem Chiny nie radzą sobie zbyt dobrze, nie sądzisz? Gratulacje dla kalifa. Mam nadzieję, że okaże się bardziej łaskawy dla podbitych ludów, niż byli Chińczycy.

Petrze trudno było się skupić na przeszukiwaniu sieci. Zbyt ją kusiły wiadomości z wojny. To była skaza genetyczna, choroba, którą lekarze wykryli u niej w dzieciństwie i która na długie lata posłała ją w kosmos, do Szkoły Bojowej. Po prostu nie mogła odwrócić się od wojny. Choć przerażająca, walka wciąż miała dla niej nieodparty urok – spotkanie dwóch armii, z których każda walczy o pierwszeństwo, bez żadnych reguł prócz tych narzuconych przez ograniczenia własnych sił i lęk przed podobnym odwetem.

Groszek uparł się, że muszą czekać na jakiś znak od Achillesa. Jej wydawało się to absurdalne, ale on był przekonany, że Achilles chce, by do niego przyszedł.

– Ledwie się trzyma – tłumaczył. – Wszystko obróciło się przeciw niemu. Myślał, że dostał się na pozycję pozwalającą mu zająć moje miejsce. Ale sięgnął za wysoko, zestrzeliwując ten prom akurat w chwili, kiedy Liga Półksiężyca wyrwała mu spod nóg chińskie wsparcie. Nie może już tam wrócić; nie może się nawet wydostać z Ribeirão. Dlatego postara się rozegrać wszystkie karty, jakie mu jeszcze zostały. My jesteśmy luźnymi końcami. Nie chce, żebyśmy tak sobie dyndali. Dlatego... wezwie nas do siebie.

– To nie jedźmy – zaproponowała Petra, ale Groszek tylko się roześmiał.

– Gdybym uważał, że mówisz poważnie, mógłbym to rozważyć.

Ale wiem, że nie. On ma nasze dzieci. Wie, że po nie przyjdziemy.

Może tak, a może i nie. Co będą miały embriony z tego, że ich rodzice wejdą w pułapkę i zginą?

Bo to będzie pułapka. Nie uczciwy handel, nie wymiana: moja wolność za wasze dzieci. Nie, Achilles nie byłby do tego zdolny, nawet żeby ratować własne życie. Groszek schwycił go kiedyś w pułapkę, wymusił zeznanie, które doprowadziło go do zakładu dla psychicznie chorych. I już nigdy tam nie powróci. Jak Napoleon, wyrwał się z jednego więzienia, ale z drugiego nie będzie już ucieczki. Dlatego nie wróci. Co do tego Groszek i Petra się zgadzali. Wezwie ich tylko po to, żeby zabić.

A jednak ciągle szukali, niepewni nawet, skąd będą wiedzieć, że już znaleźli.

Ale wojna wciąż odwracała uwagę Petry. Kampania w Xinjiang przesunęła się już na wschód, na obrzeża Chin. Persom i Pakistańczykom niewiele już brakowało do zamknięcia okrążenia wokół obu części chińskiej armii w zachodnich Indiach.

Informacje o Arabach i Indonezyjczykach, operujących wewnątrz Chin, były niejasne. Chińczycy skarżyli się głośno na muzułmańskich spadochroniarzy dokonujących aktów terroru. Zagrozili, że w razie schwytania potraktują intruzów jak szpiegów i zbrodniarzy wojennych. Kalif natychmiast zareagował deklaracją, że to regularni żołnierze w mundurach, a jedynym, co martwi Chińczyków, jest fakt, że wojna, którą tak chętnie ponieśli innym, teraz zagościła na ich ziemi.

– Niezależnie od swego stanowiska w chińskiej administracji czy w wojsku, każdy odpowiedzialny osobiście i indywidualnie odpowie za wszelkie zbrodnie popełnione na naszych schwytanych żołnierzach.

Na użycie takiego języka mógł sobie pozwolić tylko pewny zwycięzca, jednak Chińczycy wzięli sobie do serca jego słowa. Od razu odpowiedzieli, że nastąpiło nieporozumienie i że żołnierze schwytani w mundurach będą traktowani jak jeńcy.

Dla Petry jednak najzabawniejszym elementem chińskiej polityki informacyjnej było to, że ciągle mówili o żołnierzach arabskich i indonezyjskich jak o „spadochroniarzach”. Zwyczajnie nie mogli uwierzyć, że lądowali na brzegu i tak szybko dotarli tak daleko.

I jeszcze coś. Jedna z amerykańskich sieci przekazała komentarz emerytowanego generała, który prawie na pewno dostawał raporty z obserwacji amerykańskich satelitów szpiegowskich. Uwagę Petry zwróciła jego wypowiedź: „Nie mogę zrozumieć, dlaczego chińscy żołnierze, wycofani kilka dni temu z Indii, by walczyć z inwazją na Xinjiang, nie zostali użyci w Xinjiang ani odesłani z powrotem do Indii. Nie mniej niż czwarta część chińskiej armii po prostu siedzi na miejscu i nie uczestniczy w walkach”.

Pokazała to Groszkowi, który uśmiechnął się tylko.

– Virlomi jest dobra – stwierdził. – Przytrzymała ich tam przez trzy dni. Ile czasu trzeba, żeby chińskim wojskom w Indiach zwyczajnie skończyła się amunicja?

– Nie możesz zaczynać totalizatora tylko z nami dwojgiem – odparła Petra.

– Przestań oglądać wojnę i wracaj do pracy.

– Po co mamy czekać na sygnał Achillesa? – zapytała. – Ja wciąż uważam, że wcale go nie wyśle. Dlaczego po prostu nie przyjąć zaproszenia Petera i nie dołączyć do niego przy szturmie na osiedle?

– Ponieważ Achilles myśli, że zwabia nas w pułapkę, i dlatego wpuści nas na teren osiedla bez strzału. Nikt nie zginie.

– Oprócz nas.

– Przede wszystkim, Petro, nie będzie żadnych „nas”. Jesteś ciężarną kobietą. Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś błyskotliwa w sprawach wojskowych. Nie stawię czoła Achillesowi, jeśli kobieta nosząca moje dziecko będzie zagrożona.

– Czyli mam siedzieć przed drzwiami i czekać, nie wiedząc, co się tam dzieje i czy jeszcze żyjesz?

– Czy musimy się teraz o to kłócić? Ja i tak umrę za parę lat, ale ty nie. I jeśli zginę, ale odzyskamy te embriony, wciąż możesz urodzić dzieci, lecz jeśli ty zginiesz, nie będzie nawet tego, które teraz w tobie rośnie.

– Nie, nie musimy się o to kłócić – odparła gniewnie Petra.

– A po drugie, nie będziesz siedziała przed drzwiami, bo zostaniesz tutaj, w Damaszku, słuchając wiadomości z wojny i czytając Koran.

– Albo oczy sobie wydrapując, bo niewiedza doprowadzi mnie do oblędu. Naprawdę chcesz mnie tu zostawić?

– Sam Achilles jest może uwięziony w osiedlu Hegemonii, ale wszędzie ma ludzi, którzy wykonują jego polecenia. Wątpię, czy wielu ich stracił, kiedy Chiny zerwały z nim wszelkie związki. O ile zerwały... Nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżała, bo to całkiem podobne do Achillesa: zabić cię, zanim w ogóle się zbliżysz do Ribeirão Preto.

– A dlaczego sądzisz, że ciebie nie zabije?

– Bo chce, żebym patrzył, jak umierają nasze dzieci.

Petra nie mogła się powstrzymać. Zwiesiła głowę i wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam – powiedział Groszek. – Nie chciałem...

– Oczywiście, że nie chciałeś mnie doprowadzić do płaczu. Ja też nie chciałam się rozpłakać. Nie zwracaj uwagi.

– Jak mogę nie zwracać uwagi? Ledwie rozumiem, co mówisz, a poza tym zasmarkalaś się i poplamisz klawiaturę.

– Wcale się nie zasmarkalam! – krzyknęła Petra, ale dotknęła nosa i odkryła, że Groszek ma rację. Chlipnęła, potem roześmiała się, wybiegła do łazienki i wytarła nos.

Kiedy wróciła, Groszek z zamkniętymi oczami leżał na łóżku.

– Przykro mi – powiedziała.

– Mnie bardziej – odparł cicho.

– Wiem, że musisz tam iść sam. Wiem, że muszę tu zostać. Wiem to wszystko, ale nie cierpię tego i tyle.

Groszek skinął głową.

– A dlaczego nie przeszukujesz sieci? – spytała.

– Bo wiadomość właśnie nadeszła.

Podeszła do jego komputera i spojrzała na monitor. Groszek połączył się z witryną aukcyjną i tam znalazł przesłanie:

Poszukiwana: Zdrowa macica

Pięć ludzkich embrionów gotowych do implantacji. Rodzice, absolwenci Szkoły Bojowej, zginęli w tragicznym wypadku. Wykonawcy testamentu muszą się pozbyć embrionów jak najszybciej. Prawdopodobnie urodzą się z nich wybitnie inteligentne dzieci. Dla każdego zaimplantowanego dziecka, które dotrwa do porodu, zostanie ustanowiony fundusz powierniczy. Chętni muszą wykazać, że nie potrzebują pieniędzy. Autorzy pięciu najwyższych ofert zgodzą się na sprawdzenie stanu majątkowego przez renomowaną firmę obrachunkową przed podjęciem ostatecznej decyzji.

– Odpowiedziałeś? – spytała Petra. – Czy zgłosiłeś ofertę?

– Wysłałem zapytanie, w którym sugerowałem, że interesuje mnie cała piątka i zgłoszę się po nie osobiście. Kazałem mu przesłać odpowiedź do jednej z moich martwych skrzynek.

– I nie sprawdzasz w poczcie, czy już coś nie przyszło?

– Petro, jestem wystraszony.

– Co za ulga. To sugeruje, że nie jesteś jednak szaleńcem.

– On wszystko potrafi przetrwać. Nie znam nikogo innego o takich zdolnościach. Znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji.

– Nie. To nie tak, że potrafi przetrwać. Potrafi zabijać.

– Nie jest martwy. Zatem...

– Nikt nie polował na niego przez pół życia – przypomniała mu. – Jego przetrwanie nie było specjalnym problemem. Ciebie przez całe lata ścigał patologiczny morderca, a jednak żyjesz.

– Nawet nie o to chodzi, że się boję, że mnie zabije – tłumaczył Groszek. – Choć sam sposób odejścia uważam za okropny. Wciąż planuję umrzeć tak, że zabije mnie nisko przelatujący samolot, bo za bardzo urosłem.

– Nie mam ochoty na te twoje makabryczne rozważania, jak mianowicie chcesz zginąć.

– Ale jeśli on mnie zabije, a potem jakoś się wyrwie stamtąd, co będzie z tobą?

– Nie wyrwie się stamtąd żywy.

– Może i nie. Ale jeśli ja zginę i wszystkie dzieci też?

– Będę miała to jedno.

– Będziesz żałować, że mnie pokochałaś. Zresztą wciąż nie mogę zgadnąć dlaczego.
– Nigdy nie będę żałować, że cię pokochałam. I zawsze będę się cieszyć, że marudziłam ci tak długo, aż w końcu uznałeś, że też mnie kochasz.
– Nie pozwól, żeby ktoś nadał dziecku jakieś głupie przezwisko, bo będzie takie małe.
– Żadnych jarzyn?
Na monitorze zaczęła mrugać ikona przychodzącej poczty.
– Masz wiadomość – powiedziała Petra.
Groszek westchnął, wstał, zajął miejsce przed komputerem i otworzył list.

Mój najstarszy przyjacielu, mam tu pięć małych prezencików z wypisanym na nich twoim imieniem i niewiele czasu, żeby ci je wręczyć. Szkoda, że bardziej mi nie ufałeś, bo nigdy nie zamierzałem cię skrzywdzić. Ale wiem, że na zaufanie nie mogę liczyć, dlatego zgadzam się, byś zjawił się z uzbrojoną eskortą. Spotkamy się na otwartym terenie, we wschodnim ogrodzie. Wschodnia brama będzie otwarta. Możesz wejść ty i pierwszych pięciu ludzi za tobą. Jeśli spróbuje ktoś jeszcze, wszyscy będziecie zastrzeleni.

Nie wiem, gdzie teraz jesteś, więc nie wiem, ile potrwa, zanim się tu zjawisz. Kiedy przyjdiesz, będę miał twoją własność w chłodzonym pojemniku, który utrzyma właściwą temperaturę przez sześć godzin. Gdyby w twojej eskorcie znalazł się specjalista z mikroskopem, możesz zbadać zawartość na miejscu, a potem przekazać specjaliście, by je wyniósł z osiedla.

Mam jednak nadzieję, że ty i ja będziemy mogli pogadać o dawnych czasach. Powspominać dni, kiedy zaprowadzaliśmy cywilizację na ulicach Rotterdamu. Przeszliśmy stamtąd bardzo długą drogę. Obaj zmieniliśmy świat. Ale ja bardziej niż ty, mały. Pewnie zazdrościsz, co?

Oczywiście, ożeniłeś się z jedyną kobietą, jaką kochałem, więc może rachunki trochę się wyrównują.

Naturalnie, nasza konwersacja byłaby tym przyjemniejsza, gdybyś na zakończenie wyprowadził mnie z osiedla i zagwarantował bezpieczny przelot do miejsca, które sam wybiorę. Zdaję sobie jednak sprawę, że możesz nie mieć takiej możliwości. Doprawdy, my, geniusze, jesteśmy istotami ograniczonymi. Wiemy, co jest najlepsze dla każdego, a jednak nie możemy tego zrealizować, póki nie przekonamy niższych istot, by wypełniały nasze sugestie. Zwyczajnie nie potrafią zrozumieć, jak bardzo byliby szczęśliwi, gdyby przestali myśleć samodzielnie. Nie są do tego

przystosowani. Uspokój się, Groszek. To był tylko żart. Albo niemiała prawda, co często na jedno wychodzi.

Ucałuj ode mnie Petrę. Daj znać, kiedy mam otworzyć bramę.

- Naprawdę mu się wydaje, że uwierzysz? Że tak zwyczajnie pozwoli ci odebrać dzieci?
- Wiesz, sugeruje wymianę za swoją wolność – zauważył Groszek.
- Sugeruje tylko twoje życie za ich.
- Hm... Tak to odczytałaś?
- To właśnie napisał i doskonale o tym wiesz. Spodziewa się, że obaj tam zginiecie.
- Najważniejsze pytanie brzmi: Czy on naprawdę ma tam embriony?
- Mogą leżeć gdzieś w laboratorium w Moskwie albo w Johannesburgu, albo już na śmietniku gdzieś w Ribeirão.
- I kto tu ma makabryczne pomysły?
- To jasne, że nie udało mu się przekazać ich do implantacji – stwierdziła Petra. – Nie mają już dla niego żadnej wartości. Dlaczego miałby ci je oddać?
- Nie powiedziałem, że zgodzę się na jego warunki – przypomniał Groszek.
- Ale się zgodzisz.
- Najtrudniejsza przy porwaniu jest zawsze wymiana, okup za zakładnika. Ktoś zawsze musi komuś zaufać i oddać swoją część, zanim dostanie to, co ma ten drugi. Ale ten przypadek jest wyjątkowy, bo on właściwie niczego ode mnie nie chce.
- Oprócz twojej śmierci.
- Przecież wie, że i tak umieram. Wszystko wydaje się takie bezsensowne...
- On jest nienormalny, Julianie. Nie słyszałeś o tym?
- Tak, ale jego wnioski mają sens. Dla niego. Rozumiesz, nie jest schizofrenikiem. Widzi tę samą rzeczywistość co my wszyscy. Nie żyje w świecie złudzeń. Po prostu jest patologicznie pozbawiony sumienia. Więc jak niby planuje to rozegrać? Zastrzeli mnie, jak tylko wejść? A może pozwoli mi wygrać, da mi się nawet zabić, tylko po to żeby ze mnie zażartować, bo te embriony, które odda, nie będą nasze, tylko będą skutkiem tragicznego związku pary głupich osób. Może dwojga dziennikarzy.
- Żartujesz sobie, Groszek, a ja...
- Muszę złapać najbliższy samolot. Jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć, wyślij e-maila. Sprawdzę pocztę przynajmniej jeszcze raz, zanim pójde się spotkać z tym chłopaczkiem.
- On ich nie ma – powiedziała Petra. – Przekazał je już swoim wspólnikom.
- To możliwe.
- Nie idź tam.
- A to niemożliwe.

– Groszek, jesteś sprytniejszy od niego, ale jego przewaga polega na tym, że jest brutalniejszy od ciebie.

– Nie bądź taka pewna.

– Nie rozumiesz, że obu was znam lepiej niż kogokolwiek innego na świecie?

– Nieważne, jak dobrze nam się zdaje, że znamy ludzi; w końcu i tak wszyscy jesteśmy sobie obcy.

– Och, Groszku, powiedz, że w to nie wierzysz!

– To oczywista prawda.

– Znam ciebie – upierała się.

– Nie, nie znasz. Ale to nic takiego, bo ja właściwie też siebie nie znam. Nigdy nikogo nie rozumiemy, nawet samych siebie. Ale Petro, cicho... Posłuchaj. Dokonailiśmy czegoś, stworzyliśmy coś nowego. To małżeństwo. Składa się z nas dwojga i razem jesteśmy czymś innym. To coś znamy. Nie ciebie, nie mnie, ale to, czym jesteśmy, kim jesteśmy wspólnie. Siostra Carlotta cytowała kogoś z Biblii, jak to mężczyzna i kobieta biorą ślub i stają się jednym ciałem. Bardzo mistyczne i na granicy dziwactwa. Ale w pewnym sensie również prawdziwe. I kiedy umrę, nie będziesz już miała Groszka, ale pozostanie ci Petra-z-Groszkiem, Groszek-z-Petrą, czy jakkolwiek nazwiemy tę nową istotę, która z nas powstała.

– Czyli przez te wszystkie miesiące, które spędziłam z Achillesem, zbudowaliśmy jakąś obrzydliwą, potworną istotę, Petrę-z-Achillesem? To chcesz powiedzieć?

– Nie – zaprzeczył Groszek. – Achilles nie buduje niczego. Znajduje rzeczy, podziwia je, a potem rozrywa na strzępy. Nie istnieje Achilles-z-kimś. On jest... pusty.

– No to co się stało z tą teorią Endera, że musisz naprawdę poznać przeciwnika, żeby go pokonać?

– Wciąż jest prawdziwa.

– Ale jeśli nikogo nie możesz poznać...

– W wyobraźni – wyjaśnił Groszek. – Ender nie był wariatem. Wiedział, że to możliwe tylko w wyobraźni. Starasz się oglądać świat oczami swojego przeciwnika, żeby zrozumieć, co to wszystko dla niego znaczy. Im bardziej się starasz, im więcej czasu spędzasz w świecie widzianym przez niego, tym lepiej rozumiesz, jak patrzy na pewne sprawy, jak sam sobie tłumaczy to, co robi.

– I tak robiłeś z Achillesem?

– Tak.

– Czyli myślisz, że wiesz, co ma zamiar zrobić?

– Mam krótką listę zachowań, których się po nim spodziewam.

– A jeśli się mylisz? Bo tylko to jest praktycznie pewne: jakkolwiek będziesz przewidywał postępowanie Achillesa, prawie na pewno będziesz w błędzie.

– To jego specjalność.

– Czyli twoja lista...

– Ale widzisz, kiedy ją układałem, pomyślałem o wszystkim tym, czego się po nim spodziewam, a potem nie wpisałem żadnej z tych rzeczy. Wpisałem tylko te, o których myślę, że ich nie zrobi.

– To się uda – stwierdziła Petra.

– Może.

– Obejmij mnie, zanim odejdiesz – poprosiła.

Tak zrobił.

– Petro, wydaje ci się, że już mnie więcej nie zobaczysz. Ale ja jestem prawie pewien, że znów będziemy razem.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jakie przerażające jest to „prawie”?

– Mogę umrzeć na zapalenie wyrostka robaczkowego w samolocie, w drodze do Ribeirão Preto. Nigdy nie jestem niczego pewien bardziej niż prawie.

– Oprócz tego, że cię kocham.

– Oprócz tego, że oboje się kochamy.

Lot był zwykłą męczarnią długich godzin w ciasnej, zamkniętej przestrzeni. Na szczęście Groszek leciał na zachód, więc zmiany czasu nie prowadziły do tak wielkiego ośpienia. Zdawało mu się, że mógłby wkroczyć do osiedla, kiedy tylko tam dotarł, ale szybko z tego zrezygnował. Musiał myśleć jasno. Musiał zachować zdolność improwizacji i błyskawicznego działania pod wpływem impulsu. Musiał się wyspać.

Peter czekał na niego przy drzwiach samolotu – stanowisko Hegemona daje człowiekowi kilka przywilejów niedostępnych zwykłym ludziom na lotnisku.

Sprowadził go po schodach, ale zamiast zejść z płyty, wsiedli do samochodu, który zawiózł ich prosto do hotelu, gdzie umieszczono stanowisko dowodzenia MF. Żołnierze MF pilnowali wszystkich wejść. Peter zapewnił, że w sąsiednich budynkach – w samym hotelu także – rozstawiono snajperów.

– A więc – zaczął Peter, gdy tylko znaleźli się sami w pokoju Groszka – jaki jest plan?

– Mówisz tak, jakbyś wierzył, że mam jakiś plan.

– Nie masz nawet celu?

– Mam dwa cele – odparł Groszek. – Kiedy wykradł nasze embriony, obiecałem Petrze, że je odzyskam i przy okazji zabiję Achillesa.

– Ale nie masz pojęcia, jak tego dokonać.

– Jakieś mam. Lecz żaden plan i tak się nie powiedzie, więc staram się do żadnego nie przywiązywać.

– Achilles nie jest już właściwie ważny – stwierdził Peter. – To znaczy jest ważny, bo praktycznie rzecz biorąc, wszyscy w osiedlu są jego zakładnikami, ale na arenie światowej polityki stracił wszelkie wpływy. Wszystko poszło z dymem, kiedy zestrzelił ten prom, a Chińczycy się go wyparli.

Groszek pokręcił głową.

– Naprawdę sądzisz, że jeśli wydostanie się stąd żywy, nie wróci do swoich dawnych gier? Że nikt już nie da się nabrać na jego sztuczki?

– Zapewne nie brakuje ludzi w rozmaitych rządach, którzy marzą o władzy i których potrafi uwieść, albo takich z lękami, które potrafi wykorzystać.

– Peter, jestem tutaj, żeby mógł się nade mną znęcać i w końcu mnie zabić. Dlatego mnie ściągnął. To jest jego cel. Jego plan.

– Jeżeli tylko on ma plan, to...

– Otóż to, Peter. Tym razem to on ma plan. A ja jestem tym, który może go zaskoczyć, nie robiąc tego, czego się spodziewał.

– Dobrze – zgodził się Peter. – Wchodzę w to.

– Co?

– Przekonałeś mnie. Wchodzę.

– Wchodzisz gdzie?

– Wchodzę z tobą przez bramę.

– Nie, nie wchodzisz.

– Jestem Hegemonem. Nie mogę czekać za murem, kiedy ty w środku będziesz ratował moich ludzi.

– Będzie zachwycony, mogąc cię zlikwidować razem ze mną.

– Ciebie pierwszego.

– Nie. Ciebie pierwszego.

– Wszystko jedno – rzekł Peter. – Nie przejdziesz przez bramę, jeśli nie będę jednym z tej piątki.

– Posłuchaj mnie, Peter – powiedział Groszek. – Znaleźliśmy się w tej sytuacji, bo uważasz się za sprytniejszego od wszystkich. I niezależnie od tego, jakiej kto udziela ci rady, i tak leżysz naprzód bez sensu i zawsze robisz coś niewiarygodnie głupiego.

– Ale zostaję potem i staram się wszystko posklejać.

– To rzeczywiście muszę ci przyznać.

– Nie zrobię niczego, jeśli mi nie każesz – obiecał Peter. – To twoje przedstawienie.

– Cała piątka z mojej eskorty to muszą być świetnie wyszkoleni żołnierze.

– Wcale nie. Bo jeśli wybuchnie strzelanina, tych pięciu i tak nie wystarczy. Czyli musisz liczyć na to, że strzelaniny nie będzie. A więc mogę być jednym z nich.

– Ale ja nie chcę ginąć z tobą przy boku – zirytował się Groszek.

– I bardzo dobrze, bo ja też nie chcę ginąć z tobą przy boku.

– Ty masz przed sobą jeszcze siedemdziesiąt do osiemdziesięciu lat. Chcesz je zaryzykować? Co do mnie, stawiam tylko to, co wygrałem.

– Jesteś najlepszy, Groszek – stwierdził Peter.

– To było w szkole. Jakimi armiami dowodziłem od tego czasu? Teraz walczą już inni. Nie jestem najlepszy. Wycofałem się.

– Nie możesz się wycofać z własnego umysłu.

– Ludzie często się wycofują z własnych umysłów. Ty tylko swojej reputacji nie możesz odpuścić.

– Wiesz, bardzo lubię dyskutować z tobą o filozofii – zapewnił nagle Peter. – Ale musisz się wyspać, i ja też. Zobaczymy się rano przy wschodniej bramie.

Po chwili był już za drzwiami.

Dlaczego tak nagle wyszedł?

Groszek miał niejasne podejrzenie, że w końcu uwierzył w ten brak planu, a więc i brak gwarancji sukcesu. Prawdę mówiąc, brak nawet przyzwoitej szansy na sukces, jeśli za sukces uznać taki wynik, w którym Achilles ginie, a Groszek zostaje przy życiu i odzyskuje dzieci. Peter na pewno musiał szybko wykupić ubezpieczenie na życie. Albo zaaranżować jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę, która absolutnie uniemożliwi mu przejście z Groszkiem przez bramę. „Tak mi przykro, żałuję, że nie mogę iść z tobą, ale na pewno sam sobie poradzisz”.

Groszek sądził, że nie będzie mógł zasnąć. Zdrzemnął się przecież kilka razy w samolocie, w dodatku odczuwał napięcie przed jutrzejszymi wydarzeniami.

Więc naturalnie zasnął tak szybko, że nie pamiętał nawet, jak gasił światło.

Rankiem wstał i wysłał wiadomość do Achillesa, wyznaczając czas spotkania za godzinę. Potem napisał krótki list do Petry, by wiedziała, że o niej myśli – na wypadek gdyby to był ostatni dzień jego życia. A potem jeszcze list do rodziców i osobny do Nikolaia. Jeśli przynajmniej uda mu się pociągnąć za sobą Achillesa, będą bezpieczni. To już coś.

Zszedł na dół i odkrył, że Peter już na niego czeka przy wozie MF, który miał ich dowieźć do linii wart ustawionych wokół osiedla. Jechali w milczeniu, bo właściwie nie mieli już o czym rozmawiać.

Przy wschodniej bramie Groszek szybko się przekonał, że Peter nie kłamał. MF zaakceptowała jego pomysł, żeby wejść z grupą Groszka. No trudno. Tak naprawdę się nie spodziewał, żeby jego towarzysze mieli wiele do roboty.

Zgodnie z jego życzeniem, przekazanym jeszcze z Damaszku, MF sprowadziła umundurowanego lekarza, dwóch doskonale wyszkolonych snajperów i w pełni wyposażony zespół saperski. Jeden z saperów miał mu towarzyszyć.

– Achilles przyniesie pojemnik, który podobno ma być chłodzonym kontenerem zawierającym zamrożone embriony – wyjaśniał saperowi Groszek. – Jeśli każe panu wynieść go na zewnątrz, to znaczy, że jestem pewien, że to bomba albo zawiera jakieś toksyny i tak ma być traktowany, nawet jeśli będę mówił coś całkiem innego. Gdyby się okazało, że to jednak embriony... Cóż, to już mój błąd i sam wytłumaczę wszystko żonie. Jeśli poproszę

lekarza o wyniesienie kontenera, to znaczy, że jestem pewien, że zawiera embriony, i powinien być traktowany odpowiednio.

– A jeśli nie będziesz pewien? – zapytał Peter.

– Wtedy nie przekażę go nikomu – odparł Groszek.

– Czemu sam pan go nie wyniesie? – zdziwił się saper. – I nie powie nam, co robić, kiedy już znajdzie się za bramą?

Odpowiedział mu Peter:

– Pan Delphiki nie spodziewa się, że wyjdzie stamtąd żywy.

– Moim celem jest, żebyście wy, cała czwórka, wyszli z tego cali i zdrowi – tłumaczył Groszek. – Nie będzie na to żadnych szans, jeśli ktoś zacznie strzelać. Dlatego nikt z was nie będzie miał ze sobą nabitej broni.

Spojrzeli na niego, jakby oszalał.

– Nie wejdę tam nieuzbrojony – oświadczył któryś z nich.

– Świetnie – zgodził się Groszek. – Będzie o jednego mniej. Nie mówił, że muszę sprowadzić pięciu.

– Technicznie rzecz biorąc – zwrócił się Peter do snajpera – nie będzie pan nieuzbrojony. Tyle że broń będzie nienaładowana. Oni będą pana traktować tak, jakby pan miał naboje, bo skąd mają wiedzieć, że pan nie ma?

– Jestem żołnierzem, nie aktorem – oświadczył tamten i odszedł.

– Jeszcze ktoś? – spytał Groszek.

W odpowiedzi drugi snajper wyjął magazynek, wyrzucił z niego naboje, po czym przeładował, usuwając także nabój z komory.

– Ja i tak nie noszę broni – stwierdził lekarz.

– Nie potrzebuję nabitego pistoletu, żeby wynieść bombę – dodał saper.

Z włoskim plastikowym pistoletem²² wetkniętym już z tyłu za pasek, Groszek jako jedyny w grupie miał nabitą broń.

– Chyba możemy już ruszać – powiedział.

Kiedy przez bramę wkroczyli do wschodniego ogrodu, był oślepiająco jasny tropikalny poranek. Ptaki na wszystkich drzewach wyrzaskiwały swoje trele, jakby próbowały nauczyć się czegoś na pamięć, ale coś im nie szło.

W polu widzenia nie było nikogo.

Groszek nie zamierzał wędrować po osiedlu w poszukiwaniu Achillesa. I stanowczo nie zamierzał oddalać się od bramy. Dlatego po mniej więcej dziesięciu krokach zatrzymał się, a wraz z nim pozostali.

Czekali.

Nie trwało to długo. Po chwili na otwarty teren wyszedł żołnierz w mundurze Hegemonii. Potem drugi, i kolejni. Wreszcie zjawił się piąty.

Suriyawong.

Nie dał znaku, że kogoś rozpoznaje. Patrzył przez Groszka i Petera, jakby byli dla niego nikim.

Za nimi stanął Achilles – ale trzymał się blisko drzew, żeby nie stanowić łatwego celu dla snajperów. Jak obiecał, trzymał w ręku małą turystyczną lodówkę.

– Groszek – odezwał się z uśmiechem. – Ależ urosłeś.

Groszek milczał.

– Widzę, że nie masz nastroju do żartów. Szczerze mówiąc, ja też nie. Dla mnie to wzruszająca chwila, zobaczyć cię znowu. Jako mężczyznę. Biorąc pod uwagę, że pamiętam cię takiego małego.

Wyciągnął rękę z lodówką.

– Są tutaj.

– Chcesz mi je tak zwyczajnie oddać?

– Nie są mi już do niczego potrzebne. Na aukcji nie zjawili się żadni chętni.

– Volescu zadał sobie wiele trudu, żeby je dla ciebie zdobyć – zauważył Groszek.

– Jakiego trudu? Przekupił strażnika. Moimi pieniędzmi.

– A właściwie jak go skłoniłeś do współpracy?

– Był mi winien przysługę – wyjaśnił Achilles. – To ja wyciągnąłem go z więzienia. Skłoniłem naszego genialnego, obecnego tu Hegemona, żeby przekazał mi prawo zwalniania więźniów, których przestępstwa przestały być przestępstwami. Nie skojarzył, że wypuszczę na swobodę twojego stwórcę.

Uśmiechnął się szeroko do Petera.

Peter nie odpowiedział.

– Dobrze wyszkoliłeś tych ludzi, Groszek – stwierdził Achilles. – Być z nimi to jak... jak znowu spotkać się z rodziną. Wiesz, jak na ulicach.

Groszek nie odpowiedział.

– No tak. Widzę, że nie masz ochoty na pogawędkę. Weź te embriony.

Groszek zapamiętał pewien bardzo ważny fakt. Achillesowi nie zależało, by ofiary mordować własnoręcznie. Wystarczało mu, że zginą, niekoniecznie w jego obecności.

Zwrócił się do sapers.

– Proszę wyświadczyć mi przysługę i zabrać te embriony za bramę. Chcę jeszcze zostać i porozmawiać chwilę z Achillesem.

Saper podszedł i sięgnął po lodówkę.

– Zawartość może się uszkodzić? – spytał.

– Jest bardzo dobrze opakowana i zabezpieczona, ale nie radzę grać tym w piłkę – odparł Achilles.

Po kilku krokach saper zniknął za bramą.

– Więc o czym masz ochotę pogadać? – zapytał Achilles.

– O paru drobnych sprawach, które mnie zaciekały.
– Słucham. Może odpowiem.
– Pamiętasz, w Hajdarabadzie? Był tam chiński oficer, który cię znokautował, żeby znaleźć wyjście z tej patowej sytuacji.

– Ach, to był on?

– Co się z nim stało?

– Nie jestem pewien. Mam wrażenie, że parę dni później jego śmigłowiec został zestrzelony w bitwie.

– Hm... – mruknął Groszek. – Szkoda. Chciałem go spytać, jakie to uczucie, tak ci przyłożyć.

– Wiesz co, Groszek? Czy nie jesteśmy obaj za starzy na takie złośliwości?

Za bramą rozległa się stłumiona eksplozja.

Achilles spojrzał zaskoczony.

– Co to było?

– Jestem prawie pewien – wyjaśnił Groszek – że to wybuch.

– Czego?

– Bomby, którą próbowałeś mi wręczyć. W tym kontenerze.

Przez moment Achilles starał się grać niewiniątko.

– Nie wiem, o czym...

Po czym wyraźnie sobie uświadomił, że nie ma co udawać niewiedzy, skoro pojemnik właśnie eksplodował. Wyjął z kieszeni zdalny detonator i kilka razy wcisnął guzik.

– Niech diabli porwą całą tę nowoczesną technikę. Nic nigdy nie działa jak powinno. – Uśmiechnął się do Groszka. – Ale musisz przyznać, że się starałem.

– A więc... masz te embriony czy nie? – spytał Groszek.

– Mam. Są bezpieczne.

Groszek wiedział, że to kłamstwo. Już wczoraj doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej embriony w ogóle tu nie trafiły. Oplacało się jednak udawać, że wierzy. Poza tym zawsze istniała szansa, że Achilles jednak nie skłamał.

– Pokaż.

– Musisz wejść dalej.

– Dobrze.

– W ten sposób wyjdziemy poza zasięg ognia snajperów, których na pewno rozstawiliście dookoła osiedla, i teraz tylko czekają, żeby mnie sprzątnąć.

– Za to wejdziemy w zasięg tych, którym kazałeś tam na mnie czekać.

– Groszek, bądź realistą. Zginiesz, kiedy tylko zechcę, żebyś zginął.

– Wiesz, to nie do końca prawda – zauważył Groszek. – O wiele częściej chciałeś, żebym zginął, niż rzeczywiście ginąłem.

Achilles wyszczerzył zęby.

– Wiesz, co mi powiedziała Buch tuż przed tym wypadkiem, kiedy wpadła do Renu?

Groszek nie odpowiedział.

– Mówiła, że nie powinienem mieć do ciebie pretensji o to, że kazałeś jej mnie zabić, kiedy pierwszy raz się spotkałiśmy. To małe dziecko, tłumaczyła. Nie wiedział, co mówi.

Groszek wciąż milczał.

– Chciałbym ci powtórzyć ostatnie słowa siostry Carlotty, ale wiesz, jak to jest z przypadkowymi ofiarami w czasie wojny. Nie ma żadnego ostrzeżenia.

– Embriony – przypomniał Groszek. – Powiedziałaś, że mi pokażesz, gdzie są.

– Dobrze – zgodził się Achilles. – Chodźcie.

Gdy tylko się odwrócił, lekarz spojrział na Groszka i nerwowo pokręcił głową.

– W porządku – odpowiedział Groszek jemu i snajperowi. – Możecie wyjść. Nie będziecie już potrzebni.

Achilles obejrzał się.

– Zwalniasz swoją eskortę?

– Prócz Petera. Nalegał, żeby ze mną zostać.

– Nie słyszałem tego – stwierdził Achilles. – Ostatnio bardzo mu zależało, żeby szybko stąd zniknąć... Myślałem, że nie będzie chciał wracać.

– Usiłuję zrozumieć, jak ci się udało oszukać tylu ludzi – odezwał się Peter.

– Ale was nie staram się oszukać – zapewnił Achilles. – Choć rozumiem, czemu ktoś taki jak ty chciałby mieć jako materiał badawczy jakiegoś naprawdę wybitnego kłamcę.

Roześmiał się głośno i ruszył do głównego budynku biurowego.

Po drodze Peter zbliżył się do Groszka.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – zapytał.

– Już ci mówiłem. Nie mam pojęcia.

W holu budynku wyszło im na spotkanie kolejnych kilkunastu żołnierzy. Groszek znał ich wszystkich z imienia, ale nie odezwał się. Oni także nie patrzyli mu w oczy i nawet gestem nie zdradzili, że go poznają.

Czego chce Achilles? – zastanawiał się. Jego wstępny plan polegał na tym, żeby odesłać mnie poza osiedle ze zdalnie detonowaną bombą, więc raczej nie zamierza zachować mnie przy życiu. Teraz jestem otoczony przez żołnierzy, ale nie każe im strzelać.

Achilles odwrócił się i stanął przed nim.

– Groszek, nie uwierz, że nie zorganizowałeś czegoś, żeby mnie stąd wyciągnąć.

– Dlatego próbowałeś wysadzić mnie w powietrze?

– To było wtedy, kiedy sądziłem, że spróbujesz mnie zabić, kiedy tylko uznasz, że masz już embriony. Właściwie dlaczego nie próbowałeś?

– Bo wiedziałem, że nie mam embrionów.

– Czy ty i Petra myślicie już o nich jak o swoich dzieciach? Nadaliście im imiona?

– Nie zorganizowano niczego, co pozwoliłoby ci opuścić to osiedle, ponieważ nie masz już dokąd iść. Jedyni ludzie, którym mógłbyś się jeszcze przydać, zajęci są podstawianiem tyłków pod kopniaki gromady wkurzonych muzułmanów. Sam dopilnowałeś, żeby w całym kosmosie nie było takiego miejsca, kiedy zestrzeliłeś ten prom.

– Bądź sprawiedliwy, Groszek. Przecież nikt nie miał się dowiedzieć, że to ja. Ale ktoś naprawdę powinien mi wyjaśnić, jak to się stało, że w tym promie nie było Petera. Podejrzewam, że ktoś złapał mojego informatora.

Spoglądał to na Groszka, to na Petera, czekając na odpowiedź.

Groszek nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Peter również zachował milczenie. A gdyby Achilles jakoś wyszedł cało z tej sytuacji? Po co ściągać jego zemstę na człowieka, który ma już dość kłopotów?

– Ale jeśli wykryliście informatora – ciągnął Achilles – dlaczego Chamrajnagar... albo Graff, jeśli to on... jednak wypuścił ten prom? Czy przyłapanie mnie na czymś nieładnym było tak ważne, by zaryzykować prom i załogę? Uważam to za... pochlebne. Coś jakby dostać Nagrodę Nobla w kategorii największych złoczyńców.

– Myślę – odezwał się Groszek – że wcale nie masz tych embrionów. Myślę, że pozbyłeś się ich od razu. Myślę, że są już zaimplantowane zastępczym matkom.

– Błąd – stwierdził Achilles.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął niewielki pojemnik. Dokładnie taki, w jakich zamrażano embriony.

– Przyniosłem jednego, żeby ci pokazać. Oczywiście, trochę już pewnie odtajał; wiesz, ciepło ciała i w ogóle. Jak myślisz? Zdążymy jeszcze zaimplantować komuś tego malucha? Petra jest w ciąży, jak słyszałem, więc się nie nada. Już wiem! Matka Petera! Zawsze taka chętna do pomocy, no i przyzwyczaiła się już do rodzenia geniuszy. Masz, Peter. Łap!

Rzucił pojemnik, ale za mocno, tak że przeleciał nad wyciągniętymi rękami Petera i upadł na podłogę. Nie stłukł się, ale toczył i toczył...

– Nie podniesiesz? – spytał Groszka Achilles.

Groszek wzruszył ramionami. Podszedł do pojemnika, który wreszcie znieruchomiał. Płyn wewnątrz falował, całkiem roztopiony.

Przydepnął pojemnik, skruszył, rozgniół butem.

Achilles gwizdnął.

– O rany! Jesteś bardzo surowym ojcem. Twoim dzieciom nic nie ujdzie na sucho.

Groszek podszedł do niego.

– Daj spokój – powiedział Achilles. – Rozumiem, że mogłeś się zirytować, ale kiedy niby miałem okazję, żeby pograć w piłkę? Dorastałeś tam gdzie ja. Nic nie poradzę, że nie potrafię celnie rzucać.

Wciąż mówił ironicznym tonem, lecz Groszek widział, że zaczyna się bać. Spodziewał się pewnie, że będzie prosił, rozpaczał – straci jasność umysłu i pozwoli Achillesowi

zachować panowanie nad sytuacją. Ale Groszek patrzył teraz oczami Achillesa i wiedział: Masz robić to, co zdaniem twojego wroga nie mogłoby ci nawet przyjść do głowy. Po prostu to robisz.

Sięgnął do kabury na plecach i wyjął pistolet. Wymierzył w prawe oko Achillesa, potem w lewe.

Achilles odstepił o kilka kroków.

– Nie możesz mnie zabić – powiedział. – Nie wiesz, gdzie są embriony.

– Wiem, że ich nie masz. I że nie dostanę ich, jeśli nie dam ci stąd odejść. A nie dam. To chyba znaczy, że embriony są dla mnie stracone na zawsze. Dlaczego mam ci pozwolić żyć dalej?

– Suri! – zawołał Achilles. – Zasnąłeś?

Suriyawong wyjął z pochwy długi nóż.

– Nie tego teraz potrzebuję! On ma pistolet!

– Nie ruszaj się, Achillesie – rzekł Groszek. – Przyjmij to jak mężczyzna. Jeśli chybię, możesz przeżyć i resztę swoich dni spędzisz z uszkodzonym mózgiem, jak skorupa człowieka. Wolimy chyba, żeby wszystko odbyło się czysto, szybko, ostatecznie, prawda?

Achilles wyjął z kieszeni następny pojemnik.

– Ten jest prawdziwy. – Wyciągnął rękę. – Zabiłeś jednego, ale zostały jeszcze cztery.

Groszek wybił mu pojemnik z ręki. Szkło roztrzaskało się o posadzkę.

– Znam cię – rzekł Groszek. – Wiem, że nigdy nie złożyłbyś mi obietnicy, którą potrafiłbyś spełnić.

– Suriyawong! – wrzasnął Achilles. – Zastrzel go!

– Sir! – odpowiedział Suriyawong.

Było to pierwsze słowo, jakie wymówił, odkąd Groszek przeszedł przez wschodnią bramę.

Suriyawong przyklęknął, położył nóż na gładkiej posadzce i pchnął. Nóż zatrzymał się przy stopie Achillesa.

– Co to niby ma znaczyć? – zapytał gniewnie Achilles.

– Wypożyczenie noża – wyjaśnił Suriyawong.

– Przecież on ma pistolet!

– Spodziewam się, że sam pan rozwiąże swoje problemy, nie narażając na śmierć żadnego z moich ludzi.

– Zabij go! – krzyczał Achilles. – Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi!

– Mówiłem od początku – wyjaśnił Suriyawong. – Służę Hegemonowi.

Po czym odwrócił się plecami. To samo zrobili jego żołnierze.

Teraz Groszek zrozumiał, dlaczego Suri tak bardzo się starał, by zdobyć zaufanie Achillesa: żeby w takiej chwili jak ta móc go zdradzić.

Achilles zaśmiał się nerwowo.

– Daj spokój, Groszek. Przecież znamy się od dawna. – Cofnął się pod ścianę. Próbował się o nią oprzeć, ale nogi mu osłabły i zaczął się osuwać w dół. – Znam cię, Groszek – powiedział. – Nie możesz z zimną krwią zamordować człowieka, choćbyś nie wiem jak go nienawidził. Nie jesteś do tego zdolny.

– Jestem – odparł Groszek.

Wymierzył w prawe oko Achillesa i pociągnął za spust. Oko zamknęło się od podmuchu kuli przelatującej między powiekami, kiedy rozprysnęła się gałka oczna. Głowa szarpnęła lekko od uderzenia niewielkiego pocisku wbijającego się, ale nie wylatującego z ciała.

Achilles upadł na podłogę. Martwy.

Nie przywróciło to życia Buch ani siostrze Carlotcie, ani nikomu, kogo zabił. Nie zmieniło państw tego świata w te, którymi były, zanim zmienił je w klocki, by ustawiać i burzyć, jak tylko zechciał. Nie zakończyło wojen, które rozpoczął. I nie sprawiło, że Groszek poczuł się lepiej.

Zemsta nie daje radości, a sprawiedliwość też bardzo mało.

Jedno było pewne: Achilles już nigdy nikogo nie zabije.

Tylko tyle mógł Groszek oczekiwać od małego płaskiego pistoletu.

Dom

From: YourFresh%Vegetable@Freebie.net
To: MyStone%Maiden@Freebie.net
Subject: Wracaj do domu

Jest martwy.

Ja nie.

Nie miał ich.

Znajdziemy je tak czy inaczej, zanim umrę.

Wracaj do domu. Nikt już nie próbuje cię zabić.

Petra leciała rejsowym odrzutowcem. Bilet kupiła na swoje nazwisko, używając własnego paszportu.

W Damaszku wrzało, gdyż stał się teraz stolicą świata islamu, zjednoczonego po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat. Przywódcy szyitów i sunnitów deklarowali posłuszeństwo kalifowi. A miasto znalazło się w samym centrum wydarzeń.

Ona jednak była podekscytowana z całkiem innych powodów. Po części dlatego, że dziecko dorastało w jej łonie i całe ciało zaczynało się już zmieniać. Po części z ulgi, że wreszcie stracił ważność wyrok śmierci, jaki Achilles wydał na nią tak dawno temu.

Głównie jednak chodziło o to oszałamiające uczucie, że była na granicy utraty wszystkiego, a jednak wygrała. Ogarnęło ją nagle, kiedy szła między rzędami foteli w samolocie. Kolana się pod nią ugięły i niewiele brakowało, by upadła.

Idący za nią mężczyzna podtrzymał ją za łokieć i pomógł odzyskać równowagę.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał.

– Jestem trochę w ciąży – odpowiedziała.

– Zanim dziecko podrośnie, musi pani oduczyć się takiego przewracania.

Roześmiała się, podziękowała, potem włożyła torbę na półkę – bez pomocy, dziękuję bardzo – i usiadła.

Z jednej strony smutny był taki lot bez siedzącego obok męża.

Z drugiej jednak to cudowne uczucie – lecieć do domu. Do niego.

Wyszedł po nią na lotnisko i objął mocno. Miał takie długie ręce... Czy urosły jeszcze przez te kilka dni, kiedy się nie widzieli?

Nie chciała o tym myśleć.

– Słyszałam, że ocaliłeś świat – powiedziała, kiedy już ją wypuścił.

– Nie wierz we wszystkie plotki.

– Mój bohaterze...

– Wolę być twoim kochankiem – szepnął.

– Mój olbrzymie – odpowiedziała także szeptem.

Na co on objął ją znowu, a potem wyprostował się, podnosząc ją z ziemi. Roześmiała się, kiedy zakręcił nią wkoło jak dzieckiem.

Tak jak to robił jej ojciec, kiedy była jeszcze mała.

Tak jak Groszek nigdy nie będzie mógł robić ze swoimi dziećmi.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał.

– Mam tylko łzy w oczach. To nie jest płacz. Widziałeś, jak płaczę, i to coś całkiem innego. To są łzy typu „jestem szczęśliwa, że cię widzę”.

– Jesteś po prostu szczęśliwa, że wróciłaś do miejsca, gdzie drzewa zwyczajnie rosną, a nie są przywożone z daleka, sadzone i podlewane.

Kilka minut później wyszli z budynku lotniska – i okazało się, że miał rację. Była szczęśliwa, że nie jest już na pustyni. Przez te kilka lat, które przeżyli w Ribeirão, odkryła w sobie zamiłowanie do bujnej roślinności. Lubiała, by Ziemia żyła wokół niej, by wszystko było zielone, by fotosynteza działa się publicznie, bez cienia skrępowania. Lubiała te formy życia, które jadły światło słońca i piły deszcz...

– Dobrze jest wrócić do domu – powiedziała.

– Teraz ja też wróciłem – odparł Groszek.

– Przecież już tu byłeś.

– Ale ciebie nie było, aż do teraz.

Westchnęła i przytuliła się do niego.

Wsiedli do pierwszej taksówki.

Pojechali do osiedla Hegemonii, oczywiście. Ale zanim poszli do domu – jeśli to wciąż był ich dom, ponieważ zrezygnowali z niego, kiedy tamtego dnia na Filipinach porzucili służbę – Groszekabrał ją do gabinetu Hegemona.

Peter czekał, razem z Graffem i Wigginami. Były uściski, ucałowania i podawanie rąk, które zmieniał się w uściski.

Peter opowiedział jej, co zaszło w przestrzeni. Potem kazali Petrze opowiadać, co się dzieje w Damaszku, chociaż protestowała, że nic ciekawego – zwykle miasto cieszące się zwycięstwem.

– Wojna się jeszcze nie skończyła – zauważył Peter.

– Cieszą się zjednoczeniem muzułmanów.

– Tylko czekać – wtrącił Jan Paweł – jak zjednoczą się Żydzi i Chryścijanie. W końcu jedyne, co ich różni, to ta sprawa z Jezusem.

– To dobrze, że będzie mniej podziałów na świecie – uznała Theresa.

– Myślę, że przeżyjemy jeszcze o wiele więcej podziałów – odparł Jan Paweł – żeby w końcu było ich mniej.

– Powiedziałam, że w Damaszku świętują – przypomniała Petra. – A nie, że powinni. Widać już zbliżające się problemy. Któryś z imamów głosi, że Indie i Pakistan znowu muszą się połączyć pod wspólnym rządem.

– Niech zgadnę – mruknął Peter. – Pewnie islamskim.

– Jeśli podobało im się to, co Virlomi zrobiła Chińczykom – powiedział Groszek – będą uwielbiać to, do czego skłoni Hindusów, byle tylko uwolnić się od Pakistańczyków.

– Mam jeszcze coś specjalnie dla Petera – dodała Petra. – Iracki polityk wygłosił w Bagdadzie mowę, w której bardzo jasno stwierdził: „W świecie, gdzie Allah wybrał kalifę, po co nam jeszcze Hegemon?”.

Roześmiali się wszyscy, ale gdy śmiech ucichł, twarze mieli poważne.

– Może i miał rację – rzekł Peter. – Może kiedy ta wojna się skończy, kalif będzie Hegemonem, w rzeczywistości, jeśli nawet nie z nazwy. Czy to tak źle? Celem było zjednoczenie świata i pokój. Zgłosiłem się do tej pracy, ale jeśli ktoś wykona ją lepiej, nie mam zamiaru go mordować, żeby odzyskać stanowisko.

Teresa chwyciła go za przegub, a Graff zachichotał.

– Mów tak dalej, a zrozumie, czemu właściwie wspierałem cię przez te lata.

– Kalif nie zastąpi Hegemona – oświadczył Groszek. – Ani nie sprawi, że stanie się zbędny.

– Nie? – zdziwił się Peter.

– Nie, bo przywódca nie może poprowadzić swojego ludu tam, gdzie lud nie chce iść.

– Ale oni chcą, żeby rządził całym światem – powiedziała Petra.

– Aby rządzić światem, musiałby zadbać, żeby świat był zadowolony z jego rządów. A jak mogą być zadowoleni niemuzułmanie, żeby ortodoksyjni muzulmanie nie byli bardzo niezadowoleni? To jest to, o czym przekonali się Chińczycy w Indiach. Nie można połknąć całego narodu, bo ten naród zawsze znajdzie sposób, żeby spowodować wymioty. Za przeproszeniem, Petro.

– Czy wasz przyjaciel, Alai, rozumie to i nie będzie próbował na zawsze utrzymać władzy nad narodami nieislamskimi? – zaniepokoiła się Theresa.

– Nasz przyjaciel, Alai, rozumie to na pewno – stwierdziła Petra. – Pytanie, czy rozumie kalif.

– Mam nadzieję – wtrącił Graff – że nie zapamiętamy dzisiejszego dnia jako tego, w którym zaczęliśmy następną wojnę.

– Jak już mówiłem – przypomniał Peter – wojna się jeszcze nie skończyła.

– Obie armie inwazyjne w Indiach zostały otoczone i pętla się zaciska – przypomniał Graff. – Nie sędzę, żeby byli zdolni do obrony w stylu Stalingradu, co? Tureckie wojska dotarły do Huang He, a Tybet ogłosił niepodległość i wyrzynają tam chińskich żołnierzy. Indonezyjczycy i Arabowie nie dają się złapać i poważnie już naruszyli sieć komunikacyjną w Chinach. To tylko kwestia czasu, nim sobie uświadomią, że nie warto zabijać ludzi, kiedy wynik jest przesądzony.

– Trzeba wielu zabitych żołnierzy, zanim jakikolwiek rząd zda sobie z tego sprawę – westchnęła Theresa.

– Mama zawsze jest optymistką – uznał Peter.

Wszyscy się roześmiali.

Wreszcie i Petra mogła wysłuchać historii o tym, co się wydarzyło w osiedlu. Opowiadał głównie Peter, bo Groszek stale pomijał szczegóły i zmierzał wprost do zakończenia.

– Jak myślicie, czy Achilles naprawdę wierzył, że Suriyawong zabije dla niego Groszka? – spytała.

– Myślę – odparł Groszek – że Suriyawong sam mu to powiedział.

– Sugerujesz, że zamierzał cię zabić, ale zmienił zdanie?

– Myślę, że Suri planował to od samego początku. Stał się dla Achillesa niezastąpiony. Zdobył jego zaufanie. Ceną była utrata zaufania wszystkich.

– Oprócz ciebie – zauważyła Petra.

– Bo widzisz, ja znam Suriego. Mimo że nie można tak naprawdę nikogo poznać, nie łap mnie za słowa, Petro...

– Nie łapię! Nie chciałam!

– Wszedłem do osiedla bez żadnego planu, mając tylko jedną przewagę. Wiedziałem o dwóch rzeczach, których Achilles nie podejrzewał. Wiedziałem, że Suri nigdy nie odda się w służbę takiego człowieka, więc jeśli sprawia takie wrażenie, to oszukuje. I wiedziałem coś o

sobie. Wiedziałem, że naprawdę potrafię z zimną krwią zabić człowieka, jeśli tego wymaga bezpieczeństwo mojej żony i dziecka.

– Rzeczywiście – zgodził się Peter. – Do samego końca nie mógł w to uwierzyć.

– To nie było z zimną krwią – zaprotestowała Theresa.

– Owszem, było – zapewnił ją Groszek.

– Było, mam – poparł go Peter. – Chodziło o coś, co należało zrobić, on postanowił to zrobić i zrobił. Nie musiał się w tym celu doprowadzać do wściekłości.

– Tak postępują bohaterowie – uznała Petra. – Robią to, co jest niezbędne dla dobra ludzi.

– Kiedy padają takie słowa jak „bohater” – stwierdził Groszek – to znak, że czas wracać do domu.

– Już? – zmartwiła się Theresa. – Przecież Petra dopiero co przyleciała. Muszę jej opowiedzieć te straszne historie o moich wszystkich potwornie ciężkich porodach. Moim obowiązkiem jest nastraszyć przyszłą matkę. Taka tradycja.

– Proszę się nie martwić – uspokoił ją Groszek. – Będę ją przywoził co kilka dni. To niedaleko.

– Przywoził? – zdziwiła się Petra.

– Porzuciliśmy służbę Hegemonii, zapomniałaś? Przyjeliśmy tę pracę tylko po to, żeby zyskać formalne prawo do walki z Achillesem i Chińczykami. Teraz nie mamy już nic do roboty. Emerytury ze Szkoły Bojowej całkiem nam wystarczą. Dlatego nie będziemy mieszkali w Ribeirão Preto.

– Ale mnie się tutaj podoba!

– Och, och, prawdziwa kłótnia! – ucieszył się Jan Paweł.

– Tylko dlatego, że nie mieszkałaś jeszcze w Araraquarze. To lepsze miejsce, żeby wychowywać dzieci.

– Znam Araraquarę – przypomniała sobie Petra. – Mieszkałaś tam z siostrą Carlottą, prawda?

– Wszędzie mieszkalem z siostrą Carlottą – odparł Groszek. – Ale to dobre miejsce dla dzieci.

– Ty jesteś Grekiem, a ja Ormianką. To jasne, musimy tak wychować dzieci, żeby mówiły po portugalsku.

Dom wynajęty przez Groszka był mały, ale miał drugą sypialnię dla dziecka i śliczny niewielki ogród, a pośród wysokich drzew na sąsiedniej posesji żyły małpy. Petra wyobraziła sobie, jak ich synek czy córka wychodzi się bawić, słyszy krzyki małp i zachwyca się pokazem, jaki urządziły dla każdego przechodnia.

– Nie ma żadnych mebli – zauważyła.

– Wiedziałem, że ryzykuję życie, wybierając ten dom bez ciebie – odparł Groszek. – Meble to już twoja sprawa.

- Doskonale. Będziesz spał w różowym pokoju i w falbankach.
- A ty będziesz tam spała ze mną?
- Oczywiście.
- No to mogą być różowe falbanki, jeśli taki jest warunek.

Peter, całkiem pozbawiony sentymentów, nie widział powodów, by urządzać Achillesowi pogrzeb. Groszek nalegał przynajmniej na krótką posługę na cmentarzu. Sam też zapłacił za nagrobek. Pod nazwiskiem „Achilles de Flandres”, rokiem urodzenia i datą śmierci, umieścił napis:

Zrodzony kaleką na ciele i na duszy,
 Zmienił oblicze świata.
 Pośród serc, które złamał,
 I żywotów, które przerwał zbyt młodo,
 Było też jego własne serce
 I jego własne życie.
 Oby znalazł ukojenie.

Tylko niewielka grupka zebrała się na cmentarzu w Ribeirão Preto. Groszek i Petra, Wigginowie, Peter. Graff wrócił w kosmos, Suriyawong odprowadził swoją małą armię do Tajlandii, by pomóc w usuwaniu najeźdźców i w odbudowie ojczyzny.

Nikt nie miał nic do powiedzenia nad grobem Achillesa. Nie mogli udawać, że nie są zadowoleni z jego śmierci. Groszek odczytał inskrypcję na nagrobku, a wszyscy się zgodzili, że nie tylko oddał Achillesowi sprawiedliwość, ale okazał wielkoduszność.

W końcu okazało się, że tylko Peter powiedział kilka słów z głębi serca.

– Czy jestem tu jedyny, który widzi coś z siebie w tym człowieku leżącym w trumnie?

Nikt mu nie odpowiedział – ani tak, ani nie.

Trzy krwawe tygodnie później wojna się skończyła. Gdyby Chińczycy przyjęli warunki, jakie zaproponował kalif na początku, straciliby tylko nowe podboje plus Xinjiang i Tybet. Zamiast tego czekali, aż padł Kanton, Szanghaj był oblegany, a tureckie wojska okrążyły Pekin.

Kiedy więc kalif wykreślił nową mapę, Mongolia Wewnętrzna została oddana Mongolii, a Mandżuria i Tajwan uzyskały niezależność. Chiny musiały też zagwarantować bezpieczeństwo misjonarzom.

Drzwi stanęły otworem przed islamskim prozelityzmem.

Rząd chiński upadł. Nowy odrzucił warunki zawieszenia broni, a kalif wprowadził stan wyjątkowy do czasu nowych wyborów.

A gdzieś wśród niegościnnnych terenów na najdalszym wschodnim skrawku Indii bogini mostu żyła wśród swych wyznawców, czekała i obserwowała, czy Indie będą wolne, czy tylko zmieniły jedną tyranię na drugą.

W powojennym chaosie Hindusi, Tajowie, Birmańczycy, Wietnamczycy, Kambodżanie i Laotańczycy przeszukiwali kraj swych niedawnych najeźdźców, by odnaleźć wywiezionych krewnych. Groszek i Petra także szukali w komputerach, w nadziei że natrafią na jakiś zapis, który zdradzi, co Volescu i Achilles zrobili z ich porwanymi dziećmi.

Podziękowania

Pisząc ciąg dalszy „Cienia Endera” i „Cienia Hegemona”, musiałem się zmierzyć z dwoma problemami. Po pierwsze, poszerzałem role kilku drugoplanowych postaci z poprzednich książek. Wiązało się to z poważnym zagrożeniem, że wymyślę jakieś aspekty ich wyglądu czy ich przeszłości, które okażą się sprzeczne z jakimiś dawno zapomnianymi szczegółami z wcześniejszych tomów. Aby w miarę możliwości tego uniknąć, oparłem się na dwóch sieciowych społecznościach.

Sieć Filotyczna (<http://www.philoticweb.net>) prezentuje linie czasowe opowieści z „Gry Endera” i „Cienia Endera”, które okazały się bezcenną pomocą. Opracował je Nathan M. Taylor z pomocą Adama Spieckermanna.

W mojej własnej witrynie sieciowej, Hatrack River (<http://www.hatrack.com>), umieściłem pierwsze pięć rozdziałów maszynopisu tej powieści. Miałem nadzieję, że ci, którzy nie tak dawno jak ja czytali inne książki cyklu, mogą wyłapać mimowolne niespójności i inne problemy. Społeczność Hatrack River mnie nie zawiodła. Wśród wielu, którzy odpowiedzieli – niniejszym dziękuję im wszystkim – szczególną wartość miały dla mnie sugestie, których autorami byli Keiko A. Haun („accio”), Justin Pullen, Chris Bridges, Josh Galvez („Zevlag”), David Tayman („Taalcon”), Alison Purnell („Eaquae Legit”), Viki Norris („CKDexter-Haven”), Michael Sloan („Papa Moose”) i Oliver Withstandley.

Dodatkowo przy każdym rozdziale tej książki pomagał mi stały zespół pierwszych czytelników – Phillip i Erin Absher, Kathryn H. Kidd oraz mój syn Geoffrey. Moja żona, Kristine A. Card, jak zwykle czytała kolejne rozdziały, gdy kartki były jeszcze ciepłe od Laser Jeta. Bez tych osób nie mógłby powstać „Teatr cieni”.

Drugi problem, jaki pojawił się w związku z tą powieścią, polegał na tym, że pisałem ją, kiedy w Afganistanie trwała wojna między Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami a siłami talibów i Al Kaidy. W „Teatrze cieni” musiałem pokazać przyszłe relacje między światem islamu i światem Zachodu, a także między Izraelem i jego islamskimi sąsiadami. Musiałem więc przewidywać, jakie rozwiązanie może znaleźć dzisiejsza, dyktowana nienawiścią sytuacja. Jako że poważnie traktuję swoją odpowiedzialność wobec narodów i ludów, o których piszę, w zrozumieniu przyczyn obecnej sytuacji oparłem się na dziele Bernarda Lewisa „What Went Wrong? Western Impact and Middle Eastern Response” (Oxford University Press 2001).

Niniejszą książkę zadedykowałem rodzicom mojej żony. Duża część radości i spokoju w życiu Kristine i moim bierze się z bliskich i harmonijnych stosunków z obiema naszymi licznymi rodzinami. Poza tym wiele zawdzięczam wspaniałej pracy Jamesa B. Allena – jako historyka, owszem, ale też na poziomie bardziej osobistym. Nauczył mnie podchodzić do historii bez lęku, podążać tam, gdzie prowadzą dowody, nie zakładać z góry ani najlepszego, ani najgorszego o ludziach z przeszłości. Nauczył mnie adaptować osobisty punkt widzenia świata, kiedy wymaga on korekty, ale nigdy bezmyślnie nie odrzucać wcześniejszych teorii, jeśli zachowały wartość.

Moim asystentom, Kathleen Bellamy i Scottowi Allenowi, winien jestem więcej, niż im płacę. A moje dzieci, Geoffrey, Emily i Zina, oraz moja żona Kristine są powodem, dla którego warto codziennie wstawać z łóżka.